

ZESZYT SIĘDEMDZIESIĄTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

BARYŻ



LITERACKI

1985

ZESZYT SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1985

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 406

ISBN 2-7168-0069-3

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wojciech KARPINŃSKI

IDEOLOGIA I HISTORIA

1. *Władza historii nad Polakami*

Historia spowodowała, że historia zajmuje w Polsce miejsce szczególne. Od prawie dwu stuleci spory o historię są sporami o politykę. Względnie wysoko rozwinięta społeczność została przez utratę niepodległości zepchnięta w stan politycznej niemoty. Od rozbiorów brakowało instytucji, które gdzie indziej wyrażały aspiracje społeczne. Teraźniejszość w niewielkim tylko stopniu zależała od samych Polaków, szukali więc w przeszłości wskazówek, jakich wyborów należy dokonać, aby przyszłość zbliżyła się do postulowanej formy. Ponieważ nie mogły się wytworzyć stronnictwa polityczne, ruchy społeczne, instytucje parlamentarne, przeto historia i literatura wzięły na siebie ciężar odmienny niż w swobodnych krajach. Czyżby więc należało ujmować dwubiegunowość szkół historycznych (republikanizm — monarchizm, optymizm — pesymizm) jako kaleki odpowiednik modelu dwupartyjnego bądź dwóch izb w parlamencie, a trzech wieszczów — jako formę zastępczą dla nie mogących dojść do głosu podziałów na stany społeczne czy stronnictwa polityczne? Analogie może zbyt śmiało. A jednak dzieje recepcji wielkich poetów romantycznych zdają się potwierdzać taką interpretację. Poślugiwano się literaturą i historią — literacko ujmowaną historią, politycznie i historycznie interpretowaną literaturą — zwłaszcza wówczas, gdy można już było mówić aluzjami i alegoriami, lecz nie można jeszcze było swobodnie działać.

Historia broniła tożsamości społeczeństwa pozbawionego pers-

pektyw i swobody ruchów. Przynosiła „kilka prawd z dziejów naszych”, przypomnienie o „prawdach żywotnych narodu polskiego”, pozwalała formułować „porozbiorowe aspiracje”. Rozszerzała pole widzenia poza teraźniejszość, była wszakże przez teraźniejszość z wyjątkową mocą naznaczana. Historia funkcjonowała jako pamięć i jako mit, mit często deformujący, łudzący fałszywymi analogiami, nie pozwalający się rozeznaczyć w dzisiejszym położeniu i jutrzejszych perspektywach. Często stanowiła kostium dla współczesnych figur politycznych, przebranie nie liczące się z wiedzą o przeszłości. O pokusie mitologizacji, zawsze chyba obecnej w twórczości historycznej, pamiętano i wówczas, w okresie rozbiorów. Niewola polityczna sprzyja historycznemu zaślepieniu. Zbyt bliskie złączenie historiografii z polityką bywa niebezpieczne dla obu dziedzin. Zrozumiał to zagrożenie Józef Szuj-ski, historyk i polityk, poseł i profesor, gdy w zasadniczym tekście pisał „O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej polityki”. On sam i jego sojusznicy ideowi też nie byli wolni od stronnictwa. Spór orientacji historycznych, toczony już w swobodniejszej atmosferze polityczno-społecznej, pozwalał przez konfrontację argumentów przywrócić równowagę myśleniu historycznemu. Historia wyzwała się z mitycznych kostiumów. W okresie dwudziestolecia międzywojennego jej władza nad polskimi umysłami uległa ograniczeniu. W kraju niepodległym historia przedstawiała sięgąć po wyłączny rząd dusz, była zapisem różnorodnych tradycji, traktowanym nieraz z dużą dozą nonszalancji.

2. Władza ideologii nad historią

Trzeba pamiętać o tradycyjnej władzy historii nad Polakami, aby zrozumieć rolę historii w powojennej Polsce, nakładane na nią serwituty i łączone z nią nadzieje. Historia, którą jeszcze niedawno starano się „odbrązować”, sprowadzić do „normalnych” ram, brutalnie wstrząsnęła polskim życiem. „Normalne” traktowanie historii okazało się złudzeniem w sytuacji — znów — głę-boko „nienormalnej”. Historia jako pamięć i historia jako mit znów stawały się trudno rozdzielne. Myślenie analogiami prowadziło do niebezpieczeństw, do niedostrzegania prawdziwego układu sił. Zapominanie o analogiach, o sile ciężenia historycznej pamięci na narodową świadomość, było także postawą niebezpieczną, nie liczącą się z psychologią społeczną. Sejmowa mowa Becka w maju 1939 roku, jego „nie” powiedziane hitlerowskim żądaniom, zrozumiałe będzie lepiej, gdy w tle pojawi się pamięć

o Sejmie Grodzieńskim jako o symbolu postawy hańbiącej. Pakt Ribbentrop-Mołotow brzmi nie tylko echemi spełnionego Rapallo, lecz również unowocześnionym wspomnieniem rozbiorów.

Druga wojna światowa rozpoczęła się na polskich ziemiach. W tragicznych wydarzeniach tego czasu dawne wróżby i mity znalazły sprzyjającą glebę. A rezultat? Wojna, rozpoczęta w imię obrony suwerenności Polski, zagrożonej przez ekspansjonistyczne roszczenia totalitarnego mocarstwa (sprzymierzonego z drugim), zakończyła się wprowadzie klęską tego mocarstwa, ale jednocześnie rozszerzeniem strefy wpływów drugiego totalitarnego imperium na pół Europy, w tym także na polskie ziemie (w ich nowym kształcie geograficznym, etnograficznym, społecznym, politycznym). Wynikiem drugiej wojny światowej jest trwająca do dziś, przyjmująca różne formy i mniej lub bardziej otwarcie kwestionowana przez społeczeństwo dwoiście jedna niesuwerenność Polski. Dominacja przez sąsiednie mocarstwo przywołuje analogie z okresem dawniejszym, z epoką rozbiorów, bądź z latami bezpośrednio je poprzedzającymi. To mocarstwo różni się wszakże naturą od dawnego imperium carskiego. Dominacja sowiecka nie jest dominacją narodową, lecz przede wszystkim ideologiczną. Lokalna partia komunistyczna, nadzorowana przez centralę, lecz rekrutowana wśród rodzimej ludności, pełni funkcję zarządzania, kontroli, represji. W państwie ideologicznym nadzór nad ludnością przyjmuje formy specyficzne. Jego podstawowym narzędziem jest ideologicznie ukierunkowany język, nowomowa.

Niegdyś, w paroksyzmie ekspansywnego nacjonalizmu, imperium rosyjskie zabraniało polskim dzieciom rozmawiać w szkole rodzimym językiem. Po wprowadzeniu systemu komunistycznego nikt nie zabraniał mówienia po polsku, istniały polskie instytucje, uczono polskiej historii w szkołach. Kontrola świadomości stała się wszakże ostrzejsza niż kiedykolwiek przedtem. Kontroli podlega bowiem *zawartość* przekazu. „Narodowa w formie, socjalistyczna w treści” — taka miała być nie tylko sztuka, lecz i wiedza humanistyczna (a w okresie paranoicznego stalinizmu również nauki ścisłe). W procesie sowietyzacji społeczeństwa władza ideologii nad historią odgrywa rolę szczególną. Głoszone przez ideologię „żelazne prawa historii” stanowią legitymizację systemu. Historia „wypełniła się” w sowieckiej teraźniejszości: to, co jest, jest jedynie słuszne, jest samospełniającą się zapowiedzią pełnej szczęśliwości. Jakikolwiek wątplenie w słuszność obranej drogi, szukanie innych rozwiązań, stanowi zbrodnię myśli. Historia winna wskazywać na niepodważalną teraźniejszość i promienną przyszłość jako na konieczny rezultat dawnych działań.

Ponieważ teraźniejszość realna różni się od postulowanej a projektowana promienna przyszłość oddala się w nieskończoność, przeto historia podlegać musi ciągłym przekształceniom.

Historia pełni dwojaką funkcję w sowietyzmie: *perswazyjną* (istniejąca władza jest władzą najlepszą z możliwych, na co wskazuje nauka płynąca z przeszłości) oraz *zastraszającą* (istniejąca władza jest jedyną możliwą władzą, wszelkie nadzieje na zmianę istniejącego stanu rzeczy są złudzeniami, na co wskazuje nauka płynąca z przeszłości). Historia zostaje upartyjniona: przeszłość jako istotna legitymizacja władzy jest sprawą zbyt poważną, aby zostawiać ją w rękach naukowców, przechodzi w ręce ideologów. Ich dezyderaty wypełniać mają historycy, których zadaniem nie jest szukanie wiedzy o przeszłości, lecz komponowanie przeszłości zgodnie z ideologicznymi nakazami chwili. Produktem są potiomkinowskie makiety, makiety historii Polski. Ten szalony projekt całkowitego podporządkowania sobie przeszłości nie jest z punktu widzenia totalitarnych władców zamierzeniem bezsensownym. Zrozumiał to Orwell, gdy opisywał Ministerstwo Prawdy, jeden z fundamentów systemu: kto panuje nad przeszłością, panuje nad przyszłością — kto zamierza zdobyć pełną władzę, musi podporządkować sobie także przeszłość. Ale ambicje panowania nad historią powodują, że w historii tkwi niebezpieczna siła: jeżeli ożyje, jeżeli wyrwie się z ideologicznych schematów, wówczas odsłoni pozorny charakter „historycznych konieczności”, podważy legitymizm totalitarnej władzy. Zrozumiał to Sołżenicyn, gdy wzywał do porzucenia kłamstwa, gdy mówił, że prawda wyzwala; za swoje powołanie uznał przywrócenie narodowi pamięci, ożywienie jego przeszłości.

Nadużycia historii i pożytki z niej płynące streszczają się dzisiaj najpełniej w tych dwóch nazwiskach-haśłach: Orwell i Sołżenicyn. Refleksja nad manipulacjami pamięcią zbiorową w powojennej Polsce posuwać się powinna w dwóch kierunkach, w stronę Orwella i w stronę Sołżenicyna. „Strona Orwella” — czyli metody ideologicznej kontroli nad przeszłością, odbierania społeczeństwu historii. „Strona Sołżenicyna” — czyli odzyskiwanie przez społeczeństwo pamięci, ożywianie przeszłości.

3. W stronę Orwella

Powojenna sowietyzacja historii Polski przebiegała stopniowo, dotyczyła zarówno historii jako nauki, czyli prac badawczych, jak

i nauczania historii, czyli szkolnictwa, jak wreszcie popularyzacji historii, czyli publicystyki historycznej. W sposób wyjątkowo brutalny proces ten przebiegał we wczesnych latach pięćdziesiątych. Tendencję tego okresu najlepiej charakteryzują słowa Żanny Kormanowej, sztandarowej postaci stalinowskiej historiografii polskiej, wypowiedziane na I Kongresie Nauki Polskiej: „Marksistowska myśl historyczna stosując genialne wskazania Lenina i Stalina, wykuła dla współczesnych historyków marksistów oręż metodologicznych koncepcji i ocen, podstawowe założenia dla marksistowsko-leninowskiej najnowszej historii Polski, uutorowała drogę dla powstania prawdziwej, marksistowsko-leninowskiej nauki historycznej w Polsce”.

W związku z powyższym stwierdzeniem, znakomicie określającym historię pisaną pod wezwaniem Orwella, warto podkreślić trzy punkty. Po pierwsze, ta „metodologiczna koncepcja” — czyli odróżnienie historii zwykłej, burżuazyjnej, uwarunkowanej klasowo, nienaukowej, oraz historii marksistowsko-leninowskiej, socjalistycznej, naukowej — wcielana była w życie nie tylko przez autorkę tych słów, lecz przez większość ówczesnych historyków. W odniesieniu do odległych dziedzin wystarczało pokłonicie się marksistowskim *chapeau* we wstępie i podkreślanie czynników ekonomicznych w dalszym ciągu. Im bliżej czasom nowszym, tym ideologiczna czujność stawała się większa. Okres od rozbiorów podlegał szczególnej kontroli. W odniesieniu do tych obszarów obowiązywała orwellowska metahistoria, czyli „marksistowsko-leninowska metodologia”, czyli ideologiczna projekcja rzutowana w przeszłość.

Po drugie, ta koncepcja historii obowiązywała nie tylko w okresie stalinowskim. Wówczas realizowana była najbrutalniej, w sposób bliski niekiedy parodii (co w pewnej mierze potęgowało jej oddziaływanie, w innej — je ograniczało), ale dawała znać o sobie i później. Nigdy nie została w pełni oficjalnie odwołana. Nie może zostać, dopóki trwają rządy ideologiczne. Krytykowano na kolejnych etapach „wypaczenia”, „nadużycia”, „nadgorliwość”, nie wyrzeczono się ideologicznej kontroli nad przeszłością. Od października 1956 roku zmniejszył się obszar ideologicznej presji, proces ten odbywał się jednak powoli i dotyczył tylko pewnych dziedzin uznanych za „ideologicznie obojętne”, ponieważ dla współczesnego człowieka mniej interesujące, czyli niegroźne dla władzy. W odniesieniu do obszarów bliższych czasowo, geograficznie, emocjonalnie — ideologiczna kontrola nie ustała. Czasem pod presją społeczeństwa i naukowców ulega jakby uśpieniu. Istnieje jednak zawsze jako groźba potencjalna, a w momentach

zaostrażającej się walki ideologicznej między partią i społeczeństwem staje się groźbą realną.

Po trzecie, głoszona przez Żannę Kormanową „prawdziwa marksistowsko-leninowska nauka historyczna w Polsce” wpływała nie tylko na wiedzę uniwersytecką, lecz również na nauczanie w szkołach każdego stopnia, na publicystykę i popularyzację historii, na wszelkie formy przekazu wiedzy o przeszłości. Indoktrynacja w szkołach i w środkach masowego przekazu obejmuje całość społeczeństwa, jest więc bardziej istotna dla rozeznania sposobów manipulacji pamięcią zbiorową. Wszakże nauczanie w szkołach odbywa się z podręczników pisanych w duchu „prawdziwej marksistowsko-leninowskiej nauki historycznej”. Te podręczniki muszą być z kolei zgodne z linią ideologiczną aktualnie zadekretowaną przez strażników doktryny. Koło się zamyka.

„Historia niska”, wykładana w szkołach, podlega jeszcze ściślejszej kontroli niż „historia wysoka”, komponowana w pracowniach instytutów badawczych. Podlega też podobnym, choć nie tożsamym, wahnięciom ideologicznym. We wczesnych latach pięćdziesiątych brutalnie wprowadzana sowietyzacja spotykała się czasem z biernym oporem części kadry nauczycielskiej. W tamtym okresie zwiększała się co roku w podręcznikach ilość genialnych wynalazków dokonywanych przez rosyjskich chłopów: żarówka, radio... Ten ekspansjonizm budził uśmiechy nawet najmłodszych uczniów i Schodow, przez którego została wynaleziona klatka Schodowa, był stałym tematem żartów, a jednak na niektórych propaganda działała bezpośrednio, na pozostałych działała pośrednio, odbierała wiarę we wszelkie historyczne przekazy. Cały wykład historii ujmowany był zgodnie z marksistowskim poglądem na świat i służył sowieckiej racji stanu.

„Historia niska” spełniała — i nadal spełnia — dwie wspomniane już funkcje historii w sowietyzmie. Przekonuje o słuszności ideologii i polityki w ich lokalnym wydaniu i w kształcie reprezentowanym przez Centralę; tam zaś, gdzie perswazja ma nikłe szanse, pełni funkcję zastraszającą lub paraliżującą, skłania do rezygnacji z samodzielnego myślenia o przeszłości. Dowodem na to, jak boleśnie społeczeństwo odczuwa ideologiczne manipulacje historią i jakie znaczenie przywiązuje do odzyskania pamięci narodowej, były rewindykacje prawdy historycznej, a zwłaszcza postulat usunięcia ideologicznych deformacji z nauczania szkolnego, wysuwane przez „Solidarność” od początku istnienia tego ruchu i uznawane za jedną z gwarancji społecznych swobód (zaś upartyjnienie historii uważane jest za ważny element sowieckiego *instrumentum regni*).

Obecnie ideologizacja „historii niskiej” jest lepiej widoczna niż „historii wysokiej”. Metody manipulacji pamięcią zbiorową, stosowane w podręcznikach szkolnych, zostały zanalizowane w znakomitym opracowaniu Bohdana Cywińskiego „Zatruta humanistyka”, wydanym w obiegu niezależnym przez Bibliotekę „Głosu” w Warszawie. Cywiński wyróżnia kilka zabiegów dokonywanych w podręcznikach przedmiotów humanistycznych. Ideologicznie motywowany, lecz pozornie naturalny dobór prezentowanego materiału faktograficznego, przesadne eksponowanie pewnych wydarzeń i zagadnień, pomijanie innych. Podawanie informacji nieprawdziwych, przeinaczanie faktów historycznych. Naświetlanie wydarzeń w taki sposób, aby sugerowały ich określony ideologiczny sens. Imputowanie niepodważalności, naukowości i wyłączności przedstawianych modeli interpretacyjnych. Skrajnie jednostronne rozumienie dziejów człowieka, idei, kultury. Cywiński zwraca uwagę, że choć przeinaczanie faktów budzi częściej protest opinii i uczniów niż deformacje wpływające z ideologicznego komentarza, to społeczna szkodliwość tych mniej zauważalnych zabiegów jest nieporównanie większa: łatwiej sprostować i uzupełnić wiedzę o faktach niż przełamać narzucane przez szkołę i nieświadomie przyjmowane nawyki interpretacyjne, ideologicznie uwarunkowaną wizję ludzkości, społeczeństw, kultury.

Oficjalny cel kształcenia młodzieży został otwarcie sformułowany we wstępie do programów dziesięciolatki — cytuje się tam fragment uchwały partyjnego zjazdu: „Marksizm-leninizm, rewolucyjna teoria i ideologia klasy robotniczej, naukowa podstawa polityki partii i państwa coraz powszechniej określać będą kierunek myślenia naszego społeczeństwa”. Ideologia dekreteowana jako nauka czyni z nauk humanistycznych służkę ideologii. Historia jako niewolnica ideologii ma przedstawiać uzasadnienie — obronę i apologię — sowieckiej racji stanu. W Polsce ma to czynić z punktu widzenia lokalnego, z punktu widzenia władców PRL. Podręczniki ukazują więc ZSSR jako spełnienie dotychczasowych dziejów. Z powstaniem tego państwa nastąpiła nowa epoka historii; jego potęga jest niezachwiana i wciąż rośnie, jego dokonania polityczne zasługują wyłącznie na pochwały. Polska racja stanu jest na trwałe związana z sowiecką racją stanu: tak było w przeszłości, tak jest obecnie, tak musi być zawsze. Ciężar polskiego dziedzictwa historycznego powoduje, że ta teza, zasadnicza z punktu widzenia legitymizacji władzy, jest szczególnie trudna do przeforsowania i wymaga gruntownej „reinterpretacji” historii Polski ostatnich dwu stuleci. W związku z tym szczególnie presji ideologicznej poddane zostają zagadnienia związane z

trzema dziedzinami: polska tradycja niepodległościowa, historia Rosji i ZSSR, historia współczesnych prądów politycznych i ideologicznych.

W podręcznikach szkolnych widać stałą dezaprobatę dla strony polskiej w konfliktach polsko-moskiewskich poczynając od Jagiellonów. W okresie porobiorowym tuszowane są wysiłki władców rosyjskich zmierzające do wynarodowienia Polaków. Zwłaszcza ucisk Kościoła i problem unitów jest wyciszony lub przemilczany. Tylko skrajnie lewicowy i radykalny nurt uznano za patriotyczny i postępowy, co powoduje zubożenie polskiej tradycji. Sprowadzanie całej problematyki do konfliktów klasowych interpretowanych w dogmatycznie leninowskim duchu i apologia nurtów radykalnych jako rzeczników rozwiązania sprawy narodowej w takim duchu kompromituje tak ujętą lewicowość w oczach uczniów. Innego ujęcia tej tradycji najczęściej nie znają, odmiennych tradycji także nie, a do ich negatywnej prezentacji w szkole mają więcej zaufania niż do apologetyki radykalizmu. Zostają więc bez tradycji, bez przeszłości, bezbronni wobec narzucanej im ideologii.

Kluczowe z punktu widzenia partyjnych zamierzeń trzy pola ideologicznej manipulacji — polska tradycja niepodległościowa, dzieje Rosji i ZSSR, myśl społeczna i polityczna — wyznaczają w przypadku dziejów Polski przestrzeń historyczną pustą, bądź możliwą do zaludnienia jedynie tworam i wymyślonymi. Dlatego oficjalna historia najnowsza właściwie nie istnieje. Z oficjalnego punktu widzenia godne akceptacji byłyby takie nurty polskiej tradycji, które, po pierwsze, zgodnie z kanonami marksizmu-leninizmu można by uznać za postępowe, po drugie, zgodnie z interpretacją sowiecką można by uznać za prorosyjskie, po trzecie, zgodnie z apologetyką PRL można by uznać za patriotyczne. Nurtów, które by spełniały te trzy kryteria, nie ma. Kierunki „postępowe” z zasady były antyrosyjskie, jeżeli zaś reprezentowały nurt internacjonalistyczny, mało miały zrozumienia dla polskiej walki o niepodległość.

Ta sytuacja widoczna jest szczególnie wyraźnie w odniesieniu do okresu odbudowywania Polski i do dwudziestolecia suwerenności. W szkolnej wersji historii legiony Piłsudskiego nie istnieją, bądź ukazane są w sposób zdeformowany, wysiłki dyplomatyczne Dmowskiego nie istnieją. Wojna polsko-bolszewicka pojawia się jako własna karykatura (a pech chciał, że nazwiska wodzów po obu stronach trudne są dla autorów podręczników do wykrztuszenia: nie tylko reprezentujący stronę im nieprzyjazną Piłsudski, lecz również po stronie ideologicznie właściwej Trocki, Kamie-

niew, Tuchaczewski, a obecnie także Stalin są orwellowskimi *nonpersons*). Partia socjalistyczna też nie może mieć własnej historii w tym okresie, bo była antysowiecka, a jej przywódcy stali się w wielu wypadkach *nonpersons* (Ciołkosz, Pużak, Pragier). Ruch chłopski został „skompromitowany” zachowaniem Witosa w 20 roku, postawą jego działaczy w krajowym podziemiu i na emigracji, wreszcie działalnością Mikołajczyka po wojnie. Pozostawiliby więc komuniści jako przykład tradycji godnej akceptacji. Nad ich wrogą wobec Polski postawą w 20 roku i później można by łatwo przejść do porządku, gdyż niepodległa Polska z punktu widzenia marksistowsko-leninowskiej historiografii była państwem burżuazyjnym, zaślepionym nienawiścią wobec ZSSR, czyli formacją przejściową. A jednak tradycja komunistyczna także nie może się znaleźć w oficjalnych podręcznikach. Jest ona nawet szczególnie niewygodna, jako że przywódcy KPP mimo uległości wobec dyrektyw centrali zostali przez centralę fizycznie zlikwidowani, a egzystencja partii przekreślona (przez Komintern, który z kolei został wymazany z pamięci, czyli KPP „wyparowała” podwójnie).

Im bliżej dnia dzisiejszego, tym oficjalna historia staje się bardziej eteryczna. Czasy drugiej wojny światowej i okres powojenny są gruntownie zafałszowane. Nie ma początku wojny — nie istnieje pakt Ribbentrop-Mołotow. Nie ma 17 września, nie ma wywózek, Katynia, nie ma prawdy o polskim ruchu oporu w kraju i o wysiłku zbrojnym za granicą. Nie ma wreszcie procesu 16 przywódców podziemia w Moskwie, tego prawdziwego końca polskiej wojny. Nie można też z podręczników szkolnych dowiedzieć się o dziejach PRL. Kolejne etapy przekreślały poprzednie. Kolejne kryzysy podważały legitymizm władzy. Każda nowa ekipa wskazywała na poprzednią jako na źródło zła i wymazywała ją ze społecznej świadomości. Tak powstała próżnia starano się uzupełnić dyskretną rehabilitacją ekipy przedostatniej. Po październiku, za „drugiego Gomułki”, dotyczyło to „pierwszego Gomułki” z lat 1944-1948, po grudniu, za Gierka, dotyczyło to Bieruta, po sierpniu i grudniu, za Jaruzelskiego, dotyczy „drugiego Gomułki” (czyli od wstydlivej rehabilitacji ekipy Jaruzelskiego dzielą nas dwa ruchy na szachownicy — ale może nie jest to „żelazne prawo historii?”).

Jak dokonuje się ta czystka historii? Skąd taka jednolitość tonu i poglądów? Jak zbadać działanie orwellowskiego Ministerstwa Prawdy? Czy wiara w zorganizowaną indoktrynację nie jest mistyfikowaniem ludzkich fanatyzmów i strachów? Jak określić, co w książkach z dziedziny historii „wysokiej” czy „niskiej”, w

monografiach specjalistycznych, w podręcznikach szkolnych jest wynikiem przekonań autorskich, a co oficjalną linią propagandy ideologicznej? Zadanie omalże niemożliwe. Istnieje tyle instytucji kremlinologicznych, cały przemysł sowietologii, a kilka podstawowych pytań na temat systemu nie znajduje odpowiedzi: jak kontrolowana jest ludność, jak kontrolowani są zarządcy prowincji przez Centralę, jak zorganizowana jest kontrola ideologiczna?

Istnieją wszakże dokumenty wyjawiające formy kontroli ideologicznej. Teoretycznie wiedzieliśmy, że w Polsce działa cenzura i żaden tekst nie może zostać wydrukowany bez jej aprobaty. Zwłaszcza parający się piórem zgodzą się mniej lub bardziej chętnie ze stwierdzeniem człowieka wyjątkowo w tej materii obeznanego, Stefana Kisielewskiego, że każdy tekst opublikowany po wojnie w Polsce ma dwóch autorów: tego, który go napisał, i tego, który to ocenzurował. Co innego jednak wiedza teoretyczna, nawet wsparta jednostkowymi kontaktami z aparatem cenzury, a co innego przeniknięcie zasad działania tej instytucji. Dokumenty, o których wspomniałem, to wywiezione na Zachód w 1977 roku przez Tomasza Strzyżewskiego i ogłoszone w Warszawie przez KSS-KOR, a w Londynie przez *Aneks*, poufne materiały polskiej cenzury. Lektura tych tekstów robi wstrząsające wrażenie. Uświadamia rozmiar zjawiska, metodyczność kontroli. Ktokolwiek zastanawia się nad manipulacjami pamięcią zbiorową (szerzej: świadomością zbiorową) i to nie tylko w Polsce, ten powinien pochylić się nad „Czarną księgą cenzury PRL”. Zawiera ona instrukcje orwellowskiego Ministerstwa Prawdy.

Materiały te składają się z księgi „zapisów” i różnego rodzaju wskazówek dla cenzorów. Nie stanowią pełnej listy zakazów nie tylko dlatego, że nie wszystkie obowiązujące zalecenia zostały wywiezione i ujawnione. Jak słusznie zauważył Tomasz Strzyżewski w wywiadzie dla *Aneksu*, całkowita kodyfikacja zakazów cenzury byłaby ograniczeniem jej działania. Księga zapisów mówi o tym, czego cenzorowi nie wolno przepuścić. Co może przepuścić, tego uczy go (zmienna) praktyka. „Czarna księga cenzury” ukazuje, jakiej kontroli poddana jest przeszłość historyczna, historiografia, całe życie umysłowe. Tylko mając w pamięci te nakazy i zakazy można dyskutować o manipulowaniu historią, można sensownie oceniać spory o fakty i interpretacje.

Oto przykład. Umiera Antoni Słonimski, znakomity poeta, lecz źle widziany przez władze. Zalecenie cenzury dokładnie określa zasady kontroli okolicznościowych materiałów. Cała prasa zamieści komunikat PAP; *Życie Warszawy* zamieści nekrologi Mi-

nisterstwa Kultury i Sztuki i organizacji literackich oraz wspomnienie partyjnego literata (bez prawa przedruku przez inne gazety); centralna prasa literacka opublikuje nekrologi uzgodnione z KC PZPR; wszelkie komentarze muszą mieć akceptację Wydziału Prasy KC; poza tym nadal obowiązuje zakaz wymieniania nazwiska poety. Nie pozostawiono szerokiego pola autorom, choćby ideologicznie najbardziej gorliwym. Skrajnym przykładem odgórnej reglamentacji ideologicznej, dotyczącym właśnie historii, jest instrukcja zawierająca „Wytyczne dla środków masowego przekazu w związku z obchodami 200-lecia USA na terenie Polski”. Kilkustronicowy tekst zawiera nie tylko dokładne określenie tematyki, którą należy poruszyć, nie tylko naświetlenie ideologiczne, jakie należy przekazać, lecz również precyzuje *timing* propagandowy: od marca do maja tylko okazyjne wzmianki, w czerwcu trochę więcej, od 3 do 6 lipca okres kulminacyjny, po 6 lipca do września wygaszanie. Telewizja może pokazać maksimum dwa filmy o tematyce historycznej w czerwcu, przedtem jeden bądź dwa programy o tematyce krajoznawczej. „Należy opracować grafik tematów i terminów, uwzględniający różne artykuły (historyczne, polonijne, relacje PAP z uroczystości) w różnych terminach i różnej tonacji (pozytywne, neutralne, krytyczne) dla poszczególnych czasopism, co powinno stworzyć zamierzony przez nas obraz, zgodny z założeniami, zaprezentowany przez prasę polską jako całość”. Kto nie znałby tego zapisu, mógłby spekulować na temat różnorodności analiz amerykańskiej rewolucji u takiego bądź innego autora, sami autorzy mogli się takimi myślami łudzić, tymczasem nie zdając sobie z tego sprawy wypełniali puste miejsca wyznaczone im przez „grafik tematów i terminów”.

„Czarna księga cenzury” wyjawia politykę personalną władz ideologicznych. Wiadomo było, że pewne nazwiska polityków, pisarzy, artystów są wykreślane przez cenzurę z tekstów, więc i z pamięci zbiorowej. Proceder okazuje się bardziej złożony. Stosowano rodzaj systemu kastowego. O niektórych nie wolno było pisać pozytywnie, wolno jednak było z nimi polemizować, bądź umieszczać tytuły ich dzieł w pracach naukowych. Inni mieli zakazany wstęp do środków masowego przekazu nawet w roli czarnych charakterów. Niektórzy wreszcie pojawiać się mogli tylko w publikacjach niskonakładowych, bądź jedynie w notkach bibliograficznych. Miejsce z góry określone, wymierzone proporcje pochwał, dozowanie obecności i nieobecności, w końcu całkowite wykreślanie z pamięci. Ideologiczni instruktorzy chcieli być autorami teraźniejszości i przeszłości, twórcami jedynie dopuszczalnej, choć wciąż zmiennej wersji historii; cenzorzy mieli być

kontrolerami tego orwellowskiego przedsięwzięcia; historycy, literaci, filozofowie, publicyści — technikami wypełniającymi z góry wyznaczone zadanie, realizującymi „grafik tematów, terminów, ludzi i ocen”.

4. W stronę *Sołżenicyna*

Postulowany po wojnie w Polsce typ idealny historiografii ideologicznej nawet w warunkach stalinowskich był trudny do pełnej realizacji. I wówczas obserwować było można historyczny eskapizm: wybieranie wolności w odległych epokach, w ezoterycznych tematach. Historia ideologiczna wywiera wiele szkody, wsącza się do umysłów, domaga się jednak z natury jedynowładztwa, chce obalić przeszłość. Może się więc rozwijać w warunkach terroru ideologicznego wspartego na terrorze politycznym. Sprzyjają jej czasy rewolucji. Wówczas łatwo jest unicestwić inny punkt widzenia: zniszczyć dawne książki, odsunąć inaczej myślących, odciąć kontakt z zagranicą. Gdy jednak terror ulega zmniejszeniu, pojawia się widmo pamięci.

Od października 1956 roku zakres pamięci ulegał rozszerzeniu. Restytucja historii przez społeczeństwo obywatelskie przyjmowała różne formy, wykorzystywała momenty cenzuralnego osłabienia uwagi, znajdowała przebrania ułatwiające mówienie prawdziwym — dopuszczalnie prawdziwym — głosem. Brutalna ingerencja ideologiczna w dziedzinę społecznej pamięci powodowała szkody, zamazanie obrazu przeszłości, jego mitologizację, przyczyniała się też do wyostrenia wrażliwości na aluzje historyczne, na historię utajoną, raczej przeczuwaną niż znaną.

Odkłamywanie historii spotykało się po październiku z większymi oporami władz niż odkłamywanie ekonomii, socjologii czy nawet filozofii. Nadal istniały strefy tabu. Dotyczyły one przede wszystkim trzech wspomnianych obszarów szczególnego ideologicznego uwrażliwienia: najnowszej historii Polski, dziejów stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich oraz współczesnej myśli społeczno-politycznej. Fazy wyzwalania się współczesnej historiografii spod partyjnej kurateli zostały opisane w szkicu „Historia najnowsza i historycy” zamieszczonym w wydawanym poza zasięgiem cenzury czasopiśmie *Res Publica*. Historia wyzwolona, pisana pod wezwaniem *Sołżenicyna*, słuchająca jego wezwania do mówienia prawdy, to po prostu historia prawdziwa, nie podległa partyjnemu dyktatowi. Ktokolwiek posługuje się własnym głosem, dochowuje wierności faktom i stara się mieć

oczy szeroko otwarte, ten rozmyślając o historii czyni z niej dobry użytek, ożywia przeszłość. W momencie odzyskania normalnego głosu i pamięci porzucamy teren znajdujący się pod władaniem orwellowskich czarów, przechodzimy na stronę Sołżenicyna. Metod tego przechodzenia jest wiele. Ich prezentacja równałaby się prezentacji polskiej historiografii ostatniego czterdziestolecia. Za historię pisaną pod znakiem Sołżenicyna należy bowiem uznać wszelkie teksty historyczne godne wiary, czyli starające się dotrzeć do prawdy. Teksty orwellowskie, historiografia ideologiczna, to dorobek naukowo martwy, zwał książek o tyle nie obojętnych, że w konkretnych polskich warunkach stanowią zaporę dla prawdziwej wiedzy o przeszłości.

Podział dorobku historycznego na ideologicznie skażony, czyli martwy, i na otwarty ku prawdzie, czyli żywy, nie jest zadaniem łatwym i możliwym do jednoznacznego przeprowadzenia. Niezawisłe spojrzenie wysledzić bowiem można nawet w publikacjach oficjalnych dotyczących trzech wspomnianych już obszarów szczególnie zakazanych. Pod koniec lat 50-tych i na początku 60-tych, gdy oko cenzury stało się mniej bystre, a ideologiczna kontrola mniej gorliwie przeprowadzana, także w kręgu tych trzech sfer problematyki zaczęły się ukazywać dzieła wybitne. Mam na myśli prace Leszka Kołakowskiego dotyczące historii idei, zwłaszcza jego książkę „Świadomość religijna i więź kościelna” oraz jego artykuły takie jak „Karol Marks i klasyczna definicja prawdy”, „Etyka bez kodeksu”, „Kapłan i błazen”. Andrzej Walicki w kilku książkach i w szeregu studiów przedstawił inspirującą analizę rosyjskiej myśli filozoficznej i społecznej XIX wieku oraz jej do dziś aktualnych „przeklętych problemów”. Paweł Hertz w swojej eseistyce, zebranej w tomach „Domena polska” i „Ład i nieład”, pokazywał żywotność dziewiętnastowiecznych dylematów literatury i myśli polskiej, podkreślał wagę tradycji dla zrozumienia współczesności. Te trzy nazwiska to tylko najbardziej wymowne przykłady ożywiania przeszłości w dziedzinach podlegających szczególnie presji ideologicznej.

Echo, jakie w okresie późniejszym wzbudziły takie książki jak „Rodowody niepokornych” Bohdana Cywińskiego, „Listopadowy wieczór” Andrzeja Kijowskiego, „W cieniu Marszałka Piłsudskiego” Andrzeja Micewskiego, „Koniec świata szwależerów” Mariana Brandysa, „Bić się czy nie bić” Tomasza Łubieńskiego, dowodzi społecznego zapotrzebowania na oczyszczenie historii z ideologicznego sztafażu. Co więcej, książki takie były pisane i były, mimo wszelkie trudności, oficjalnie wydawane. Ciągłe jednak były i są zjawiskiem na granicy sensacji, na pół akceptowa-

nym przez władze. Zyskują przez to specjalną aurę i wiernych czytelników. Sytuacja wciąż daleko odbiega od normalnej. Ideologiczna kontrola nad historią Polski trwa nadal, dlatego publikacje nieoficjalne dotyczące tej tematyki cieszą się największym popytem. Trzeba jednak przyznać, że dokonane zostało wiele ku rozszerzeniu społecznej wiedzy. Przede wszystkim pobudzona została czujność społeczeństwa wobec przeinaczeń, a także wzmocnieniu uległo poczucie zawodowej godności historyków i publicystów historycznych. Niezależny obieg stanowi znakomity czynnik kontroli i presji.

Zagrożenia istnieją nadal. Nie tylko zagrożenia zewnętrzne — istnienie cenzury, tematy narzucane i zakazywane. Zewnętrzna presja wywierana przez ideologiczne państwo na obraz przeszłości nie jest jedynym niebezpieczeństwem. W miarę odradzania się społeczeństwa cywilnego pojawia się groźba presji wewnętrznej: tradycjonalizmu, modelowania historii ku potrzebom pokrzepiania serc, tuszowania konfliktów, bądź ich rozdymania jako argumentów w prezentystycznej dyskusji. Na te zagrożenia najwyraźniej wskazało dwóch historyków i publicystów: Marcin Król i Adam Michnik. Marcin Król pisał w *Res Publice* o „Zastygłym obrazie przeszłości” wyłaniającym się z części prasy opozycyjnej. W szkicu „Nowe pytania, stare odpowiedzi” przestrzegał przed niebezpieczeństwem myślenia analogiami. Historia się nie powtarza; szukanie w przeszłości automatycznych recept na dzisiejsze problemy stanowi dowód intelektualnej bezradności. Język analogii jest językiem zastępczym, rozwija się szczególnie silnie wtedy, gdy społeczeństwo nie ma możliwości otwartego dyskusowania zasadniczych problemów. Dlatego historia budzi w Polsce większe napiętności niż we Francji czy w Stanach Zjednoczonych. To zainteresowanie przeszłością jest zjawiskiem cennym, wszakże kryje w sobie pułapki. Mechaniczne przenoszenie dawnych wzorów zaciemnia i widzenie teraźniejszości, i obraz historii.

Adam Michnik w całym swoim pisarstwie starał się wychodzić poza tradycyjne podziały ideologiczne. Ten punkt widzenia pozwalał mu dostrzegać więcej. Jego esej „W cieniu zapomnianych przodków”, skupiony wokół postaci Józefa Piłsudskiego, był właśnie nowym spojrzeniem na przeszłość. Może najlepszym przykładem takiego podejścia do przeszłości, które byłoby wolne od ideologicznych restrykcji, nie dawałoby się uwieść zamkniętej wizji dziejów, lecz zbliżało do zrozumienia historii bez fałszywych analogii czy aktualizacji, jest obszerna „Rozmowa w Cytadeli”. Studium, napisane latem 1982 roku za murami Białejki, stanowi wysiłek wyrwania się z zakłętych kół partyjnych sporów i ideolo-

gicznych antagonizmów. Mówiąc o młodych zwolennikach polityki czynnej i przeciwnikach ugody z przełomu stuleci Adam Michnik mówi w dużej mierze o sobie, o swoim rozumieniu historii. „W Polską myśl polityczną wpisany był dualizm: romantyzm — pozytywizm, w polski czyn zaś alternatywa: insurrekcja zbrojna — praca organiczna. Przełamanie tej alternatywy było niezbędnym warunkiem stworzenia nowego stylu myślenia politycznego. (...) Realizm wszakże (...) to nie tylko uznanie takiego faktu jak obcy zabór, realizm to również uznanie za realny fakt dążenia narodowego do suwerenności. Realistą nie jest ten, kto po prostu potrafi ocenić nieskuteczność działań insurekcyjnych, ale ten, kto potrafi zanalizować przyczyny klęsk powstań narodowych, kto potrafi wpisać dokonania dawnych bojowników niepodległościowych w świadomość etyczną i polityczną swoich współczesnych, kto z tamtych uczynków umie zbudować tradycję żywą, a z niej broń skuteczniejszą od powstańczej dwururki, kto wreszcie potrafi uznać, że równie realne jak więzienia i obcy zabór są — nieusuwalne z ludzkiego umysłu i serca — potrzeby wolności narodowej i obywatelskiej”.

Wojciech KARPİŃSKI

Wiktor SUKIENNICKI

POLITYCZNE KONSEKWENCJE BŁĘDU SEMANTYCZNEGO

Słowa, a w szczególności nazwy, mają wielkie znaczenie w życiu ludzkim i we wszystkich związanych z nim dyscyplinach naukowych. Niektóre z nich mają szczególną właściwość ewokowania w jednostkach silnych — pozytywnych lub negatywnych — uczuć, które następnie determinują ich zachowanie. Ze względu na ten fakt nauki społeczne i polityczne w ogólności, a nauki prawne w szczególności przywiązują ogromną wagę do słów oraz starają się określić ich możliwie najdokładniejsze znaczenie za pomocą tworzenia odpowiednich definicji. Jednakowoż zdarza się, że znaczenie słowa ulega zmianie na przestrzeni stuleci i ten sam termin słowny posiada często odmienny całkiem sens dla różnych pokoleń.

Przedmiotem dalszych rozważań będzie słowo „Polska” oraz jego pochodne: „Polacy”, „polski” etc. oraz to, jak pojawiały się one w czasie i jakie były ich znaczenia w różnych epokach historycznych.

Z faktu, że obchodzimy millenium Polski wynika, że słowa te muszą mieć historię co najmniej tysiącletnią. Jest to najzupełniej możliwe, chociaż nie posiadamy żadnych ówczesnych źródeł pisanych, w których byłyby one użyte. Kupiec żydowski Ibrahim-ibn

Artykuł ten ukazał się po raz pierwszy w:

Studies in Polish Civilization. Ed. by Damian S. Wandycz, str. 393-407, Institute on East Central Europe, Columbia University and the Polish Institute of Arts and Sciences in America, 1980

Jakub, który w roku 966 odbył podróż z arabskiej Hiszpanii do Europy Wschodniej, wspomina w swoich zapiskach świeżo wówczas ochrzczonego księcia polskiego Mieszka, nazywając go jednak „królem Północy”¹. Kilkadziesiąt lat później syn i następca Mieszka — Bolesław — zostaje określony w „Życiu i męce św. Wojciecha” mianem „Dux Polonorum”²; w tym samym czasie kronikarz kijowski Nestor pisał o „Lachach”³. W sto lat później arabski geograf Al Idrisi Abu Abdallah el Sherif, przygotowując dla króla sycylijskiego Rogera II srebrną mapę Ziemi, opisał poszczególne kraje, wśród których wymienił „Bulunia — Polonia” w Europie Wschodniej⁴. Piszący w tym samym czasie tzw. Gall Anonim, najstarszy ze znanych miejscowych kronikarzy, stwierdził kategorycznie: „... *Polonia... pars est Sclavoniae...*”.

Tak więc nie ma wątpliwości, że w najstarszych źródłach słowo „polski” było używane w znaczeniu politycznym. Dla Galla Anonima Polonia (Polska) była państwem Bolesława Krzywoustego, na którego dworze napisał swoją kronikę. Granice tego państwa nie pokrywały się dokładnie z granicami z czasów jego poprzedników, we wszystkich jednak przypadkach państwo polskie Piastów obejmowało szereg ziem zamieszkałych przez pokrewną ludność, mówiącą mniej więcej tym samym językiem, chociaż najprawdopodobniej w różnych odmianach dialektowych. Zagadnienie rodzimego języka polskiego nie miało jednak większego znaczenia, ponieważ oficjalnym językiem całej średniowiecznej Europy była łacina. Jest rzeczą całkiem możliwą, że niektórzy mieszkańcy „Polski” Krzywoustego (a także Mieszka czy Chrobrego) nie mówili w swoich domach tym językiem, podczas gdy mówiono nim poza „Polską”.

Sprawy te przybrały jeszcze bardziej skomplikowany obrót w okresie podziału państwa Piastów pomiędzy potomków Krzywoustego. Czy „Polska” w ogóle wówczas istniała, będąc podzielona pomiędzy licznych książąt, zależnych tylko nominalnie od panującego w Krakowie?

W owym czasie pojawiły się co najmniej dwie „Polski”:

1. *Monumenta Poloniae Historicae*, Nowa seria: Vol. I, Kraków 1946, str. 48.

2. *Ibidem*, str. 179.

3. Według Mikołaja Rudnickiego ponad tysiąc lat temu istniały dwa oddzielne choć spokrewnione plemiona Lechitów-Lachów (Popiel) oraz Polan-Polaków (Piast): cf. „O przedpiastowski ośrodek Państwa Polskiego”, *Przegląd Zachodni*, Poznań nr 9/10, 1953, str. 31-56.

4. Tadeusz Lewicki, „Polska i kraje sąsiednie w świetle 'Księgi Rogera', geografa arabskiego z XII wieku Al. Idrisiego”. Kraków 1945.

„*Maior*” (ca. 1250) i „*Minor*” (ca. 1350), Wielka i Mała Polska. Do dnia dzisiejszego nie ma zgodnej opinii co do pochodzenia i znaczenia tych nadal powszechnie używanych nazw: Wielkopolska i Małopolska⁵. Polski przykład różni się od innych jemu podobnych; takich jak Wielka i Mała Grecja czy Ruś. W odróżnieniu od nich „Mała” Polska była dużo większa od „Wielkiej”, podczas gdy to ta ostatnia była kolebką państwa polskiego (piastowskiego), chociaż miasto stołeczne Kraków znajdowało się w Małopolsce. Możliwe, że nazwy „Wielkopolski” używano, aby zaspokoić ambicję północno-zachodnich książąt piastowskich, którzy uważali swoje ziemie za najlepsze i prawdziwie polskie oraz marzyli o przywróceniu korony polskiej, symbolu jedności i suwerenności państwa polskiego. Podczas gdy większość poprzedników Krzywoustego była uroczyście koronowana — za mniej lub więcej wyraźną zgodą papieża i cesarza niemieckiego — w Gnieźnie na królów Polski, nie udawało się to jego następcom, i gdy w roku 1297 książę wielkopolski Przemysław II osiągnął koronę, panowanie jego było bardzo krótkotrwałe.

Wiek trzynasty był dla Polski pełen wydarzeń. Jej ziemie wschodnie zostały splądrowane przez najazdy pogan, z których najgroźniejsi byli Tatarzy; w kilku wypadkach dotarli na południe aż do Krakowa i Śląska, znacząc swój pochód krwią i pożogą. Przecistawiając się z całą mocą agresjom ze Wschodu, polscy książęta piastowscy uważali się za członków zachodniej Wspólnoty Chrześcijańskiej i otwarli swą zachodnią granicę na pokojową penetrację nie tylko wszystkich chrześcijan, lecz także i Żydów, w owych czasach prześladowanych srodze w wielu krajach Zachodu. Koloniści zachodni, w większej części Niemcy, na nowo zasiedlili te miasta polskie, których ludność została zdziesiątkowana przez Tatarów. Co więcej, w roku 1226 książę piastowski Konrad Mazowiecki zaprosił krzyżacki Zakon Niemiecki do osiedlenia się w jego ziemiach w celu utworzenia zapory przed najazdami pogan z północnego wschodu. Taki był początek późniejszych Prus; nazwa wyciętego w pień plemienia pogańskiego została przejęta przez zdobywców.

Wielu Piastów zawarło związki małżeńskie z księżniczkami niemieckimi; wcale nie sprzeciwiali się oni wpływom z Zachodu i faktycznej germanizacji swoich dworów i miast. Ich przyjazne uczucia wobec przybyszów nie były jednak podzielane przez znaczną część ludności; w XIII wieku mamy pierwsze świadectwo

5. Gerard Labuda, „W sprawie pochodzenia nazw Wielkopolska i Małopolska”, *Przegląd Zachodni* nr 5/6, 1954, str. 112-119.

polskich uczuć narodowych, kiedy to rodzimi mieszkańcy stołecznego Krakowa zaczęli uważać za obcych nowych kolonistów, używających w domu innego języka i hołdujących odmiennym obyczajom. Dotychczasowa definicja Polaków jako poddanych Piastów (*Reges* czy *Duces Polonorum*) stała się niewystarczająca i musiała ulec rewizji.

Ten nowy sentyment narodowy był szczególnie silny w Małopolsce, a wykorzystał go w zręczny sposób podrzędny początkowo książę piastowski, Władysław Łokietek. U szczytu swego burzliwego życia zdołał on zjednoczyć większość ziem piastowskich i w roku 1320 roku został koronowany w Krakowie jako król polski, król „*totius Poloniae*”, wszystkich „Polsk”, a przynajmniej Wielko- i Małopolski. Jego syn i następca, Kazimierz, nie tylko utrwalił dzieło ojca, lecz także — według popularnego powiedzenia — „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną”. Spośród wszystkich królów polskich on jeden został nazwany przez potomnych „Wielkim”. Nie był nastawiony zbyt „nacjonalistycznie” i popierał imigrację z Zachodu, zarówno niemiecką jak i żydowską. W ten sposób dawna definicja Polaków została przywrócona; każdy, kto głosił lojalność wobec króla i „Korony”, był uważany za Polaka. Chociaż nie przywiązywano wielkiej wagi do pełnej i całkowitej jedności języka, wiary i obyczajów, z czasem poczyniła ona znaczne postępy.

Ponieważ Kazimierz Wielki nie pozostawił prawowitego potomstwa, dynastia Piastów wymarła, a Korona Polska przeszła w ręce cudzoziemców; najpierw króla Węgier Ludwika, potomka francusko-węgierskiego rodu Anjou, potem na jego córkę Jadwigę, a po jej śmierci na jej męża, Wielkiego Księcia Litewskiego, Jagiełłę oraz jego potomstwo zrodzone z czwartej żony, skromnej księżniczki ruskiej (białoruskiej) Sońki (Zofii) Holszańskiej. Przez prawie dwa stulecia — a było to apogeum jej wielkości — Polska była rządzona przez „cudzoziemców”, nie mających ani kropli „narodowej” polskiej krwi w żyłach. To samo odnosi się do większości następnych królów polskich. Ślady jagiellońskiej krwi często stanowiły o ich sukcesie w wolnych elekcjach polskiego tronu, czy też raczej w zdobyciu korony Rzeczypospolitej Polskiej, na czele której stał wybrany w powszechnym głosowaniu prezydent zwany królem.

Ponieważ Jagiełło i jego potomkowie byli prawowitymi władcami Wielkiego Xięstwa Litewskiego, za ich życia trwała unia dynastyczna pomiędzy dwoma niezależnymi państwami, Polską i Litwą, Rzeczpospolitą Polską (Korona) i Wielkim Xięstwem Litewskim. Obywatele Rzeczypospolitej byli uważani za „Polaków”,

a poddani Wielkiego Księcia za „Litwinów”, niezależnie od tego jakim językiem mówili w swoich domach, w jakich kościołach się modlili czy też jakim hołdowali obyczajom. Nie ulega jednak wątpliwości, że dwieście lat unii przyczyniło się do wzajemnej asymilacji i zniknięcia różnic, początkowo bardzo widocznych. Oficjalnym językiem w Polsce była nadal łacina, a w Wielkim Xięstwie odmiana języka ruskiego, z której rozwinął się późniejszy język białoruski. Dominującą w Polsce religią był rzymski katolicyzm; Wielkie Xięstwo posiadało licznych prawosławnych. Duża część mieszkańców Polski (około 10 %) cieszyła się znacznymi prawami politycznymi: *habeas corpus*, „wolne elekcje” królów etc., podczas gdy wszyscy „Litwini” byli jedynie poddanymi swoich książąt, pozbawionymi jakichkolwiek praw politycznych.

W połowie wieku piętnastego legalni reprezentanci ludności wiejskiej i miejskiej Prus, będących *de facto* niezależnym państwem rządzonym od dwustu lat przez Krzyżaków, zwrócili się do polskiego króla z prośbą o włączenie do Korony Polskiej. Po negocjacjach prośba ich została spełniona i w roku 1454 Prusy zostały formalnie wcielone do Polski, a ich mieszkańcy stali się prawnie Polakami. Fakt ten nie wpłynął w żaden bezpośredni sposób na zwyczaje i styl życia mieszanej ludności kraju: zagwarantowano im pełną autonomię w sprawach wewnętrznych, a język niemiecki był nie tylko tolerowany w życiu prywatnym silnie zgermanizowanej ludności miast, ale pozostał językiem oficjalnym Prus. Niezwykły z konstytucyjnego punktu widzenia akt z roku 1454 pozostaje nadal przedmiotem dyskusji prawników i historyków⁶. Po wojnie z przeciwstawiającymi mu się Krzyżakami znaleziono rozwiązanie pośrednie: w myśl traktatu toruńskiego (1467) tylko zachodnia część Prus pozostała włączona do Korony Polskiej z zachowaniem powyżej opisanych gwarancji, natomiast część wschodnia stała się lennem Polski rządzonym przez zreformowany Zakon Krzyżacki, przechodząc w roku 1525 na protestantyzm.

Ruch protestancki i jego różne odgałęzienia (husytyzm, luteranizm, kalwinizm) cieszył się w XVI wieku wielkim powodzeniem zarówno w Koronie, jak i w Wielkim Xięstwie, przyczyniając się do dalszych zróżnicowań między Polakami i Litwinami. Ostatni Jagiellonowie zajmowali raczej neutralną postawę wobec

6. Marian Biskup, „Do genezy inkorporacji Prus” oraz Wojciech Hejnosz, „Prawnopanstwowy stosunek Prus do Korony w świetle aktu inkorporacyjnego z roku 1454”, *Przegląd Zachodni* nr 7/8, 1954, str. 293-306 oraz 307-330.

rchu protestanckiego („Nie jestem panem waszych sumień”, powiedział Zygmunt August), starając się natomiast wszelkimi sposobami nadać ostateczny kształt i umocnić strukturę swego państwa. W roku 1526 wnuk Jagiełły, Zygmunt Stary dokonał inkorporacji Mazowsza po wygaśnięciu miejscowej dynastii Piastów. Tak więc ze starego dziedzictwa Piastów tylko Śląsk pozostawał poza Koroną i we władaniu rodzimych książąt piastowskich, w coraz większym stopniu ulegających germanizacji. Syn Zygmunta, pół-Włoch Zygmunt August, nie posiadał prawowitego dziedzica. Kiedy w roku 1561 północni sąsiedzi Prus Wschodnich, Kawalerowie Mieczowi, postanowili pójść w ślady swoich niemieckich pobratymców Krzyżaków, a arcybiskup Rygi oddał się w opiekę króla polskiego, posiadłości terytorialne Zygmunta Augusta stały się największymi w Europie. Zachowanie ich jedności po wygaśnięciu dynastii Jagiellonów nie było łatwym zadaniem, jako że ich mieszkańcy różnili się językiem, wiarą i obyczajami.

Czyż można ludzi, których łączyła jedynie lojalność wobec wspólnego władcy, wobec Korony Polskiej i jej liberalnych instytucji określić wspólnym mianem „Polaków”? A jednak nazwa ta była coraz powszechniej używana w dużo węższym znaczeniu; określała ludzi mówiących konkretnym językiem i uważających go za swój język macierzysty.

Ruch Reformacji przyczynił się w całej Europie do wyparcia powszechnej dotąd łaciny na rzecz języków narodowych. Tak też stało się i w państwach Jagiellonów, gdzie protestanci zaczęli posługiwać się językami narodowymi w swojej propagandzie zwróconej przeciwko katolicyzmowi. Na przestrzeni kilku dziesiątków lat, obok publikacji w języku ruskim (białoruskim) i litewskim, pojawiła się bogata literatura w języku polskim. Mikołaj Rey (1505-1569) urodzony w Żórawnie koło Halicza, ale osiadły w Nagłowicach koło Kielc, poczynając od roku 1533 opublikował wiele oryginalnych dzieł w języku polskim, udowadniając w ten sposób, że „Polacy nie gęsi lecz swój język mają”; uważa się go za twórcę i ojca literatury polskiej. Polski język literacki nie był bynajmniej znany czy powszechnie używany przez wszystkich mieszkańców państw jagiellońskich: „Polaków, Litwinów, Prusaków, Rusinów, Mazurów, Żmudzinów, Inflantczyków, Podlasiaków, Wołynian, Kijowian”⁷. W tym kontekście Polacy byli tylko

7. To wyliczenie mieszkańców różnych części wspólnego państwa znajduje się w pisanych jeszcze po łacinie „Dialogach Kruszwickich” Jana Dymitra Solikowskiego, arcybiskupa lwowskiego na przełomie XVI i XVII wieku. Cytowane przez Stanisława Kota, „Świadomość narodowa w Polsce wieku XV-XVII”, *Kwartalnik Historyczny*, vol. 52 (1938), str. 22.

jednymi z mieszkańców „jednej Rzeczypospolitej i wspólnego Królestwa”, nie posiadającego jeszcze jednej wspólnej nazwy dla wszystkich swoich obywateli.

Nawet terminologia łacińska z trudem mogła uchwycić skomplikowaną sytuację w państwach jagiellońskich. Mało kto w Polsce XV wieku zgodziłby się z włoskim humanistą Filipem Buonaccorsi, który po wygnaniu z Rzymu znalazł schronienie w Polsce. W roku 1490 pisał do papieża, że „na tak wielkim terytorium ludność i naród (*gens et natio*) stanowią jedno, i nie ma tam różnic w obyczajach, języku czy instytucjach; wszystkich jednocześnie wspólna zgoda co do spraw boskich i ludzkich jak i co do prawa: ... można rzec że stanowią nie naród lecz jeden dom i jedną rodzinę⁸. Polscy pisarze współcześni Buonaccorsiemu nie podkreślali jednak różnic dzielących rozmaitych mieszkańców państw jagiellońskich; po prostu nie uznawali zbyt chętnie za pełnoprawnych obywateli niezasymilowanych jeszcze w pełni przybyszów. Starsza terminologia, nie rozróżniająca jeszcze pomiędzy stałymi mieszkańcami państwa polskiego: „*regnicola*”, „*incola regni Poloniae*”, uległa stopniowemu zastąpieniu przez „*Polonicum genus*”, „*gens Polonorum*”, „*gens et natio Polona*”, które bardziej podkreślały wspólne pochodzenie (*gens* i *genus* od *gignere*; *natio* od *nasci*) niż fakt stałego zamieszkania. Ten piętnastowieczny „rasizm” stanowił w pewnym stopniu powtórzenie „nacjonalizmu” z późnego wieku XIII, który skierowany był głównie przeciwko niemieckim osadnikom tłumnie zaludniającym polskie miasta. W swoim sławnym „*Monumentum pro Reipublicae ordinatione*” napisanym około roku 1475, magnat wielkopolski Jan Ostroróg wystąpił w pełen elokwencji sposób przeciwko używaniu języka niemieckiego w kościołach. Stwierdził, że „sama natura posiadała wieczną niezgodę i nienawiść pomiędzy tymi dwoma językami” (polskim i niemieckim) i kategorycznie zażądał, aby każdy kto chce mieszkać w Polsce nauczył się języka polskiego⁹. W tym samym czasie niemiecki był oficjalnym językiem obu części Prus, z których jedna stanowiła integralną część Polski, chociaż ludzie pozbawieni dobrej znajomości języka niemieckiego nie byli tam zbyt chętnie widziani¹⁰.

Paradoksem był fakt, że wielu niemieckich osadników w Krakowie i w innych miastach polskich odegrało bardzo ważną rolę

8. *Ibidem*, str. 20.

9. Wyjątki cytowane przez Ignacego Chrzanowskiego w jego „*Historii literatury niepodległej Polski (965-1795)*”. Wydanie londyńskie, 1942, str. 31.

10. Kot, *loc. cit.*, str. 23.

w rozwoju drukarstwa polskiego i w popularyzacji książek — początkowo tłumaczeń z łaciny, a potem oryginalnych dzieł w języku polskim wśród rodzimych czytelników. Jeden z nich, krakowski wydawca Hieronim Wietor napisał w roku 1542 we swoim wstępie do polskiego tłumaczenia jednego z dzieł Erazma z Rotterdamu:

„Będąc ja wmieszkanym, a nie urodzonym Polakiem nie mogę się temu wydziwić, gdyż wszelki inny naród język swój miłuje, szyrzy, kraszi, i poleruje, czemu sam polski naród swym gardzi i bzyka, który mógłby iście, jako ja słyszę, obfitością i krasomową z każdym innym porównać; ile ja rozumieć mogę z ludzi, z którymi czasem o tem rozmawiam, nie jest inna przyczyna tego jedno przyrodzenie polskie, które ku obcym a postronnym obyczajom, sprawom, ludziom i językom skłonniejsze jest niżli ku swym własnym¹¹”.

Jeszcze ważniejsze od tej eleganckiej lekcji polskiego patriotyzmu udzielonej tubylcom przez „świeżego Polaka” było zupełnie już nowoczesne użycie słowa „naród”. Na ogół pierwsi polscy autorzy mieli pewne trudności ze znalezieniem polskich odpowiedników łacińskich słów *gens*, *populus*, *natio* i w pismach z XV wieku słowo „naród” używane jest w znaczeniu pokolenia lub potomków¹². W jednej z wcześniejszych publikacji Wietora z roku 1521 znajdujemy wyrażenia „Królestwo Polskie”, „ziemie polskie” czy „ojczyzna”, ale nie „naród polski”.

Wietorowskie nowe znaczenie słowa „naród” bynajmniej nie zostało powszechnie przyjęte. Pierwsze uchwały sejmowe wydane w roku 1550 po polsku (a nie jak dotychczas po łacinie) używają słowa „naród” w znaczeniu „stanu” i rozróżniają pomiędzy narodem „prostym”, „szlacheckim” i „rycerskim”¹³.

Dwadzieścia lat później, przy okazji Unii Lubelskiej, słowo „naród” zostało użyte na oznaczenie wszystkich mieszkańców (rodzimego pochodzenia) określonego terytorium państwowego. Sama Unia została zawarta pomiędzy dwoma „narodami”, polskim i litewskim, które odtąd miały być po wieczne czasy zjednoczone w jednym państwie, Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W następnych wiekach właśnie ta nazwa miała być najbardziej popularna zarówno w życiu oficjalnym jak i codziennym.

11. Chrzanowski, *op. cit.*, str. 58.

12. Kot, *loc cit.*, str. 20-21.

13. *Ibidem*.

Mieszkańcy innych autonomicznych prowincji państw jagiellońskich — w szczególności Prus — również domagali się dla siebie tytułu oddzielnego „narodu”. Na Sejmie koronacyjnym w roku 1574 polsko- i niemieckojęzyczni posłowie z Prus wnieśli oficjalny protest poprzez swojego przywódcę Działyńskiego przeciwko pominięciu w tekście przysięgi królewskiej ich, Prusaków, oraz żądając wyjaśnienia kim w końcu są, Prusakami, Mazurami, Polakami czy Rusinami? Na to retoryczne pytanie Działyńskiego posłowie sejmowi odkrzyknęli chórem: Polakami, Polakami! W ten sposób żądanie posłów pruskich zostało odrzucone i Rzeczpospolita (Rzplita) nadal była uznawana za wspólnotę dwóch tyłko, a nie większej liczby „narodów”¹⁴.

W ciągu XVI wieku Rusini północni (Białorusini) pozostawali w obrębie Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Ani oni, ani Rusini południowi (Ukraińcy), którzy od czasu Unii Lubelskiej zostali włączeni do Korony, nie domagali się statusu odrębnego „narodu”. Nawet najbardziej inteligentni i wykształceni Rusini, tacy jak Stanisław Orzechowski, zadawali się formułą „*gente Ruthenus, natione Polonus*”. W następnym stuleciu miała miejsce nieudana próba uznania Rusinów (Kozaków, Ukraińców) za współwłaścicieli Rzeczypospolitej, za trzeci „naród” równy pozostałym dwóm partnerom (Unia Hadziacka — 1658). Układ z Moskwą w Andruszowie (1667) pogrzebał plan zwiększenia liczby „narodów”-członów Rzeczypospolitej.

Unia Lubelska nie stanowiła w żadnej mierze całkowitego zjednoczenia Korony Polskiej i Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Posiadały one wspólną głowę państwa, prezydenta z tytułem króla wybieranego *viritem* przez całą szlachtę oraz cały szereg wspólnych instytucji, ale nie tworzyły jednego wspólnego ciała państwowego; dwa oddzielne państwa i dwa oddzielne „narody” żyły nadal obok siebie w „braterskiej unii”. Każda z dwóch części tego związku miała swoją własną, nie bardzo adekwatną nazwę: „Korona Polska” i „naród polski” lub „Polacy” oraz „Wielkie Xięstwo”, „naród litewski” lub „Litwini”. Nadal brak było wspólnego nazwiska „rodowego” dla obu „braci”. „Polacy” zamieszkiwali Królestwo a „Litwini” Wielkie Xięstwo, ale jaka miała być wspólna nazwa dla wszystkich mieszkańców „Rzeczypospolitej Obojga Narodów”?

Byłoby rzeczą dziwną gdyby ten ważny problem nie został

14. Incydent opisany przez Kota, *loc.cit.*, str. 23. Kot wspomina też radę króla Zygmunta Augusta udzieloną księciu pruskiemu Albrechtowi Hohenzollernowi, aby ten stał się „dobrym Polakiem”, str. 26.

zauważony przez współczesnych polityków i pisarzy politycznych. Jeszcze na początku XVI wieku, Maciej z Miechowa zwany Miechowitą (bardzo interesująca postać: doktor medycyny Uniwersytetu w Padwie, lekarz dworski dwóch królów, polskiego Zygmunta oraz czesko-węgierskiego Wacława; profesor filozofii Uniwersytetu Krakowskiego i jego siedmiokrotny rektor) opublikował książkę, która pośrednio rozwiązywała problem i dostarczała nazw dla całego obszaru wschodnioeuropejskiego objętego państwami Jagiellonów oraz dla ich warstwy rządzącej. Opublikowane po raz pierwszy w Krakowie w roku 1517 dzieło Miechowity „Tractatus de duabus Sarmatias Asiana et Europeiana et de continentis in eis” cieszyło się wielkim powodzeniem¹⁵. Jako główną tezę stawiało twierdzenie, że wschodnioeuropejska warstwa rządząca, szlachta, pomimo wszelkich różnic w języku, wierze i obyczajach, wywodzi się od wspólnych przodków, starożytnych Sarmatów. Z historycznego punktu widzenia bardziej niż wątpliwa, teza ta stała się niezmiernie popularna wśród polskiej szlachty, która przez kilka następnych stuleci nazywała siebie Sarmatami. Pomimo popularności nazwy nigdy nie została ona oficjalnie przyjęta jako ogólna nazwa dla post-jagiellońskiej Rzeczypospolitej ani też przez jej politycznie czynnych obywateli. Nie utworzono też na jej miejsce żadnej innej nazwy. Stopniowo, z braku czegoś lepszego zaczęto używać słów „Polska”, „polski” i „Polacy”, chociaż było to bardzo niepoprawne z semantycznego i logicznego punktu widzenia (*pars pro toto*). Procesowi temu sprzyjało też rozpowszechnianie się języka polskiego na terenie całej Rzeczypospolitej.

Podczas gdy publikacje w językach litewskim i białoruskim okazały się zjawiskiem efemerycznym, język polski osiągnął w połowie szesnastego wieku niebywały rozwój. Przy końcu stulecia osiągnął pełną dojrzałość, a nawet doskonałość, w dziełach Jana Kochanowskiego (1530-1584) oraz Piotra Skargi (1536-1612). Zaczął z powodzeniem współzawodniczyć z dominującą dotychczas łaciną, aż wreszcie wyparł ją jako język urzędowy Królestwa. W innych częściach Rzeczypospolitej zachowały się stare języki urzędowe; niemiecki w Prusach i Inflantach, w Wielkim Xięstwie ruski. Wraz z zanikającym używaniem łaciny właściwa znajomość polskiego stała się *conditio sine qua non* dla każdego,

15. Książka miała 3 wydania łacińskie (2-gie w Wiedniu w roku 1518, 3-cie w Krakowie w roku 1521), 3 polskie (Kraków 1535-1545) oraz została przetłumaczona na niemiecki (Augsburg 1518) i włoski (Wenecja 1561). Stanisław Cynarski, „The Shape of Sarmatian Ideology in Poland”, *Acta Poloniae Historica*, vol. 19 (1968), str. 5-17, a w szczególności str. 10-11.

kto chciał uczestniczyć w życiu publicznym na szerszą niż lokalną skalę. Klasyczny przykład tego zjawiska widzimy u księcia Janusza Radziwiłła, który będąc w ostrej opozycji wobec ówczesnego króla tak napisał w roku 1615 do swojego brata, hetmana polnego Krzysztofa: „Aczem sam Litwinem się urodził i Litwinem umrzeć mi przyjdzie, jednak idioma polskiego zażywać w ojczyźnie naszej musimy¹⁶”. Przykład Radziwiłła działał i pociągał za sobą innych: opinię jego podzielali czynni politycznie obywatele Wielkiego Xięstwa i po upływie kilku pokoleń polski stał się panującym językiem na terenie całej Rzeczypospolitej wśród wyższych, politycznie czynnych warstw. W owym czasie nawet Kościół Prawosławny na Ukrainie z własnej woli przyjął język polski; wiele podręczników, a także innych publikacji sławnej kijowskiej Akademii Piotra Mohyły było drukowanych po polsku, jak również dominował on wśród profesorów i studentów Akademii.

Ponieważ mówili po polsku, mieszkańcy Wielkiego Xięstwa nie protestowali kiedy nazywano ich „Polakami”, szczególnie podczas pobytów za granicą — „w cudzych ziemiach bywając (Litwini) pospolicie się Polakami zowią” napisał Andrzej Lubieniecki na początku XVII wieku¹⁷. Jednakowoż wśród współobywateli Rzeczypospolitej nadal pozostawali „Litwinami”, często lekceważonymi przez „prawdziwych Polaków” z powodu specyficznego akcentu i nieco dziwnych obyczajów. Stopniowo nazwa „Litwini”, podobnie jak „Mazurzy”, „Wielkopolanie”, czy „Małopolanie”, stała się geograficznym wskaźnikiem ich pochodzenia z konkretnej części Rzeczypospolitej. Chociaż nadal oficjalnie nazywano ją „Rzeczypospolitą Obojga Narodów”, coraz częściej nazywano ją po prostu „Rzeczpospolitą Polską”, a wszystkich jej obywateli „Polakami”; Polacy w węższym znaczeniu tego słowa, czyli mieszkańcy zachodniej części Rzeczypospolitej, zaczęli być nazywani „koroniarzami”.

Trwający setki lat proces unifikacji obu części i obojga narodów Rzeczypospolitej znalazł swe uwieńczenie w Konstytucji Trzeciego Maja, uchwalonej przez Sejm i zaprzysiężonej przez króla w roku 1796. Chociaż dalsze wypadki uniemożliwiły wprowadzenie w życie jej wszystkich postanowień, jej główna idea została entuzjastycznie przyjęta przez opinię publiczną: „Rzeczpospolita Obojga Narodów” miała stanowić odtąd niepodzielną jedność. Ostatni król polski, Stanisław August Poniatowski, urodzony na terenie Wielkiego Xięstwa w Wołczynie i spokrewniony z litew-

16. Kot, *loc. cit.*, str. 25.

17. *Ibidem*, str. 24.

sko-ruskim rodem Czartoryskich, piastował wcześniej urząd stolnika litewskiego; pod naciskiem carycy wycofał swoje poparcie dla Konstytucji. Inny Litwin, Tadeusz Kościuszko, został wówczas proklamowany i powszechnie zaakceptowany jako „Naczelnik Narodu”. Jakiego narodu? Z pewnością „polskiego”. Zgodnie ze współczesnym znaczeniem tego słowa obejmowało ono już „oba narody”: Koroniarzy i Litwinów, jak również kilka *gentes*: Rusinów, Żmudzinów, Prusaków, Mazurów, Podolaków, Wielkopolan, Małopolan etc. etc. Myśl ta została bezpośrednio wyrażona w kilku manifestach Kościuszki, adresowanych do różnych części Rzeczypospolitej i w pełni zaakceptowanych przez ich mieszkańców.

Powstanie Kościuszkowskie zostało zdławione przez Rosjan (1794), a w następnym roku sąsiedzi dokonali całkowitego zniszczenia politycznego Rzeczypospolitej. Państwo polskie zniknęło z mapy Europy; nie było już na niej ani Królestwa Polskiego ani Wielkiego Xięstwa Litewskiego, zabrakło Rzeczypospolitej jednego czy też więcej narodów. Ale co się stało z samymi narodami, z Polakami i Litwinami? Jak wiemy, historycznie rzecz biorąc pojęcie państwa i jego władcy (*Dux* lub *Rex Polonorum* i Królestwo Polski) poprzedzało pojęcie Polski i Polaków, a najpowszechniej przyjęte pojęcie oznaczało mieszkańców lub obywateli danego kraju. Tak więc nie ma państwa, nie ma narodu; wszystko to było bardzo logiczne. Państwa rozbiornicze — a w szczególności Rosja — rozpowszechniały szeroko słowa wypowiedziane rzekomo przez Kościuszkę na polu bitwy pod Maciejowicami: *Finis Poloniae*.

Opinia ludności była jednak inna. Obrócona po roku 1795 w poddanych carycy, cesarza austriackiego i króla pruskiego, odmówiła przekształcenia się w Rosjan, Austriaków czy Prusaków. Wiele osób opuściło ojczyznę i utworzyło pod Napoleonem Bonaparte Legiony Polskie, które dumnie oświadczyły całemu światu, że „jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy” i zadeklarowały zamiar powrotu z bronią w rękę, przejścia Wisły i Warty i stania się ponownie Polakami. Tego rodzaju determinacja nie pozostała również bez wpływu na główne kraje koncertu europejskiego. Po klęsce Napoleona postanowiono na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku zaakceptować formalnie dalsze istnienie narodu polskiego, a nawet utworzyć kadłubowe „Królestwo” polskie z carem jako jego głową.

Po raz wtóry ludność odrzuciła tego rodzaju rozwiązanie. Warszawscy Polacy nie zapomnieli o „braciach zza Bugu” i o „ziemiach zabranych” na wschodzie, gdzie w tym czasie nastąpił roz-

kwit kultury polskiej z Uniwersytetem Wileńskim i Liceum Krzemienieckim jako jej głównymi ogniskami. Nie ulega żadnej wątpliwości, że podczas pierwszych dziesięcioleci XIX wieku oraz pod rządami carskimi polonizacja b. Wielkiego Xięstwa poczyniła niebywałe postępy, znacznie przewyższając to, co miało miejsce podczas ubiegłych czterech stuleci. Najwięksi polscy poeci i pisarze, Mickiewicz i Słowacki urodzili się i wykształcili na tamtych ziemiach. Bez nich, podobnie jak bez wielu ich rodaków, nowoczesna Polska i jej kultura są nie do pomyślenia. Nie mieli oni najmniejszych wątpliwości co do swego bycia Polakami, a swój kraj ojczysty uważali za integralną część wspólnej całości zwanej „Polską”.

Po śmierci Aleksandra I ostatecznie porzucono plany pokojowego zjednoczenia „krajów zabranych” b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego z „Królestwem” Polskim. Wybuchła wojna polsko-rosyjska 1830-1831 roku, której towarzyszyło antyrosyjskie powstanie w Wilnie i na innych ziemiach litewskich i ruskich. Rosyjskie zwycięstwo było przyczyną „Wielkiej” emigracji na Zachód; znaczna jej część składała się z mieszkańców b. Wielkiego Xięstwa. Marząc w Paryżu o swojej ojczyźnie, Adam Mickiewicz, „Litwin” i największy poeta polski, napisał swoje arcydzieło, „Pana Tadeusza”, rozpoczynające się inwokacją „Litwo, ojczyzno moja...”. W swoim dziele politycznym — „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego” — sformułował ogólnie wówczas przyjętą tezę: bracia o wspólnym nazwisku, Polacy, nie powinni popadać w kłótnię z powodu różnych imion, Litwina i Mazura.

Nastąpiły dziesiątki lat długiej walki o niepodległość i restaurację Rzeczypospolitej, popieranej w pełni przez całą postępową Europę, łącznie z Marksem i Engelsem, którzy w kilku publikacjach głośno domagali się niepodległości Polski w jej granicach z 1771 roku. W latach 1863-1864 podziemny Rząd Narodowy w Warszawie oficjalnie przyjął za swoje godło trójpółową tarczę z polskim orłem, litewską Pogonią i ruskim św. Michałem oraz rzucił hasło: „Równi z równymi, wolni z wolnymi”. Szerokie poparcie dla tych idei znalazło wyraz w fakcie, że Powstanie Styczniowe objęło swoim zasięgiem całość zajętego przez Rosję obszaru dawnej Rzeczypospolitej, a najdłużej trwało na Litwie i Białorusi, prowadzone aż do tragicznego końca przez Litwina Traugutta.

Paradoksalnie, nawet najbardziej radykalny, lewicowy i antypatriotyczny ruch opowiadał się za jednością obu części dawnej Rzeczypospolitej; na początku XX wieku Feliks Dzierżyński nalegał na to, aby partia socjaldemokratyczna objęła całe Królestwo

Polskie oraz Litwę (SDKPiL). Ogólny jednak trend zmierzał w kierunku dezintegracji.

Proces demokratyzacji przyniósł odrodzenie uczuć narodowych w szerokich masach, które nie brały udziału w życiu politycznym przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Mówiła po polsku inteligencja wzięła bardzo czynny udział w odrodzeniu narodowej kultury i literatury Ukraińców, Litwinów i Białorusinów.

Na początku XX wieku powstał polski ruch nacjonalistyczny, którego przywódcą i teoretykiem był Roman Dmowski. W swoich „Myślach nowoczesnego Polaka” (1902) przeciwstawił się „fałszywej drodze demokracji polskiej”, „dziedzictwu zbrodni politycznych naszego rozwoju dziejowego” oraz głosił „nowy”, „pozytywny patriotyzm” nie Rzeczypospolitej czy państwa w ogóle, ale narodu („nacjonalizm”), który uważał za „żywy organizm społeczny”. „Tak jak wszystkie organizmy, naród walczy z innymi narodami o przeżycie: „Istota żywa, mówiąc trywialnie, potrzebuje jeść”. „Nie znaczy to, żebyśmy mieli chętnie wchłaniać wszelkie żywioły, które znajdujemy na drodze. Organizm narodowy powinien dążyć do wchłaniania tylko tego, co może przyswoić i obrócić na powiększenie wzrostu i siły zbiorowego ciała”. Dmowski uznał element żydowski za szczególnie niestrawny dla „organizmu polskiego”, w przeciwieństwie do łatwego do zasymilowania elementu słowiańskiego.

Dmowskiego „nowoczesna” filozofia nacjonalizmu i imperiaлизmu polskiego zyskała znaczną popularność wśród Polaków. Zaczęli oni uważać za wrogów, a nawet za „łup”, swoich dawnych „braci” ze wspólnej Rzeczypospolitej, którzy nie mieli ochoty na wtopienie się w polski „organizm narodowy”. Filozofia polityczna braterstwa obojga (lub więcej) narodów dawnej Rzeczypospolitej utraciła swoją siłę atrakcyjną i została zastąpiona przez filozofię walki na śmierć i życie pomiędzy „organizmami narodowymi”: polskim, ukraińskim, białoruskim, etc.

W rezultacie, słowa „polski”, „Polacy” i „Polska” nie mogły już być używane w takim znaczeniu, jakie posiadały przez ostatnie trzysta lat, kiedy to były ogólną nazwą rodzinną dla wszystkich członków Rzeczypospolitej. Nazwa „Litwin” także zmieniła swe znaczenie; mieszkańcy Wielkiego Xięstwa nie tworzyli jednego „organizmu narodowego”, a w erze nacjonalizmów mieli zostać podzieleni na Polaków, Litwinów, Białorusinów etc.

Podczas pierwszej wojny światowej ten proces dezintegracji narodowej był znacznie zaawansowany, a w czasie paryskiej Konferencji Pokojowej z jej wilsonowskimi hasłami o „narodowym samostanowieniu”, każdy z różnych „organizmów narodowych”

dążył do zdobycia „państwa narodowego”. Podczas gdy południowi i zachodni Słowianie zdołali uniknąć politycznego niebezpieczeństwa całkowitej dezintegracji wynajdując nowe, mniej lub więcej łagodne i atrakcyjne nazwy, takie jak Jugosławia czy Czechosłowacja, podobna próba politycznego zintegrowania ziem dawnej Rzeczypospolitej zakończyła się kompletnym fiaskiem. Jedną z przyczyn tego niepowodzenia miała charakter semantyczny: trzymanie się uświęconych wieloletnią tradycją nazw: „Polska”, „polski” i „Polacy”. Ponieważ w XX wieku nazwy te były używane przez konkretny „organizm narodowy”, prowadzący śmiertelną walkę z innymi „organizmami narodowymi”, jakiegokolwiek napomknienie o związku z „Rzeczypospolitą Polską” jakiegokolwiek etnicznie niepolskiego terytorium, uważane było za świadectwo imperializmu. Podczas gdy urodzony w Warszawie Dmowski gwałtownie przeciwstawiał się federacyjnym koncepcjom odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej, zarówno Naczelnik Państwa Piłsudski (urodzony na Litwie w okolicach Wilna) jak i premier Paderewski (urodzony na Ukrainie) skłaniali się do rozumienia słowa „polski” w jego dawnym znaczeniu historycznym. 5 lipca 1919 roku premier Wielkiej Brytanii, Lloyd George, uznał za stosowne zganić ostro Paderewskiego za jego rzekomy imperializm. Według oficjalnych amerykańskich „Papers...”¹⁸, podając się za przedstawiciela małego narodu („Należę do małego narodu... który przez całe swe życie walczył o prawa małych narodów”) premier największego imperium świata narzekał, że „sprawia mu największy trud powstrzymywanie Polaków przed anektowaniem innych narodów i narzucanie innym tej samej tyranii, pod jaką cierpieli przez stulecia”; „Wierzcie mi, to więksi imperialiści niż Anglia czy Francja, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych”. Paderewski gwałtownie zaprotestował:

„Nie jesteśmy imperialistami i nie chcemy anektować żadnego kraju ani żadnego narodu. Nigdy nie prześladowaliśmy obcego narodu czy obcego języka. Nigdy nie prześladowaliśmy żadnej religii. Nigdy nie narzucaliśmy innym obcych im obyczajów, czego najlepszym dowodem jest fakt, że po 600 latach wspólnego życia prymitywne narody, takie jak Litwini, Białorusini, czy nawet Ukraińcy, nadal istnieją i przy naszej praktycznej nawet pomocy odzyskują swój indywidualny charakter”.

18. „Papers Relating to the Foreign Relations of the United States. The Paris Peace Conference 1919”, vol. VI, str. 198-199.

To, co powiedział Paderewski, było prawdą, ale odnosiło się do „dawnych”, „klasycznych” Polaków a nie „nowoczesnych” Polaków spod znaku Dmowskiego, cieszących się złą reputacją wśród zachodnich mężów stanu i wśród dawnych „bratnich narodów” Rzeczypospolitej, które w XX wieku były nie mniej od Dmowskiego zarażone nacjonalizmem.

Gdyby nasi przodkowie z XVI i następných wieków nie dopuścili się tak brzemiennej w złowrogię konsekwencję błędu semantycznego, gdyby poszli za sugestią Miechowity, albo wymyślili jakąś inną nazwę — analogiczną do „Wielkiej Brytanii”, „Stanów Zjednoczonych” etc. — w rodzaju „Stanów Zjednoczonych Europy Wschodniej”, „Związku Wschodniego”, czy „Międzymorza” („Intermarium”), porozumienie w XX wieku pomiędzy brytyjskim Walijczykiem a „polskim” Ukraińcem czy Litwinem byłoby równie łatwe jak objęcie przez Walijczyka stanowiska brytyjskiego (nie angielskiego) premiera czy objęcie prezydentury „Międzymorza” („Intermarium”) (a nie państwa polskiego) przez Ukraińca czy Litwina. Gdyby tylko tak się stało, historia Europy i świata potoczyłaby się zupełnie inaczej.

Wiktor SUKIENNICKI

(Z angielskiego przełożył Tadeusz KADENACY)

Waldemar KUCZYŃSKI

KATASTROFA I PRZEBUDZENIE

(Polski problem gospodarczy w latach 1980-1981)

Lata 1980-1981 były okresem wielkiego spiętrzenia wydarzeń, również gospodarczych. Codziennie pojawiały się fakty wnoszące coś do sytuacji, burzące przemyślenia z poprzedniej doby i odbierające sens przewidywaniom poza najbliższy tydzień. Na komfort myślenia z dłuższym wyprzedzeniem mogli sobie pozwolić ludzie stojący z boku, ale oni nie mieli z kolei wpływu na to, co się działo. Tego zgęszczenia faktów, z których wszystkie były ważne, nie sposób przedstawić w jednym artykule tak, aby obnażyć dynamikę procesów ekonomicznych w tych latach. Tym bardziej, że nie można ich oddzielić od tła społecznego, psychologicznego i politycznego, bo stają się niezrozumiałe. To więc, co mogę tutaj zawrzeć, jest skazane na ciężkie kalectwo. Chcę ograniczyć się bowiem do przedstawienia kilku tez. Po pierwsze, że kryzys lat 1980-1981 nie był nowym fenomenem ekonomicznym, lecz ciągiem dalszym zjawiska powstałego w latach 70-tych wskutek przyczyn do dziś już nieźle omówionych. Po drugie, że załamanie gospodarcze widoczne pod koniec tamtej dekady przekształciło się od połowy 1980 roku w katastrofę, której skali poprzednio nie przewidywano. Po trzecie, że zmiana sytuacji politycznej spowodowana wielką falą strajków a potem powstaniem „Solidarności” umożliwiła publiczne myślenie i debatowanie nad przyczynami kryzysu i sposobami jego pokonania.

1. Ciąg dalszy kryzysu

Teza, że sytuacja gospodarcza w pierwszych dwu latach obec-

nej dekady była ciągiem dalszym wcześniejszego kryzysu jest oczywista. Żaden z czynników kryzysogennych nie został osłabiony a tym bardziej zlikwidowany przed załamaniem się stabilizacji politycznej w kraju. To, co poczynając od połowy lat 70-tych zaczęło dławić wzrost gospodarczy, dezorganizować stosunki pieniężne i podważać kontrolę centralnych władz gospodarczych nad procesami ekonomicznymi weszło w dekadę lat 80-tych jako dziełtstwo niefortunnego wielkiego skoku. Nie mogło być inaczej. Ekipa Gierka zbudowała swą legitymację polityczną na sukcesie gospodarczym i nie była w stanie przyznać, że wprowadziła kraj na równię pochyłą, oraz zerwać z doktryną gospodarczą w którą zaangażowała autorytet. Nie miała też możliwości politycznych dla radykalnych decyzji antykryzysowych. Postawiłyby ją one wobec konfrontacji ze społeczeństwem (konieczność wielkich podwyżek cen i zahamowania wzrostu płac) i z biurokracją (konieczność głębokich redukcji programu inwestycyjnego). Nawet obecna ekipa, która użyła skutecznie przemocy dla rozstrzygnięcia konfliktu, nie potrafiła dotąd rozwiązać tych kluczowych problemów kryzysowych. Tym bardziej nie mogła zrobić tego władza Edwarda Gierka wyłoniiona z grudnia 1970 roku, z wydarzenia dowodzącego wtedy, że siła ma granice skuteczności. Pozostały jej półśrodki. Był nim „manewr gospodarczy” Jaroszewicza (ówczesnego premiera) po wydarzeniach czerwca 1976 roku, który mógł jeszcze coś zmienić, gdyby odważono się zredukować program inwestycyjny dostatecznie. Półśrodkiem, który już niczego nie zmieniał, była dymisja Jaroszewicza po VIII Zjeździe PZPR w lutym 1980 roku. I wreszcie półśrodkiem było ukradkowe — bez oficjalnego zawiadomienia — przesunięcie kilku asortymentów mięsa i wędlin do sklepów komercyjnych z wyższymi cenami w końcu czerwca 1980 roku, które uruchomiło rewolucyjną lawinę narastającą od połowy lat 70-tych. Psychologiczne i polityczne uwarunkowania popychały ekipę Gierka ku klęsce. Mogła ona nastąpić wcześniej lub później ale nastąpić musiała. Teza o ciągłości kryzysu stosuje się również do obecnej sytuacji gospodarczej i pozostanie w mocy przynajmniej do końca obecnego stulecia, choć względne znaczenie pierwotnych czynników kryzysowych będzie oczywiście malało.

Zaczynam od truizmu, że kryzys w okresie „Solidarności” był tym samym zjawiskiem co w latach poprzednich — z dwu powodów. Po pierwsze dlatego, że antysolidarnościowa propaganda w Polsce stara się zamazać ciągłość pomiędzy tymi okresami, by obciążyć Związek pełną odpowiedzialnością za katastrofę ekonomiczną w latach 1980-1981. Zbieg zaś tego fenomenu z powsta-

niem i działaniami „Solidarności” może — wśród nie znających historii gospodarczej Polski ostatnich piętnastu lat — sprzyjać przyjmowaniu takich uproszczonych opinii. Po drugie dlatego, że władze sugerują, iż ruch strajkowy przerwał początek procesu przewartościowań, który rozpoczął się w PZPR na wiele miesięcy przed lipcem 1980 roku i doprowadziłby do aktywizacji sił zdolnych stawić czoło kryzysowi i przeprowadzić niezbędne reformy bez naruszania stabilizacji politycznej. Te sugestie opierają się na świadomej mitologizacji tzw. dyskusji partyjnej przed VIII Zjazdem PZPR, który odbył się w lutym 1980 roku i w pewnym stopniu na mitologizacji samego Zjazdu¹. Robi się to dlatego, by wykazać, że ruch strajkowy był w jakimś sensie „zbędny” i by zatrzeć fakt niezwyklej bierności warstwy rządzącej w obliczu walącego się na kraj kryzysu. W rzeczywistości i dyskusja przedzjazdowa i sam zjazd były rytualnymi widowiskami, wyreżyserowanymi przez kierownictwo i kontrolowanymi przez nie od początku do końca. Nie ujawniły się w ich trakcie żadne siły alternatywne ani żadna myśl, która by odbiegała od tego co mówiono wcześniej. Partia — od Biura Politycznego aż po szeregowych członków — trwała spętana mechanizmem swego działania, tzw. centralizmem demokratycznym i „lenińskimi normami”. Niezdolna do żadnego zwrotu, martwa, jeżeli za objawy życia nie będziemy uważali normalnych rywalizacji personalnych na różnych szczeblach i narzekani na zamkniętych zebraniach partyjnych.

Dlatego Zjazd w swej Uchwale stwierdził: „Strategia społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, wypracowana na VI i rozwinięta na VII Zjeździe, sprawdziła się w toku praktycznej działalności partii i państwa²”. Zamiast polityki antykryzysowej podjęto decyzję o regulacji Wisły, przedsięwzięciu za parę miliardów dolarów.

2. Opis katastrofy lat 1980-1982

Jeśli chodzi o podstawowe wielkości ekonomiczne maksymalnym punktem wzrostu, jaki osiągnęła gospodarka prowadzona we-

1. Na VI Plenum KC PZPR w październiku 1980 roku ówczesny I sekretarz Stanisław Kania mówił: „nie wolno zapominać, że w drugiej połowie lat 70-tych to właśnie w szeregach partii narastała ostra krytyka realizowanej polityki gospodarczej i społecznej. Przypomnijmy dyskusję przed VIII Zjazdem w której uczestniczyły tysiące członków naszej partii, wykazując wysoką dojrzałość i pryncypialność” (*Nowe Drogi* nr 10/11, 1980, str. 28). Podobne opinie powtarzane są i dzisiaj.

2. *Nowe Drogi* Nr 3 (1980), str. 106.

dług programu ekipy Gierka, był rok 1978. W roku następnym nastąpił — po raz pierwszy w historii PRL — absolutny spadek dochodu narodowego, który sygnalizował początek regresu. Trwał on cztery lata osiągając dno w roku 1982 z tym, że okres najbardziej stromego załamania przypadł na rok 1981. Tabela I ilus-

TABELA 1.
ZAŁAMANIE GOSPODARCZE 1979-1981.
(Ceny stałe, rok poprzedni = 100)

<i>L.p.</i>	<i>Stopa wzrostu lub spadku (—)</i>	<i>1979</i>	<i>1980</i>	<i>1981</i>
1)	Dochód narodowy wytworzony	—2,7	—6,0	—12,0
2)	Dochód narodowy podzielony	—3,7	—6,0	—11,4
3)	Eksport do krajów niesocjalistycznych .	+2,1	+5,0	—22,1
4)	Import z krajów niesocjalistycznych ..	—4,5	—7,2	—31,5
5)	Produkcyjne środki trwałe brutto	+7,1	+5,1	+3,5
6)	Nakłady inwestycyjne ogółem	—7,9	—12,3	—22,3
7)	Zatrudnienie (tys. osób) ogółem	0,0	0,0	0,0
8)	Produkcja czysta przemysłu	—2,7	—4,1	—14,6
9)	Produkcja czysta rolnictwa	—7,2	—15,4	+4,4
10)	Spożycie z dochodu narodowego	+3,1	+2,1	—4,6
11)	Dochody nominalne ludności	+10,2	+12,0	+30,3
12)	Przeciętna płaca nominalna	+8,8	+13,5	+27,3
13)	Sprzedaż detaliczna	+2,6	+1,4	—4,6
14)	Ceny detaliczne	+7,0	+9,4	+21,2
15)	Produkcja mięsa (mln. ton)	+2,2	—2,3	—18,3
16)	Wydobycie węgla (mln. ton)	+4,1	—4,0	—15,6

Źródło: Roczniki statystyczne GUS 1981, str. 324; 1983, str. XXXII-XLII oraz: 74, 100, 155, 189, 258, 329, 347, 369.

truje pierwsze trzy lata regresu. W tej tabeli brak pewnych wskaźników, które podaje się zwykle przy opisie rezultatów gospodarczych. Zrezygnowałem z ich zamieszczenia świadomie. Pomiąłem na przykład wskaźnik wydajności pracy, ponieważ w skali gospodarki narodowej wydajność pracy była raczej wynikiem załamania się procesów wzrostu, przy niezmiennym zatrudnieniu a nie przyczyną. Nie ma żadnych dowodów, które wskazywałyby, że w latach 1980-1981 wydajność przeciętnego pracownika na godzinę pracy efektywnej obniżyła się. Nie ma żadnych dowodów, że w ślad za falą strajków w lipcu i sierpniu 1980 roku, a potem w ślad za powstaniem „Solidarności” doszło do drastycznego załamania dyscypliny pracy i ujawnienia się tradycyjnego rzekomo lenistwa polskiego robotnika. Podstawową przyczyną załamania produkcji w gałęziach surowcowych nie był spadek wydajności pracy na godzinę, lecz skrócenie czasu pracy o czym niżej. W gałęziach przetwórczych zaś przyczyną główną był kryzys zaopatrzenia produkcyjnego, wynikający z sytuacji w przemysłach surowcowych oraz w handlu zagranicznym.

Pomiąłem wskaźniki kosztów utrzymania i płacy realnej, ponieważ w tym okresie utraciły one zdolność do informowania o sytuacji rynkowej i o poziomie stopy życiowej. Stało się to wskutek całkowitego rozprzężenia relacji między cenami oraz popytem i podażą na rynku konsumpcyjnym. Z tego, że płaca realna, arytmetycznie rzecz biorąc, wzrosła w roku 1981 o 2,5 % wynikało jedynie, że o tyle zwiększyła się potencjalna siła nabywczą przeciętnej płacy nominalnej na państwowym rynku konsumpcyjnym. Nie wynikało z tego natomiast, że proporcjonalnie wzrosła masa towarowa na tym rynku, pozwalając przekształcić wyższą potencjalną siłę nabywczą w zakupy. Zatem nie wynikało również z tego wskaźnika, że proporcjonalnie podniósł się standard życiowy płacobiorców. W rzeczywistości podaż towarów w tym roku spadła o około 5 %. Zwiększona siła nabywczą przyspieszyła jedynie dewastację państwowego rynku konsumpcyjnego skracając średni czas przebywania towaru na półce sklepowej i wydłużając przeciętną długość kolejek. Ponadto wywołała dwa zjawiska, które dodatkowo jeszcze zwiększyły tempo owej dewastacji nadając jej postać toczącej się lawiny. Pierwszym był szybki rozwój czarnego rynku z cenami równowagi lecz bardzo wysokimi. Przepływała na niego część towarów z sieci państwowej poprzez spekulacyjny wykup ze sklepów ale przede wszystkim przez nielegalne operacje spekulacyjne pracowników handlu. Wpływała na niego też coraz większa część produktów rolnych bezpośrednio od rolników. W tym okresie bowiem, ze względu

na kryzys produkcji przemysłowej — również w części przeznaczonej dla rolnictwa — nastąpiło osłabienie zainteresowania chłopów wymianą z państwowym odbiorcą. W rezultacie doszło do załamywania się państwowego skupu rolnego w skali znacznie większej niżby to wynikało z sytuacji w produkcji rolnej. Aby temu zapobiec władze w latach 1980-1981 kilkakrotnie podnosiły oficjalne ceny skupu. Był to czynnik który dodatkowo zwiększał zasoby pieniądza w rękach ludności w momencie wyjątkowo niekorzystnym a zarazem nie zapobiegał orientacji chłopów ku czarnemu rynkowi, na którym ceny ciągle znacznie przewyższały ceny urzędowe.

Drugim czynnikiem lawinowej dewastacji rynku konsumpcyjnego było gromadzenie się tzw. nawisu inflacyjnego, czyli zasobów gorących pieniędzy, wydawanych natychmiast po uzyskaniu przez konsumenta dostępu do towaru. Nawis inflacyjny powstawał wskutek dwu czynników. Po pierwsze gromadziła się w nim niezrealizowana część owej potencjalnej siły nabywczej, wynikająca z różnicy między strumieniem dochodów nominalnych ludności i strumieniem podaży, przy obowiązujących cenach. Po drugie brak ciągłości zaopatrzenia na rynku i powszechne przewidywania, że będzie ono ulegało pogorszeniu wywołały wśród konsumentów gorączkową pogoń za towarami przypominającą momentami panikę, ucieczkę od pieniądza, raptowny spadek skłonności do dobrowolnego oszczędzania a nawet przekształcanie się nagromadzonych wcześniej oszczędności w pieniądź do jak najszybszego wydania. W połowie roku 1981 ekonomiści szacowali nawis inflacyjny na 500 mld zł to znaczy około 25 % łącznych dochodów nominalnych ludności w tym roku, a tempo jego przyrostu na pół miliarda złotych dziennie³. Wyrazem paniki i desperacji, którą katastrofa na rynku konsumpcyjnym wywołała wśród ludności może być cena samochodów w prywatnym obrocie a także czarnorynkowy kurs dolara. Cena Fiata 126 — najpopularniejszego samochodu w Polsce — wynosząca 183 tys. zł w lipcu 1980 roku wyniosła w rok później 268 tys. a tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego doszła do 520 tys. Cena dolara wynosząca w styczniu 1981 roku około 150 zł podniosła się we wrześniu do 450 zł i do 540 zł w listopadzie 1981 roku⁴.

Ceny te zależały od reakcji części ludności; tej z większymi

3. „Koszty wyjścia z kryzysu” (rozmowa ekonomistów) — *Tygodnik Solidarność* nr 16 z 17 lipca 1981 r. Te 500 miliardów to była skumulowana luka inflacyjna od 1974 roku kiedy to wystąpiła po raz pierwszy.

4. Ceny samochodów za: *Życie Gospodarcze* roczniki 1980, 1981. Kurs dolara za: „Ile za dolara” — Jerzy Baczyński, *Polityka* 34/84.

zasobami gotówkowymi lecz podobny był nastrój powszechny. Gorzej; grupy o niższych dochodach, czyli przeważająca część ludności, znalazły się w sytuacji bardziej dramatycznej, bez możliwości skorzystania z tych sposobów obrony osiągniętego standardu życia. Dla nich ostatnią deską ratunku przed narastającym niepokojem i niepewnością stała się „Solidarność”. Poczynając od wiosny 1981 roku Związek znalazł się pod rosnącym ciśnieniem bazy by poprawić zaopatrzenie rynkowe. I wobec tego skoncentrowanego, syntetycznego postulatu milionów „Solidarność” stanęła bezradna. Radykalizacja, która nastąpiła poczynając od połowy 1981 roku, była próbą wyjścia z tej bezradności.

Komentarzem do tabeli I będą następne trzy paragrafy, tutaj natomiast chciałbym zatrzymać się jeszcze na dwu osobliwościach załamania gospodarczego lat 1980-1981. Pierwsze to opóźnienie spadku spożycia w stosunku do załamania w zakresie dochodu narodowego oraz produkcji przemysłowej. W pewnym stopniu osłabiło ono skalę katastrofy zaopatrzeniowej na rynku konsumpcyjnym, to znaczy stopień pogorszenia dostępności towarów w sklepach. Ludność tego jednak nie dostrzegła a więc osłabienie to nie złagodziło fatalnego ukształtowania nastrojów. Równocześnie jednak ten brak korelacji pogłębił ogólne załamanie gospodarki. Beznadziejna obrona poziomu spożycia obciążała bowiem dodatkowo bilans handlu zagranicznego, przez zmniejszenie eksportu towarów konsumpcyjnych i zwiększenie ich importu. Wpłynęło to na pogorszenie i tak już dramatycznego zaopatrzenia produkcyjnego z importu i pogłębiło paraliż gospodarki. Był to błąd, lecz błąd wymuszony przez sytuację polityczną, niemożliwy do uniknięcia. Wiadomo, że gałęziowa struktura inwestycji w latach 70-tych ukształtowała się z jednej strony pod wpływem znanego „prawa” prymatu działu I na II, a po drugie pod wpływem wzmocnienia interesów konsumpcyjnych ludności w centralnym procesie decyzyjnym na skutek protestu w grudniu 1970⁵. Było to wtedy wzmocnienie wynikające z sytuacji, lecz jeszcze nie zinstytucjonalizowane. Po sierpniu 1980 roku było już zinstytucjonalizowane w „Solidarności” i wobec tego o wiele silniejsze. Antykonsumpcyjna logika działania praw systemu ulegała zburzeniu, lecz akurat w momencie najbardziej niesprzyjającym z punktu widzenia gospodarki i w ostateczności z punktu widzenia interesów konsumentów. Zmiana układu sił między społeczeństwem i władzą oraz między populacją konsumentów a apa-

5. Starałem się to wykazać w: „Po wielkim skoku”, Warszawa 1981, str. 110.

ratem biurokratycznym i napięte stosunki między nimi spowodowały, że władze mimo krachu musiały kontynuować politykę ochrony spożycia, aby uniknąć eksplozji niezadowolenia społecznego. Musiały to robić tak długo, jak długo nie były zdecydowane na zastosowanie przemocy. I tak długo to robiły. Odstąpiły od tej polityki w roku 1982 po wprowadzeniu stanu wojennego. Podobny charakter i znaczenie dla sytuacji miała druga osobliwość; zupełny brak korelacji między spadkiem dochodu narodowego i produkcji przemysłowej a niezmiennością zatrudnienia. Tutaj jednak nie mamy do czynienia ze zniesieniem logiki systemu przez nową sytuację polityczną, lecz odwrotnie, wzmocnieniem przez nią logiki systemu, uniezależniającej zatrudnienie od koniunktury gospodarczej. To uniezależnienie wynika z kilku cech systemu realnego socjalizmu, politycznych i gospodarczych. Po pierwsze rządzący w tym systemie mają poczucie, że stabilizacja polityczna jest zapewniona tak długo, jak długo działają sprawnie wszystkie ogniwa, które blokują niezależną aktywność społeczną. Jeżeli któreś pęka i dochodzi do protestu społecznego w jakiejś konkretnej sprawie, wówczas sytuacja dochodzi szybko do momentu, gdy kontestacją objęty zostaje cały system. Nie ma w nim w takiej sytuacji żadnego mechanizmu, który by lokalizował protest do sprawy, która go wywołała, poza przemocą, której celem jest odbudowa trwałości obręczy. Stosuje się ją albo bez zaspokojenia żądań protestujących, albo natychmiast lub równoległe z ich częściowym spełnieniem. Grzechem pierworodnym rządzących w Polsce, który leży u podstaw Sierpnia 1980 roku — choć oczywiście nie był jego jedyną przyczyną — były ustępstwa po zastosowaniu przemocy w grudniu 1970 roku (usunięcie Gomułki), a jeszcze bardziej w lutym 1971 roku (wycofanie gomułkowskiej podwyżki cen). Jednym z istotnych ogniw stabilizującego łańcucha jest pełne zatrudnienie, to znaczy zdjęcie z ludności, pozbawionej podstawowych praw obywatelskich i odczuwającej to jako wielką dotkliwość, przynajmniej tej niepewności o swój byt, jaka wiąże się na Zachodzie z możliwością utraty pracy. Dlatego do pełnego zatrudnienia władze przywiązują wielką wagę, robiąc z niego podstawowy element legitymizujący ustrój. Ważnym czynnikiem przy konstruowaniu planów inwestycyjnych jest przewidywana liczba ludności zdolnej do pracy. Dochodzą do tego czynniki dodatkowe. Gospodarka centralnie sterowana jest jak wiadomo mało efektywna i marnotrawna. Wytwarza duże zapotrzebowanie na czynniki produkcji, w tym na pracę, i przekształca je w produkty o miernej jakości i strukturze słabo przystosowanej do potrzeb. W gospodarce tej, gdy funkcjonuje bez zakłóceń, występuje nad-

reprezentacja interesów biurokracji gospodarczej, która wyraża się w jej presji na centralne fundusze inwestycyjne. W rezultacie zaś tej presji inwestycyjnej powstają dodatkowe miejsca pracy. Bardzo wiele z nich jest nieracjonalnych z punktu widzenia rachunku ekonomicznego, lecz wsysa zdolnych do pracy, a na rynku pracy wytwarza ciągłą przewagę podaży miejsc pracy nad popytem. Wreszcie mechanizm ekonomiczny na szczeblu przedsiębiorstw, odrywający ich fundusze od rezultatów ekonomicznych powoduje, że dla dyrekcji racjonalnym poziomem zatrudnienia jest zawsze zatrudnienie maksymalne, niezależnie od tego, czy pracownicy mają pracę przez 8 godzin, czy nie. Pełna obsada jest bowiem dla dyrekcji gwarancją bezpieczeństwa wobec zadań produkcyjnych, które wyznaczają władze zwierzchnie i często zmieniają je bez uprzedzenia. Pojawienie się w roku 1980 zinstytucjonalizowanej, niezależnej reprezentacji pracowniczej, która nie mogłaby pozostać obojętna — jak każdy związek zawodowy — wobec planów redukcji zatrudnienia w następstwie braku pracy, wywołanym przez kryzys, wzmocniło te mechanizmy. W rezultacie skutkiem załamania był jedynie spadek efektywnie przepracowanego czasu pracy. Ludzie natomiast pozostali przy maszynach, otrzymując za czas nieprzepracowany bez własnej winy średnie stawki. Nie działał zatem zupełnie mechanizm automatycznego obniżania dochodów ludności wskutek redukcji zatrudnienia w okresach kryzysu.

Przejdę teraz do omówienia czynników dodatkowych, które pojawiwszy się poczynając od połowy 1980 roku, spowodowały załamanie wskaźników gospodarczych poniżej linii kryzysowego trendu uruchomionego w latach 70-tych. Większość z nich wiąże się z załamaniem stabilizacji politycznej i oddziaływaniem ruchu społecznego. Zacznę jednak od sytuacji w rolnictwie u progu „Solidarności”, która ciężko zawazyła na losach Związku, choć wywołały ją czynniki od niego niezależne.

3. Nieurodzaj w 1980 roku

Regres w rolnictwie zaczął się w końcu pierwszej połowy lat 70-tych i był zbiegiem najpierw doktrynerskiej polityki lat 50-tych, a potem czternastu lat niezdecydowania Gomułki z podjętą przez Gierka ponowną próbą likwidacji gospodarki indywidualnej na wsi. W latach 1976-1980 średnie roczne zbiory zbóż i ziemniaków, to znaczy ziemiopłodów decydujących dla hodowli i wyżywienia ludności, spadły o około 10 % w porównaniu z pięcio-

leciem poprzednim⁶. Nastąpiło więc obniżenie stopnia samowystarczalności w produkcji roślinnej. Ponieważ poziom hodowli, w imię spokoju społecznego, był chronionym parametrem politycznym, a efektywność chowu zwierząt się nie poprawiała, trzeba było importować coraz więcej zbóż i pasz z Zachodu. Wobec zaś degradacji sytuacji płatniczej kraju utrzymanie owego parametru politycznego stawało się coraz trudniejsze. W roku 1979 zebrano bardzo słabe zbiory zbóż — 15,3 mln ton — to znaczy 22 % mniej od średniej z lat 1971-1975. W bilansie zbożowo-paszowym powstała luka, która spowodowała spadek hodowli, niewielki w rozmiarach absolutnych, lecz grożący odczuwalnym pogorszeniem sytuacji na rynku mięsnym⁷. W tym samym roku bowiem — przy ciągle niezmiennych cenach mięsa — dochody ludności zwiększyły się o 10 %. Sytuacja na tym kluczowym rynku, która od dziesięcioleci najbardziej bulwersowała społeczeństwo, zależała teraz od tego, jaki będzie w rolnictwie rok 1980. Okazał się fatalnym, jednym z najgorszych w powojennym okresie. Zbóż zebrano o 1,1 mln ton więcej, ale był to ciągle wynik gorszy o 16,4 % od średniej lat 1971-1975. Do katastrofy natomiast doszło z ziemniakami, które są zarówno ważnym składnikiem polskiej kuchni, jak i technologii żywienia świń⁸. Zebrano 26,4 mln ton ziemniaków, to znaczy 44 % poniżej średniej pierwszego i 38 % poniżej średniej drugiego pięciolecia tamtej dekady⁹. W rezultacie powstała dramatyczna sytuacja zarówno na rynku żywnościowym, jak i na hodowlanym rynku ziemniaczanym. Na spożycie ludności w roku gospodarczym 1980/1981, to znaczy następującym po katastrofalnym nieurodzaju, przeznaczono nieco tylko (2 %) mniej ziemniaków niż w roku poprzednim, lecz konsekwencje tego niewielkiego spadku były poważne. Po pierwsze dlatego, że rosnąca od lata 1980 roku niedostępność innych towarów żywnościowych powodowała kompensacyjny wzrost popytu na ziemniaki. W rezultacie poczynając od zimy tego roku doszło do załamывania się zaopatrzenia również w ten zupełnie podstawowy produkt. Jego wyrazem jest wolnorynkowa cena

6. Tzw. 4 zboża (żyto, pszenica, jęczmień, owies) o 10,5 % a ziemniaki o 9,3 %. *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. 265, 266.

7. W roku 1979 hodowla bydła spadła o 1 %, a trzody o 2,4 %. *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. XXXIX.

8. W Polsce spożywa się na głowę mieszkańca 157 kg ziemniaków, a w USA — 38 kg. Dane za rok 1981 *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. 504.

9. Dane o zbiorach zbóż i ziemniaków: *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. 265, 266.

ziemniaków, która w październiku 1979 roku wynosiła 3,46 zł za kilogram, w rok później 6,09 zł, a w kwietniu 1981 roku na tzw. przednówku, to znaczy przed pojawieniem się „młodych ziemniaków”, wzrosła do 13,75 zł za kilogram, czyli o 125 % w ciągu sześciu miesięcy¹⁰. Podobna była sytuacja z chlebem i przetworami zbożowymi, o czym niżej.

Utrzymanie dostaw ziemniaków dla ludności na niezmiennym w zasadzie poziomie (mimo katastrofalnego nieurodaju) spowodowało, że jego skutki uderzyły z całą siłą w hodowlę. W roku 1980/1981 przeznaczono dla zwierząt 11,6 mln ton ziemniaków, o 14 mln ton mniej niż w roku poprzednim¹¹. Powstała wielka wyrwa w bilansie paszowym, równoważna około 3,5 mln ton zbóż. Zmniejszono ją do 2,3 mln ton, przeznaczając na pasze całą nadwyżkę zbiorów zbóż w porównaniu z rokiem poprzednim. Wobec niedostatku pasz na rynku oficjalnym rolnicy zmniejszyli dostawy ziemniaków i zbóż dla państwa (w rolnictwie polskim, które jest mało wyspecjalizowane, hoduje się zwierzęta i uprawia zboża oraz ziemniaki w tych samych zwykle gospodarstwach), po drugie zaczęli szukać możliwości dokupienia pasz na wolnym rynku. Państwowy skup zbóż spadł z 4,8 mln ton w roku gospodarczym 1979/1980 do 4,1 mln w roku następnym i do 2,3 w roku 1981/1982. Skup ziemniaków zaś odpowiednio z 7,4 mln ton do 2,3 mln ton i dopiero w roku gospodarczym 1981/1982 wzrósł do 4,5 mln ton¹². Równocześnie doszło do wysokiego wzrostu cen tych produktów w obrotach między rolnikami. Cena pszenicy na przykład, wynosząca w grudniu 1979 roku 782 zł za kwintal, wzrosła w roku następnym do 1.044 zł, a w grudniu 1981 roku wynosiła 2.772 zł. Cena ziemniaków wzrosła w analogicznych okresach z 277 zł za kwintal do 792 zł, a następnie spadła do 721 zł¹³. Deficyt pasz oraz wysoki wzrost wolnorynkowych cen zbóż spowodowały dwa zjawiska, istotne dla przebiegu wydarzeń w okresie „Solidarności”. Po pierwsze doszło do powstania absurdałnej relacji między oficjalnymi cenami chleba i wolnorynkowymi cenami zboża. W połowie 1981 roku ta ostatnia była 3 razy wyższa od ceny chleba, który zaczęto masowo wykupywać dla żywienia zwierząt. Ponieważ na rynku przetworów zbożowych doszło również do wysokiego wzrostu popytu, spowodowanego, podobnie jak w przypadku ziemniaków,

10. *Roczniki statystyczne GUS* 1981, str. 467 i 1983, str. 379.

11. *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. 276.

12. *Ibidem*, str. 296.

13. *Ibidem*, str. 380 oraz *Rocznik statystyczny GUS* 1981, str. 469.

niemożliwością nabycia innych artykułów żywnościowych, zaopatrzenie w chleb i przetwory zbożowe zaczęło się gwałtownie pogarszać.

Po drugie nastąpił znaczny spadek hodowli. Stado bydła zmniejszyło się z 13,1 mln sztuk w roku 1978 do 11,8 mln sztuk w roku 1981, a pogłowie trzody odpowiednio z 21,7 mln sztuk do 18,4 mln¹⁴. Produkcja mięsa i przetworów, wynosząca 3,1 mln ton w roku 1979, spadła o 100 tys. ton w roku następnym i o dalsze 559 tys. ton w roku 1981¹⁵. Przy pomocy doraźnej interwencji (zmniejszenie rezerw i wzrost ujemnego salda w obrotach mięsem z zagranicą) udało się w roku 1980, mimo spadku produkcji, podnieść nieco wielkość dostaw mięsa. W roku następnym te same interwencje pozwoliły już tylko złagodzić spadek dostaw do 326 tys. ton. Padła więc linia obrony poziomu spożycia mięsa, a poczynając od jesieni 1980 roku rynek ten uległ całkowitej destrukcji, której objawem stały się puste sklepy i gigantyczne kolejki, wywołujące szok nawet wśród konsumentów polskich, przywykłych do tego zjawiska. Nie zniknęły one nawet po wprowadzeniu kartek na mięso od kwietnia 1981. Nieurodzaj rolny 1980 roku był, jak wynika z powyższego, jednym z kluczowych czynników załamania się trzech podstawowych rynków żywnościowych: mięsnego, zbożowego i ziemniaczanego. Dwa następne czynniki, które zostaną teraz kolejno omówione, to gwałtowny wzrost dochodów nominalnych ludności oraz paraliż przemysłu, który ponadto spowodował ostry kryzys podaży przemysłowych artykułów żywnościowych i w ogóle konsumpcyjnych. W rezultacie w ciągu kilku miesięcy drugiego półrocza 1980 roku uruchomiony został proces generalnej dewastacji rynku obsługującego ludność i zastępowania go systemem racjonowania, który trwał przez cały rok 1981 i był jednym z głównych czynników określających nastroje społeczne¹⁶.

4. Wzrost dochodów ludności

Tabela II przedstawia wielkość i dynamikę nominalnych dochodów osobistych ludności z rozbiciem na ich najważniejsze składowe. Dochody osobiste ludności powstają przez odjęcie od do-

14. *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. 270.

15. *Ibidem*, str. 273.

16. W 1981 racjonowane były: cukier, masło, przetwory zbożowe, alkohol, papierosy, środki do prania.

TABELA II.
NOMINALNE DOCHODY OSOBISTE LUDNOŚCI (mld zł)

L.p. Wyszczególnienie	1978	1979	1980	1981	Rok poprzedni = 100		
					1979	1980	1981
1. Ogółem	1334	1465	1653	2174	9,8	12,8	31,5
2. Wynagrodzenia z funduszu płac ...	757	826	935	1188	9,1	13,1	27,0
3. Pieniężne świadczenia społeczne .	144	169	194	265	17,3	14,7	36,5
4. Dochody rolników indywidualnych ..	215	228	249	402	6,0	9,2	61,4

Źródła: *Roczniki statystyczne GUS* 1981, str. 111 i 1983, str. 100.

chodów nominalnych (tabela I wiersz 11) świadczeń społecznych w naturze. Przyczyn raptownego wzrostu dochodów ludności przy równoczesnym załamaniu produkcji było kilka. W latach 1976-1980 mimo wygasania tempa wzrostu w przemyśle wynagrodzenia rosły corocznie od 7 % do 10 % bez żadnej korelacji z dynamiką produkcji przemysłowej¹⁷. Wtedy nie było „Solidarności”. Nie było jej już w latach 1982-1983, lecz ów automat kreujący dochody niezależnie od koniunktury działał z siłą nie mniejszą. W roku 1983 produkcja przemysłowa wzrosła o 6,4 %, a przeciętne wynagrodzenie w przemyśle o 27,4 %, przy poziomie zatrudnienia mniejszym tylko o 1 % w porównaniu z rokiem poprzednim. Opisane tu zjawisko jest typowe dla gospodarki centralnie sterowanej, w której — jak wspominałem wyżej — nie ma sprawnego mechanizmu wiążącego, na szczeblu przedsiębiorstw, poziom zatrudnienia i funduszu płac z ich wynikami produkcyjnymi. Obowiązek koordynacji tych wielkości, z punktu widzenia gospodarki narodowej jako całości, spada na centralne władze polityczne. Dokonują one tego poprzez skomplikowaną grę przetargową z niższymi i średnimi szczeblami aparatu gospodarczego, w trakcie której wyznacza się zadania i przydziela środki aż do szczebla przedsiębiorstw. Każdy szczebel niższy w grze z wyższym zainteresowany jest maksymalizacją środków przy danych

17. W roku 1977 produkcja globalna przemysłu wzrosła o 6,9 %, a przeciętna płaca o 7,1 %, w roku 1979 te same wskaźniki wynosiły odpowiednio 2,7 % i 9,1 % przy niezmiennym poziomie zatrudnienia. *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. XXXVI-XXXVII.

zadaniach lub minimalizacją zadań przy danych środkach. Wynik zależy od układu sił między graczami, to znaczy zwierzchnikami i koalicjami podwładnych. Gra toczy się, co należy podkreślić, zarówno przy budowie planu gospodarki narodowej jak i podczas jego wykonywania. W tej drugiej fazie niższe szczeble poprzez stwarzanie faktów dokonanych uzyskują często ustępstwa, których nie wytargowały wcześniej. W Polsce na dodatek w latach 70-tych ogólna pozycja centralnych władz wobec biurokracji gospodarczej słabła, a wraz z tym obniżała się ich zdolność do koordynacji wielkości makroekonomicznych.

Trudno określić precyzyjnie rolę „automatu dochodowego” w latach 1980-1981. Sądzę, że nie popełni się wielkiego błędu, zakładając, że nominalne osobiste dochody ludności rosłyby w tym okresie według stopy zbliżonej do końca lat 70-tych także gdyby do strajków nie doszło, a „Solidarność” nie powstała. Konto wydarzeń i ruchu społecznego obciąża więc nadwyżka ponad owe automatyczne 9 %. Biorąc za podstawę tę stopę i pamiętając, że chodzi o szacunek bardzo przybliżony, można powiedzieć, że z zsumowanego przyrostu nominalnych dochodów osobistych ludności w latach 1980-1981, wynoszącego 897 mld zł, około 45 % (407 mld) byłoby wypłacone niezależnie od rozwoju wydarzeń¹⁸. Reszta (490 mld) znalazła się w portfelach konsumentów, a potem na rynku, w bezpośrednim lub pośrednim następstwie pojawienia się ruchu społecznego i „Solidarności”. Z tej sumy — jeżeli zastosujemy podobny szacunek dla wiersza drugiego tabeli II — około 242 mld zł uzyskali robotnicy i pracownicy z tytułu podwyżek wynagrodzeń wywalczonych strajkami lub wynegocjowanych w latach 1980-1981¹⁹. Pozostałość dochodowego efektu związanego z ówczesnymi wydarzeniami — 248 mld — przypadła rolnikom indywidualnym i osobom korzystającym ze świadczeń społecznych (w tym emerytom i rencistom). Z tej ostatniej puli pod wpływem presji społecznej wypłacona została prawdopodobnie tylko niewielka część. Reszta była skutkiem presji ze strony sytuacji ekonomicznej, wynikiem dążenia do

18. Kwotę 897 mld uzyskałem sumując dochody ogółem w roku 1980 i 1981 (wiersz 1 tabeli II) i odejmując od nich przemnożoną przez 2 kwotę dochodów z roku 1979.

19. Przeciętną podwyżkę z tego tytułu szacowano na 1.000-1.200 zł miesięcznie. Patrz: Mieczysław Mieszczankowski: „Gordyjskie węzły stabilizacji”, *Życie Gospodarcze* nr 22/1981 oraz Anna Kuszko: „Którędy do celu”, *Życie Gospodarcze* 8/1981. Jeżeli te kwoty przemnożymy przez liczbę pobierających wynagrodzenia w tym okresie (około 12,7 mln osób) i przez czas trwania wydarzeń (18 miesięcy) to otrzymujemy odpowiednio 228 mld zł i 274 mld zł.

ochrony grup o niskich i stałych dochodach przed skutkami kryzysu oraz do podtrzymania bodźców produkcji rolnej i do skłonienia chłopów, by sprzedawali produkty państwu, a nie na wolnym rynku.

Mimo skorygowania dochodów o prawdopodobny efekt automatu dochodowego, kwota prawie pół biliona złotych wypłacona ludności podczas dwu lat najgłębszego załamania podaży może rodzić przekonanie, że społeczeństwo polskie weszło w kulminację kryzysu z samobójczą świadomością ekonomiczną, a „Solidarność”, która z niego wyrosła, cechował brak ekonomicznej odpowiedzialności. Nie zamierzam idealizować ani ekonomicznej świadomości ludności, ani postępowania Związku w sprawach gospodarczych. Lecz problem nie jest prosty. Cechą charakterystyczną okresu od lipca 1980 do grudnia 1981 roku była aktywna rola społeczeństwa w zbiorowym dochodzeniu swych praw, również ekonomicznych, tak jak je ono pojmowało. Lecz zanim owo zbiorowe dochodzenie praw zyskało zorganizowany kształt w postaci ogólnokrajowego Związku Zawodowego, zdolnego prowadzić jakąś politykę, minęło wiele miesięcy, podczas których sformułowano żywiłowo tysiące postulatów, również ekonomicznych. Stały się one celami strajków i negocjacji z władzami różnych szczebli. Źródło, z którego wypłynęło owe pół biliona złotych, zaczęło tryskać od początku lipca 1980 roku, gdy poprzez indywidualne strajki lub groźby strajków załogi setek przedsiębiorstw wywalczyły podwyżki płac i inne dodatki pieniężne. Zasiliły je podwyżki płac (tzw. wałęsówki) oraz inne zdobycze finansowe uzyskane w wyniku porozumień podpisanych w końcu sierpnia i na początku września w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu. Potem doszedł jeszcze jeden czynnik, nad którym warto się zatrzymać, bo jest mniej znany. „Solidarność” powstawała jak wiadomo na bazie Międzyzakładowych Komitetów Strajkowych lub w oparciu o ich doświadczenie. Podstawą Związku stała się struktura regionalna i działacze pracujący w regionach mieli w „Solidarności” przez cały czas znaczenie dominujące. Równocześnie z wykształcaniem się układu regionalnego zaczęły powstawać wewnątrz „Solidarności” porozumienia przedsiębiorstw, należących do tej samej branży. W odróżnieniu od struktury regionalnej, której załóżek stworzył ruch strajkowy i zarazem nadał jej wielki prestiż, tak zwane sekcje branżowe powstawały od zera. Dopiero bowiem po zgodzie władz na utworzenie nowych związków zawodowych możliwe było porozumiewanie się zakładów rozrzuconych często na terenie całego kraju. Wśród założycieli sekcji branżowych znalazło się dużo ambitnych jednostek, dla których z różnych względów zabrakło miejsca w

regionach. Oczywiście porozumienia branżowe nie powstawały na bazie ambicji, lecz wokół wspólnych spraw załóg tych przedsiębiorstw. Przybierały one postać list postulatów branżowych, przede wszystkim ekonomicznych, socjalnych i dotyczących warunków pracy. Adresowano je do nadzorujących branżę ministerstw, domagając się negocjacji z komisjami ministerialnymi i grożąc strajkami przy napotkaniu oporu. Do końca 1980 roku doszło na tym tle do kilku poważnych konfliktów (służby zdrowia, oświaty, kolejarzy, cukrowników, metalowców itp.) oraz do podpisania — poza plecami Krajowej Komisji Porozumiewawczej i władz regionalnych „Solidarności” — wielu porozumień branżowych. Komisja Krajowa i regiony początkowo zachęcały do tworzenia porozumień branżowych, widząc dla siebie szansę odciążenia od ogromu spraw dotyczących różnych grup zawodowych²⁰. Wkrótce jednak zorientowały się, że w postaci sekcji branżowych powstaje drugi układ organizacyjny, działający na własną rękę i stwarzający niebezpieczeństwo groźnego konfliktu strukturalnego w „Solidarności”. A także wciągający jej kierownictwo w walkę z władzami na tle wielu postulatów partykularnych²¹. W tej sytuacji Komisja Krajowa — mająca również świadomość szkodliwości dalszych wypłat pieniężnych dla sytuacji gospodarczej kraju — podjęła w listopadzie 1980 roku decyzję, zamrażając wszelkie negocjacje płacowe (poza postanowieniami porozumień strajkowych z sierpnia 1980 roku) i zakazując organizowania akcji protestacyjnych przez sekcje branżowe. To płacowe moratorium zostało potwierdzone przez grupę roboczą „Solidarności” do spraw płac podczas rozmów z Ministerstwem Pracy, Płac i Spraw Socjalnych 30 kwietnia 1981 roku. W komunikacie z tych rozmów stwierdzano: „Grupa robocza KKP przypominała, że Związek 'Solidarność' już w listopadzie ubiegłego roku wstrzymał negocjacje w kwestii nowych umów branżowych, a także obecnie nie nalega na ich negocjowanie. Grupa robocza uznała, że w roku 1981 nie należy dokonywać żadnych większych ruchów płacowych²²”. To stanowisko „Solidarność” potwierdziła jeszcze dwukrotnie w następnych miesiącach mimo drugiej fazy ostrego konfliktu z sekcjami branżowymi, która rozpoczęła się w maju

20. *Niezależność* nr 1 z 9. 10. 1980.

21. Na posiedzeniu Komisji Krajowej „Solidarności” 9 listopada 1980 r. wypłynęła po raz pierwszy sprawa sekcji branżowych. Stosunek Komisji do ich postulatów płacowych wyraził najlepiej Jan Rulewski (uważany za ekstremistę) mówiąc: „Nie rozszerzajmy postulatów gdańskich, bo przegramy wszystkie” — Waldemar Kuczyński: „Dziennik 1980-1981”, str. 87 (rękopis).

22. *Agencja Solidarność (AS)* nr 14/010.

1981 roku i trwała aż do Zjazdu Związku²³. W tej drugiej fazie niektóre sekcje branżowe w drodze wyjątku wymusiły zgodę KKP, by negocjować z władzami podwyżki płac i świadczeń (leśnicy, drzewiarze itp.), lecz do żadnych nowych wypłat w większej skali przez cały okres działania Związku nie doszło. Pół biliona złotych, które w latach 1980-1981 wpłynęło na rynek, poza skutkami działania automatu dochodowego było więc głównie skutkiem podwyżek uzyskanych w żywiłowej, niezorganizowanej fazie działania ruchu społecznego w roku 1980, którego efekt objawił się w roku następnym. „Solidarność” odziedziczyła te „zdobycze dochodowe”, a wyrastając z ruchu strajkowego nie mogła ich anulować. Z chwilą jednak, gdy jej kierownictwo wzięło sprawy w ręce, działało odpowiedzialnie i z dużym skutkiem, mimo że poza perswazją i własnym autorytetem nie miało przecież żadnych administracyjnych instrumentów, pozwalających utrzymywać w Związku dyscyplinę.

Również owa fala żądań pieniężnych, wyzwolona w żywiłowej fazie ruchu i z wielkim trudem, nie zawsze z powodzeniem hamowana przez „Solidarność”, nie może budzić zdumienia. Wszędzie na świecie ludzie reagują na pogorszenie warunków życia i wzrost cen żądaniem podwyżek płac oraz ograniczenia inflacji. Społeczeństwa nie składają się z Miltonów Friedmanów. Do tej naturalnej skłonności doszły w Polsce czynniki dodatkowe. Po pierwsze w latach 70-tych urzędowe ceny artykułów konsumpcyjnych były co prawda nie zmieniane, ale szczególnie od drugiej połowy tamtej dekady doszło do wysokich ukrytych podwyżek cen. Nie wykazywane przez publikowane statystyki cen, były one jednak śledzone przez GUS i nieco informacji o tym zjawisku

23. Na początku maja 1980 roku rozeszły się pogłoski, że po-CRZZ-towski Związek Metalowców rozpoczął z władzami negocjacje na temat podwyżek płac. Stało się to początkiem wybuchu fali żądań płacowych sekcji branżowych „Solidarności”. W następnych miesiącach wystąpili z tym: strażacy, energetycy, bankowcy, kartografowie, metalowcy, kolejjarze, leśnicy, drzewiarze, górnicy, portowcy, hutnicy, budowlani, poligrafowie, pracownicy wodociągów i kanalizacji itd. Poza kilkoma wyjątkami KKP powstrzymała tę ogromną falę żądań płacowych. Dwudziestego maja Prezydium KKP powtórzyło zakaz organizowania przez sekcje branżowe akcji protestacyjnych na własną rękę (AS 17/303). Dwudziestego szóstego maja Prezydium KKP przestrzegło rząd, by nie negocjował podwyżek płac ze starymi związkami branżowymi, ponieważ w takim wypadku „Solidarność” nie zdoła powstrzymać żądań własnych członków (AS nr 18/301). Piętnastego lipca 1981 r. Lech Wałęsa zaapelował do sekcji branżowych o zaniechanie akcji protestacyjnych w sprawach płacowych (AS 25/301). Dwudziestego szóstego lipca KKP podjęła uchwałę zakazującą sekcjom branżowym negocjowanie podwyżek płac, organizowanie akcji protestacyjnych (AS 26/302).

wyszło na jaw po Sierpniu 1980 roku. W dyskusji na łamach *Życia Gospodarczego* wiceprezes GUS podał na przykład, że w latach 1976-1980 mimo braku oficjalnych podwyżek cen pieczywa, jego ceny wzrosły o 57 %. W tej samej dyskusji podano, że w latach 1975-1980 wydatki czteroosobowej rodziny włóknarzy z Łodzi na mięso wołowe wzrosły o 167 %, na masło o 45 %, na mąkę o 155 %²⁴. W tej sytuacji powszechne żądania podwyżek płac, które mogłyby budzić zdumienie w konfrontacji ze stabilnymi oficjalnymi statystykami cen, stają się zupełnie zrozumiałe. Po drugie parę lat konsumpcyjnej polityki Gierka było krótką przerwą w kilkudziesięcioletnim okresie zaniedbywania interesów konsumentów i pracowniczych, podczas którego narastał pakiet ekonomicznych pretensji społeczeństwa. Został on przedłożony władzom do realizacji w momencie fatalnym gospodarczo, lecz akurat w tym momencie ludzie zorganizowawszy się w masowy ruch protestu mogli to zrobić. I musieli to zrobić, pamiętając, że w Polsce powojennej okresy, gdy głos społeczeństwa się liczył były rzadkie i trwały krótko. Nie było okazji od lat, dziś jest, jutro może jej nie być. Musimy z „nich” wycisnąć maksimum za jednym razem. Takie myślenie dyktowały doświadczenia²⁵. Zarówno więc kumulacja żądań jak i zły moment wystawienia tego narosłego rachunku były skutkami pozbawienia społeczeństwa instytucjonalnych form dochodzenia swych interesów na co dzień. Do tego doszedł brak rozeznania w mechanizmach kryzysu, który do Sierpnia 1980 roku był tematem zakazanym w oficjalnych środkach przekazu. Do tego doszedł wreszcie skrajny brak zaufania do władz, do ich słów i do tego, że z ewentualnych ofiar społeczeństwa na rzecz walki z kryzysem zrobią właściwy użytek. Władze ponoszą również nie małą część odpowiedzialności za zaktywizowanie tego nagromadzonego pakietu żądań. Przez cały lipiec i sierpień 1980 roku aż do podpisania porozumień z MKS-ami ustępowały bez oporu we wszystkich sprawach ekonomicznych, byle tylko stłumić ruch strajkowy, zanim dojrzeje do postulatów politycznych. Skoro tak łatwo dają pieniądze, to dlaczego ich nie żądać, skoro dają, to znaczy, że znów kłamią, przedstawiając sytuację gospodarczą w czarnych barwach. Tak kwitowano politykę ustępstw ekonomicznych. W krajach demokratycznych, gdzie podstawy systemu politycznego są kwestionowane co

24. *Życie Gospodarcze* nr 42/1980 — „Rozgryzanie koszyków”.

25. Z tym typowym schematem myślenia zetknąłem się osobiście, gdy w połowie listopada 1980 r. byłem ekspertem ekonomicznym przygotowującym rokowania między sekcją branżową metalowców a komisją ministerialną, podczas akcji protestacyjnej metalowców w Lublinie.

najwyżej przez grupy marginesowe, rząd może przez wiele miesięcy stawiać czoła strajkom ekonomicznym i system się nie wali. W krajach komunistycznych, w których instytucje polityczne są chronione przed naporem społecznym przez barierę strachu, rząd musi szybko wprowadzić wojsko i milicję do fabryk albo ustąpić. Strajk bowiem rozprasza strach z godziny na godzinę i otwiera szybko drogę do kontestacji systemu politycznego.

5. *Skrócenie czasu pracy*

Wśród postulatów MKS Gdańsk i Szczecin było żądanie wprowadzenia od początku 1981 roku wolnych i płatnych sobót. W czasach coraz powszechniejszego na świecie pięciodniowego tygodnia pracy to żądanie nie powinno budzić zdumienia. Lecz dla gospodarki polskiej dotkniętej kryzysem było groźne. Oba MKS-y z Wybrzeża uznały w tej sprawie racje strony rządowej i zgodziły się na stopniowe zwiększanie ilości wolnych sobót stosownie do możliwości ekonomicznych²⁶. Nie uznał jej MKS-Jastrzębie, kierujący strajkiem kopalń węgla kamiennego i w podpisanym przez niego z Komisją Rządową porozumieniu znalazło się ustalenie o wprowadzeniu od 1 stycznia 1981 roku wszystkich wolnych i płatnych sobót, a także o natychmiastowym zniesieniu tzw. czterobrygadowego systemu pracy w górnictwie²⁷. System czterobrygadowy zapewniał wydobywanie węgla przez siedem dni w tygodniu, lecz górnicy uważali go za bardzo uciążliwy i od dawna ostro krytykowali. Władze skapitulowały wobec żądań skrócenia czasu pracy akurat w Jastrzębiu, ponieważ wśród górników — pracujących w ciężkich i niebezpiecznych warunkach — determinacja w tej sprawie była większa niż gdzie indziej. Większy był też ogólnogospodarczy koszt strajku kopalń niż przemysłu przetwórczego, a ponadto na początku września władze dążyły do wygaszenia fali strajkowej za wszelką cenę. Nikt w zasadzie nie kwestionował racji górników, racji socjalnych i na dłuższą metę także ekonomicznych. Powiadali oni bowiem, że pogoń za maksymalnym wydobywaniem i ciągła praca kopalń prowadzi do marnotrawstwa złóż i do dużej ilości wypadków²⁸. Bez wzglę-

26. „Protokoły porozumień Gdańsk, Szczecin, Jastrzębie”, Warszawa 1981, str. 8 i 11.

27. *Ibidem*, str. 13.

28. W wielu kopalniach na przykład tracono dwie trzecie złoża wskutek stosowania metody wydobywania „na zawal”. Na każdy milion ton wydobytego węgla przypadał jeden wypadek śmiertelny. Jerzy Dzieciolowski: „Mimo wszystko król węgla”, *Życie Gospodarcze* nr 48/1980.

du jednak na te racje natychmiastowe zniesienie pracy w niedziele i wprowadzenie wolnych sobót były zapowiedzią nieszczęścia.

Do roku 1980 wprowadzono 16 wolnych sobót, utrzymując bez zmian 46-godzinny tydzień pracy, przez zwiększenie czasu pracy w pierwsze pięć dni tygodnia. Działo się to stopniowo. W roku 1981 dojść miało — wedle litery porozumienia z Jastrzębia — od razu 36 dodatkowych wolnych sobót bez żadnej możliwości dalszego wydłużenia czasu pracy w dni robocze. Oznaczało to, że tygodniowy czas pracy zostanie skrócony z roku na rok o 6 godzin (wymiar czasu pracy w soboty).

Zapis w porozumieniu z Jastrzębia można było interpretować jako ustępstwo na rzecz górników lub jako uzgodnienie dla całego kraju. Gdyby władze zwróciły się w końcu 1980 roku do „Solidarności” o wspólne ustalenie jednoznacznej wykładni tego zapisu, można było uniknąć niepotrzebnego konfliktu o wolne soboty, który wybuchł z początkiem roku 1981, i przyjąć rozwiązanie zróżnicowane. Wszystkie wolne soboty dla górników i stopniowe zwiększanie ich ilości dla reszty pracowników. Tak się też ostatecznie stało, ale dopiero po starciu. Zamiast tego władze wystąpiły z jednostronnym projektem, zakładającym wprowadzenie wszystkich wolnych sobót, lecz wydłużenie dziennej normy czasu pracy do 8,5 godziny, tak by tygodniowy czas pracy wyniósł 42,5 godziny. Równocześnie zarządziły konsultacje wśród załóg poza plecami „Solidarności”, przeznaczając na to tylko 10 dni. Było to świadectwo zupełnego braku zrozumienia nowej sytuacji społecznej. W rezultacie doszło do ostrego konfliktu bardziej na tle prestiżowym niż merytorycznym. „Solidarność” bowiem potraktowała takie postępowanie jako jaskrawy przykład naruszenia zasady partnerstwa i niebezpieczny precedens ignorowania związku. Trwający cały miesiąc konflikt został zakończony w końcu stycznia 1981 roku kompromisem; wszystkie wolne soboty i 40-godzinny tydzień pracy w górnictwie oraz trzy wolne soboty i 42-godzinny tydzień pracy dla reszty pracowników. Bez względu jednak na to, czy sprawa wolnych sobót byłaby załatwiona konfliktowo czy bezkonfliktowo, nieszczęście gospodarcze zapisane w Jastrzębiu można było co najwyżej złagodzić. Załogi górnicze bowiem zdecydowane były bronić swej zdobyczy wbrew stanowisku kierownictwa „Solidarności”, a nawet za cenę oderwania się od związku. Nieszczęście zaś polegało właśnie na skróceniu czasu pracy w górnictwie węglowym i — w mniejszym stopniu — w innych gałęziach surowcowych. W przemyśle przetwórczym, gdzie ze względu na niedostatek zaopatrzenia materiałowego czas

pracy i tak był niewykorzystany, wprowadzenie wolnych sobót prawdopodobnie nie spowodowałoby spadku produkcji. W górnictwie skutki były natomiast dramatyczne, a ich następstwa dla gospodarki miazdzące. Tabela III pokazuje podstawowe elementy bilansu węgla kamiennego.

TABELA III.
BILANS WĘGLA KAMIENNEGO W LATACH 1979-1981 (mln ton)

L.p.	Wyszczególnienie	1979	1980	1981	1979 = 100	
					1980	1981
1.	Przychód (wydobycie, brykiety, import)	203,5	195,7	165,6	96,1	81,3
2.	Wydobycie węgla	201,0	193,1	163,0	96,0	81,0
3.	Zużycie wewnętrzne (produkcja elektrycznej i ciepłej)	86,7	96,1	86,7	110,8	100,0
4.	Zużycie wewnętrzne (ludność miejska + rolnicy)	24,6	26,8	24,6	108,9	100,0
5.	Eksport	41,4	31,0	15,1	74,8	36,4
6.	Zapas końcowy	5,3	0,8	0,4	15,0	7,5

Źródła: *Roczniki statystyczne GUS* 1981, str. 199 i 1983, str. 170.

Wobec spadku wydobycia węgla, którego dramatyczna skala objawiła się w roku 1981, władze musiały wybierać. Uznały za priorytet ochronę produkcji energii elektrycznej i ciepłej oraz potrzeby rolników i ludności miejskiej. Chodziło o zapobieżenie paraliżowi gospodarki wskutek nagłego spadku dostaw elektryczności oraz o uniknięcie dodatkowych powodów do niepokoju w mieście i na wsi wskutek braku węgla i ciepła. Skutki porozumienia z Jastrzębia doprowadziły w tej sytuacji do masakry eksportu węgla, który jeszcze w roku 1979 dał około 18 % przychodów dewizowych z krajów niesocjalistycznych (około 1,5 mld dolarów). W roku 1980 przychody te spadły do około 1,1 mld dolarów, a w roku następnym wyniosły tylko około 520 mln²⁹. Polski eksport do krajów wysoko rozwiniętych wyniósł w roku

29. Szacunek w oparciu o strukturę geograficzną eksportu węgla z roku 1981 (po 50 % na wschód i na zachód) i o strukturę geograficzną cen z tego roku.

1980 — 5,8 mld dolarów w cenach bieżących (czyli w tym układzie, który decyduje o dewizowych przychodach) i był większy w porównaniu z rokiem poprzednim o około 0,7 mld dolarów. W roku następnym spadł raptownie do 3,9 mld dolarów (o 33 %) ³⁰. Import z tych krajów zaś (w cenach stałych, czyli w układzie, który wyraża skalę zasilania zewnętrznego gospodarki), zmniejszający się coraz szybciej od kilku już lat, spadł w roku 1981 również o ponad 30 % ³¹. W porównaniu jednak z poprzednimi spadkami importowego zasilania tak raptowne załamanie wzmocniło niezwykle działanie kumulacyjnych mechanizmów, paraliżujących gospodarkę. Wir kryzysu przyspieszył bieg, ściągając wskaźniki gospodarcze coraz niżej, stawając zaczęły całe gałęzie przemysłu, pogłębiając generalny kryzys podaży na rynku konsumpcyjnym akurat w momencie, gdy wpływała nań masa dodatkowych pieniędzy.

Załamania importu z krajów niesocjalistycznych w roku 1981 nie można jednak wytłumaczyć wyłącznie bieżącą sytuacją w górnictwie, a nawet w eksporcie w ogóle. Znaleźliśmy się u progu załamania już w roku 1979, który z punktu widzenia degradacji bilansu płatniczego kraju był rokiem najgorszym od początku lat 70-tych aż do dziś. Doszło w nim do rekordowego przyrostu zadłużenia (o 3,8 mld dol.) i do ponownego wzrostu ujemnego salda obrotów towarowych i usługowych (o 400 mln dol.), które zmniejszało się powoli od roku 1976 ³². Skutkiem tego roku był raptowny wzrost trudności z zaciąganiem nowych kredytów, szczególnie bankowych, poczynając od pierwszych miesięcy 1980 roku. W rezultacie władze dokonały w połowie roku drastycznej rewizji planu, podwyższając stopę eksportu na Zachód z 10 % do 25 % po to, by zlikwidować już w roku 1980 deficyt obrotów towarowych i usługowych. Było to zadanie nawet w najbardziej sprzyjających warunkach niewykonalne. Następstwem tej rewizji była również owa ukryta podwyżka cen mięsa w miesiąc później, od której wszystko się zaczęło. Także spadek eksportu do krajów niesocjalistycznych nie był tylko skutkiem spadku wydobycia węgla. Z łącznego spadku przychodów dewizowych w roku 1981

30. Przeliczenie ze złotych dewizowych na podstawie: *Rocznik statystyczny GUS* 1983, str. 334.

31. Wielkość przybliżona, ponieważ w przypadku cen stałych brak rozbięcia na import z krajów wysoko rozwiniętych i rozwijających się krajów niesocjalistycznych.

32. 1975: (— 3 mld dol.), 1976: (— 2,8 mld), 1977: (— 1,8 mld), 1978: (— 1,5 mld), 1979: (— 1,9), 1980: (— 0,4 mld). Źródło: *Rządowy raport o stanie gospodarki*, Warszawa 1981, str. 124.

o 1,9 mld dolarów na konto spadku eksportu węgla przypada około 23 %. Reszta dotyczyła innych dziedzin gospodarki, w tym przemysłu lekkiego i spożywczego. Spadek eksportu tych gałęzi był po pierwsze skutkiem nieurodzaju, po drugie skutkiem kryzysu zaopatrzenia importowego i po trzecie skutkiem zrozumiałej, słusznej lecz beznadziejnej polityki ochrony poziomu zaopatrzenia rynku konsumpcyjnego. Dane statystyczne za rok 1981 a także 1982, gdy obowiązywał stan wojenny, nie potwierdzają powszechnej wśród ludności w roku 1981 opinii, że władze ukrywały żywność, by, doprowadzając ludzi do desperacji, wywołać u nich pragnienie przywrócenia porządku za wszelką cenę. Przeciwnie, wynika z nich, że w ramach dramatycznie malejących możliwości starały się przeciwdziałać dewastacji rynku, by nie zaogniać nastrojów społecznych, które mogły co prawda poderwać bazę „Solidarności”, szczególnie jej nurtu umiarkowanego, ale mogły też obrócić się przeciwko władzy. Gdyby makiawelistycznie zgromadzono zapasy żywności w roku 1981, skorzystano by z nich w roku następnym dla wsparcia normalizacji. Nic takiego nie nastąpiło. Sprzedaż detaliczna żywności (liczona w cenach stałych), która obniżyła się w roku 1981 o 9,4 % przy równoczesnej dewastacji rynku, spadła w roku następnym o dalsze 14,3 % przy pewnej poprawie funkcjonowania rynku, spowodowanej 100 %-tą podwyżką poziomu cen detalicznych³³.

Węgiel nie był jedynym ani nawet głównym czynnikiem katastrofy importowej w roku 1981, lecz był praktycznie jedynym czynnikiem, który mógł ją złagodzić ze względu na niską importochłonność tej gałęzi i z tego względu, że węgiel sprzedaje się za gotówkę, która wpływa natychmiast. Wzrost eksportu z innych gałęzi wymaga uprzedniego zwiększenia importu, na który nie było środków, bo od wiosny 1981 bieżące konto dewizowe państwa spadło w pobliże zera³⁴ lub był niemożliwy ze względu na skutki nieurodzaju i orientację na ochronę rynku wewnętrznego. Po wprowadzeniu wolnych sobót w górnictwie władze

33. *Rocznik statystyczny GUS 1983*, str. 347.

34. Prof. Czesław Bobrowski — ówczesny i obecny szef zespołu doradców ekonomicznych premiera Jaruzelskiego — tak charakteryzował sytuację: „Od strony bilansu płatniczego jesteśmy w sytuacji człowieka, który pierwszego zaczyna gospodarować bez jednego dolara w kieszeni. I dopiero dolary, które wpłyną, pozwalają mu zaspokajać potrzeby. Nie płaci się akredytyw, kiedy towar przyszedł, opóźnia się o parę dni wypłatę, zdarzają się trudności z przekazaniem tych minimalnych kwot z zagranicy za eksport”. *Tygodnik Solidarność*: „Koszty wyjścia z kryzysu (rozmowa ekonomistów)”, nr 17/1981.

podjęły próbę ograniczenia spadku wydobycia, wprowadzając w styczniu 1981 roku tzw. fundusz mobilizacyjny, to znaczy dodatkowe, wysokie wynagrodzenia za dobrowolną pracę górników w wolne soboty. Wystąpiła przeciwko temu Krajowa Sekcja Górnictwa „Solidarności”, powołując się na sprzeciw załóg kopalń, które miały dopatrzeć się w funduszu mobilizacyjnym próby przywrócenia pracy w soboty, a więc złamania porozumienia jastrzębskiego oraz próby skłócenia załóg górniczych. Moim zdaniem były to argumenty nieprzekonywujące, ponieważ fundusz mobilizacyjny miał być bodźcem do pracy dobrowolnej i każdy górnik mógł swobodnie wybrać między dodatkowym czasem wolnym lub dodatkowym wynagrodzeniem. W tej sprawie doszło do przewlekłego konfliktu między Ministerstwem Górnictwa a Krajową Sekcją Górnictwa, który zakończył się w końcu kwietnia 1981 roku likwidacją funduszu mobilizacyjnego. Część załóg nie przyjęła dobrze tego faktu. Jeden z członków sekcji górników, informując o zniesieniu funduszu mobilizacyjnego na posiedzeniu Komisji Krajowej „Solidarności” w końcu maja 1981 roku stwierdzał bowiem, że „w zakładach jest trochę fermentu, gdyż nie wszyscy chcą zrezygnować z tych pieniędzy³⁵”. Według danych oficjalnych wydobycie węgla, wynoszące w okresie obowiązywania funduszu mobilizacyjnego 40 % wydobycia w dni robocze, spadło po jego zniesieniu o połowę.

W sierpniu 1981 roku wobec pogarszającej się sytuacji gospodarczej Komisja Krajowa „Solidarności” wystąpiła z apelem — skierowanym do wszystkich pracowników, lecz przede wszystkim do górników — o przepracowanie do końca 1981 roku ośmiu wolnych sobót. Przedstawiciele Sekcji Górnictwa nie podpisali tego apelu, ale po bezpośrednich spotkaniach z górnikami Komisja Krajowa uzyskała zgodę wielu załóg na jego podjęcie. Równocześnie jednak we wrześniu władze wprowadziły ponownie silne bodźce finansowe za pracę górników w wolne soboty. Decyzję tę podjęto prawdopodobnie po to, by storpedować apel Komisji Krajowej, który podważał główny propagandowy argument władz, że „Solidarność” jest siłą niszczącą gospodarkę. Tak się też stało, Sekcja Górnictwa bowiem zawiesiła jego realizację i podjęła ponownie próbę cofnięcia decyzji władz. Tym razem jednak bez skutku. Jesienią 1981 roku bowiem władza, opanowawszy zamieszanie w swym obozie, czuła się znacznie silniej, podczas gdy determinacja ruchu słabła.

Wyżej omówiłem okoliczności dodatkowe, które nakładając

35. AS nr 18/109.

się na odziedziczony mechanizm kryzysu doprowadziły w latach 1980-1981 do katastrofalnego załamania gospodarczego. Parę słów chciałbym na koniec poświęcić strajkom, które wiążą się z tematem tego paragrafu. Władze w krajach komunistycznych mają dokładnie taki sam stosunek do strajków u siebie, jak przedsiębiorcy w systemie gospodarki prywatnej. Nic dziwnego więc, że czołowym argumentem na rzecz tezy o ekonomicznej nieodpowiedzialności „Solidarności” stało się rzekome szaleństwo strajkowe, które powodowała. Ten argument znalazł pewien odzwiek na Zachodzie. Tymczasem w roku 1981 przeciętny robotnik polski strajkował 4,3 godzin, to znaczy pół dniówki. Stanowiło to 2,1 % łącznych strat czasu pracy z różnych powodów. W tym okresie przestoje ze względu na brak surowców i materiałów pochłonęły 8,6 godziny, dwa razy więcej³⁶. Jeżeli dodać, że w roku 1981 nie było strajków w gałęziach surowcowych decydujących dla sytuacji gospodarczej, to twierdzenia o strajkowej destrukcji okazują się mitem. Tym bardziej, że strajki w przemyśle przetwórczym, odbywając się przy znacznych luzach w czasie pracy wywołanych brakiem zaopatrzenia, powodowały albo ubytki produkcyjne szybko odrabiane, albo były podniosłym sposobem spędzania czasu, w którym i tak nie było nic do roboty. Złudzenie strajkowego szaleństwa mogło pochodzić z dużej ilości symbolicznych aktów protestu, zawierających groźbę strajku. Z takich działań jak gotowości strajkowe, strajki godzinne lub parogodzinne, ograniczone na dodatek decyzjami władz związkowych do tych sfer produkcji, gdzie straty były minimalne. „Solidarność” często strajkiem groziła, za często, ale strajków prawdziwych było niewiele. I to w okresie zrywu rewolucyjnego, gdy społeczeństwo odbijało sobie trzydzieści lat pozbawienia go tego ważnego prawa obywatelskiego. Pół dniówki legalnego strajkowania za trzydzieści lat. Taka jest prawda o strajkowym szaleństwie.

6. *Problemy mechanizmu gospodarczego*

W latach 1980-1981 gospodarka polska doświadczyła katastrofy. Z wielu powodów, także w następstwie załamania stabilizacji politycznej i powstania masowego ruchu protestu. Okresy rewolucyjne zawsze rozprzęgały działanie gospodarki. Równocześnie jednak dzięki powstaniu „Solidarności” nastąpiło przełamanie

36. Źródło: *Rocznik statystyczny GUS* 1982, str. 62. Statystyki strajkowej od lipca do grudnia 1980 roku brak.

intelektualnego odrętwienia wobec rozwijającego się kryzysu, a paraliż cenzury otwarł środki przekazu dla burzliwej i bogatej dyskusji o sytuacji gospodarczej i o koniecznych reformach mechanizmu ekonomicznego. Ujawniono wiele danych statystycznych wcześniej niedostępnych, które pozwoliły na precyzyjniejszą analizę stanu rzeczy. Symbolicznym momentem przerwania pod wpływem ruchu strajkowego owej zmowy milczenia o realiach gospodarczych może być wywiad telewizyjny ówczesnego ministra finansów Mariana Krzaka, który 24 sierpnia 1980 podał po raz pierwszy, że Polska ma 20 miliardów długów średnio- i długoterminowych. Do tamtego dnia była to tajemnica państwowa. Wkrótce opublikowano wiele częściowych i syntetycznych analiz kryzysowego mechanizmu ułatwiających jego zrozumienie, sprzyjających dyskusji nad środkami zaradczymi. Pojawiły się liczne propozycje rozwiązania problemów gospodarczych. Dyskusja ujawniła wiele stanowisk i szkół; od zwolenników klasycznych metod centralistycznych do zwolenników ograniczenia gospodarki państwowej na rzecz niezależnej działalności ekonomicznej i własności prywatnej. Ruch strajkowy wydobył z zapomnienia ideę reformy gospodarczej i usankcjonował ją w porozumieniu gdańskim, które stwierdzało: „Uważamy za konieczne wydatne przyspieszenie prac nad reformą gospodarczą. Władze określą i opublikują w najbliższych miesiącach podstawowe założenia tej reformy. Związki zawodowe powinny uczestniczyć szczególnie w pracach nad ustawami o socjalistycznych organizacjach gospodarczych i samorządzie robotniczym. Reforma gospodarcza powinna opierać się na zasadniczo zwiększonej samodzielności przedsiębiorstw i rzeczywistym uczestniczeniu samorządu robotniczego w zarządzaniu³⁷”. To postanowienie i powstanie „Solidarności” dało okazję tym w kręgach władzy, którzy od dawna rozumieli potrzebę reform gospodarczych, lecz bez społecznego wsparcia nie mieli szans usunięcia nakazowego systemu zarządzania, bronionego przez potężną biurokrację gospodarczą i konserwatywną część kierownictwa centralnego. W połowie września 1980 roku Biuro Polityczne PZPR powołało Komisję Reformy Gospodarczej, w skład której weszły 34 osoby, w dużej części działacze aparatu gospodarczego. W miesiąc później po sprzeciwach środowiska ekonomistów, które uznało, że ten skład nie gwarantuje przygotowania odpowiedniego projektu, Komisję poszerzono do 90 osób, wyłaniając jednocześnie 14 zespołów problemowych. W styczniu 1981 roku opubli-

37. „Protokoły porozumień Gdańsk, Szczecin, Jastrzębie”, Warszawa 1981, str. 4.

kowany został projekt podstawowych założeń reformy opracowany przez Komisję³⁸. Równocześnie powstało szereg opracowań alternatywnych, z których jedno odegrało później istotną rolę w kształtowaniu koncepcji reformy gospodarczej „Solidarności”³⁹. Mam na myśli rozwiniętą koncepcję reformy, opracowywaną wtedy już od kilku lat przez grupę „trzydziestoletnich entuzjastów”, pracowników Instytutu Rozwoju Gospodarczego Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, głównej uczelni ekonomicznej w Polsce. Grupa ta pod kierunkiem docenta Leszka Balcerowicza rozpoczęła pracę w głębi okresu gierkowskiego, kiedy wszelkie szanse reformy wydawały się pogrzebane; gdy nieoczekiwanie przyszła pora działania, mieli w ręce produkt najbardziej dojrzały i idący najdalej w kierunku ograniczenia roli państwa w gospodarce oraz rozwoju mechanizmów rynkowych. Brak tu miejsca na omawianie różnic między poszczególnymi projektami. Były to różnice, jeśli tak można powiedzieć, ilościowe, różnice w stopniu posunięcia się ku rozwiązaniom rynkowym. Najdalej szedł w tym kierunku projekt grupy Balcerowicza, potem Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego i innych grup akademickich. Najbardziej konserwatywny był projekt Naczelnej Organizacji Technicznej i Rządowej Komisji. Ruch reformy gospodarczej, powstały dzięki pojawieniu się „Solidarności” i nabierający rozmachu w klimacie swobody wytworzonej przez jej istnienie, przez długi jednak czas nie mógł przebić się przez solidarnościowe opłotki i wtargnąć do wnętrza związku. Do połowy roku 1981 ruch solidarnościowy, zajęty najpierw organizowaniem się, potem przygotowywaniem gigantycznej kampanii wyborczej w 10-milionowej populacji, a równocześnie oczyszczający w setkach konfliktów teren ze skutków wieloletniej korupcji władzy, był głuchy na sprawy mechanizmu gospodarczego. Problematyką reformy zajmowali się ekonomiści działający w związku, często współdziałając z niezależnymi inicjatywami, lecz władze związku nie miały zrozumienia ani możliwości uzgodnienia stanowiska w tej sprawie. Wyrazem rezerwy władz związku w angażowaniu autorytetu „Solidarności” na rzecz rozstrzygnięć, co do których nie były one w stanie

38. Władysław Baka, „Polska reforma gospodarcza”, Warszawa 1982, str. 8-10 (autor jest ministrem d/s reformy).

39. Do najważniejszych należały: Projekt Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, projekt trzydziestolatków ze Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, Projekt Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Warszawskiego i projekt Wydziału Zarządzania tegoż Uniwersytetu, projekt Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu i projekt Naczelnej Organizacji Technicznej. Opublikowano je w: „Reforma Gospodarcza (propozycje, tendencje, kierunki)”, Warszawa 1981.

wyrobić sobie poglądu zgodnego z punktem widzenia bazy związkowej, było ograniczenie roli solidarnościowych przedstawicieli w Komisji Rządowej do statusu obserwatorów⁴⁰. Było to słuszne stanowisko, ponieważ przez wiele miesięcy Komisja Krajowa, rozstrzygając na każdym posiedzeniu dziesiątki spraw bieżących, często groźnych, nie miała możliwości ani wysłuchania swych przedstawicieli, ani tym bardziej udzielenia im jakichś instrukcji. Postawa „Solidarności” zaczęła zmieniać się w połowie 1981 roku wskutek coraz gorszej sytuacji na rynku i objawów zniecierpliwienia wśród ludności. Narastało przekonanie, że nie można dłużej czekać, licząc na skuteczność działań władz w kwestii zaopatrzenia czy wręcz na ich dobrą wolę. Trzeba przesunąć punkt ciężkości z działań rewindykacyjnych na działania produkcyjne, trzeba wziąć sprawy gospodarcze we własne ręce dla własnego ratunku. W połowie kwietnia 1981 roku powstało w „Solidarności” porozumienie największych przedsiębiorstw z poszczególnych regionów, tak zwana „Sieć” wiodących zakładów pracy NSZZ „Solidarność”. Jej właśnie przypadło w udziale wyrażenie tego nowego nastawienia bazy związkowej, ona stała się pomostem, poprzez który problematyka mechanizmu zarządzania gospodarką przeniknęła do związku, a potem do jego władz. W końcu marca 1981 roku Komisja Rządowa do spraw reformy przekazała Komisji Krajowej projekty ustaw o samorządzie pracowniczym i o przedsiębiorstwie. „Sieć” mimo braku uprawnień władczych w związku odrzuciła te projekty jako połowiczne i opracowała własną koncepcję ustawy o tzw. przedsiębiorstwie społecznym, a zarazem projekt statutu samorządu. Równocześnie wezwała do natychmiastowego powoływania samorządów, wydając dla tego celu specjalną instrukcję⁴¹.

Wezwanie „Sieci” i opracowane przez nią dokumenty walnie przyspieszyły ruch powoływania samorządów, z których część podjęła próbę zmiany dyrekcji oraz wystąpienia z obowiazkowych do tej pory zgrupowań przedsiębiorstw, zwanych zjednoczeniami. W ten sposób rozpoczął się proces emancypacji gospodarki z państwowej gestii oraz rozpad jej administracyjnej struktury. Został on przerwany przez stan wojenny. Jednym z objawów krystalizowania się ruchu samorządowego było powstawanie regionalnych porozumień samorządów, które zmierzało ku wykształceniu jakiegś

40. Solidarność reprezentowali w Komisji Rządowej: Ryszard Bugaj, pracownik Instytutu Planowania, związany z opozycją demokratyczną, oraz Waldemar Kuczyński.

41. AS nr 12/202 oraz 401-403.

ogólnokrajowej reprezentacji, mogącej w perspektywie przekształcić się na przykład w sejmową Izbę Samorządów⁴². Pierwszym krokiem w tym kierunku było ogólnopolskie spotkanie samorządów w stoczni gdańskiej na początku lipca 1981, na które przybyło około 1.000 delegatów. Następnym utworzenie 17 października w Warszawie Komitetu Założycielskiego Krajowej Federacji Samorządów przez szesnaste regionalnych porozumień samorządowych⁴³. Równocześnie z tym procesem powstawania faktów dokonanych rozpoczynała się batalia o prawne podstawy reformy gospodarczej, której początkiem był konflikt o wspomniane dwa rządowe projekty dotyczące samorządu i przedsiębiorstwa. Między nimi i projektami „Sieci” zachodziła różnica fundamentalna. W projekcie rządowym przedsiębiorstwo (a więc i gospodarka) pozostawało własnością państwową. W ramach decydującej gestii państwowej przedsiębiorstwo zyskiwało większą niezależność, a załoga prawo do współzarządzania. W rękach państwa pozostawały podstawowe uprawnienia do nominacji dyrektora. W projekcie „Sieci” przedsiębiorstwo miało stać się własnością społeczną, organizmem działającym w ramach praw stanowionych przez państwo, lecz zarządzanym całkowicie przez samorząd pracowni- czy, uprawniony do nominacji dyrektora. Projekt „Sieci” zakładał więc zmianę rewolucyjną, obalenie nomenklatury w gospodarce, zerwanie administracyjnych więzi z państwem i stworzenie rodzaju „socjalizmu wytwórców”. Pragnę podkreślić, że u podstaw tej koncepcji nie leżała świadomość żadnych tradycji ideologicznych. Były one pragmatyczną odpowiedzią na dramatyzm sytuacji gospodarczej. Idea samorządu nie pojawiła się wskutek motywacji doktrynalnych, lecz ze strachu przed głodem, przed zimą. Władze, atakując ostro pomysły „Sieci”, nazwały je anachosyndykalizmem. Było to określenie zupełnie w Polsce obce. Ludzie widzieli w samorządzie sposób na wzięcie swych spraw w swoje ręce. Pojawienie się alternatywnego projektu „Sieci” w sprawie samorządu i przedsiębiorstwa oznaczało, że kwestia reformy gospodarczej nie będzie już od tej pory rozstrzygana jednostronnie przez władze, lecz stanie się przedmiotem negocjacji i ewentualnie konfliktu z „Solidarnością”. Jego formalnym po-

42. Oto wyrywkowa kronika tego procesu: 26. 6 — porozumienie samorządów regionu Łodzi, 2. 7 — porozumienie samorządów regionu Wrocławia, 6. 7 — porozumienie samorządów regionu Warszawa, 13. 7 — porozumienie samorządów regionu Podbeskidzia, 13. 7 — porozumienie samorządów regionu Lublina, 5. 8 — porozumienie samorządów regionu Olsztyna, 10. 8 — porozumienie samorządów regionu Śląska, itd.

43. AS nr 45, str. 205.

czątkiem było złożenie przez „Sieć” swych opracowań w Sejmie z żądaniem uwzględnienia ich w procedurze legislacyjnej⁴⁴. Dziewiętnastego czerwca 1981 w walkę o samorząd angażują się władze Związku. Prezydium KKP oświadcza, że projekty ustaw rządowych są niezadowolające i żąda ich negocjacji, ustanawiając grupę negocjacyjną⁴⁵, po czym rozpoczynają się kilkumiesięczne negocjacje z Komisją Sejmową i konflikt o samorząd zaczyna wysuwać się na czoło. Jego kulminacja następuje między turami Zjazdu „Solidarności”. Ósmego września Zjazd, podczas swej pierwszej tury, podejmuje uchwałę w sprawie samorządu, domagając się dla niego prawa nominacji dyrektora i zwracając się do Sejmu, by odrzucił projekty rządowe oraz rozpiął w tej sprawie ogólnokrajowe referendum. Między turami Zjazdu grupa negocjacyjna i Komisja Sejmowa ustalają kompromis, który następnie akceptuje Prezydium KKP, głównie pod wpływem argumentacji eksperta Komisji Krajowej Jacka Kuronia. Kompromis polega na przyjęciu wariantowej formuły wyboru dyrektora. Przez władze państwowe przy akceptacji samorządu w zakładach najważniejszych i przez samorząd przy akceptacji władz w pozostałych zakładach. Ustalone zostaje, że lista zakładów, w których dyrektora mianują władze zostanie wynegocjowana z „Solidarnością”. Mimo gwałtownego sporu, do jakiego doszło w tej sprawie na drugiej turze Zjazdu, związek faktycznie kompromis zaakceptował⁴⁶. Równoległe z konfliktem o status przedsiębiorstwa i samorządu narastały przesłanki wielkiego starcia o kształt mechanizmu gospodarczego w ogóle. W połowie maja „Sieć” opublikowała założenia do społecznego projektu reformy gospodarczej, oparte na wspomnianym projekcie Leszka Balcerowicza⁴⁷. W końcu maja Prezydium KKP uznało „Sieć” za agendę doradczą w sprawach reformy⁴⁸. W tym samym miesiącu grupa negocjacyjna „Solidarności” do spraw stabilizacji, rekonstrukcji i reformy gospodarczej przedstawiła władzom stanowisko Związku w sprawie reformy mniej radykalne od koncepcji „Sieci”, ale różniące się zasadniczo od projektu rządowego⁴⁹. W końcu sierpnia 1981 roku „Sieć” upowszechniła obszerny dokument, zawiera-

44. Jedenastego czerwca 1981. AS nr 20/206.

45. AS nr 21/312.

46. Zjazd skrytykował kompromis, zapowiedział związkowe referendum na temat wprowadzonych ustaw oraz zażądał ich modyfikacji, ale zasadniczo kompromisu nie odrzucił. AS nr 42/206.

47. AS nr 16/308-311.

48. AS nr 18/303.

49. AS nr 17/301-302.

jący konkretny projekt reformy, w końcu października zaś gotowe były alternatywne w stosunku do projektów rządowych założenia ustaw o gospodarce finansowej, o podatkach przedsiębiorstw, o bankach, cenach, zjednoczeniach i planowaniu⁵⁰. W połowie listopada zaczęły się negocjacje ze stroną rządową na temat tak zwanej Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, instytucji, która miała być powołana przez różne zorganizowane siły społeczne i posiadać znaczne uprawnienia w decydowaniu o sprawach gospodarczych w skali kraju⁵¹. Zarówno w negocjacjach na temat Rady jak i w toczących się już wcześniej negocjacjach na temat reformy władze odrzucały koncepcje społeczne, oskarżając równocześnie „Solidarność” o próbę przejęcia władzy nad gospodarką. Były to oskarżenia niesłuszne. „Solidarność” władzy nad gospodarką przejąć nie chciała. Gdyby jednak zrealizowano reformę według projektów „Sieci”, władze niewątpliwie utraciłyby nad nią kontrolę na rzecz niezależnych instytucji społecznych. Pod koniec roku 1981 coraz powszechniejsze bowiem było przekonanie, że gospodarka narodowa jest własnością narodu właśnie i powinien on odzyskać w stosunku do niej prawa suwerena. Do wielkiej bitwy o gospodarkę jednak nie doszło i trudno sądzić, jakie byłyby jej losy. Pozostały ustawy o samorządzie i przedsiębiorstwie, jedyne z ustaw gospodarczych uchwalonych w okresie „Solidarności”. Wyróżniają się one do dziś swą postępowością i precyzją na tle reszty aktów prawnych, przyjętych w okresie stanu wojennego. To jednak, co było w nich najważniejsze, zostało zawieszane w działaniu. Pozostało przekonanie, że dobre prawo powstaje ze starcia interesów i sił społecznych, że nie ma dobrego prawa bez wolności. Pozostała też idea gospodarki społecznej lecz nie etatystycznej, rynkowej lecz nie kapitalistycznej. Sądzę, że była to idea utopijna, pomysł przejściowy w ewolucji ku gospodarce przypominającej zachodnie. Lecz nie sposób wykluczyć i tego, że mógł to być początek jakiejś nowej, nieprzetartej jeszcze drogi.

Waldemar KUCZYŃSKI

50. AS nr 34/301, 309-310 oraz nr 46/209.

51. AS nr 54/001.

Michał KOŁODZIEJ

PODZIEMNE STRUKTURY NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” (13. XII. 1981 - 13. XII. 1984)

U w a g i w s t ę p n e

Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku i zakaz jawnej działalności NSZZ „Solidarność” spowodowały konieczność budowy nowych struktur związku w podziemiu. Proces ten przebiegał niejednolicie w różnych regionach kraju i uzależniony był od stopnia aktywności działających tam członków NSZZ „Solidarność”. Widoczny, zwłaszcza w początkowym okresie po 13 grudnia 1981 roku, chaos tych inicjatyw wymownie świadczy, że kierownictwo Związku nie było przygotowane na ewentualność wprowadzenia stanu wojennego i niemal całkowitego rozbicia struktur związkowych przez internowanie zdecydowanej większości, działających dotąd legalnie i jawnie, pochodzących z wyboru przedstawicieli „Solidarności”. Mówiąc inaczej — nie powołano, poza nielicznymi wyjątkami, żadnych struktur zastępczych, które mogłyby kierować związkiem w warunkach konspiracji. Należy zaznaczyć, że w groźnej dla związku sytuacji, jaka nastąpiła po prowokacji bydgoskiej w marcu 1981 roku, gdy powszechnie obawiano się stanu wyjątkowego, w różnych regionach przygotowano i kolportowano instrukcje na taką ewentualność. Dla przykładu w instrukcji takiej, wydanej w regionie śląsko-dąbrowskim napisano: „Stan wyjątkowy oznaczać będzie prawdopodobnie próbę aresztowania w skali kraju kilku tysięcy osób z 'Solidarności' i opozycji demokratycznej. W naszym re-

gionie grozi to prawdopodobnie kilkuset osobom — dlatego w organizacjach związkowych należy utworzyć grupy, które przejmą kierownictwo organizacji zakładowych jako komitety strajkowe. Gdyby aresztowano dotychczasowe komisje zakładowe, komitety strajkowe powinny wtedy utworzyć międzyzakładowy komitet strajkowy. Na ogłoszenie przez władze stanu wyjątkowego należy odpowiedzieć strajkiem powszechnym”. Zresztą zgodnie ze statutem Związku zakłady powinny były w przypadku aresztowania przywódców związkowych podjąć natychmiast strajk generalny.

Postanowień tych nie przypominano jednak w trudnej, grożącej konfliktem sytuacji pierwszej połowy grudnia 1981 roku. Większość regionów została zaskoczona zamachem gen. Jaruzelskiego i wprowadzeniem stanu wojennego. Strajki podjęły tylko niektóre zakłady, w których komisje zakładowe rzeczywiście przekształciły się w komitety strajkowe. Do wyjątków należały wypadki wcześniejszego przygotowania tajnych, zastępczych komisji zakładowych, mających przejąć kierownictwo strajku w razie aresztowania członków dotychczasowych struktur. Stąd tworzenie struktur podziemnych było łatwiejsze tam, gdzie uniknęli aresztowań działacze poszczególnych szczebli.

Celem niniejszego opracowania jest przedstawienie organizacji NSZZ „Solidarność” w warunkach najpierw zawieszenia, a później delegalizacji Związku. Do dnia dzisiejszego bowiem zdolały się ukonstytuować władze „podziemnej Solidarności” w większości 41 regionów, istniejących w momencie wprowadzenia stanu wojennego. Z różnych przyczyn, przede wszystkim jednak na skutek utrudnionej wymogami konspiracji możliwości porozumiewania się i stałej łączności, wyłoniły się także struktury, które nie miały swojego odpowiednika w okresie legalnej działalności Związku.

Powstawanie podziemnych władz „Solidarności” w poszczególnych regionach odbywało się różnie. W niektórych przypadkach powstawały najpierw różnego rodzaju komitety, grupy lub komisje zakładowe, następnie międzyzakładowe i te wreszcie wyłaniały przedstawicielstwo regionu. W innych odwrotnie: spontanicznie ukonstytuowane władze regionu inspirowały działaczy zakładowych do powoływania podstawowych komórek związku.

Ogromną rolę w odbudowie struktur NSZZ „Solidarność” odgrywała prasa podziemna. Często zdarzało się, że grupa działaczy związkowych, bez ambicji reprezentowania konkretnej grupy podziemnej, wydawała pod auspicjami „Solidarności” pismo o charakterze przede wszystkim informacyjnym i dopiero po upływie pewnego czasu dotychczasowy komitet redakcyjny, obdarzony spo-

łecznym zaufaniem, przekształcał się w strukturę związkową, a pismo stawało się jej organem.

Podstawę źródłową niniejszego opracowania stanowiła w pierwszym rzędzie prasa podziemna i publikowane w niej dokumenty, oraz oświadczenia lub wywiady działaczy związkowych. Bardzo pomocna okazała się też wydana niedawno na Zachodzie przez „Editions Spotkania” książka Macieja Łopińskiego, Marcina Moskita i Mariusza Wilka pod tytułem „Konspira. Rzec o podziemnej Solidarności”, na którą składają się wypowiedzi czołowych organizatorów i przywódców podziemnych struktur związkowych: Bogdana Borusewicza, Zbigniewa Bujaka, Władysława Frasyniuka, Aleksandra Halla, Tadeusza Jedynaka, Bogdana Lisa i Eugeniusza Szumiejki.

Z oczywistych przyczyn nie wszystkie szczegóły organizacji związku w podziemiu mogły zostać w tym opracowaniu przedstawione. NSZZ „Solidarność” działa przecież nadal w konspiracji, usilnie zwalczana przez funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych. Uwzględniono więc tylko te pionierzy, często zresztą bez zbędnych szczegółów, których ujawnienie nie zagraża bezpieczeństwu zaangażowanych w nich ludzi. Występujące w tekście nazwiska są bądź używanymi publicznie pseudonimami, bądź dotyczą osób, które zdecydowały się na działalność podziemną pod własnym nazwiskiem, i które w ten sposób podpisują wydawane przez siebie dokumenty.

Zanim przejdziemy do omówienia skomplikowanej struktury działającej obecnie w podziemiu „Solidarności”, przypomnijmy w najogólniejszym zarysie organizację związku w przededniu wprowadzenia stanu wojennego.

Po odbytym we wrześniu 1981 roku I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” na czele związku stanęła, zgodnie ze statutem, Komisja Krajowa (KK) oraz wybrany przez Zjazd przewodniczący — Lech Wałęsa. KK wybrała w tajnym głosowaniu 12-osobowe prezydium, rozszerzone o przewodniczących sześciu największych regionów: Śląsko-Dąbrowskiego, Mazowsza, Małopolski, Ziemi Łódzkiej i Wielkopolski.

Na czele regionów stały Zarządy Regionów (ZR). Ich stałym organem wykonawczym były prezydium. Liczba regionów ulegała zmianom. Bezpośrednio po Zjeździe było ich 41. Oto one w porządku alfabetycznym: Białystok, Bydgoszcz, Chełm, Częstochowa, Dolny Śląsk, Gdańsk, Gorzów Wielkopolski, Jelenia Góra, Kalisz, Kędzierzyn-Koźle, Konin, Koszalin, Kutno, Kujawy i Ziemia Dobrzyńska, Leszno, Ziemia Łódzka, Małopolska, Mazow-

sze, Nysa, Opole, Piła, Piotrków Trybunalski, Płock, Podbeskidzie, Podkarpacie, Pojezierze, Pomorze Zachodnie, Przemyśl, Ziemia Radomska, Rzeszów, Ziemia Sandomierska, Sieradz, Słupsk, Śląsko-Dąbrowski, Środkowowschodni, Świętokrzyski, Toruń, Federacja Tarnobrzeska, Warmińsko-Mazurski, Wielkopolska, Ziemia Góra.

Istniały ponadto dwie inne formy organizacyjne. Jedną z nich stanowiły sekcje branżowe i zawodowe, kierowane najczęściej przez komisje koordynacyjne. Wymienić tu należy przede wszystkim komisje górnictwa, oświaty, szkół wyższych i służby zdrowia. Drugą formą była „Sieć Organizacji Zakładowych NSZZ 'Solidarność' wiodących zakładów pracy”.

Znacznie bardziej skomplikowana, głównie na skutek braku jedności, była sytuacja w „Solidarności” wiejskiej. Wprawdzie największe z powstałych po sierpniu 1980 roku rolniczych związków zawodowych zjednoczyły się formalnie na Zjeździe poznańskim (8-9 marzec 1981) w NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność” (NSZZ RI), do struktury tej nie weszła jednak wojewódzka organizacja „Solidarności Wiejskiej” w Tarnobrzegu, kierowana przez Jana Kozłowskiego, oraz część „Solidarności Chłopskiej”. Już po zarejestrowaniu NSZZ RI wystąpiło odrębnie o rejestrację kilka regionalnych organizacji NSZZ „Solidarność Chłopska” oraz NSZZ „Solidarność Wiejska”. W październiku 1981 roku podjęto kolejną próbę zjednoczenia przez utworzenie Komisji Porozumiewawczej Niezależnych Samorządnych Chłopskich Związków Zawodowych „Solidarność”, w której skład weszli przedstawiciele wsi z 14 województw.

OGÓLNOKRAJOWE WŁADZE „PODZIEMNEJ SOLIDARNOŚCI”: KKS-OKO-TKK

Natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego zawiązał się w Gdańsku, z pierwszą siedzibą w Porcie Gdańskim, przeniesiony następnie do Stoczni im. Lenina: Krajowy Komitet Strajkowy (KKS), złożony z członków Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, którzy uniknęli internowania. Na czele KKS stanęli: Mirosław Krupiński — jako przewodniczący, Andrzej Konarski — wiceprzewodniczący, Eugeniusz Szumiejko, Jan Waszkiewicz i Aleksander Przygodziński. Żywot KKS okazał się bardzo krótki i zakończył się wraz z upadkiem strajku w Stoczni, to znaczy 16 grudnia 1981 roku.

Także w końcu grudnia ujawniła się inna najwyższa władza

związkowa, która — tak przynajmniej wynika z nazwy — przygotowana została jeszcze przed 13 grudnia 1981 roku: II Prezydium II Rządu Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Skład tej struktury pozostał anonimowy. Istniała około roku (jej członków aresztowano na przełomie 1982-1983 roku), nie przejawiając większej aktywności.

Dnia 13 stycznia 1982 roku na spotkaniu pozostających jeszcze na wolności członków Komisji Krajowej zawiązano kolejne centralne przedstawicielstwo Związku pod nazwą Ogólnopolski Komitet Oporu „Solidarność” (OKO). OKO określił się jako kontynuator KKS. Przewodniczącym został główny inicjator tej nowej struktury, Eugeniusz Szumiejko, podpisujący się wówczas pseudonimem „Mieszko”. KKS zresztą w swym ostatnim oświadczeniu upoważniła Szumiejkę i Konarskiego do podjęcia takiej inicjatywy.

Inspiracją powołania OKO było zarówno przekonanie jego założycieli, że społeczeństwo oczekuje jakichś oznak aktywności czołowych działaczy Związku, jak również obawa, że WRON sam stworzy powolną sobie reprezentację, złożoną z zastraszonych lub pozyskanych obietnicami aktywistów NSZZ „Solidarność” szczebla krajowego. Szumiejko uważał też, że powstanie OKO przyspieszy proces scalania się regionów. Lech Wałęsa, poinformowany o działalności OKO, przesłał z miejsca swego internowania pisemne pełnomocnictwo na operowanie jego nazwiskiem pod apelami i oświadczeniami OKO.

Swoje zadania organizacja widziała w koordynowaniu działań „Solidarności” na terenie kraju, zwłaszcza między regionami, które już się zorganizowały. Odrzucano jednocześnie ewentualność reprezentowania związku w oficjalnych rozmowach z władzami.

Pokonując wiele trudności szukano kontaktów z odbudowującymi się strukturami regionalnymi. Już w styczniu 1982 roku zdołano nawiązać łączność z Wrocławiem, wkrótce potem także z Krakowem i Szczecinem. W marcu Szumiejko udał się w podróż dookoła Polski, aby osobiście przekonać się o stanie organizacyjnym poszczególnych regionów i omówić szczegóły współpracy. Do idei OKO nie udało się pozyskać regionu Mazowsze, głównie na skutek niechętniej tej inicjatywie postawie Zbigniewa Bujaka. Mimo że siedzibą organizacji pozostawał Gdańsk, przez dłuższy czas nie zdołano także nawiązać kontaktu z pozostającymi na wolności głównymi działaczami regionu gdańskiego: Bogdanem Lisem i Bogdanem Borusewiczem.

Mimo piętrzących się problemów OKO powoli rozwijał swą działalność, pozyskując coraz większą liczbę bezpośrednich współ-

pracowników. Pracowali oni między innymi w następujących pionach organizacji: łączności międzyregionalnej, wydawniczym, kontaktów z ekspertami, mieszkaniowym (wyszukiwanie zakonspirowanych lokali). Wykorzystano ograniczone możliwości poligraficzne, by pod patronatem OKO wydawać własne pismo *Solidarność Północna*. Tytuł ten nawiązywał do wprowadzanej w życie koncepcji nowej struktury terytorialnej krajowego podziemia, przewidującej podział na okręgi: „Północny” — z centrum w Gdańsku, „Wschodni” — w Warszawie, „Południowy” — w Krakowie, „Zachodni” — we Wrocławiu i „Śląski” — w Katowicach.

Jak wspomniano, inicjatywa Eugeniusza Szumiejki napotkała na sprzeciw niektórych działaczy warszawskich, zwłaszcza Bujaka. Uważał on ją za przedwczesną, miał zastrzeżenia do nazwy. Powołanie centralnej struktury mogło — jego zdaniem — wchodzić w rachubę dopiero po nawiązaniu kontaktów międzyregionalnych i międzyzakładowych oraz stworzeniu ogólnokrajowego pisma o dużym nakładzie. Istotną sprawą było pozyskanie ludzi o dużym autorytecie, co miało zapewnić ogólnonarodową akceptację podziemnego kierownictwa Związku. Bujak obawiał się ponadto, że ewentualne rozbitcie takiej struktury przez resort bezpieczeństwa mogłoby na dłuższy czas sparaliżować całą konspirację.

Zapewne wzrastająca aktywność OKO wpłynęła ostatecznie na przyspieszenie decyzji powołania w Warszawie kierowniczego ciała, koordynującego działania Związku w skali kraju.

W dniu 22 kwietnia 1982 roku, w wyniku wspólnego porozumienia przedstawicieli NSZZ „Solidarność” regionów: Gdańska, Dolnego Śląska, Mazowsza i Małopolski, z którymi już wcześniej nawiązano kontakty, utworzono Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność” (TKK). Pod dokumentem informującym o powstaniu TKK podpisali się: Zbigniew Bujak (region Mazowsze), Władysław Frasyniuk (region Dolny Śląsk), Władysław Hardek (region Małopolska) i Bogdan Lis (region Gdańsk). We wspomnianym dokumencie zobowiązali się do koordynacji działań zmierzających do odwołania stanu wojennego, zwolnienia internowanych i skazanych działaczy Związku, przywrócenia praw obywatelskich oraz wspólnej walki o prawo do działalności NSZZ „Solidarność”. „Działalność naszą — stwierdzono — prowadzić będziemy w ramach Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej do czasu wznowienia prac przez Krajową Komisję NSZZ „Solidarność” z Lechem Wałęsą na czele. Prosimy inne regiony i ośrodki o współpracę w miarę możliwości organizacyjnych i technicznych”.

Dla uniknięcia równoczesnego istnienia dwóch central związkowego podziemia, w spotkaniu założycielskim TKK mieli wziąć udział twórcy OKO: E. Szumiejko i A. Konarski. W liście, który jednak do nich nie dotarł, zaproponowano im wejście do TKK pod warunkiem, że OKO zaprzestanie dalszej działalności, bez oficjalnego rozwiązywania się. Podpis Szumiejki miał natomiast pojawić się pod oświadczeniami TKK. Rzeczywiście, gdy tylko zdołał on nawiązać kontakt z członkami TKK, przyjął te warunki i wszedł w skład TKK jako członek Prezydium Komisji Krajowej.

Jeszcze przed oficjalnym powołaniem TKK, w czasie pierwszego spotkania Bujaka, Lisa, Hardka i Frasyniuka rozważano zasadniczą kwestię, czy przygotowywana struktura krajowa ma mieć formę federacji, pozostawiającej regionom duży margines autonomii, czy też centralnym kierownictwem wszystkich form społecznego oporu. Ostatecznie zdecydowano się na pierwszą z przedstawionych możliwości. TKK miała więc tylko wytyczać główne kierunki działań dla związku i organizacji, które podjęły walkę z dyktaturą.

Poza Eugeniuszem Szumiejko w skład TKK dokooptowano w listopadzie 1982 roku Janusza Pałubickiego (region Wielkopolska) i w połowie 1983 roku Tadeusza Jedynaka (region Śląsko-Dąbrowski). Skład TKK zmieniał się z powodu aresztowań i ujawnień (Hardek i w listopadzie 1984 — Szumiejko). Po aresztowaniu Władysława Frasyniuka region dolnośląski reprezentował najpierw Piotr Bednarz, po jego aresztowaniu Józef Pinior i wreszcie, po aresztowaniu Piniora — Marek Muszyński, występujący początkowo pod pseudonimem „Witold”. Po aresztowaniu zaś Bogdana Lisa region gdański reprezentuje w TKK Bogdan Borusewicz. Ponadto (stan na grudzień 1984 roku) apele TKK sygnują też anonimowo przedstawiciele regionów: Wielkopolski (po aresztowaniu Pałubickiego), wspólny przedstawiciel Bydgoszczy i Torunia (pseudonim „Konrad”), Pomorza Zachodniego i Ziemi Łódzkiej.

Sprawa składu osobowego TKK nie jest jednak automatyczna. Jeszcze w 1982 roku ustalono, że struktura ta nie powinna przekraczać siedmiu osób. Członkowie TKK są powoływani według specjalnego klucza, przy czym fakt przywództwa regionu, nawet zaaprobowany przez TKK nie przesądza wejścia w skład tej struktury. Decydujące znaczenie ma absolutne zaufanie i duży społeczny autorytet kandydata.

Praktyczna, codzienna działalność TKK opiera się na komórkach, będących zespołami roboczymi, które realizują określone za-

dania. Jedną z najważniejszych komórek jest „biuro”, załatwiające rozmaite sprawy między pozostałymi komórkami i ich łączność z członkami TKK. Istotną rolę spełnia „komórka kontaktów międzyregionalnych”, przez którą rozsyła się materiały do regionów i przekazuje korespondencję z regionów do TKK. Na użytek TKK komórka ta ocenia również sytuację w regionach, głównie personalną. „Komórka informacyjna” zajmuje się selekcjonowaniem i przechowywaniem wszelkich wiadomości, które mogą potencjalnie być wykorzystywane w przyszłości na użytek podziemia (rejestruje na przykład adresy mieszkań, które mogą służyć celom konspiracji, osoby chętne do współpracy dysponujące sprzętem technicznym lub dostępem do niego itp.). „Komórka zleceń” przygotowuje materiały i kontakty dla różnego rodzaju akcji spektakularnych podejmowanych przez podziemie. „Komórka kontroli” sprawdza istotne dla związku informacje, kompetencje i wiarygodność osób oferujących swoje usługi dla podziemia itp. „Komórka legalizacji” przygotowuje dokumenty dla ukrywających się, produkuje fałszywe pieczętki, formularze itp. „Komórka prasowa”, w skład której wchodzi przede wszystkim członkowie redakcji *Tygodnika Mazowsze*, utrzymuje sieć terenowych korespondentów, informatorów i łączników. Przy TKK działa też specjalny zespół radio- i telekomunikacji, pracujący nad własną łącznością między regionami, niezależną od państwowej sieci teleksowo-telefonicznej.

Są to oczywiście tylko niektóre wspomagające TKK piony.

W lipcu 1982 roku powołane zostało Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” Za Granicą. Na kierownika tego biura TKK powołała Jerzego Milewskiego. Biuro Koordynacyjne przejęło funkcję działu zagranicznego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Pierwszym programowym dokumentem TKK była ogłoszona 28 lipca 1982 roku deklaracja pod tytułem „Społeczeństwo podziemne”. Podkreślała ona znaczenie niezależnej kultury, nauki, oświaty, ruchu wydawniczego, potrzeby pomocy dla represjonowanych. Zalecała bojkot fasadowego życia społecznego i politycznego, wzywała do manifestacji, obchodów rocznicowych i różnych akcji protestacyjnych.

Na przełomie 1982/1983 roku opracowana została na podstawie dyskusji programowych na łamach prasy niezależnej i w grupach środowiskowych kolejna deklaracja TKK pt. „Solidarność dziś — oświadczenie programowe Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ 'Solidarność' ”. Jako cel dla niezależnego spo-

łeczeństwa polskiego dokument ten wskazywał przełamanie istniejącego systemu sprawowania władzy. Płaszczyzną oporu miał być powszechny bojkot, walka ekonomiczna, rozwijanie niezależnej świadomości społecznej i przygotowania do strajku generalnego. Zasadniczą nowością deklaracji „Solidarność dziś” było otwarcie perspektywy dla legalnych działań pozytywnych.

STRUKTURY REGIONALNE

Przedstawienie rozwoju podziemnych struktur regionalnych NSZZ „Solidarność” po 13 grudnia 1981 roku stwarza określone trudności. Działają one w konspiracji a o ich istnieniu mogą świadczyć wydawane dokumenty (apele, oświadczenia, instrukcje itp.) oraz niezależne pisma. Nie zawsze ma to jednak miejsce. Teoretycznie mogą istnieć struktury, nawet na szczeblu regionu, pracujące wyłącznie przez sieć łączników z zakładami pracy i w związku z tym nie pozostawiające żadnych udokumentowanych śladów swojej działalności. W takich wypadkach nie mogły one zostać uwzględnione w niniejszym opracowaniu.

Bardzo często niemożliwe okazywało się rozszyfrowanie kompetencji terytorialnej rozmaitych struktur. Należy w tym miejscu przypomnieć, że proces kształtowania się terytorialnej struktury Związku nie został zakończony do 13 grudnia 1981 roku. Tym bardziej więc obecnie, w warunkach konspiracji, granice regionów są płynne i nie zawsze pokrywają się z granicami, które obowiązywały w okresie legalnej działalności NSZZ „Solidarność”.

Poniższy spis sporządzono w porządku alfabetycznym:

Region Białystok

Po wprowadzeniu stanu wojennego ukonstytuowało się w Białymstoku Prezydium Regionalnego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” Region Białystok (PRMKS-RB). W dniu 20 marca 1982 roku na terenie regionu została powołana Tymczasowa Komisja Regionalna NSZZ „Solidarność” Region Białystok (TKR-RB), stanowiąca bezpośrednią kontynuację PRMKS-RB, które do tej pory pełniło rolę centrum koordynacyjnego dla całego regionu. Oświadczenie TKR-RB określiło aktualną politykę związku w regionie: koordynacja prac związkowych, inicjowanie akcji związkowych o charakterze regional-

nym, reprezentacja regionu na forum ogólnokrajowym. W oświadczeniu z 13 maja 1982 roku TKR-RB podporządkowała się TKK. Przewodniczącym TKR-RB został S. Marczuk. Organem prasowym TKR-RB jest *Biuletyn Informacyjny Solidarność*, stanowiący kontynuację wydawanego przed wprowadzeniem stanu wojennego pisma pod tym samym tytułem.

W regionie Białystok działają także: Terenowa Komisja Koordynacyjna — Bielsk Podlaski (organ prasowy: *Miesięcznik*) oraz Terenowa Komisja Koordynacyjna — Czarna Białostocka (organ prasowy: *Biuletyn Cień*).

W licznych zakładach pracy regionu funkcjonują Tajne Komitety Zakładowe (TKZ).

Region Bydgoski

W czerwcu 1982 roku doszło w Bydgoszczy do spotkania przedstawicieli Grup Działania „Solidarność”. W wyniku tego spotkania utworzono Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność” Regionu Bydgoskiego (TKK-RB). Przewodniczącym został H. Maj. TKK-RB uznała zwierzchnictwo TKK. Od listopada 1984 roku władze regionu bydgoskiego (wspólnie z RKW-Toruń) reprezentowane są w TKK przez osobę występującą pod pseudonimem „Konrad”.

Dnia 15 września 1984 roku członkowie TKK-RB spotkali się z uwolnionym na mocy amnestii przewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” w Bydgoszczy Janem Rulewskim.

Niektóre oświadczenia TKK-RB wydaje wspólnie z Tymczasowym Prezydium Zarządu Regionu w Toruniu. Organem prasowym TKK-RB jest *Informator Bydgoski — Pismo Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „Solidarności” Regionu Bydgoskiego*. W regionie ukazuje się także *Bydgoski Podziemny Serwis Informacyjny „Solidarność”*. Regularne audycje nadaje też „Radio Solidarność Regionu Bydgoskiego”. W licznych zakładach pracy regionu działają TKZ-ty.

Region Chełm

W regionie działa Regionalna Komisja Koordynacyjna — Chełm (RKK-Ch) z organem prasowym *Informacja RKK — Chełm*.

Region Częstochowa

Następnego dnia po wprowadzeniu stanu wojennego, 14 grudnia 1981 roku, działacze regionu, którzy uniknęli aresztowania powołali do życia Komitet Oporu „Solidarności” Częstochowa (KO„S”-Cz).

Dnia 30 czerwca 1982 roku doszło w wyniku spotkania KO„S”-Cz z przedstawicielami TKZ-tów częstochowskich zakładów pracy do utworzenia Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego NSZZ „Solidarność” Częstochowa (MKK-Cz), przekształconego później (prawdopodobnie w początkach 1983 roku) w Tymczasową Komisję Regionalną NSZZ „Solidarność” Częstochowa (TKR-Cz). Powiązania TKR-Cz z TKK nie są jasne. Organem prasowym TKR-Cz był początkowo *Biuletyn Informacyjny Tymczasowej Komisji Regionalnej NSZZ „Solidarność” w Częstochowie*. Obecnie żaden z ukazujących się tytułów prasy niezależnej w regionie nie jest pismem TKR-Cz. Oświadczenia, komunikaty i apele TKR-Cz ukazują się zwykle w biuletynie *Nadzieja-Pismo członków NSZZ „Solidarność” Region Częstochowa*.

Region Dolny Śląsk

Już w marcu 1981 roku, po wydarzeniach bydgoskich, Zarząd Regionu Dolny Śląsk wydał instrukcje dla Komisji Zakładowych na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego. Niewątpliwie było to przyczyną bardzo szybkiej odbudowy struktur organizacyjnych „Solidarności” po 13 grudnia 1981 roku i ich sprawnej działalności.

Po udanym powrocie Władysława Frasyniuka z Gdańska do Wrocławia, w grudniu 1981 roku stworzono Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność” Dolny Śląsk (RKS-DŚ) z siedzibą początkowo w zajezdni na ul. Grabiszyńskiej, później w zakładach DOLMEL-PaFaWag. Organem prasowym RKS-DŚ są pisma *Z dnia na dzień* i *Komunikat*. Z RKS-em związany jest też akademicki *Biuletyn Wrocławski* oraz 10-ciostronicowy tygodnik *Dziś i Pojutrze*.

Pierwszym przewodniczącym RKS-DŚ był Władysław Frasyniuk, następnie Piotr Bednarz, później Józef Pinior. Aktualnie funkcję przewodniczącego pełni Marek Muszyński „Witold”. Zmiany te spowodowane były aresztowaniami kolejnych przewodniczących regionu.

Pierwotnie RKS był ciałem 3-osobowym (Frasyniuk, Bednarz, Pinior), później uległ znacznemu rozszerzeniu. Poza wspomnia-

ną trójką, występującą pod własnymi nazwiskami, w skład RKS-DŚ weszło sześciu przedstawicieli największych wrocławskich zakładów pracy (PaFaWag, Dolmel, Elwro, Hutmen, FAT i Fadroma) oraz szefowie najważniejszych pięciu pionów RKS-u, zwanych też agendami. Oto niektóre z nich: „kancelaria” (przez którą przechodzą wszystkie kontakty), „dział współpracy z zakładami”, „propaganda” (czyli prasa, wydawnictwa, ulotki), „łączność międzyregionalna”, „dział organizacyjny”, „rada finansowa”. W skład RKS-DŚ wchodził początkowo jako szef „propagandy” Kornel Morawiecki — założyciel i pierwszy redaktor naczelny pisma *Z dnia na dzień*. W ciągu pierwszego półrocza 1982 roku zarysowały się między K. Morawieckim a przewodniczącym RKS-DŚ Frasyniukiem poważne rozbieżności co do taktyki walki z komunistyczną dyktaturą w Polsce. Po powstaniu TTK Morawiecki uznał linię polityczną reprezentowaną przez tę strukturę za zbyt umiarkowaną i nieskuteczną. Złożył więc rezygnację z członkostwa w RKS-DŚ i od czerwca 1982 roku zaczął wydawać własną gazetkę pod tytułem *Solidarność Walcząca*. Po kilku tygodniach zawiązało się porozumienie pod tą samą nazwą, które jesienią 1982 roku przekształciło się w organizację. Poza Wrocławiem „Solidarność Walcząca” (SW) ma swoje oddziały, między innymi w Katowicach, Poznaniu, Lublinie, Gdańsku, Koninie, Jeleniej Górze, na Ziemi Lubuskiej. SW wydaje łącznie ponad 20 pism.

Niemal w każdym większym zakładzie regionu działają TKZ-ty. Łączność między nimi koordynują: założona w październiku 1983 roku Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Wrocławskich Zakładów Pracy (obejmuje zakłady: Elwro, Fadromę, Fat, Hutmen); powstała wiosną 1984 roku Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna we Wrocławiu (zrzesza: PTHW, Wrozamet, ZPUT, ZREMB), oraz — Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” — Grabiszyniek, działająca w dzielnicy Wrocław-Fabryczna. Ta ostatnia posiada własne pismo *Victoria*.

W Świdnicy działa, współpracująca z RKS-DŚ, Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Ziemi Świdnickiej (TKK-ZŚ), zaś w Zgorzelcu, na tej samej zasadzie, Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Ziemi Zgorzeleckiej (KK-Zgorzelec), wydająca pismo *Zgorzelina*.

Region Gdańsk

Na początku lutego 1982 roku doszło do spotkania trzech czo-

łowych działaczy gdańskiej „Solidarności”: Bogdana Borusewicz, Aleksandra Halla i Bogdana Lisa. Postanowiono wówczas przystąpić do budowy struktury regionalnej. Jej powstanie poprzedzić miało powołanie do życia gdańskiego biuletynu *Solidarność* oraz zmontowanie sieci kolportażu, umożliwiającej rozprowadzanie bibuły, zbieranie informacji i pieniędzy, kontakty z zakładami, z krajem i zagranicą. Do wspomnianej trójki dokooptowano wkrótce dwóch ukrywających się działaczy z portu gdańskiego: Mariana Świtka i Stanisława Jarosza.

Dnia 6 maja 1982 roku Borusewicz, Hall, Jarosz, Lis i Świtek podpisali oświadczenie o powołaniu do życia Regionalnej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” w Gdańsku (RKK-Gd.). Powstanie RKK-Gd. było bezpośrednim następstwem ukonstytuowania się ogólnopolskiej TKK, w której region gdański reprezentował Bogdan Lis.

W składzie RKK-Gd. znalazł się później także Andrzej Rembowski, przewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Wytwórni Łożysk Ślizgowych „PZL-Bimet” w Gdańsku-Oliwie, oraz — od czerwca 1984 roku — Andrzej Michałowski, działacz „Solidarności” z Portu Gdańskiego (skład ten ulegał zresztą zmianom na skutek aresztowań, rezygnacji (Aleksander Hall — dn. 6 stycznia 1984) lub ujawnień.

Przy RKK-Gd. działają wyspecjalizowane komórki, umożliwiające jej działalność; między innymi dział wydawniczy, składający się z trzech zasadniczych pionów: redakcji pisma regionalnego, poligrafii i kolportażu, dział finansowy i powiązany z nim dział gospodarczy, dział legalizacji (dostarczający podrobione dokumenty, różnego rodzaju druki i pieczętki), dział techniczny — produkujący radionadajniki, wyrzutniki do ulotek itp.

W dniu 18 marca 1983 roku została podpisana umowa o współpracy i pomocy między RKK-Gd. a Paryską Unią Regionalną Skonfederowanych Związków Zawodowych *Force Ouvrière*.

Organem prasowym RKK-Gd. jest *Solidarność* — *Pismo Regionu Gdańskiego*.

W regionie działają TKZ-ty, najsilniejszy w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. W marcu 1982 powstał Komitet Koordynacyjny Portów Morskich. Ponadto od 12 maja 1983 roku w dzielnicy Gdańsk-Brzeźno działa Osiedłowy Komitet Solidarności. W Tczewie zawiązał się Komitet Koordynacji Społecznej NSZZ „Solidarność” (KKS-T), jako struktura międzyzakładowa tczewskich zakładów pracy (pismo: *Gazeta Tczewska*).

Ponadto w lipcu 1983 roku został utworzony z upoważnienia RKK-Gd. Regionalny Ośrodek Oświaty Niezależnej, który zaj-

muje się koordynowaniem prac samokształceniowych w Regionie Gdańskim.

Region Gorzów Wielkopolski

Od połowy 1982 roku działa w regionie Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Region Gorzów Wielkopolski (RKW-GWlp). Przewodniczącym RKW-GWlp został Zbigniew Bełz, a po jego aresztowaniu w kwietniu 1983 roku „Zbigniew Wiśniewski”. Ponadto działa tutaj Zarząd Regionalny NSZZ „Solidarność” Region Gorzów Wielkopolski (ZR-GWlp). Funkcję przewodniczącego pełnił do aresztowania w lutym 1984 roku Edward Borowski.

Organem prasowym RKW-GWlp jest *Feniks* — *Biuletyn Informacyjny Komisji Wykonawczej „Solidarność” Regionu Gorzów Wielkopolski*.

Dla koordynacji działań o znaczeniu ponadregionalnym, dnia 14 marca 1983 roku na zebraniu przedstawicieli Komisji Międzyzakładowych Regionu Pomorza Zachodniego doszło do utworzenia Federacji Gorzowsko-Koszalińsko-Szczecińskiej NSZZ „Solidarność”. Przewodniczącym Federacji został Zbigniew Bełz. Po jego aresztowaniu Federacja nie przejawiała dalszej aktywności i najprawdopodobniej się rozpadła.

Region Koszalin

Prawdopodobnie nie istnieje zorganizowana grupa stanowiąca kierownictwo regionu. Nieznani z nazwiska przedstawiciele regionu weszli w skład Federacji Gorzowsko-Koszalińsko-Szczecińskiej NSZZ „Solidarność”, która powstała 14 marca 1983 roku na zebraniu przedstawicieli Komisji Międzyzakładowych.

Region Ziemia Łódzka

Po rozbiciu, na skutek aresztowań, Regionalnego Komitetu Strajkowego w Łodzi (RKS), zawiązał się Tajny Tymczasowy Zarząd Regionalny NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej (pismo: *Biuletyn Informacyjny Regionu Ziemi Łódzkiej „Solidarność” — Komunikat wojenny*). Niezależnie od niej w połowie 1982 roku powstała Regionalna Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność”

Ziemi Łódzkiej (RKK-ZŁ) na czele z J. Romańskim, R. Krzysztosiakiem i R. Grotowskim (organ prasowy: *Solidarność*, od lipca 1983 *Solidarność Ziemi Łódzkiej*). Niektóre oświadczenia podpisywane były przez obie te struktury. Z RKK-ZŁ współpracowała, działająca od 13 grudnia 1981 roku Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna „Jesteśmy”, koordynująca współpracę między związkami NSZZ „Solidarność” Rolników i Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Dnia 13 maja 1984 roku ukonstytuowała się, skupiająca reprezentantów niezależnych środowisk Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” — Region Ziemia Łódzka (RKW-ZŁ). Organem prasowym jest *Głos Łodzi*. Przewodniczącym RKW-ZŁ został „Jawor”.

Dnia 19 września 1984 roku RKK-ZŁ wydała komunikat o rozwiązaniu i wezwała wszystkich swoich działaczy i współpracowników do podporządkowania się RKW-ZŁ, która przejęła tym samym obowiązki jedynej podziemnej reprezentacji związku w regionie łódzkim.

W Łodzi działa także od listopada 1982 roku niepodporządkowany TKK Robotniczy Komitet Oporu NSZZ „Solidarność” (RKO). Wydaje on popularne w Łodzi pismo niezależne *Biuletyn Łódzki*.

Region Małopolska

Wkrótce po ogłoszeniu stanu wojennego i załamaniu się strajku w kombinacie Huta im. Lenina, powstała Komisja Regionalna „Solidarność” Małopolska (KR-M) — jako Zarząd Regionu w warunkach stanu wojennego. Wkrótce przekształciła się ona w Regionalną Komisję Wykonawczą NSZZ „Solidarność” Małopolska (RKW-M). Równocześnie podjęła działalność Regionalna Tymczasowa Komisja Koordynacyjna (RTKK).

Początkowo w skład RKW-M wchodził: Władysław Hardek, Stanisław Handzlik i Jan Ciesielski oraz dokooptowany nieco później Jan Pacula.

W lutym 1982 roku po spotkaniu z przewodniczącym OKO, Eugeniuszem Szumiejko, RKW-M przyjęła na siebie obowiązki Centrali Okręgu Południe (patrz str. 20). Jej reprezentantami w OKO zostali W. Hardek i S. Handzlik. Gdy powstała TKK, Centrala Okręgu Południe rozwiązała się automatycznie, zaś Hardek wszedł od samego początku w skład nowej ogólnokrajowej struktury.

Organami prasowymi RKW-M były: *Aktualności*, *Serwis Informacyjny* i *Biuletyn Małopolski*. Oświadczenia RKW-M drukował też *Przegląd Prasy Związkowej i Niezależnej*.

W II połowie 1982 roku po aresztowaniu najpierw Handzlika, a później Paculi nastąpiło widoczne osłabienie działalności RKW-M i jego częściowy rozkład. W tej sytuacji, 28 października 1982 roku zawiązała się nowa struktura pod nazwą Regionalny Komitet Solidarności Małopolska (RKS-M). Z czasem podporządkowały mu się także te TKZ-ty i organizacje „Solidarności” międzyzakładowej, które dotąd uznawały RKW-M jako naczelną strukturę regionu. Począwszy od numeru 75 (z 26 listopada 1983 roku) pismem RKS-M stały się *Aktualności*. Do ostatecznego rozpadu RKW-M przyczyniło się kompromitujące wystąpienie w programie telewizyjnym (po aresztowaniu w sierpniu 1983 roku) przewodniczącego W. Hardka, który potwierdził swoje rzekomo dobrowolne ujawnienie się.

Niezależnie od sytuacji w kierownictwie regionu od jesieni 1982 roku zaczęły organizować się międzyzakładowe struktury poziome, koordynujące działalność TKZ. W każdej z pięciu krakowskich dzielnic istnieją dziś tak zwane „zakłady wiodące”, sprawujące patronat nad kilku, w niektórych wypadkach nad kilkunastoma zakładami pracy. W dniu 12 października 1982 roku został powołany Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w Nowej Hucie (MKS-NH), a 17 października 1982 roku Międzydzielnicowy Komitet Strajkowy — Kraków (MKS-K) dla następujących dzielnic Krakowa: Grzegórzki, Krowodrze, Podgórze, Śródmieście. Część zakładów pracy regionu reprezentuje powstały także w końcu 1982 roku Międzyzakładowy Komitet Strajkowy Wschodnia Małopolska (MKS-Wsch.M.). W rezultacie nawiązanych kontaktów z zakładami w mniejszych ośrodkach regionu Małopolska powstały także: Międzyzakładowy Komitet „Solidarności” Zakopane i Międzyzakładowy Komitet „Solidarności” Myślenice.

Z inicjatywy RKW-M doszło też do stworzenia w regionie kilku struktur branżowych NSZZ „Solidarność”: Solidarność Nauki — Kraków (pismo: *Dzień*), Solidarność Służby Zdrowia — Kraków (pismo: *Biuletyn Służby Zdrowia*) i Solidarność Oświaty — Kraków (pismo: *Solidarność Nauczycielska*).

Region Mazowsze

W pierwszych miesiącach stanu wojennego nie działała na Mazowszu żadna grupa pełniąca funkcję naczelnej władzy związ-

kowej w regionie. Praktycznie rolę taką pełnił jednoosobowo ukrywający się przewodniczący Zarządu Regionu Zbigniew Bujak. Kontaktował się on jednak i konsultował swoje decyzje z innymi czołowymi działaczami „Solidarności” w regionie Mazowsze. Z inicjatywy tych osób zaczął w lutym 1982 roku ukazywać się, od razu w dużym nakładzie kilkunastu tysięcy egzemplarzy, *Tygodnik Mazowsze*. Jego kolportaż umożliwił szerszą współpracę między zakładami, dopomógł też w organizowaniu tajnych komisji zakładowych. Równocześnie, z inicjatywy małżeństwa Romaszewskich uruchomiono „Radio Solidarność”.

Regionalny Komitet Wykonawczy NSZZ „Solidarność” — (RKW-Mazowsze) zawiązał się dopiero po powstaniu TKK, dokładnie 8 maja 1982 roku. W jego składzie znaleźli się wówczas: Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas, Wiktor Kulerski, Zbigniew Romaszewski. Nieco później dokooptowany został Konrad Bieliński (15 października 1982) roku) a po rezygnacji i ujawnieniu się Zbigniewa Janasa — Jan Lityński. Organem prasowym RKW-Mazowsze jest *Informacja Solidarności Region Mazowsze* oraz *Przegląd Wiadomości Agencyjnych Regionu Mazowsze* (ukazuje się od jesieni 1984 roku).

Jeszcze przed powstaniem RKW-Mazowsze w wielu zakładach pracy regionu aktywnie działały TKZ-ty i wyłonione w wyniku porozumień struktury międzyzakładowe: Międzyzakładowy Komitet Samopomocy Społecznej NSZZ „Solidarność”, Porozumienie CDN Warszawskich Zakładów Pracy, Grupy Współpracy Solidarności w Regionie Mazowsze i inne. Dnia 24 kwietnia 1982 roku z połączenia Międzyzakładowego Komitetu Samopomocy Społecznej NSZZ „Solidarność” i Porozumienia CDN Warszawskich Zakładów Pracy zawiązał się, zrzeszający 63 zakłady stolicy — Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności” w Warszawie (MRK”S”). Struktura ta, z którą blisko współpracowali do momentu swego aresztowania (latem 1982 roku) Romaszewscy, wystąpiła z własnym programem oporu i określiła się — w momencie swego powstania — jako ciało doradcze oczekiwanego jeszcze wówczas RKW. MRK”S” dysponuje kilkoma pisemami, z których szczególnie ważną rolę pełnią CDN i *Głos Wolnego Robotnika*. W sierpniu 1982 roku MRK”S” przeżył bardzo dotkliwą wpadkę, w wyniku której aresztowano większość jej aktywistów ze Zbigniewem Romaszewskim na czele.

Już w okresie istnienia RKW-Mazowsze, dokładnie w nocy z 26 na 27 czerwca 1982 roku powstał Komitet Porozumienia Międzyzakładowego „Solidarność” w Warszawie (pismo *Kie-*

runki), zrzeszający ponad 60 zakładów pracy Warszawy i okolicy. Zadaniem tego Komitetu jest współpraca i koordynacja z innymi międzyzakładowymi strukturami regionu Mazowsze.

Ponadto w regionie działają: Tajna Komisja Międzyzakładowa przy FSO, Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna „Solidarności” Żyrardów (pismo: *ŻAR — Pismo Solidarności Żyrardowa*), w dzielnicy Mokotów: Mikroregion „Solidarności” Mokotów (pismo: *Komunikat*), Międzyzakładowy Tymczasowy Komitet NSZZ „Solidarność” Biała Podlaska, Terenowy Komitet Oporu „Solidarność” Piaseczno, Terenowa Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Województwa Siedleckiego oraz — bardzo aktywna — Mazowiecka Konfederacja „Solidarności” z siedzibą w Białej Podlaskiej. Powstała ona 1 czerwca 1983 roku jako porozumienie międzyzakładowe regionu Mazowsze. W prezydium Mazowieckiej Konfederacji „Solidarności” znaleźli się: Jan Kowalski, Janusz Kwieciński, Karol Win, Łukasz Zieliński. Pismami Mazowieckiej Konfederacji „Solidarności” są *Verbum* i *Podlasie*.

Region Płock

W regionie działa od połowy 1982 roku Tymczasowy Komitet Wykonawczy Regionu Płockiego (TKW-Płock), podporządkowany TKK.

Organem prasowym TKW-Płock jest pismo *Solidarność Płock*.

Region Podbeskidzie (Bielsko-Biała)

Pierwsze próby zorganizowania podziemnych władz regionu podjęto już w styczniu 1982 roku. Powstała grupa kierownicza przyjęła nazwę „Trzeci Szereg”. W początkowym okresie opiekę nad regionem Podbeskidzie sprawował znacznie silniejszy Region Małopolska. W maju 1982 roku Stanisław Handzlik, wówczas wiceprzewodniczący Regionu Małopolska (RKW-M), podpisał oświadczenie uznające istnienie Regionalnej Komisji Wykonawczej „Trzeci Szereg” NSZZ „Solidarność” Regionu Podbeskidzie w Bielsku-Białej (RKW „TSz”). Przewodniczącym został „Jerzy”, wiceprzewodniczącym „Krzysztof”.

Organem prasowym jest pismo *Solidarność Podbeskidzia*. W regionie działa „Radio Solidarność”.

Region Podkarpacie

W regionie działa Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Podkarpacie (RKW-Podkarpacie) z siedzibą w Krośnie.

Od jesieni 1983 roku ukazuje się jako organ prasowy RKW-Podkarpacie pismo *Solidarność Podkarpacka — Informator Regionalnej Organizacji Związkowej*.

Region Pomorze Zachodnie

Po wprowadzeniu stanu wojennego powstało w Szczecinie w grudniu 1981 roku Tajne Kolegium NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego (TK-Pom.Zach.). Rola tej struktury i zadania jakie postawili przed sobą jej członkowie nie jest jasna. Jedynym potwierdzeniem istnienia grupy jest ukazujące się do dzisiaj pismo *Jedność*.

Dnia 14 grudnia 1981 roku dla koordynacji akcji strajkowych zawiązał się Międzyzakładowy Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność” Pomorza Zachodniego (MKS-Pom.Zach.). W styczniu 1982 MKS-Pom.Zach. przekształcił się w Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ Solidarność Regionu Pomorza Zachodnie (RKS-Pom.Zach.). Organem prasowym było pismo *Z podziemia*. Słaby kontakt RKS-Pom.Zach. z działającymi w regionie TKZ-tami spowodował, że pod koniec lipca 1984 roku, w wyniku porozumienia czołowych grup społecznego oporu w Szczecińskim, utworzona została Rada Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Regionu Pomorza Zachodniego (RK-Pom.Zach.). Na jej czele stanął „Grot”.

Dnia 8 września 1984 roku RKS-Pom.Zach. wydał oświadczenie o rozwiązaniu się, w związku z powstaniem RK-Pom.Zach., która prowadzi bieżącą działalność koordynacyjną i reprezentuje region w kontaktach zewnętrznych. RKS-Pom.Zach. zaapelował do wszystkich członków „Solidarności” w regionie o zjednoczenie się pod egidą RK-Pom.Zach.

Region Pomorza Zachodniego był też reprezentowany w Federacji Gorzowsko-Koszalińsko-Szczecińskiej NSZZ „Solidarność”, która powstała 14 marca 1983 roku na zebraniu przedstawicieli Komisji Międzyzakładowych Pomorza Zachodniego.

Region Ziemia Radomska

Latem 1982 roku zawiązała się w Radomiu Regionalna Komi-

sja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” Ziemia Radomska (RKK-Ziemia Radomska). Organem prasowym jest pismo *Ziemia Radomska*.

W Radomiu wydawany jest też *Wolny Robotnik* — pismo NSZZ „Solidarność” Ziemia Radomska.

Wiadomo, że w regionie działają TKZ-ty, między innymi TKZ NSZZ „Solidarność” Zakładów Metalowych w Radomiu.

Region Słupski

Nie wiadomo o istnieniu podziemnych władz regionalnych. Natomiast w Łęborku działa Terenowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność”, wydająca własne pismo *Robotnik Łęborka*.

Region Śląsko-Dąbrowski

W połowie 1982 roku zawiązała się w Regionie Śląsko-Dąbrowskim Regionalna Komisja Wykonawcza NSZZ „Solidarność” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego (RKW-ŚD). Do wiosny 1983 roku jej działalność była prawie niewidoczna; nie ukazywały się oficjalne oświadczenia, a grupy oporu różnych szczebli usiłowały bezskutecznie nawiązać z nią kontakt. Z tego powodu działająca w regionie Gliwicka Delegatura NSZZ „Solidarność” (organ prasowy *Manifestacja Gliwicka*) w oświadczeniu z 5 stycznia 1983 roku zdecydowała się wystąpić z dotychczasowych struktur i — do czasu wyjaśnienia sytuacji w kierownictwie regionu — działać jako samodzielny ośrodek konspiracyjny. Dnia 11 marca 1983 roku RKW-ŚD w swoim organie prasowym *Regionalny Informator Solidarności Śląsko-Dąbrowskiej* wydała oświadczenie, potwierdzające swoje istnienie i podporządkowanie deklaracji programowej TKK. Do widocznej aktywizacji doszło jednak dopiero po objęciu funkcji przewodniczącego RKW-ŚD przez Tadeusza Jedynaka, który został jednocześnie upoważniony do reprezentowania regionu w tymczasowych władzach krajowych związku (tj. w TKK). W dniu 2 października 1983 roku funkcję wiceprzewodniczącego RKW-ŚD powierzono „Hubertowi”.

Region Śląsko-Dąbrowski, w związku z swoją specyfiką (gęsto zaludniony, liczne zakłady pracy) w okresie legalnej działalności związku podzielony był na mikroregiony. Obecnie działają one na zasadzie „delegatur”, luźno powiązanych z RKW-ŚD. Tak

więc poza wspomnianą Gliwicką Delegaturą NSZZ „Solidarność” w regionie działają także: Jastrzębska Delegatura NSZZ „Solidarność”, Bytomska Delegatura NSZZ „Solidarność” (pismo: *Biuletyn Bytomskiej Delegatury RKW*), Rybnicka Delegatura NSZZ „Solidarność” (pismo: *Szerszeń*), Miejski Komitet Oporu NSZZ „Solidarność” w Zabrze, który powstał jeszcze w grudniu 1981 roku (pismo: *Bibuła*), Miejski Komitet Oporu NSZZ „Solidarność” w Sosnowcu (pismo: *Biuletyn Sosnowieckiej Grupy Oporu*), Miejski Komitet Oporu NSZZ „Solidarność” w Siemianowicach (pismo: *Victoria*). Ponadto z inicjatywy i pod patronatem RKW-ŚD powstała Regionalna Sieć Wiodących Zakładów Pracy Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, która działa jednak jako struktura samodzielna.

RKW-ŚD odmówiła natomiast swego uznania Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność” Kopalń Jastrzębia, działającej pod przewodnictwem „Dawida Jastrzębskiego”. Określono także jako „nadużycie” używanie przez tę strukturę symboliki „Solidarności” (Oświadczenie RKW-ŚD z 16 października 1984).

Region Środkowo-Wschodni

Dnia 13 grudnia 1981 roku zawiązał się w Lublinie Regionalny Komitet Strajkowy Regionu Środkowo-Wschodniego (RKS-Ś-Wsch.), z organem prasowym *Biuletyn Strajkowy*. Po zakończeniu akcji strajkowych RKK-Ś-Wsch. przekształcił się w Tymczasowy Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego, na czele którego stanął jako przewodniczący Jacek Świdnicki. Przy Zarządzie tym ukonstytuował się w maju 1982 roku, po powstaniu TKK, Komitet Założycielski Regionalnej Komisji Koordynacyjnej z własnym organem prasowym *Informator NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego*. W grudniu 1982 roku Komitet Założycielski przekształcił się w Regionalną Komisję Koordynacyjną Regionu Środkowo-Wschodniego (RKK-Ś-Wsch.). Przewodniczącym RKK-Ś-Wsch. został Józef Awramczuk. Struktura ta podporządkowana jest TKK.

W regionie działają liczne TKZ-ty i Międzyzakładowe Komitety Koordynacyjne. Wiadomo na przykład, że w Zamościu działa Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność”, wydający własne pismo *Bez cenzury*; w Puławach — Tymczasowy Zarząd Oddziału NSZZ „Solidarność” — Ziemia Puławska;

w Tomaszowie Lubelskim Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” — Tomaszów Lubelski (pismo: *Solidarność Roztocze*).

Region Toruński

Niemal bezpośrednio po wprowadzeniu stanu wojennego, zapewniając w ten sposób ciągłość władzy związkowej w regionie, zawiązało się w Toruniu Tymczasowe Prezydium Zarządu Regionu Toruńskiego NSZZ „Solidarność” (TPZR-Toruń). Równocześnie — jako organ prasowy regionalnych władz związkowych — zaczął ukazywać się *Toruński Informator Solidarności* — pismo NSZZ „Solidarność” Regionu Toruńskiego.

Z inicjatywy TPZR-Toruń doszło w końcu 1982 roku do powstania Międzyzakładowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” Regionu Toruńskiego (MKP-R-Toruń) z kompetencjami uchwałodawczymi. Dnia 18 maja 1983 roku TPZR-Toruń przekształcił się w Regionalną Komisję Wykonawczą (RKW-Toruń). Od 4 stycznia 1984 *Toruński Informator Solidarności* wydawany jest jako pismo RKW *Solidarność Regionu Toruńskiego*. Ukazuje się także *Kontra* — pismo NSZZ „Solidarność” Regionu Toruńskiego.

Od listopada 1984 roku RKW-Toruń reprezentowany jest w TTK przez osobę występującą pod pseudonimem „Konrad”, reprezentującą także region bydgoski (patrz str. 24).

Region Warmińsko-Mazurski

Od połowy 1982 roku rozpoczął działalność Tymczasowy Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność” w Olsztynie (TZR-Olsztyn). Jego organem prasowym jest pismo *Rezonans*. Oświadczenia i apele TZR-Olsztyn publikuje też kolportowany w regionie Warmińsko-Mazurskim *Biuletyn Informacyjny NSZZ „Solidarność”*.

Przewodniczącym TZR-Olsztyn jest od września 1984 roku Jan Broński.

Region Wielkopolska

Po wprowadzeniu stanu wojennego działała w regionie grupa pod nazwą NSZZ Solidarność — Poznań, potwierdzająca swoją

obecność wydawanymi apelami i oświadczeniami, które publikowano w piśmie *Obserwator Wielkopolski*. Dnia 26 maja 1982 roku powstał Konspiracyjny Zarząd NSZZ „Solidarność” Regionu Wielkopolska (KZ-Włp.). Prawdopodobnie jednak nie zdołał on zapewnić sobie wystarczającej łączności z TKZ-tami, gdyż 16 czerwca 1982 roku w Poznaniu, na spotkaniu przedstawicieli TKZ NSZZ „Solidarność” największych zakładów pracy Regionu Wielkopolskiego oraz środowiska skupionego wokół pisma *Obserwator Wielkopolski*, powołano do życia Tymczasową Komisję Koordynacyjną NSZZ „Solidarność” Regionu Wielkopolska (TKK-Włp.). Zobowiązała się ona podporządkować i współdziałać z TKK i koordynować działalność związkowców w regionie. W sierpniu 1982 roku TKK-Włp. wyłoniła ze swego grona Tymczasowy Zarząd Regionu Wielkopolska (TZR-Włp.), na czele z Januszem Pałubickim. Po jego aresztowaniu TZR-Włp. kontynuował działalność pod innym kierownictwem.

Dnia 17 stycznia 1984 roku w wyniku porozumień międzyzakładowych powstała Międzyzakładowa Rada „Solidarności” w Poznaniu. W wydanym oświadczeniu zaznaczono, że nowopowstała Rada ma charakter struktury poziomej i nie należy traktować jej jako ciała konkurencyjnego w stosunku do TZR-Włp. Organem prasowym Międzyzakładowej Rady „Solidarności” w Poznaniu jest pismo *Komunikat*.

Region Zielona Góra

Dnia 26 czerwca 1982 roku zawiązała się w regionie Tymczasowa Regionalna Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” w Zielonej Górze (TRKK-ZG), z organem prasowym *Solidarność Srodkowego Nadodrza — Biuletyn TRKK NSZZ „Solidarność” w Zielonej Górze*.

TRKK-ZG powołała z kolei do życia Regionalną Komisję Wykonawczą NSZZ „Solidarność” w Zielonej Górze (RKW-ZG). Swoje oświadczenia publikuje ona w *Zielonogórskim Serwisie Informacyjnym*.



NIEZALEŻNY RUCH CHŁOPSKI. STRUKTURY OGÓLNOPOLSKIE

Wiadomo o działalności po 13 grudnia 1981 roku następujących struktur niezależnego ruchu chłopskiego:

- Podziemny Krajowy Komitet „Solidarność Wiejska”;
 - Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników (pismo: *Solidarność Rolników*, ukazujące się od września 1982 roku, od września 1983 roku z dodatkiem *Rolnicy i Kościół*;
 - Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników „Solidarność” (OKOR”S”), powołany w maju 1982 roku przez przedstawicieli różnych regionów i niezależnych związków chłopskich.
- Oświadczenia OKOR-u podpisywał swoim nazwiskiem ukrywający się od 13 grudnia 1981 roku sekretarz prezydium krajowego NSZZ RI „Solidarność” Józef Teliga, aresztowany 11 grudnia 1983 roku. Ostatnio oświadczenia OKOR-u podpisuje „Jan Kamiński”. W 1983 roku zawarte zostało porozumienie o współpracy i wzajemnej pomocy między OKOR-em, KOS-em i Solidarnością Walczącą. Organami prasowymi OKOR-u są: *Żywią i Broń* — region centralny, *Solidarność Rolników* — region południowy, *Goniec Wojenny* — region północno-wschodni, *AR* — region północno-zachodni.
- Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników i Robotników (działa w regionie dolnośląskim). Pismo: *Gospodarz*.

NIEZALEŻNY RUCH CHŁOPSKI. STRUKTURY REGIONALNE

- Tymczasowy Komitet Obrony NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych Pomorza Zachodniego;
- Solidarność Rolników Indywidualnych Regionu Ziemia Kielecka;
- NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych Region Środkowo-Wschodni (pismo: *Wieś Solidarna*).



STRUKTURY PONADREGIONALNE I BRANŻOWE. KOMISJE PROBLEMOWE

Struktury ponadregionalne:

- Sieć Wiodących Zakładów Pracy NSZZ „Solidarność”. Do reaktywowania tej struktury, istniejącej w okresie legalnej działalności związku, doszło w wyniku spotkania, zainicjowanego przez TKK i przedstawicieli członków „Solidarności” następujących, wielkich zakładów pracy: Huty im. Lenina, Huty „Katowice”, Kopalni Węgla Kamiennego „Wujek”, Fadroma-Wrocław,

WSK Świdnik i Zakładów Mechanicznych „Ursus”. Oświadczenia „Sieci” podpisują: „Franciszek” (Huta im. Lenina), „Andrzej” (Huta „Katowice”), „Oskar” (KWK „Wujek”), „Józef” (Fadroma-Wrocław) i Zbigniew Janas (Ursus).

— Międzyregionalna Komisja Obrony NSZZ „Solidarność” (MKO). Zawiązała się we wrześniu 1982 roku. Jej organem prasowym stało się pismo *Bez Dyktatu*. RKO skupiał działaczy 13-tu regionów: Dolnego Śląska, Gdańska, Gorzowa Wielkopolskiego, Małopolski, Mazowsza, Pomorza Zachodniego, Rzeszowa, Śląsko-Dąbrowskiego, Środkowo-Wschodniego, Warmińsko-Mazurskiego, Wielkopolski, Ziemi Łódzkiej i Ziemi Radomskiej. W regionach tych działały Regionalne Komisje Obrony NSZZ „Solidarność” (RKO). MKO rozwiązała się w marcu 1983 roku.

Struktury branżowe

Wiadomo o istnieniu następujących związków branżowych podporządkowanych strukturom regionalnym lub centralnym NSZZ „Solidarność”:

— Porozumienie Związków Zawodowych NSZZ „Solidarność” Pracowników Portów Morskich Gdańska, Gdyni, Szczecina-Świnoujścia (powstało 17 września 1984 roku).

— Krajowa Komisja Koordynacyjna Górnictwa. Powstała 8 maja 1984 roku z inicjatywy RKW Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Przewodniczącym jest „Rudolf”.

Ponadto w niektórych regionach (Dolny Śląsk, Małopolska) działają konspiracyjne organizacje NSZZ „Solidarność” służby zdrowia, nauczycieli, pracowników nauki itp.

Komisje problemowe:

— Rada Edukacji Narodowej. Ukonstytuowała się 13 lipca 1982 roku z inicjatywy członków NSZZ „Solidarność”. Działa niezależnie od struktur „Solidarności”;

— Społeczny Komitet Nauki. Powstał w maju 1983 roku z inicjatywy i przy poparciu TKK. Głównym zadaniem jest przeciwdziałanie skutkom represji władz w stosunku do nauki polskiej;

— Zespół do Spraw Kultury. Powstał w końcu 1982 roku, uznany w styczniu 1983 roku przez TKK jako placówka koordynująca inicjatywy różnych ogniw Związku w dziedzinie kultury.

Trybuną autorów związanych z Zespołem do Spraw Kultury jest dodatek do pisma KOS pod tytułem *Kultura Niezależna* (pierwszy numer tego dodatku ukazał się w nr. 27 KOS-a z 14 marca 1983 roku);

— Solidarność Twórców. Rozpoczęła działalność w lipcu 1983 roku z inicjatywy Zespołu do Spraw Kultury. Jest ruchem jednoczącym artystów różnych środowisk, związanych z ruchem „Solidarność”;

— Społeczna Komisja Zdrowia. Powstała 18 lutego 1984 roku z zamiarem kontynuowania działań podjętych w latach 1980-1981 przez NSZZ „Solidarność”. Głównym celem Społecznej Komisji Zdrowia jest opracowanie „Raportu o stanie zdrowia narodu” i stworzenie oraz realizacja programu działań niezbędnych dla zmiany istniejącej sytuacji zdrowotnej w Polsce;

— Społeczny Komitet Ochrony Środowiska. Powstał w czerwcu 1983 roku dla inicjowania i koordynacji działań na rzecz ochrony środowiska naturalnego. Społeczny Komitet Ochrony środowiska działa z ramienia TKK.

Michał KOŁODZIEJ

Prof. Wacław JĘDRZEJEWICZ
Ryszard MOSSIN

WYWIAD Z PROF. WACŁAWEM JĘDRZEJEWICZEM*

Należę do pokolenia wzrastającego w krótkim okresie dwudziestu jeden lat niepodległości Polski. Nie mieliśmy wpływu na bieg wydarzeń, ale staliśmy się ich ofiarami. Jak na pewno wielu innych, dręczy mnie mnóstwo pytań: dlaczego było tak, a nie inaczej, i czy mogło być inaczej? W długiej, niezmiernie dla mnie ciekawej rozmowie z profesorem Wacławem Jędrzejewiczem, nie pomyślanej jako wywiad dziennikarski, zadałem mu wiele pytań na takie właśnie tematy. Odpowiedzi nagrałem na taśmę i za zezwoleniem profesora podaję je poniżej.

Ryszard MOSSIN

RYSZARD MOSSIN: — Szóstego września 1939 roku ogłoszono w Warszawie przez Polskie Radio wezwanie, by wszyscy młodzi ludzie w wieku poborowym, jeszcze nie zmobilizowani, opuścili natychmiast stolicę, udając się na Wschód i zgłaszali się do najbliższych PKU (Powiatowa Komenda Uzupełnień) po dalsze instrukcje. Byłem jednym z tych, którzy wykonali to polecenie. Przewędrowałem z Warszawy do Brześcia, potem Kowla, następnie Łucka i Równego. Poboru do wojska nie było. 17 września weszła do Równego Czerwona Armia. W parę tygodni później, jak tysiące innych, usiłowałem przejść przez „zieloną granicę” na Węgry, by dołączyć do armii tworzącej się we Francji. Zostałem aresztowany na granicy przez NKWD, deportowany do Związku Sowieckiego, a po wyroku wysłany do rozmaitych obozów pracy. Potem na zasadzie tzw. amnestii dołączyłem, zresztą bar-

* Wywiad ten ukazał się w *Nowym Dzienniku* (Nowy Jork) 28. 2. 1985. Przedrukujemy go za zgodą pisma.

dzo późno, do Armii Polskiej, utworzonej przez generała Władysława Andersa. Zawsze dręczyło mnie pytanie: dlaczego wydano polecenie opuszczenia Warszawy, jeśli nie było możliwości mobilizacji poborowych we wschodniej części kraju; dlaczego nie kazano wędrować wprost na granicę rumuńską, czy naprawdę zupełnie nie liczono się z możliwością ataku ze strony Sowietów?

PROF. WACŁAW JĘDRZEJEWICZ: — Polecenie opuszczenia Warszawy wydano na pewno na rozkaz wyższych władz. Chciano w ten sposób ratować młodzież przed dostaniem się w ręce Niemców, licząc, że we wschodniej części Polski dojdzie do zatrzymania ofensywy niemieckiej. Nikt nie spodziewał się takiego przebiegu wojny, łącznie z marszałkiem Śmigłym, który nie przewidywał tego rodzaju odwrotu i warunków, w jakich się on odbywał. Przypuszczano, że będą się toczyły walki, że to potrwa jakiś czas. Śmigły nie miał wątpliwości, że wojna będzie przegrana, że trzeba będzie się wycofywać, ale w swym planie przewidywał, iż nie można od razu zostawić Niemcom połowy Polski, jak radzili Francuzi, by wycofać się bez walki na linię Wisły i Sanu i tam dopiero stawiać opór. Uważał, że nie można oddać przemysłowych rejonów i przegrupować się dopiero za Wisłą, a trzeba walczyć i wycofywać się stopniowo. Stąd można było przypuszczać, że we wschodniej części Polski nastąpi dalsza mobilizacja i młodzież, która tam się znajdzie, będzie w końcu w wojsku.

Całość planu wojny marszałka Śmigłego polegała na tym, że Francja, nasza sojuszniczka, uderzy na Niemcy w piętnastym dniu swej mobilizacji. Plan ten oparty na konwencji wojskowej z 1921 roku został ostatecznie ustalony w maju 1939 roku na konferencji w Paryżu z udziałem gen. Kasprzyckiego i gen. Gamelina. Wojna z Niemcami miała się toczyć na dwóch frontach: polskim i francuskim. Do 17 września wierzyliśmy, że Francja uderzy na zachodzie. Wówczas lotnictwo niemieckie i część sił pancernych musiałyby zostać przesunięte z Polski na zachód, a my moglibyśmy stawiać dalszy opór.

Jak wiemy, Francja swego zobowiązania nie wykonała. Walczyliśmy sami.

R.M.: — *No dobrze, ale czy naprawdę nikt nie przewidywał ataku Sowietów?*

W.J.: — Myślę, że nikt. W każdym razie nie minister Beck. Wiedziałem go jeszcze 16 września w Kutach parę razy w ciągu dnia, a więc w dzień przed wejściem Czerwonej Armii. Przypuszczał, że Sowiety pozostaną dłuższy czas neutralne. Atak ich nie był przewidywany. Oczywiście dziś, jak się przegląda różne dokumenty, widać, iż byli tacy, którzy przewidywali, że może to nastąpić, ale nigdy nie doszło to do rządu.

R.M.: — *A nasz wywiad w Sowietach?*

W.J.: — Takich rzeczy nie można wykryć. Od 23 sierpnia, kiedy Sowiety i Niemcy podpisali układ, do 17 września, kiedy Czerwona Armia ruszyła, jakkolwiek wywiad, który mógłby coś ustalić, musiałby być na bardzo wysokim szczeblu. Szczególnie w Sowietach, wykrycie takiej tajemnicy jest bardzo trudne. Któż mógł tam o tym wiedzieć poza Stalinem? Może czterech czy pięciu innych. Na pewno i komendanci okręgów wojskowych, którzy przesuwali wojska bliżej polskiej granicy, też o niczym nie wiedzieli; dostali rozkaz marszu na kilka godzin przedtem. Polski wywiad przekazał te informacje i nasze władze wiedziały, że Sowiety wzmocniły obsadę granicy z Polską i przesuwały oddziały. Ale to wydawało się naturalne.

R.M.: — *Przyjmując więc, że wejście wojsk sowieckich było całkowitym zaskoczeniem nawet dla rządu i naczelnego dowództwa, czy, zdaniem Pana Profesora, naczelnny wódz powinien był przekroczyć granicę?*

W.J.: — Na pytanie to trudno odpowiedzieć. Podjęcie takiej decyzji jest sprawą ściśle indywidualną. My, to znaczy grono starzych legionistów i piłsudczyków, do którego należałem, byliśmy oburzeni, gdy dowiedzieliśmy się, że Śmigły przejechał przez granicę. Śmigły tłumaczył, że mógł pozostać i zginąć, ale wierzył w sojuszników, chciał tworzyć armię na Zachodzie i wierzył, że będzie mógł coś zrobić. Oczywiście zaskoczeniem dla wszystkich było stanowisko Rumunów i internowanie naszego rządu, a Śmigły liczył, że będzie mógł bez trudu jechać do Francji, gdzie już powstawały zaczątki polskiej dywizji.

R.M.: — *Zanim postawię następne pytanie, chcę zaznaczyć, że takie samo pytanie, czy naczelnny wódz powinien był przekroczyć granicę, zadałem gen. Andersowi w jednej z wielu z nim rozmów w Londynie, już wiele lat po zakończeniu wojny. Gen. Anders uważał, że naczelnny wódz, bez względu na okoliczności, nie powinien bez walki przekraczać granicy.*

A teraz moje następne pytanie do Pana Profesora, które z pewnością słyszał Pan niezliczoną ilość razy. Czy doszłoby do takiej samej katastrofy, gdyby żył marszałek Piłsudski?

W.J.: — Myślałem o tym wiele. Moim zdaniem sytuacja byłaby całkowicie inna, gdyby Marszałek żył i był zdrow; powtarzam — gdyby był zdrow, to bieg wypadków potoczyłby się inaczej. Kiedy na dwa miesiące przed śmiercią Marszałka Niemcy wprowadzili obowiązek służby wojskowej, tak go to zaskoczyło i zaniepokoiło, że natychmiast wysłał płka Glabisza do Niemiec dla rozeznania, co się tam dzieje. (Kazimierz Glabisz, ówczesny płk

dypl., oficer do specjalnych zleceń, później generał, zmarł w Londynie). To było bardzo charakterystyczne dla Piłsudskiego, że zawsze wierzył swoim zaufanym wysłannikom. Nie ambasadorem, nie *attachés* wojskowym. Jego ludzie sprawdzali dla niego wszelkie dane. Po otrzymaniu meldunku od Głabisza nie było już czasu na reagowanie, bo przyszła śmierć. Ale na pewno zareagowałby na to w jakiś sposób. Uważam też, że nie doszłoby do zajęcia Nadrenii przez Hitlera w 1937 roku, gdyby Piłsudski żył. Wszystko potoczyłoby się inaczej, bo nie ulega wątpliwości, że Hitler liczył się tylko z Piłsudskim.

R.M.: — *No dobrze, ale przecież Francja odmówiła Beckowi akcji po wejściu Niemców do Nadrenii!*

W.J.: — Nie wiadomo, co by się stało, gdyby żył wtedy Piłsudski i on zaproponował taką akcję. Gdyby np. pojechał osobiście w tej sprawie do Paryża, to nie wiadomo, jak by się rzeczy potoczyły. Oczywiście, w stanie, w jakim znajdował się w ciągu ostatnich paru miesięcy przed śmiercią, był człowiekiem, który już nie mógł decydować.

R.M.: — *Czy Marszałek przewidywał możliwość interwencji sowieckiej w razie wojny z Niemcami?*

W.J.: — Na pewno. Cały czas rozpracowywano plany N i N plus R (wojna z Niemcami i wojna z Niemcami i Rosją). Nawet teraz niedawno wyszła w Polsce książka Jerzego Godlewskiego, bardzo solidnie dokumentująca, że przez cały czas niepodległości Polska przygotowywała się do wojny z Niemcami. Autor zbija twierdzenia, że zaczęło się to wszystko dopiero od 1936 roku i udowadnia na najrozmaitszych przykładach, że przewidując wojnę z Niemcami, opracowywano także plany, iż może to być wojna z Niemcami i Rosją. Powtarzam, co pisałem w wielu moich pracach: wszystko mogło potoczyć się inaczej, gdyby Piłsudski żył. Miał dar analizowania sytuacji. Nie była to intuicja, bo zawsze wypowiadał się przeciwko kierowaniu się intuicją. Była to przemyślana praca mózgu. Układał plany na daleką przyszłość. Widział jasno alternatywy, a był na tyle giętki w polityce, że mógł się przystosować do biegu wypadków.

R.M.: — *Jak zdaniem Pana, minister spraw zagranicznych Józef Beck wykonywał jego politykę?*

W.J.: — Beck kontynuował jego politykę tak, jak umiał. Ale był w tym samotny. Nie miał nikogo, z kim mógłby się naradzać. Ani Mościcki (prezydent RP), ani Śmigły niewiele się na tym rozumieli, a już na pewno nie mógł tu być pomocny Składkowski (premier, gen. Sławoj-Składkowski). Tak więc Beck nie miał

partnerów, musiał wszystko sam analizować. Musiał sam decydować, ale ostrzegał Mościckiego i Śmigłego przed niebezpieczeństwem wojny i po wizycie u Hitlera w styczniu 1939 roku przekazał im swą opinię, że sytuacja się pogarsza i trzeba liczyć się z możliwością wojny.

R.M.: — *Czy można było prowadzić inną politykę niż tę, którą prowadził Beck?*

W.J.: — W naszych warunkach geopolitycznych — nie. Można się dziś kłócić o to czy tamto, np. że zła była forma zajęcia Zaolzia, ale zasadniczy kierunek polityki był moim zdaniem właściwy i jedyny. Nie było wiadomo, czy Niemcy ruszą na Zachód czy na Polskę, wszystko zadecydowało się w kwietniu 1939 roku. Nikt na Zachodzie nie rozumiał w tamtych czasach, dlaczego Polska nie zgadza się na przemarsz przez jej terytorium wojsk sowieckich jako sojusznika Zachodu przeciw Niemcom. Nikt na Zachodzie nie rozumiał powodów odmowy Becka na taki pakt. Ale myśmy wiedzieli, czym to Polsce grozi.

R.M.: — *Chcę teraz przejść do pasjonującego kiedyś nas wszystkich zagadnienia: jak Marszałek wybierał swoich następców? W związku z tym chcę zapytać, czy znane jest Panu rzekome oświadczenie Piłsudskiego, iż w wypadku wojny już po jego śmierci widzi jako jedynego kandydata na naczelnego wodza gen. Władysława Sikorskiego?*

W.J.: — Nigdy o tym nie słyszałem, ani nie natknąłem się na żadne ślady prowadzące do takiego stwierdzenia.

R.M.: — *Byłem w Paryżu na odczycie prof. Jerzego Lerskiego u oo. pallotyńów o gen. Sikorskim. W trakcie dyskusji ktoś z sali zapytał prelegenta, czy wie o tym, że Piłsudski zawsze uważał Sikorskiego za jedynego swego godnego następcę jako naczelnego wodza. Lerski odpowiedział na to, że jako historyk może opierać się tylko na materiałach, które czytał, i że nie znalazł żadnych danych na ten temat.*

W.J.: — Piłsudski nie mógł tego powiedzieć. Piszę w moich książkach, że w ostatnich latach nie miał kandydata, że była to największa jego tragedia. Przygotowywał Polskę na swoje odejście bardzo wyraźnie. Załatwił kwestię konstytucji, która — jak sądził — wystarczy na szereg lat. Ustawił zagadnienie prezydentury myśląc o Sławku (płk Walery Sławek, trzykrotny premier po maju 1926 roku), moim zdaniem niefortunnie, ale sam przypuszczał, że tak będzie najlepiej. Załatwił też najważniejszą dla siebie dziedzinę życia politycznego — sprawy zagraniczne. Wyszkolił Becka i liczył, iż będzie to minister na długie lata. Po-

została sprawa wojska. Jeszcze w roku 1922, po śmierci Narutowicza, kiedy opiniował generałów, wypisał im bardzo szczegółowe oceny. Śmigły wyszedł tam bez wątpliwości jako pierwszy kandydat na naczelnego wodza, Sosnkowski był drugi, ale po dłuższym przygotowaniu pod względem operacyjnym, a o Sikorskim napisał, że nadaje się w razie wojny na ministra spraw wojskowych i szefa sztabu. Zupełnie zignorował Józefa Hallera. Z biegiem czasu te jego opinie zaczęły się zmieniać z tego powodu, że dokoła Śmigłego zaczęły się tworzyć kliki, że zahaczył on raz i drugi o zagadnienia polityczne, a Piłsudski stał na stanowisku, że wódz naczelny musi być oderwany od zagadnień politycznych. O stanowisku w tej sprawie niech świadczy fakt związany ze mną. Wróciłem z Tokio, gdzie byłem *attaché* wojskowym i prawie przez trzy lata jednocześnie *chargé d'affaires*, bo pośła Patka odwołano i nowego pośła nie mianowano. Tak więc raz urzędowałem w mundurze, a innym razem szedłem we fraku do cesarza. Kiedy wreszcie zostałem odwołany do Polski, napisałem do gen. Tadeusza Piskora, ówczesnego szefa sztabu generalnego, że chcę teraz wrócić do wojska. Pisałem: „Dajcie mi batalion w Kobryniu albo w Kołomyi, ale chcę wrócić do wojska”. Tymczasem w drodze z Tokio do Warszawy pokazano mi w Moskwie numer *Gazety Polskiej*, w której znalazłem notatkę, że zostałem mianowany dyrektorem departamentu administracyjnego w MSZ. Tak się złożyło, że zaraz po przyjeździe do Warszawy (jesienią 1928 roku), spotkałem Marszałka na jakimś przyjęciu w ambasadzie amerykańskiej. Przy kawie podszedłem do niego i powiedziałem: „Komendancie, wróciłem i dostałem przydział do MSZ. Myślę, że może czasowo, bo chciałbym wrócić do wojska, jestem dyplomowanym oficerem”. A Marszałek się zachnął: „Nie. Zostaniecie w MSZ i nie będziecie sami, będziecie mieli kolegów i będziecie robić politykę. Ale nie w mundurze. To ja tylko robię politykę w mundurze”. I zaczął się śmiać. Takie więc było stanowisko Piłsudskiego wobec zagadnienia: polityka a wojsko.

Wracam do sprawy Śmigłego. Marszałek zauważył, że Śmigły coś w tej polityce robi i to go zdegustowało. Są fakty wskazujące, iż miał ogromne wątpliwości co do wyboru Śmigłego na swego następcę jako generalnego Inspektora PSZ. Piszę w swych pracach, że rozmawiał na ten temat z wiceministrem spraw zagranicznych Szembekiem, ale przede wszystkim przytoczę rozmowę z moim bratem Januszem, kiedy był on premierem. Brat mój referował Marszałkowi rozmaite sprawy, i gdy skończył, wstał, żeby się pożegnać. Ale Marszałek powiedział: „Zostańcie” i zaczął mówić. Jak mi brat powiedział: „Patrzył na mnie takim wzrokiem, aż mnie zatkało”. „No powiedzcie — mówił Piłsudski — co stanie się z tym wojskiem, jak mnie nie będzie? Komu ja to wojsko oddam? Nie ma nikogo. Nie ma nikogo”. Był to rok 1934. Są i inne dowody. Opowiadał mi też brat, że w czasie jednej z jego rozmów ze Śmigłym, a znali się dobrze jeszcze z 1 p. Le-

gionów, Śmigły powiedział, że miał takie przykre zajście z Komendantem, który go zbeształ w obecności kilku generałów. Ma to potwierdzenie w innym źródle. Stara działaczka PPS odwiedzała Piłsudskiego i w swych wspomnieniach opisała, jak Marszałek jej opowiadał, że musiał zwymyślać Śmigłego i zostawił go wraz z innymi oficerami w drugim pokoju, a kiedy po wyrzuceniu z siebie całej złości wrócił do tamtego pokoju, generałowie stali ciągle na baczność, tak jak ich Piłsudski zostawił. Mówił potem, że zrobiło mu się bardzo przykro. Fakt tego zajścia potwierdzony jest wreszcie przez trzecie źródło. Gen. Sosnkowski, który był jednym z tych generałów, opowiedział o tym i o przyczynie zajścia Katelbachowi (Tadeusz Katelbach, senator RP, autor wielu prac politycznych), mówiąc, że Marszałek zbeształ Śmigłego i powiedział: „Na wodza naczelnego się nie nadaje”.

Ale do ostatniej chwili nie było innego kandydata. Do Sosnkowskiego miał zastrzeżenia, że to zdecydowanie polityk.

R.M.: — *A kiedy Śmigły wreszcie został Generalnym Inspektorem, zaczął zajmować się polityką.*

W.J.: — I to jeszcze jak! Zaangażował się w OZON (Obóz Zjednoczenia Narodowego), zajmował się polityką, choć wiedział, że Piłsudski zabraniał tego. W dodatku nie znał się na polityce, bardzo ulegał wpływom innych i wierzył ludziom.

R.M.: — *Pamiętam dobrze, kiedy ogłoszono nominację Śmigłego Rydza na marszałka. Jako bardzo młody człowiek, który przecież nie mógł brać udziału w rozgrywających się wydarzeniach, odczułem jakiś niesmak. Byłem wychowywany w atmosferze olbrzymiego szacunku i uznania dla Piłsudskiego, z tytułem marszałka łączyła się dla mnie nie tylko pamięć o nim, ale i nagrodzenie zasług, których przecież Rydz jeszcze nie miał.*

W.J.: — A jak Pan myśli, co myśmy czuli, starzy legioniści i piłsudczycy? Nie poszedłem na te uroczystości wręczenia buławy, jak nie poszło wielu mych najbliższych przyjaciół.

R.M.: — *Czym wytłumaczyć tę nominację, tak szybko po śmierci Piłsudskiego?*

W.J.: — Po śmierci Marszałka zaczęły się wewnętrzne walki. Prezydent Mościcki chciał wszystkim rządzić, szykował Kwiatkowskiego na premiera i liczył, że razem poprowadzą sprawy państwa. Dostał od Rydza zdecydowaną kontrę przeciwko Kwiatkowskiemu i po jakimś czasie zorientował się, że te plany z Kwiatkowskim nie wyjdą, i żeby móc mocno rządzić postawił na Rydza, którego zaczęto nazywać wodzem. Rydz został w ciągu dwóch dni generałem broni i marszałkiem, no i do tego, wbrew

konstytucji, wbrew wszelkim zwyczajom, Składkowski wydał ten najgłupszy okólnik, że Śmigły będzie odtąd drugą osobą po prezydencie. Zresztą inicjatywa tego okólnika pochodziła od Mościckiego. A Śmigły szedł na to, podobały mu się hasła w rodzaju „Wodzu, prowadź!”. Dawał do zrozumienia, że dość już tych starych piłsudczyków, Prystora, Sławka, że przychodzą czasy OZONU. To mu się podobało.

R.M.: — *Podobno gdy zbliżała się wojna, odrzucił propozycję utworzenia rządu koalicyjnego?*

W.J.: — Tak było. Próbę tę podjął w kwietniu 1939 roku gen. Sosnkowski i rozmawiał na ten temat ze Śmigłym. Powiedział, że gotów jest podjąć się roli negocjatora ze stronnictwami opozycji i objąć premiership. Ale Śmigły powiedział: „Nie!”.

R.M.: — *Czy on był głównym punktem oporu?*

W.J.: — Tak, bo tylko on się wtedy liczył. Mościcki to akceptował, a Sławoj w ogóle się nie liczył.

R.M.: — *Czym więc wytłumaczyć odmowę tworzenia rządu koalicyjnego?*

W.J.: — Fałszywym przekonaniem o popularności OZON-u.

R.M.: — *Czy nawet nie zagrała tradycja rządu obrony narodowej z 1920 roku, w czasie ofensywy sowieckiej na Warszawę?*

W.J.: — Nie. Śmigły nie wziął nawet przykładu z innego posunięcia Piłsudskiego, o którym mało kto wie, ale on wiedział. Wiosną 1933 roku, kiedy Hitler doszedł do władzy, Piłsudski napisał projekt dekretu prezydenta o utworzeniu w wypadku akcji zbrojnej rządu obrony i jedności narodowej, złożonego z przedstawicieli wszystkich stronnictw. Napisał to na świstku papieru własnoręcznie, przewidując powołanie takiego rządu na wypadek kryzysu, pojechał osobiście na zamek do Mościckiego i uzyskał jego podpis. Kazał adiutantowi Lepeckiemu zrobić jedną kopię dla Becka, zniszczyć kalkę, a oryginał schował do kasy. Takie więc były zasady Piłsudskiego nawet wtedy, gdy się ze stronnictwami kłócił i Rydz musiał te zasady znać. W roku 1939 my wszyscy, stara grupa, byliśmy za próbą tworzenia przez Sosnkowskiego koalicyjnego rządu z udziałem PPS, PSL i innych partii. Wielkim błędem było odrzucenie tej propozycji.

We wszystkim, co piszę i mówię, dowodzę, że epoka Piłsudskiego jako taka skończyła się z jego śmiercią.

STOSUNKI POLSKO-UKRAIŃSKIE

Benedykt HEYDENKORN

POLITYCZNA DZIAŁALNOŚĆ METROPOLITY SZEPTYCKIEGO

W ramach uroczystości upamiętnienia Tysiąclecia Chrześcijaństwa Rusi-Ukrainy profesor Paul Robert Magocsi, kierownik katedry ukrainoznawstwa Uniwersytetu w Toronto, zorganizował konferencję naukową poświęconą życiu i działalności metropolity Andreja Szeptyckiego. Odbyla się ona w dniach 22-24 listopada w obszernej sali Hart House. Tematyka była wszechstronna, gdyż celem konferencji było jak najbardziej szczegółowe przedstawienie roli jednej z największych postaci Kościoła greckokatolickiego w Polsce. Metropolita Szeptycki był nie tylko Głową tego Kościoła, ale i duchowym przywódcą jego wiernych. Więcej nawet, bo i politycznym. Może nie pragnął tak rozległych działalności, tym bardziej że często one ze sobą kolidowały, ale warunki zmusiły go do tego. Stał bowiem na czele tego Kościoła niemal przez pół wieku, a był to okres brzemienny i chyba najbardziej dramatyczny zarówno dla Kościoła jak i narodu ukraińskiego.

Prelegentami byli specjaliści nie tylko z kanadyjskich i amerykańskich uczelni, ale także z kilku innych uniwersytetów i zakładów naukowych. W programie były sesje poświęcone historio-
grafii oraz działalności politycznej, społecznej, kulturalnej i reli-

gijnej metropolity Szeptyckiego. Konferencja wywołała duże zainteresowanie ukraińskiej społeczności w Kanadzie, o czym świadczyła ilość obecnych na sesjach (ponad 200 osób). Obok świeckich obecni byli duchowni, w tym biskupi: Hermaniuk, Boreckij i Hryncyszyn z Francji. Na temat religijnej działalności metropolity prelekcje wygłosili księża profesorowie Bilaniuk, Husar, Pospiszil, Keleher. Wskazywali oni m.in. na jego dążenia w kierunku jedności Kościoła, niejako prekursora Vaticanum II.

Dla nas najbardziej interesujące były referaty odnoszące się do jak najszerzej pojętej działalności politycznej Metropolity. Przedstawiali ją nie tylko prelegenci i uzupełniali dyskutanci ściśle tematycznych sesji, ale również ta problematyka wyłaniała się i w innych referatach.

Przypomnijmy, że metropolita Szeptycki urodził się w 1865 roku z rodziców Polaków-katolików i na chrzcie otrzymał imiona Roman-Maria-Aleksander. Matka, Zofia Szeptycka, córka Aleksandra Fredry, we „Wspomnienia z lat ubiegłych” wydanych w 1967 roku pisze, iż syn był głęboko religijny i jakkolwiek jego decyzja zmiany obrządku, narodowości i wstąpienia do zakonu była bolesna dla niej i dla całej rodziny, to zrozumieli ją i przyjęli. Podjął ją w 1888 roku po ukończeniu studiów prawniczych i uzyskaniu doktoratu. Wraz ze zmianą obrządku i wstąpieniem do zakonu OO. Bazylianów w Dobromilu przyjął imię Andrej, przy którym już pozostał. W 1892 otrzymał święcenia, a w 1898 roku, czyli w wieku lat 33 i 10 lat po wstąpieniu do zakonu, został mianowany biskupem stanisławowskim obrządku greckokatolickiego. W dwa lata później papież Leon XIII mianował go arcybiskupem lwowskim, metropolitą Kościoła greckokatolickiego Galicji.

Pozycja Metropolity była trudna i delikatna także z powodu jego pochodzenia. Niejednokrotnie obie strony, to jest polska i ukraińska, formułowały zastrzeżenia wobec jego działalności. Był niewątpliwie wielką historyczną postacią, ale chyba rozdartą, tragiczną. Uwidoczniły to szczególnie ostro niektóre referaty.

Z dużym zainteresowaniem oczekiwano Ryszarda Torzeckiego z Warszawy, jednego z badaczy problematyki ukraińskiej, który zgłosił referat pt. „Szeptycki a społeczeństwo polskie”. Prelegent nie przybył, ale nadesłał referat, który odczytał prof. Magocsi. Niestety nie powiodły się również wysiłki zmierzające do zaproszenia jeszcze dwóch innych wykładowców z Polski.

Referat prof. Torzeckiego oparty jest niemal wyłącznie na archiwalnych źródłach polskich. I tak, wykorzystał on cenne materiały z prywatnych zbiorów Kazimierza Szeptyckiego, bratanka Metropolity, Archiwum Akt Nowych, zespoły dokumentów MSZ,

listy pasterskie. Przeprowadzał niejako — z polskiego punktu widzenia — obronę, rehabilitację stanowiska Metropolity wobec Polaków cytując liczne jego wypowiedzi z listów pasterskich. Wskazywał na konieczność zaspokojenia potrzeb „łacinników”, tj. Polaków wyznania greckokatolickiego. Torzecki dowodził, że Metropolita działał zawsze jako duszpasterz-biskup związany ze swoją owczarnią i jej oddany. Na przykład w liście pasterskim z dnia 16 maja 1904 roku do Polaków obrządku greckokatolickiego wywodził m.in.: „Pragnę byście wiedzieli iż szanuję Wasze przekonania i daleki jestem od chęci narzucenia Wam ruskiego patriotyzmu”. Byłoby to sprzeczne z jego apostołską pracą. Biskup nie może mieszać nawet najbardziej zdrowych politycznych czy narodowych zasad ze swoją pracą. Torzecki starał się wykazać, że pewne działania polityczne wypływały głównie z konieczności opieki nad swoimi wiernymi a za takich uważał wszystkich Ukraińców, niezależnie od ich politycznych przekonań. Torzecki wywodził, że Metropolita głęboko przeżywał wrogość polsko-ukraińską i określał ją również jako jego osobisty dramat. Cytuje wspomnienie Siostry Krysty (Zofia Szembek), która podaje, iż Metropolita w odpowiedzi na pytanie krewnej Polki czy czuje się Polakiem czy Rusinem odpowiedział: „Kocham Polskę, polską historię i literaturę, lecz język ludności i ich pieśni, z którymi żyłem od dzieciństwa, stały się moimi. Jestem jak św. Paweł, który był Żydem dla Żydów a Grekiem dla Greków, a dla wszystkich wybawcą”.

Był zdecydowanym przeciwnikiem szowinizmu a rzecznikiem zgody, porozumienia, umiaru w każdej dziedzinie. Pragnął jedności narodowej i religijnej Ukraińców i dlatego popierał wszelkie wysiłki zmierzające do uzyskania bytu państwowego — pełnej lub częściowej niepodległości, dlatego przyklasnął Traktatowi Brzeskiemu, na mocy którego Chełmszczyzna została przyłączona do Ukrainy. W dalszym rozwoju wypadków wszedł do Ukraińskiej Rady Narodowej, która proklamowała niepodległość na terytorium Galicji Wschodniej w listopadzie 1918 roku i uznawał rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej oraz rząd Skoropadskiego, a później Petlury. Po upadku obu państw ukraińskich — uzyskawszy zezwolenie władz polskich na opuszczenie Lwowa, formalnie dla udania się do Rzymu na wielce spóźnioną wizytę *ad limina* — wyjechał do Rzymu w grudniu 1920 roku i pozostał tam do marca 1921 roku.

Oczywiście na pierwszym planie znajdowały się zagadnienia kościelne lecz nie tylko greckokatolickie w Galicji, ale rozszerzone na dalsze obszary zamieszkałe przez ludność ukraińską, w tym

prawosławną. Unikał wszelkich kontaktów z polskimi placówkami dyplomatycznymi które zresztą śledziły jego działalność, natomiast komunikował się z przedstawicielami obu emigracyjnych rządów ukraińskich: Petruszewycza w Wiedniu i Skoropadskiego w Berlinie.

Metropolita przedstawił w Watykanie szeroki plan akcji zjednoczeniowej na płaszczyźnie wyznaniowej, co wiązało się z pracą misyjną w odniesieniu do prawosławnych. W związku z tym domagał się zatwierdzenia uprawnień, przyznanych mu w tym zakresie przez Piusa X, które w międzyczasie wygasły. Z polskich raportów dyplomatycznych na temat jego rozmów w Watykanie wynika, iż wysoce krytycznie oceniał nawet utrzymanie niepodległego państwa polskiego między Rosją a Niemcami, a sytuację ludności ukraińskiej w Galicji Wschodniej określał jako okropną pod administracją polską i dlatego też uważał, iż nie pogodzi się z tym stanem.

Watykan nie był skłonny do akceptacji misyjnych projektów Szeptyckiego, to jest jego aspektów narodowościowo-ukrainistycznych. Miał własne plany i skrzętnie unikał wywołania nieufności Kościoła prawosławnego, który liczył przecież również wiernych ukraińskiej narodowości.

Z dokumentacji dyplomatycznej (polskiej, watykańskiej) wynika, iż Watykan zastanawiał się nad przeniesieniem Metropolity do Rzymu aby umożliwić jego następcy doprowadzenie do odprężenia z Polakami i władzą polską. Jednak tylko nominacja na prefekta Kongregacji Obrządków Wschodnich byłaby odpowiednia, ale to oznaczałoby rzucenie rękawicy Kościołowi Prawosławnemu, przekreślenie złudnych nadziei na jakiegoś *modus vivendi* z nowymi władzami na obszarach dawnego imperium rosyjskiego. Każda inna nominacja — awans kościelny — spotkałaby się zapewne z ostrą, nieprzychylną reakcją ze strony wiernych w Galicji. A to nie wchodziło w rachubę. Niezależnie od tego przeciwko jego akcji w Watykanie wystąpili ks. biskup Sapieha, arcybiskup Teodorowicz.

Z Rzymu Metropolita ruszył w podróż, która objęła kilka krajów europejskich oraz Amerykę Północną i Południową. Była to nie tylko wizyta pasterska, Metropolita bowiem wszędzie spotykał się z wpływowymi osobistościami politycznymi zabiegając o poparcie dla narodowo-państwowych postulatów Ukraińców. Jego wysiłki w tej mierze zakończyły się niepowodzeniem. Decyzja Rady Ambasadorów z marca 1923 roku oznaczała koniec nadziei i złudzeń Metropolity odnośnie przyszłości Galicji Wschodniej. W tej sytuacji nie pozostało mu oczywiście nic innego jak

powrócić do Lwowa. Torzecki utrzymuje, że uzyskał zapewne nie wiceministra spraw zagranicznych A. Skrzyńskiego na swój powrót, a mimo tego został zatrzymany na granicy w Cieszynie. Jest to chyba nieścisłe, gdyż Szeptycki wracał mając paszport watykański z wizą uzyskaną w Rzymie. Wagon sypialny, w którym się znajdował, został odczepiony na stacji Dziedzice 25 sierpnia 1923 roku i skierowany do Poznania, po odmowie Metropolity podpisania deklaracji lojalności państwowej. Metropolita zamieszkał wraz ze swoim sekretarzem-kapelanem u SS. Szarytek skąd po paru tygodniach udał się do Warszawy i na audyencji u prezydenta Wojciechowskiego złożył wymaganą deklarację lojalności państwowej, po czym odjechał do Lwowa.

Ukraińcy powitali go entuzjastycznie. Stał się wówczas niewątpliwie absolutnym przywódcą duchowym Ukraińców, ich najwyższym i nie kwestionowanym autorytetem. Jeden z wybitnych petlurowców ironicznie zauważył, iż został *prowid nad prowodom*. Istotnie odtąd społeczeństwo ukraińskie zgodnie traktowało go jako swego najwybitniejszego i najdostojniejszego przedstawiciela i rzecznika. Po powrocie do Lwowa nakłaniał ukraińskich przywódców politycznych do szukania porozumienia z polskimi władzami, wskazywał iż jest to konieczne, gdyż na arenie międzynarodowej Ukraińcy przegrali. Podobno sam nawet miał pewne plany rozmów a różne kolejne propozycje formułowane przez polityków ukraińskich, w szczególności przez UNDO, były z nim uzgadniane. Dwukrotnie starał się bezskutecznie o rozmowę z Marszałkiem Piłsudskim, niejednokrotnie jego listy pasterskie miały charakter protestów wobec polityki rządowej, w innych formułował postulaty Ukraińców. Był przeciwnikiem terroru, piętnował więc takie akcje, na przykład oceniał negatywnie narastający wpływ skrajnie nacjonalistycznych grup, a po zabójstwie w 1935 roku we Lwowie Iwana Babija, dyrektora ukraińskiego gimnazjum, ogłosił list pasterski, w którym piętnował i oskarżał przywódców organizacji terrorystycznych i przestrzegał młodzież przed uleganiem ich wpływowi.

Wzrost wpływów nacjonalistycznych skłonił Metropolitę do ożywionej akcji zarówno na odcinku młodzieżowym, religijnym jak i politycznym. Wezwał przywódców politycznych do podjęcia rozmów z Polakami na różnych płaszczyznach i we wszystkich sprawach. Torzecki uważał, iż władze państwowe RP odpowiedzialne były za stan rzeczy w Małopolsce Wschodniej, zaś Metropolita szukał stale porozumienia podkreślając zresztą, iż działa jako Głowa Kościoła, jako odpowiedzialny za los swojego narodu.

Metropolita protestował m.in. przeciwko osławionej akcji rewindykacji kościołów na Wołyniu. Odbierano prawosławnym cerkwie, które ongiś zostały przez carskie władze skonfiskowane Unitom, a więc grecko-katolikom. Władze polskie świątynie te przekazywały Kościołowi rzymsko-katolickiemu lub niszczyły je.

Na posiedzeniu sejmowej komisji budżetowej 5 lutego 1938 roku referent budżetu, poseł Bronisław Wojciechowski, gwałtownie zaatakował Metropolitę oskarżając go o antypolską działalność. Najbardziej zdecydowanie zareagował na to Adolf Bocheński w artykule ogłoszonym w tygodniku *Polityka* z dnia 10 lutego 1938 roku zarzucając referentowi całkowity brak znajomości podstawowych zasad politycznych społeczeństwa ukraińskiego, zaś katedrę św. Jura nazwał centralnym ośrodkiem antyterrorystycznej działalności.

Metropolita powitał z radością powstanie miniaturowego państwa ukraińskiego — Rusi Podkarpackiej, by niebawem boleć nad jego upadkiem. Z niepokojem śledził sytuację międzynarodową, która mogła znacznie wzmocnić działalność terrorystyczną UOW w Polsce — wezwał więc UNDO do podjęcia odpowiednich kroków celem uspokojenia nastrojów antypolskich i wrogiej działalności wobec państwa. Ta akcja Metropolity „sparaliżowała plany OUN zmierzające do wywołania powstania. Kierownictwo postanowiło zrezygnować z powstania, ale decyzja nie dotarła do wszystkich komórek terenowych stąd podziemie zachowywało się różnie w czasie wojny”. UNDO oczywiście złożyło w Sejmie deklarację pełnej lojalności po najeździe niemieckim.

Podczas sowieckiej okupacji Metropolita dwukrotnie przyjął — w kwietniu i w czerwcu lub lipcu 1940 roku — Władysławę Piechowską, delegatkę ZWZ i przeprowadził z nią wielogodzinne rozmowy. Celem ich było — twierdzi Torzecki na podstawie ustnej relacji jaką otrzymał 28 kwietnia 1972 roku od p. Piechowskiej: „przedyskutowanie środków zmierzających do zdławienia wzajemnego wrogiego nastawienia Ukraińców i Polaków. Chodziło przede wszystkim o to, by księża grekokatoliccy wpłynęli na nacjonalistów, aby zaprzestali denuncjować Polaków, co powodowało wiele aresztowań. Księża polscy natomiast mieli hamować antyukraińskie nastroje. Rozważano jednocześnie wszelkie możliwości współpracy. Metropolita ubolewał, że przed wojną nikt w rzeczywistości nie pragnął rokowań. Polskie koła rządzące nie posiadały zrozumienia dla realnej normalizacji stosunków polsko-ukraińskich. Metropolita wierzył we współpracę Polaków i Ukraińców. Uważał, iż konieczne jest ustalenie granic terytorial-

nych dla obu społeczeństw. Przyznał, iż pomaga niektórym polskim księżom. Nie wysunął żadnych konkretnych postulatów wobec Polaków”.

Później — jak to wynika z dokumentacji (radiogramy gen. Grota-Roweckiego) — pewne luźne kontakty z Ukraińcami nawiązały władze AK. Strona polska nie mogła niczego ofiarować Ukraińcom prócz powrotu do stanu przed wybuchem wojny, ale liczyła na zmianę nastawienia ukraińskich nacjonalistów w obliczu zarysowującego się nowego układu po wojnie: klęski Niemiec i dojścia ZSSR do dawnej granicy z Polską; przypuszczano, że Ukraińcy będą woleli pozostać w granicach Polski. Szeptycki już w 1942 roku pragnął powołania komitetu polsko-ukraińskiego celem opracowania prawnych norm dla obszarów o mieszanej narodowości co świadczyłoby, iż już wówczas uważał iż szanse uzyskania niepodległości dla Ukraińców są znikome. Mimo to jednak nie wykluczał podjęcia kroków w sprawie ukraińskiej na arenie międzynarodowej. Trudno ustalić — twierdzi Torzecki — kiedy Metropolita ostatecznie porzucił plany zjednoczenia, natomiast faktem jest, iż rozmowy polsko-ukraińskie rozpoczęły się z inicjatywy ukraińskiej na żądanie Metropolity i że składano mu regularnie sprawozdania z ich przebiegu. Księża grecko-katolicycy pośredniczyli w organizowaniu tych spotkań, byli łącznikami i mediatorami. Wszystkie listy pasterskie z okresu okupacji niemieckiej są dramatyczne a najbardziej dramatyczny z 1944 roku z wezwaniem zaprzestania walk i mordów. Listy te miały chronić również Polaków i Żydów. Groził kłatwą Ukraińcom uczestniczącym w mordach.

W liście do Piusa XII, wystosowanym jesienią 1942 roku, przedstawił tragiczną sytuację Kościoła i całej ludności znajdującą się w kleszczach zbrodniczego systemu opartego na kłamstwach. Donosił o masowej eksterminacji Żydów i tysięcy innych niewinnych ludzi. Zdawał sobie jednak sprawę, iż jego listy pasterskie nie powstrzymają rozlewu krwi, nie zahamują zbrodni.

Krewna Metropolity S. Krysta (Zofia Szembek) twierdzi, iż w latach 1942-1943 był ciężko chory i izolowany. Jego najbliżsi współpracownicy nie informowali go o zbrodniach. Torzecki nie wyklucza, iż było to ze względu na stan jego zdrowia, nie mniej jednak wyłania się zasadnicza kwestia: „dlaczego Metropolita nie posiadał należytego posłuchu w szerokich kołach społeczeństwa ukraińskiego?”.

Torzecki jest zdania, iż w następstwie pierwszej wojny światowej rozwinął się nacjonalizm a niezrealizowane nadzieje spowodowały, iż duch walki nie wygasł, ale zszedł w podziemie.

Ukraińcy wiązali nadzieje na lepsze jutro z Niemcami. Niemiecki okupant dawał im szansę zemsty na Polakach i właśnie przed zemstą Metropolita przestrzegał.

Torzecki pisze, iż w świetle listów pasterskich i pisma do Piusa XII z 1942 roku trudno zrozumieć poparcie udzielone przez Metropolitę rekrutacji do dywizji SS „Galicja” oraz poparcie innych projektów m.in. utworzenia formacji wojskowych po stronie Niemiec. Bliscy współpracownicy Metropolity zostali kapelanami dywizji. Nie rozumie również Torzecki stanowiska Metropolity wobec UPA, zaznaczając iż być może w przyszłości dostęp do dokumentów pozwoli na wyjaśnienie wielu zagadnień. Pod koniec referatu Torzecki pisze m.in.: „Trzeba jednak również powiedzieć, że jakkolwiek Metropolita był wybitną postacią, cenioną przez wielu Polaków a w tym wymienionego już A. Bocheńskiego, poetę Lechonia i wielu innych, mógł popełniać błędy — był przecież tylko człowiekiem i to bardzo chorym człowiekiem. Przebieg wojny zadał ostateczny cios organizmowi wyniszczonemu reumatyzmem. Metropolita zmarł 1 listopada 1944 roku a w pogrzebie jego uczestniczyli polscy księża, w tym również tacy, którzy nie zgadzali się z nim za życia. Byli, by złożyć hołd wielkiemu Synowi Kościoła”. (Wszystkie cytaty są tłumaczeniem z angielskiego tekstu — zapewne nie oryginalnego. — B.H.).

Prelegenta nie było, a wobec tego nie padły żadne pytania. Torzecki w szkicu pt. „Kontakty polsko-ukraińskie na tle problemu ukraińskiego w polityce rządu emigracyjnego i Podziemia (1939-1944)”, opublikowanym w nr. 1/2, 1981 *Dziejów Najnowszych*, podkreślał wysiłki Metropolity w kierunku poprawy stosunków polsko-ukraińskich. Prelekcja poświęcona była wyłącznie jego nastawieniu do społeczeństwa polskiego, a więc umożliwiła dr. Torzeckiemu sięgnięcie poza okres wojenny a nawet Niepodległości. Wykazywał, iż społeczeństwo polskie i administracja państwowa, fałszywie czy błędnie oceniały jego działalność, w tym oczywiście stosunek do Polaków i do Polski.

Bohdan Budurowycz zajął się rolą Szeptyckiego w ukraińskim ruchu narodowym po 1914 roku. Był to najbardziej polityczny referat, który wywołał ożywioną dyskusję, oraz krytyczne uwagi na które prof. Budurowycz udzielił odpowiedzi uzupełniających jego referat.

Problematyka polityczna nie była obca Szeptyckiemu, wręcz przeciwnie znalazła się na jego drodze niemal od samego początku. Zapewne nie chciał się nią zajmować, ale przypadła mu w udziale zarówno dlatego iż znalazł się na czele Kościoła greckokatolickiego

go w Galicji jak i wskutek warunków w jakich znajdowali się jego wierni. Był — jak podkreślił Budurowycz — „lojalnym poddanym monarchii austro-węgierskiej oraz twardym patriotą ukraińskim, entuzjastycznym promotorem jedności Kościoła, ale równocześnie zapalonym bojownikiem o ziemski dobrobyt swojej owczarni”. Rok 1914 był przełomowy. Zakończył jeden okres dziejów i zapoczątkował następny, który dotąd trwa.

Metropolita złożył 15 sierpnia 1914 roku na ręce bawiącego we Lwowie konsula Emanuela Urbasa memorandum dla rządu austriackiego. Dokument to interesujący i ważny, gdyż stanowi jasne sformułowanie narodowych postulatów ukraińskich oraz religijnych planów Szeptyckiego. Mianowicie wskazywał na konieczność odłączenia Ukrainy — po wkroczeniu wojsk austriackich na terytorium Rosji — i utworzenia oddzielnej narodowej administracji terytorialnej. Wypowiadał się za nawiązaniem do tradycji kozackiej, w tym za powołaniem stanowiska hetmana oraz podobnych stanowisk wojskowych i cywilnych. Wprowadzony miał być austriacki kodeks cywilny. Kościół ukraiński miał być uniezależniony od synodu w Petersburgu a w miejsce modlitwy za cara ustanowiono by modlitwę za cesarza. Biskupi, którzy by przeciwstawiali się mieli być usunięci i zastąpieni przez sympatyków Ukrainy i Austrii. On sam stałby na czele Kościoła jako metropolita Halicza i całej Ukrainy; zapewniał rząd austriacki, że przedsięwziął już wstępne kroki dla zapewnienia zatwierdzenia tego przez Watykan. Nie doszło jednak do realizacji żadnego punktu memorandum już chociażby dlatego, że wojska rosyjskie znalazły się w Galicji, a nie austriackie na Ukrainie.

19 września 1914 roku Szeptycki — w dwa tygodnie po zajęciu Lwowa przez wojska rosyjskie — został internowany i wywieziony do Rosji. Odzyskał wolność 8 marca 1917 roku. Udał się do Petersburga gdzie przeprowadził szereg rozmów z członkami rządu tymczasowego i miejscową Ukraińską Radą Narodową, po czym odjechał do Kijowa. Spotkał się tam z czołowymi działaczami politycznymi przedstawiając im program działania, zmierzający do ustanowienia jednolitego państwa. Wskazywał na potrzebę solidarności narodowej, która może istnieć li-tylko na fundamencie jedności religijnej. Ówcześni czołowi przywódcy Hruszewskij i Czechiwskij zapewne nie podzielali programu Szeptyckiego, obiecali mu jednak rozważyć to, jak również rolę Kościoła Unickiego w przyszłym państwie ukraińskim.

Szeptycki zamierzał złożyć papieżowi Benedyktowi XV sprawozdanie ze swoich przeżyć i doświadczeń, planów czy projektów kościelnych w odniesieniu do Ukraińców na rosyjskim terytorium

państwowym, ale rząd włoski odmówił mu prawa wjazdu. W drodze powrotnej do Lwowa zatrzymał się we Wiedniu, gdzie został przyjęty na prywatnej audiencji przez cesarza, a we Lwowie, 10 września 1917 roku, Ukraińcy zgotowali mu entuzjastyczne przyjęcie. Odpowiadając na przemówienia zapewnił swoich rodaków, iż przyszłość ich będzie lepsza mają bowiem przyjaciół również w rodzinie panującej.

W styczniu 1918 roku zaproponował zwołanie konferencji ukraińskich członków parlamentu austriackiego oraz Izb galicyjskiej i bukowińskiej celem przedyskutowania planów na przyszłość, ale na prośbę posłów wiedeńskich zrezygnował z tego. W przemówieniu wygłoszonym w Izbie Panów 28 lutego 1918 roku nie tylko powitał z uznaniem układ Brzeski, na mocy którego Chełmszczyzna została przyznana Ukraińskiej Republice Ludowej, ale wskazał na historyczne więzy łączące to państwo z Galicją i Wołyniem. Gdy Skoropadski obalił rząd — ogłaszając się hetmanem Ukrainy — Metropolita nawiązał łączność z nową władzą. Wyraził gotowość przyjęcia wyboru na patriarchę autokefalicznego Ukraińskiego Kościoła w wypadku jeśli uzyska absolutną większość głosów Synodu co będzie równoznaczne z decyzją zjednoczenia z Rzymem.

Nadzieje i oczekiwania okazały się złudne. Synod odroczył rozważanie projektu autokefalii i zatwierdził duchową zwierzchność Moskwy nad Ukraińskim Kościołem.

Dalszy rozwój wypadków zmienił kierunek politycznej aktywności Metropolity. Zniknęła monarchia austro-węgierska, Galicja Wschodnia stała się terenem krótkiej lecz zacieklej wojny polsko-ukraińskiej, a później częścią Rzeczypospolitej Polskiej. Szeptycki został uprzedzony o przygotowanym zamachu ukraińskim i proklamacji niepodległości Ukrainy w dniu 1 listopada 1918 roku. Był członkiem Ukraińskiej Rady Narodowej i powitał z radością przejęcie władzy we Lwowie przez Ukraińców bez rozlewu krwi. Wojna oczywiście zaogniła stosunki między Polakami i Ukraińcami, i zaważyła na całym okresie Niepodległości. Poprzez różne kanały Metropolita kontaktował się zarówno z misją dyplomatyczną Ukraińskiej Ludowej Republiki w Warszawie jak i bezpośrednio z Petlurą. Nie przerywał kontaktów z rządem emigracyjnym Petruszewycza a obok tego był w ścisłej łączności z międzypartyjnym komitetem we Lwowie. Bacznie śledząc wydarzenia uznał sytuację — po załamaniu się polskiej wyprawy kijowskiej i postęпах ofensywy sowieckiej — za wielce niebezpieczną dla sprawy ukraińskiej a wobec tego zwołał na konferencję ukraińskich polityków celem wysłuchania ks. Józefa Jeana, general-

nego sekretarza Ukraińskiego Czerwonego Krzyża. Ks. Jean spotkał się ze Stefanem Osuskym, posłem Czechosłowacji w Paryżu, sugerując federację Galicji z Czechosłowacją, co miało uchronić Galicję od przyłączenia do sowieckiej Ukrainy.

Upadek Ukraińskiej Republiki Ludowej nie wpłynął na zmianę nastawienia Metropolity do zasadniczego zagadnienia, to jest dążenia do niepodległości Ukrainy. Poinformował więc Ogólnoukraiński Komitet Narodowy, iż uznaje za celowe istnienie i działanie emigracyjnego rządu Ukraińskiej Ludowej Republiki i zainteresowany jest projektem jej przyszłej konstytucji.

Na szeroką skalę rozwinął działalność na rzecz ukraińskiej sprawy narodowej po udaniu się z wizytą *ad limina* do Rzymu. Przed zjawieniem się w Watykanie był we Wiedniu, gdzie spotkał się z wszystkimi przywódcami ukraińskimi, z Petruszewyczem i Kost. Lewickim na czele. Na ich nalegania zgodził się na „wszczęcie odpowiedniej akcji w różnych zachodnich stolicach jednakże bez naruszenia swojej roli przywódcy religijnego, działającego w imieniu swojej cierpiącej owczarni”. Budurowycz dowodził, że Metropolita starał się skoordynować akcję „celem uratowania przed całkowitym upadkiem zagadnienia bytu państwowego Galicji Wschodniej”.

Budurowycz wskazał, że jakkolwiek Metropolita niewątpliwie sympatyzował z konserwatystami, a w szczególności z ruchem monarchistycznym, to jednak utrzymywał łączność z wszystkimi grupami politycznymi. Miał kontakty z wszystkimi innymi, nie wyłączając nacjonalistycznego OUN lecz w Polsce najbliższe było mu stare stronnictwo polityczne UNDO. Jeden z przywódców OUN, Andrej Melnyk, zatrudniony był w dobrach Metropolity wpierw jako starszy leśniczy a później jako inspektor. W sytuacjach najbardziej delikatnych występował na zewnątrz — wobec władz polskich — jako rzecznik społeczeństwa ukraińskiego.

W zagadnieniach ściśle kościelnych Kościoł greckokatolicki miał, dzięki konkordatowi, pełną swobodę działania, co miało także poważne znaczenie dla życia społecznego i politycznego ludności ukraińskiej. Szeptycki popierał wszelkie inicjatywy (z wieloma sam występował) mające na celu rozbudzenie, rozwój i umocnienie świadomości narodowej — wszystko na bazie religijnej — Kościoła greckokatolickiego. Nie popierał ukraińskiej działalności terrorystycznej.

Szeptycki w sprawach kościelnych był konsekwentnym promotorem ukrainizmu. Zarzut pośła Wojciechowskiego, iż łamał postanowienia konkordatu i swoje ślubowanie lojalności wobec

Polski ukrainizując siłą Kościół greckokatolicki, i usuwając zeń elementy umiarkowane oraz Starorusinów nie był bynajmniej bezpodstawny. Szeptycki istotnie usunął z różnych stanowisk starorusińskich duchownych i zastąpił ich ukraińskimi. Z jego polityką sprowadzania Kościoła do ruchu narodowego, stawiania niejako znaku równości między Kościołem a ukraińskim ruchem narodowym nie zgadzali się niektórzy inni biskupi tego Kościoła przy czym najbardziej zdecydowane i odmienne stanowisko zajmował biskup stanisławowski Grzegorz Chomyszyn. Grekokatolicyzm — głosił on — jest li-tylko jednym z obrzędów Kościoła Powszechnego i nie można go używać dla osiągnięcia pewnych doczesnych celów.

Ostatnie wydarzenia poprzedzające katastrofę wrześniową 1939 i dalsze wypadki aż do ponownej okupacji Małopolski Wschodniej przez ZSSR wypełnione są również aktywnością społeczno-narodową Metropolity. I tak, akcentował solidarność i braterstwo z Rusią Podkarpacką, po uzyskaniu niepodległości, protestował przeciwko represjom polskim wobec Ukraińców, którzy starali się aktywnie działać na rzecz tego państwa.

Upadek Rusi Podkarpackiej uznał za bolesny cios narodowy a sytuację ukraińską za tak ciężką, iż skierował do Warszawy ks. Slipyja, rektora seminarium duchownego, swego najbliższego współpracownika i późniejszego następcę, dla przeprowadzenia rozmów z rządem RP celem znalezienia platformy współzycia i uregulowania wzajemnych stosunków. Nie dało to zresztą, i nie mogło dać, żadnych rezultatów. Było spóźnione. Zbliżał się okres najtrudniejszy i najbardziej dramatyczny: dla narodu, Kościoła greckokatolickiego i Metropolity.

Po okupacji wschodnich obszarów Polski przez ZSSR wezwał podległy mu kler do posłuszeństwa wobec nowych władz i przestrzegania ich praw, jeśli nie są sprzeczne z prawami boskimi. Jego możliwości działania były praktycznie żadne. Znajdował się oczywiście pod ścisłym nadzorem sowieckim. Większość, jeśli nie wszyscy politycy, z którymi współdziałał, albo udali się na Zachód, albo zostali aresztowani i deportowani. Władze sowieckie pozostawiły go na miejscu co niewątpliwie zwiększyło jego rolę w społeczeństwie ukraińskim. Stał się po prostu symbolem ruchu narodowego.

Szybko zbliżały się najcięższe, najboleśniejsze miesiące, lata podczas których Metropolita włączył się zbyt głęboko w nurt dziejów narodu ukraińskiego. Posunął się dalej aniżeli dyktowała to tradycja watykańskiej dyplomacji.

Wkroczenie wojsk niemieckich zmieniło radykalnie nastroje

ukraińskiego społeczeństwa, które z Niemcami i z Hitlerem wiązało nadzieje na niepodległość. Szeptycki wprawdzie pośpiesznie ogłosił, że pozostanie apolityczny, ale w rzeczywistości mocno włączył się w aktualne wydarzenia. Powitał wojsko niemieckie jako „wybawców od wroga” i poparł bez zastrzeżeń „administrację państwową Ukrainy”, na czele której znajdował się Jarosław Stećko. Podjął próbę pogodzenia zwalczających się odłamów OUN, banderowców i melnikowców. Nie ograniczył się do listów pasterskich skierowanych do młodzieży, ale wystosował list do Melnyka wzywając go do porozumienia z Banderą dla uniknięcia wojny domowej. Ukraińcy jednak znowu zawiedli się. Niemcy rychło zlikwidowali pozory administracji ukraińskiej i wcielili cały obszar do Generalnego Gubernatorstwa, to jest do okupowanej przez siebie Polski. Szeptycki wystosował 1 sierpnia list protestacyjny na ręce ministra spraw zagranicznych Trzeciej Rzeszy, Ribbentropa. Nie otrzymał jednak odpowiedzi.

W styczniu 1942 roku Szeptycki jako przewodniczący Ukraińskiej Rady Narodowej we Lwowie, instytucji nie posiadającej żadnego znaczenia, wystosował wraz z Mikołajem Weliczkowskim, piastującym taką samą godność w Kijowie, oraz gronem wybitnych ukraińskich osobistości, pismo do Hitlera. Krytykowali niektóre aspekty niemieckiej polityki wobec Ukraińców, w tym odmówienie im możliwości walki z ZSSR u boku Niemiec i ich sojuszników, złe traktowanie jeńców ukraińskich, wcielenie Galicji do Generalnego Gubernatorstwa, uniemożliwienie działalności politycznej, kulturalnej, socjalnej itp. Nie mniej jednak sygnatariusze zapewniali Hitlera, że „kierownicze koła Ukrainy pragną toczyć wspólną walkę przeciw wspólnemu wrogowi i współpracować z Trzecią Rzeszą w budowie nowego porządku na Ukrainie i w całej wschodniej Europie”.

W miesiąc później Metropolita wystosował list do Himmlera, w którym ubolewając nad masowym zamordowaniem Żydów wzywał go, by nie angażował do tych akcji oddziałów ukraińskiej policji pomocniczej. Żadne wystąpienie jego do władz niemieckich i najwyższych dygnitarzy Rzeszy, nie odniosło skutku. Jego apele do własnego społeczeństwa odnośnie walk bratobójczych i terroryzowania ludności polskiej pozostały głosem wołającego na puszczy. Listy pasterskie Metropolity były coraz bardziej dramatyczne. Pisał o „degeneracji i upadku narodowego sumienia i ducha patriotyzmu”. Przyszłość rysowała się czarno, ale nie poddawał się. Podejmował wszystko, co zdawało się służyć narodowej sprawie ukraińskiej. Poparł plan utworzenia oddziałów wojskowych do walki z ZSSR u boku Niemiec podczas gdy oba odła-

my nacjonalistyczne (Bandera i Melnyk) wypowiedziały się przeciw temu. Uważał, podobnie jak zwolennicy tego projektu, iż dywizja „SS Galicja” stanie się zalążkiem przyszłych sił zbrojnych. Natomiast Metropolita nie poparł powstańczych oddziałów UPA, gdyż obawiał się wynaturzenia walk w partyzantce i przestępczej działalności.

Do jakich rozmiarów doszły walki bratobójcze, mordy i inne akty terrorystyczne świadczy jego list z 22 marca 1944 roku w którym stwierdzał „iż być może powrót władzy sowieckiej będzie miał ten dodatni efekt iż skończy anarchię, która obecnie rozpaśała się w całym kraju”. Widział nadchodzącą katastrofę, ale wezwał ludność do pozostania na miejscu, a księżom zabronił opuszczania swoich stanowisk. Sam — po przeprowadzeniu gorączkowych konsultacji — ogłosił 22 kwietnia 1944 roku we Lwowie deklarację podpisaną przez niego, Welyczkiwkija i Rewaja (premiera byłego rządu Podkarpackiej Ukrainy) głoszącą, iż walka wyzwolenicza narodu ukraińskiego trwać będzie aż do uzyskania niepodległości. Metropolita nie powstrzymał jednak masowego opuszczania kraju przez inteligencję i tysiące innych, którzy obawiali się władzy sowieckiej. We Lwowie wojska sowieckie znalazły się 28 lipca 1944 roku; chory Metropolita został po raz wtóry więźniem sowieckim w swej siedzibie na wzgórzu św. Jura we Lwowie.

Prof. Budurowycz powołując się na dwóch sowieckich autorów S. T. Danylenko i W. Dobryczewa podał, iż po zakończeniu ofensywy wojsk sowieckich latem 1944 roku Metropolita rzekomo wystosował list dziękczynny do Stalina w imieniu narodu ukraińskiego wyrażając wdzięczność „za ponowne zjednoczenie — po zwycięskim marszu znad Wołgi do Sanu i dalej — zachodniej Ukrainy z Wielką Ukrainą i w ten sposób spełnienie głębokich pragnień i dążeń Ukraińców, którzy od wieków uważali się za jeden naród i chcieli być zjednoczeni w jednym państwie”.

Brak jest potwierdzenia tego listu jak również nie ma żadnych informacji odnośnie odpowiedzi. *Prawda* i *Izwestia* zamieściły w numerach z 4 listopada 1944 roku wiadomość, iż 1 listopada zmarł Szeptycki „głowa Kościoła greckokatolickiego w ZSSR”. Władze sowieckie udzieliły zezwolenia na uroczysty pogrzeb. Kondukt posuwał się ulicami Lwowa stanowiąc ostatnią wielką publiczną manifestację wiernych Kościoła greckokatolickiego.

Budurowycz jest zdania, że Metropolita był świadom zbliżającej się katastrofy: aresztowania hierarchii i formalnej likwidacji

Kościoła i podkreśla „symboliczne niejako znaczenie faktu, iż zgon Metropolity praktycznie zbiegł się z końcem ukraińskiego *establishment*’u w Galicji”. Uważa, iż Szeptycki „na tle zaplecza i epoki wyłania się jako gigant, ale że był jednocześnie patetycznie samotny. Rola jego jako przywódcy politycznego była zarówno sporna jak i kontrowersyjna”. Doprowadził faktycznie do rzeczywistego sojuszu Kościoła z ukraińskim ruchem narodowym, stał się głównym orędownikiem sprawy ukraińskiej, nasycił Kościół ukraiński duchem narodowym, stał się symbolem jedności Kościoła ukraińskiego z narodem ukraińskim.

Metropolita — wywodził Budurowycz — ukrainizacją Kościoła zraził tych wiernych, którzy nie uważali Kościoła greckokatolickiego za ukraiński kościół narodowy. Podczas okupacji niemieckiej powstały nawet wysoce ryzykowne sytuacje, które groziły kompromitacją władzy moralnej i prestiżu Kościoła. Więzy Kościoła z ruchem narodowym okazały się zarówno źródłem siły jak i słabości Metropolity.

Usilne dążenia Szeptyckiego w kierunku ukrainizacji Kościoła greckokatolickiego zaowocowały po jego śmierci i poza krajem. Kościół, zniszczony i formalnie zlikwidowany w kraju, rozrósł się i umocnił na kontynencie amerykańskim. Plany reorganizacji Kościoła przeprowadził jego bezpośredni następca ks. kardynał Slipyj, który w 1975 roku ogłosił się patriarchą, przemianował Kościół na ukraińsko-katolicki, odnowił i zacieśnił więzy z ukraińskim ruchem narodowym w diasporze, doprowadził do integracji narodowych elementów do Kościoła. Czy ta „nacionalizacja” będzie dla Kościoła korzystna okaże przyszłość.

Prof. Budurowycz wskazywał, iż sporo spraw wymaga dalszych badań, brak jeszcze źródłowych materiałów. Niektóre zagadnienia wymagają konfrontacji, gdyż są odmiennie relacjonowane. Na ostateczną ocenę roli Metropolity jeszcze nie czas.

Dyplomatyczną działalność Metropolity przedstawił Wasyl Markus, profesor Loyola University w Chicago. Prof. Bohdan Bociurkiw z Carleton University w Ottawie przedstawił jego stosunek do władz sowieckich. Prof. Wolfdieter Bihl (Wiedeń) i Hansjakob Stehle (Rzym) — jego stosunki z władzami austriackimi i niemieckimi. Prof. Szymon Redlich z Ben Gurion University omawiali stosunek Metropolity do Żydów w czasie wojny i okupacji niemieckiej, podkreślając jego prawdziwie chrześcijańskie zachowanie się — mówił o mistycyzmie, potępieniu zbrodni, wezwań do niesienia pomocy itp. Kurt Lewin z Nowego Jorku, przedstawiony jako naoczny świadek akcji pomocy Metropolity dla Żydów, dzielił się swoimi wspomnieniami na ten temat. Jed-

na sesja poświęcona była działalności Metropolity na polu społecznym i kulturalnym, inna działalności religijnej, opiece nad imigrantami. Prace konferencji ukazać się drukiem przypuszczalnie w przyszłym roku.



We foyer Biblioteki Uniwersyteckiej z okazji konferencji umieszczono gablotkę, w której znajdowały się dokumenty, fotografie, szaty liturgiczne, opublikowane prace Metropolity oraz prace o nim.

Benedykt HEYDENKORN

B. H.

UKRAINA I UKRAIŃCY W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Całodzienna konferencja na powyższy temat odbyła się w Toronto 2 marca bież. roku w ukraińskim Instytucie św. Włodzimierza. Prelegentami byli wprawdzie przeważnie zajmujący się tym zagadnieniem wykładowcy i pracownicy naukowcy — nie tylko zresztą ukraińskiego pochodzenia — ale konferencja nie miała charakteru naukowego. Została zorganizowana ze względów politycznych. W ostatnich miesiącach w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie środki masowego przekazu donosiły, iż na terenie tych krajów przebywają zbrodniarze wojenni — osobnicy, którzy brali udział w masowych egzekucjach w obozach koncentracyjnych oraz w innych akcjach policji, SS itp. Padały oskarżenia pod adresem Ukraińców i niektórych ukraińskich formacji wojskowych, które znajdowały się pod dowództwem niemieckim. Wprawdzie kanadyjskie i amerykańskie organizacje ukraińskie reagowały na każde takie oskarżenie, ale uznały, że to nie wystarcza. Stąd zwołanie konferencji, której zadaniem było jak najwszechstronniejsze naświetlenie problematyki ukraińskiej w czasie wojny.

Roman Szporluk, profesor historii na University of Michigan, autor m.in. zwięzłej historii Ukrainy w języku angielskim, miał wygłosić wstępną prelekcję nt. „Kryzys tożsamości i legalizmu we wschodniej Europie w okresie międzywojennym”, nie przybył jednak z powodu choroby i zastąpił go Jury Boshyk, profesor sławistyki na University of Toronto, przewodniczący konferencji.

Mówcy dowodzili, że w zasadzie Ukraińcy nie godzili się ze stanem faktycznym, istniejącym do września 1939 roku, co wyjaśnia ich stosunek do dalszych wypadków. Znaleźli się między dwoma totalizmami i musieli dokonać wyboru. Zarówno polityka sowiecka jak i niemiecka wobec Ukraińców — szczególnie na terytorium R.P. — była zwodnicza, toteż znajdowała w pierwszej fazie poparcie i uznanie. Później ludność znalazła się już w

przymusowej sytuacji. Współdziałała z okupantem niemieckim, spełniała różne funkcje, służyła w różnych formacjach. Nie była to jednak koniecznie pełna i prawdziwa kolaboracja, jako że równocześnie niektórzy współpracowali z podziemiem, ukrywali i pomagali Żydom itd., jak o tym świadczą dokumenty niemieckie.

Nie miejsce tu na polemikę z niektórymi niezwykle — najłagodniej mówiąc — uproszczonymi twierdzeniami; ograniczmy się do uwagi, że nie spełniają one dobrego zadania.

Najbardziej precyzyjne były wyważone i dobrze udokumentowane wywody profesora Tarasa Hunczaka, który przestrzegał przed pochopnymi ocenami i uogólnieniami. W warunkach wojennych jeszcze trudniej zachowywać się przyzwoicie aniżeli w normalnych, były więc zbrodnie, ale też i akty oporu. Zdaniem prof. Hunczaka jest jeszcze wiele spraw niezbadanych, ciągle brak licznych materiałów archiwalnych.

O formacjach wojskowych mówili Piotr Potichnyj, profesor nauk politycznych McMaster University w Hamiltonie, i Mirosław Jurkiewicz z Instytutu Ukrainoznawstwa przy University of Alberta. Stosunek państw zachodnich do ukraińskich powojennych uchodźców politycznych przedstawili Mark R. Elliot, profesor Asbury College, i dr Lubomir Luciuk, pracownik naukowy wydziału geografii University of Toronto.

W obszernej dyskusji panelowej na temat wszczynania obecnie dochodzeń wobec zbrodniarzy wojennych wzięło udział 8 osób, przedstawicieli różnych instytucji zajmujących się tym problemem. Zwrócono m.in. uwagę na rolę sowieckiej dezinformacji: Moskwa celowo oskarża różne osoby, które były zaangażowane w walkę z komunizmem, a obecnie odgrywają jakąś rolę na emigracji, o kolaborację z Niemcami. Najnowsza nagonka na takich ludzi jest w dużej mierze inspirowana przez Moskwę. Nikt nie zamierza bronić rzeczywistych zbrodniarzy wojennych, gdziekolwiek się znajdują.

Materiały konferencji zostaną opracowane i opublikowane w niedalekiej przyszłości. Dobrze byłoby, gdyby zostały należycie zbierane.

B. H.

WSPOMNIENIA

J.-F. MALGAINÉ

MEDYCYNĄ I CHIRURGIA POLSKA W CZASIE POWSTANIA LISTOPADOWEGO*

Kiedy wybuchło w Polsce powstanie i przyszło organizować opór narodu, wojskowa służba zdrowia stanęła już od pierwszych bitew wobec zatrważającego braku ludzi. Krótki opis uprzedniego stanu rzeczy i instytucji lekarskich w Polsce pozwoli łącznie zrozumieć tego powody.

Mimo starań Piotra Wielkiego i jego następców Rosja nigdy nie zdołała wykształcić dostatecznie wielu lekarzy, by zaspokoić potrzeby swych wojsk. Nawet w czasach pokoju szeregi chirur-

* „Coup-d'œil sur la médecine et la chirurgie en Pologne durant la dernière révolution” przez J.-F. Malgaine, de Charmes, docteur en médecine de la Faculté de Paris, décoré de la croix d'or du Mérite militaire de Pologne, ex-médecin de division dans l'armée polonaise, membre de la Société médicale d'Emulation et de la Science Anatomique de Paris, de la Société royale d'Emulation des Vosges, etc. (Ed. Imprimerie de Dezauche, rue du Faubourg Montmartre, N° 11. Paris, 1982).

Według J.-F. Malgaine w Powstaniu Listopadowym uczestniczyło 60 lekarzy francuskich. Czterej byli wydelegowani przez Ministra Wojny dla zbadania panującej wówczas w Polsce epidemii cholery.

Należy porównać tę relację z opracowaniem lekarza amerykańskiego, dr. Paul Fitzsimmons-Eve, przedstawionym przez dr. Halinę Nelken w 62-gim *Zeszytach Historycznym* z 1982 roku.

gów wojskowych były zasilane Francuzami i Niemcami; po latach wytchnienia wojna z Turcją ponownie uwidoczniła braki, które udało się zapłacić wyłącznie dzięki apelom do cudzoziemców. Stawszy się prowincją rosyjską, Polska przedstawiała sobą mniej więcej ten sam obraz. Piętnaście lat nieprzerwanego pokoju dały wszakże Akademii Warszawskiej dość czasu na to, aby choć armię i duże miasta wyposażać w lekarzy tubylców. Dumni z ich liczby i zatroskani nieco jej szybkim wzrostem, lekarze polscy zawiązali święte przymierze przeciw cudzoziemcom, którzy chcieliby dzielić z nimi klientelę; lekarz taki był szykanowany, sekowany, zmuszany jak uczeń do zdawania na nowo egzaminów przed gremium złożonym z jego konkurentów. Znamy lekarza francuskiego, człowieka dużych zasług i wiedzy, który w obliczu niezliczonych przeszkód zmuszony był porzucić praktykę lekarską i schronić się na katedrę literatury.

Poniżej klasy doktorów medycyny, bogaczy skupiających w swych gabinetach klientelę z wyższych warstw, znajdowały się dwa rezerwuary: z jednej strony studenci medycyny, w liczbie nie przekraczającej setki, z drugiej strony klasa felczerów czy cyrulików-lekarzy. Bo wśród sław lekarskich trudno było o człowieka, zdolnego operować; chirurgia nie cieszyła się w Polsce estymą. Kilka charakterystycznych faktów ilustruje stan upadku tej gałęzi sztuki. Szef wojskowej służby zdrowia, doktor medycyny, nigdy w życiu nie trzymał skalpela w ręku; szef wydziału lekarskiego przy ministerialnej komisji do spraw wojny, któremu poruczono zakup instrumentów, nie potrafił mi wyjaśnić ich zastosowania; chirurdzy wojskowi nazywani są na równi z pozostałymi medykami „lekarzami”, a kiedy pierwszy ambulans z chirurgami francuskimi zajechał pod radę zdrowia, zapytano ich „Czy Panowie jesteście felczerami?”.

Co do armii zaś, która pod Konstantym liczyła 35 do 38.000 tysięcy żołnierza, to dysponowała ona dostateczną liczbą lekarzy na czasy pokoju, niewystarczającą jednak na czas wojny; podobnie jak medycyna cywilna — liczyła mało chirurgów.

Z tymi oto elementami przyszło uzupełnić szeregi chirurgów w wojsku, które po powołaniu weteranów wzrosło do 60.000, a po dalszych poborach przekroczyło 100.000 żołnierzy. Bitwa o Grochów wypełniła szpitale Warszawy; uprzytomniono sobie wówczas, jak mizerne były rezerwy, tym bardziej, że kilku z lekarzy, na których liczone, zabrakło.

Akademia medycyny świeciła pustkami. Młodzi ludzie, nadzieja nauki i ojczyzny, nie chcieli zostać na tyłach. Bili się w pierwszych szeregach o zwycięstwo powstania, które wywołali.

Także wyższym szczeblom udzielił się ten entuzjazm, ten chwalebny zapał zemsty: opowiadano nam o doktorze Marcinkowskim z Poznania, który porzucił ojczyznę i klientelę i sprzedał swe dobra, aby biec na ratunek powstańczej ojczyźnie; pod Grochowem zdobył epolety kapitana. Wódz naczelny rozkazał mu udać się do rannych; Marcinkowski usłuchał, spełnił swe obowiązki chirurga, a kiedy ranni mogli się już bez niego obejść, wrócił na czoło swojej kompanii.

Sądono, że będzie można się zdać na patriotyzm warszawskich lekarzy, tymczasem wielu z nich nie spełniło najświętszego obowiązku. Gniewne słowa gazet warszawskich odbiły się echem w całej Europie: Polska wzywała cudzoziemców na pomoc swym opuszczonym przez rodaków synom. Patetyczne apele znalazły odzew. Zjechali chirurdzy z Wilna, lekarze z Krakowa, za którymi podążyli ich uczniowie; wkrótce z wszystkich stron cywilizowanego świata zaczęły napływać kontyngenty, oddane tej chwalebnej humanitarnej służbie. Wśród ponad stu zagranicznych lekarzy znajdował się jeden Amerykanin, trzech Węgrów, jeden Czech, kilku Włochów, Austriacy, Prusacy, Hanowerczycy, jeden Hes, kilku Bawarczyków, Duńczycy, Szwedzi, dwunastu Anglików, spośród których kilku służyło już w Grecji w walkach o niepodległość; trafiło się nawet kilku lekarzy rosyjskich, i wreszcie ponad sześćdziesięciu medyków i chirurgów francuskich. Niech nam będzie wybaczona odrobina pychy, ale było nas więcej niż innych. Nie wszystkie departamenty w równym stopniu przyłożyły się do tej szlachetnej misji: najliczniej reprezentowany był Paryż, a po Paryżu Lotaryngia. Lekarze francuscy największą też złożyli daninę krwi: o ile wiemy, na sześćdziesięciu — jedenastu zginęło, a inni wciąż jeszcze nie wrócili do Francji.

Podczas gdy rozmaite grupy chirurgów napływały z wszystkich zakątków Europy, zatrzymywani przeważnie przez policję pruską, inna klęska, równie straszna jak wojna, spadła na nieszczęsną Polskę. Pierwszego maja w dwudziestu czterech szpitalach warszawskich — z których niektóre mieściły po 3.000 chorych — znajdowało się 19.600 rannych i chorych na cholere; sama cholera kosiła co dzień 150 chorych. Ksiądz Łubieński, postawiony w tych trudnych warunkach na czele służby zdrowia dwoił się i troił, czuwając nad wszystkim; jemu głównie chorzy i ranni Warszawy winni są dozgonną wdzięczność.

Lekarze cywilni także zmobilizowali swój patriotyczny zapał. W obliczu zalewu zagranicznych medyków, drżąc przed nieuchronną konkurencją, czynnie włączyli się w działalność publiczną. Wszystkie zarządy, wszystkie stanowiska w szpitalach znalazły

chętnych; kiedyśmy przybyli po nieskończenie długiej podróży, bojąc się tylko, czy nie przybywamy za późno, z trudem dostaliśmy jakieś oddziały szpitalne; przecie nie zdołali wszystkiego obsadzić.

Nie jest moim zamiarem opisywanie wszystkich drobnych szykan, na jakie byliśmy narażeni ze strony rozmaitych ministerstw, usianych jeszcze kreaturami rosyjskimi. Ambulans francuski musiał czekać miesiąc na transport do armii, gdy lekarz naczelny od pierwszych dni ponaglał nasz wyjazd. Po miesiącu bito się pod Ostrołęką: ta straszna jatka zmusiła wreszcie do użycia chirurgów, których do tego czasu przetrzymano, uwięzanych w bezczynności¹.

Opiszę zaraz, jak zorganizowano służbę zdrowia w szpitalach i w wojsku.

W szpitalach był dyrektor, wzięty spośród lekarzy, w randze lekarza dywizji; jego funkcja polegała mniej więcej na zarządzaniu szpitalem. On w zasadzie kierował i nadzorował służbę, sam najczęściej nie spełniając posług lekarskich. Podlegali mu lekarze ordynatorzy, szefowie oddziałów, niekiedy lekarze adiutanci, odpowiednik naszych internów, dalej felczerzy, kierowani do bandażowania, upuszczania krwi, lewatyw, a w razie potrzeby i do golenia lekarzy. Felczerom przysługiwała ranga podoficerów i dzielili się na felczerów starych — w randze starszego sierżanta, i felczerów zwykłych — w randze sierżanta lub kaprała.

Cała ta służba szpitalna stanowiła dla ministerstwa i personelu dyrekcję szpitala, radę zdrowia, komisję d/s wojny w jednym ciele. Ta trójwładza, która przez swój niejasny rozdział funkcji znakomicie sprzyjała rozbudzaniu zawiści i wzajemnemu wchodzeniu sobie w paradę, często prowadziła do pożałowania godnego zamętu w służbie. Aby temu zapobiec, rząd uznał za najwłaściwsze utworzyć czwartą władzę w osobie pana Antommarchi; ledwie stawił się do dyspozycji, przyznano mu prawo kontroli pozostałych, z pewnymi wszakże ograniczeniami. Jak łatwo było przewidzieć, spowodowało to tylko tyle, że trzy władze podrzędne zjednoczyły się przeciw wspólnemu wrogowi, aż go wreszcie obaliły, co nie zmniejszyło bałaganu.

W armii mieliśmy lekarza naczelnego, pana Kaczkowskiego, uczonego profesora i doświadczonego praktyka, pełnego zapału i najlepszych chęci, niestety jednak nie obeznanego ani z chirurgią,

1. Zła wola rządu znalazła wyraz i w ważniejszych kwestiach. Zaraz po bitwie o Ostrołękę biegałem po Warszawie z adiutantem Skrzyneckiego w poszukiwaniu żywności, której od kilku dni, mimo nalegań wodza naczelnego, nie raczono przysyłać bijącej się armii.

ani ze służbą wojskową. Robił co mógł dla poprawy stanu służby medycznej, wbrew przeszkodom ze strony wszystkich niemal naczelników wydziałów w ministerstwie wojny, zatroskanych bardziej o obalenie go aniżeli o dopomożenie mu, aż czasami musiał prosić o pomoc Naczelnego Wodza. Ministerstwo i lekarz naczelny także stanowili rywalizujące ze sobą władze, które miały kierować tą samą służbą, a nigdy nie mogły dojść do porozumienia. Dziwne się wreszcie wyda, że naczelny lekarz armii nie miał żadnej władzy, nawet prawa inspekcji szpitali wojskowych, do których kierował rannych. Starano się parokrotnie — m.in. pan Antommarchi — rozwikłać ten chaos i ustalić prosty ład na wzór tego, jaki istnieje we Francji: wystawiałoby to jednak zbyt wiele interesów i ambicji na szwank, aby mogło się być udało.

Poniżej szczebla lekarza naczelnego znajdowali się lekarze dywizji — a gdy kilka dywizji łączyło się pod wspólnym dowództwem generała, każdy poszczególny lekarz dywizji działał na własną rękę; niektórzy pretendowali do zwierzchnictwa nad innymi, którzy zasadnie się temu opierali; wynikały z tego niekończące się spory i skandale. Pod koniec wojny jednak zalecono i wprowadzono w życie rozmaite ulepszenia, między innymi przydzielono lekarzy naczelnym poszczególnym korpusom armii.

Za lekarzami dywizji szli lekarze pułkowi, dalej lekarze poszczególnych batalionów i nieuniknieni felczerzy. Były wśród nich też kobiety: jedną z nich odznaczono srebrnym krzyżem zasługi po bitwie o Warszawę.

Subordynacja była przestrzegana jako-tako, ale przynajmniej obowiązywała jako zasada tej hierarchii. Poza zasięgiem wszystkich tych władz znajdowały się szpitale polowe (zwane przez autora ambulansami — dop. tłumacza), podległe wyłącznie lekarzowi naczelnemu. Było ich na całą armię siedem; kiedy zdarzało się, że dywizja została odcięta od armii, ambulanse nie wiedziały, kogo słuchać, choć każdy chciał nimi zarządzać. Zdaliśmy wreszcie poskromić te nadużycia i pod koniec kampanii każdy szpital polowy miał podlegać rozkazom lekarza dywizji.

Przy tak dziwnych porządkach służba musiała być często nader niedoskonała, nawet gdy wszyscy zmierzali do tego samego celu. Wyobraźmy sobie, co się działo, gdy zapominano o zasadzie subordynacji, źle rozumiano zadania lub mimo zrozumienia lekceważono je. Tymczasem, z wyjątkiem felczerów, którzy niesubordynację przejawiali niekiedy paroma uderzeniami knuta, wyższe rangi przejawiały niemal bezgraniczną niezależność. Zacytuję jeden tylko przykład spośród tysięcy. Lekarz naczelny chciał osa-

dzić w areszcie za niesubordynację dwu podległych mu lekarzy; inkryminowani bez żenady odmówili: aby ich zmusić do posłuszeństwa, trzeba było odwołać się do autorytetu wodza naczelnego.

Poza tą wieczną kością niezgody służbie zagrażał jeszcze inny poważny czynnik: mam na myśli zasadę awansów.

Poza absolwentami wyższych szkół i posiadaczami dyplomów lekarskich — chirurgów wojskowych rekrutowano spośród felczerów. Aby uzupełnić szeregi, powołano wszystkich warszawskich cyrulików. Rząd dawał im w wyposażeniu kuferek lekarski, lancety, skórzaną torbę na kompresy i szarpie, mundur podoficera, i oto mieliśmy felczera. Po odsłużeniu pewnego okresu przechodził do kategorii felczerów starych, po czym wystarczyło pierwszego awansu, by zostać lekarzem batalionu: tryb awansu był ten sam co dla zwykłych podoficerów. Toteż, gdy jakiś felczer miał ambicje by zejść wyżej, w humorystyczny sposób starał się swoim wyglądem zewnętrznym pokazać, że jest osobą szacowną; często oglądaliśmy takie komedie. Tacy kandydaci bardziej dbali o toaletę, mieli wystudiowane gesty, jadal na osobności, nie pospolitując się z resztą podoficerów, przemawiali głosem autorytatywnym, jakże naturalnym w Polsce, i trzeba było używać potężnych argumentów, aby ich skłonić do golenia bród. Aż wreszcie prędzej lub później nadchodził dzień ich chwały i decyzją ministra mianowano ich wielmożnymi lekarzami batalionu.

Lekarze batalionu wkrótce mogli się pochwalić stażem i służbą, stawali się przeto wielmożnymi lekarzami pułkowymi. Oto przypadek, ilustrujący zasięg ich wiedzy. Rzecz miała miejsce w jednym z pułków mojej dywizji, której naczelnym lekarzem był niegdysiejszy felczer.

Pewien kosynier (tak nazywano żołnierzy zbrojnych w kosa oraz *par extension* wszystkich rekrutów), spiesząc się zapewne na apel, nie zdążył przeżuć twardej wołowiny, którą serwowano w kotle, i potężny jej kawał wpadł mu do krtani i utkwiał w przełyku, powodując niewygodę, ból, okrutne pragnienie, etc. Udał się do lekarza naczelnego i opowiedział mu, co zaszło. Lekarz po długim namyśle wpadł nagle w złość. „Durniu! Głupcze! Ośle! — Czyż nie mogłeś spokojnie przeżuć, zamiast przez żarłoczność swą w taki mnie wprawić ambaras?” — Nie na tym jednak trudność polegała — kosynier przyznawał się do winy. Lekarz zatem począł mu administrować lekkie uderzenia w plecy, potem kazał mu się napić wody, wreszcie w przeblysku ołśnienia uznał, że masło, iż śliskie, ułatwi przełknięcie obcego ciała. Gdy

jednak nic nie pomagało, lekarz, przyoblekając na powrót twarz w chłód i powagę, odesłał poszkodowanego do baraku, zapewniając go, że wołowina z czasem spłynie do żołądka. Tymczasem nadszedł wieczór, a kawał mięsa nadal tkwił w krtani. Ponownie udano się do lekarza, który przełożył wizytę na następny dzień. Następnego dnia stan rzeczy się nie zmienił. Lekarz przypomniał sobie nader *à propos*, że żona jego pozostała w Warszawie, a syn źle się czuje, i poprosił pułkownika o przepustkę na kilka dni. Kiedy w południe znowu udano się do niego z pilną prośbą o pomoc, już był wyjechał.

Obce ciało spłukał do żołądka przy pomocy sondy zakończonoj gąbką jeden z chirurgów batalionu, bardzo wykształcony lekarz czeski, i on to opowiedział nam ze szczegółami całą historię. Jednak nasz uczony lekarz pułkowy nadal pełnił służbę z tym samym zapałem i tym samym zaufaniem; kiedyśmy odstąpili Warszawę, spotkałem go pod Płockiem: był już w stopniu wielmożnego lekarza dywizji.

Łatwo sobie wyobrazić przydatność tych ludzi w bitwie albo w obliczu epidemii, które dziesiątkowały niekiedy nasze pułki. W tym miejscu pora przejść do rozpatrzenia stanu medycyny i chirurgii w szeregach ich prawdziwych adeptów, czyli polskich lekarzy.

Analiza medycyny nie ogranicza się zazwyczaj do zbadania re-surs, jakie oferuje warszawska Akademia. Choć można wymienić kilku szacownych profesorów, między nimi profesora anatomii, który zostawił swą praktykę, aby się w całości oddać pracy badawczej, Polska leży zbyt daleko od strefy postępu naukowego, aby nie odczuwała potrzeby nauki i poznania. Potrzeba ta, słabo zaspokajana od północy i wschodu, kieruje się w stronę południa, toteż większość lekarzy warszawskich wyszła z któregoś z uniwersytetów niemieckich, a kilkoro przebywało w Paryżu i uczyło się u naszych mistrzów. Do ich zapału w nauce walnie przyczyniało się wykształcenie, jakie otrzymywali nawet w szkołach rosyjskich, do którego pilniej się przykładali niż to bywa u nas. Łaciną, zapomnianą dziś całkowicie przez prosty lud, władają w mowie i piśmie niemal jak językiem żywym. Znajomość niemieckiego i francuskiego należy do kanonu liberalnego wykształcenia. Byłem świadkiem, jak doktor Malcz, jeden z czołowych praktyków warszawskich, prowadził w swym gabinecie rozmowy lekarskie w językach niemieckim, francuskim i angielskim, pokonując bez najmniejszego wysiłku trudności językowe, zupełnie jak gdyby mówił w języku ojczystym. Mogą więc oni z korzyścią posługiwać się książkami, opublikowanymi w dowolnym języku

wykształconej Europy; jednak księgarstwo, dość ubogie, odcina ich w rzeczywistości od wielu źródeł. Jeśli chodzi o literaturę fachową, nie wychodzą w zasadzie poza Niemcy, toteż ich medycyna jest wyłącznie germańska.

Recepty wypisywane są po łacinie i farmacja odgrywa znaczną rolę. Widząc prostotę naszych formuł i metod leczenia, oświadczają — jak sędzę — w dobrej wierze, że medycyna polska znacznie przewyższa francuską.

W tej materii nie całkiem się zgadzaliśmy, gdyż dziedzina fizjologii ma w Warszawie tylko kilku anatomo-patologów. I nic w tym dziwnego: nienawykli do operowania nożem na żywych, mają nie mniejsze obrzydzenie do krawania trupów. O ile nasza medycyna wydaje się opierać wyłącznie na anatomii patologicznej, ichnia stoi, że tak powiem, na samej materii lekarskiej. Toteż krytykują nas surowo, podobnie jak i my ich.

Nie ma lekarza wolnego od próżności. W Polsce jednak — gdzie próżności sprzyja pewna predyspozycja narodowa — cecha ta jest wśród lekarzy nagminna. Niektórzy posuwają się niestety aż do twierdzenia, że wszyscy medycy francuscy, z kilkoma sławnymi nazwiskami na czele, są ignorantami. Pewien renomowany praktyk, zachwalając swój sposób leczenia cholery, stwierdził, że umiera mu tylko czterech pacjentów na stu. Oto jego cenne panaceum, poparte teorią na temat tej niezbadanej choroby:

Przy autopsji odkrywa się zmiany we krwi, które zdają się być spowodowane znacznym ubytkiem wody znajdującej się zazwyczaj we krwi: łatwo to wyjaśnić stałą biegunką i wymiotami; potwierdza to całkowita suchość błon, torebek maziowych, żołądka, pęcherza. Punkt pierwszy: brak wody w gospodarce organizmu.

Punkt drugi: lodowate zimno dowodzi, że także ciepłota ciała spada.

Chodzi więc tylko o to, by przywrócić organizmowi ciepło i wodę. Nic prostszego: wystarczy poić chorego ciepłą wodą. Do tego dodawano niekiedy upuszczanie krwi, aby przeczyszczyć naczynia krwionośne i ułatwić cyrkulację krwi.

Niestety autopsje dowiodły że dane, stanowiące centralny punkt tego leczenia, nie są całkiem ścisłe, a praktyka zaprzeczyła rzekomo wspaniałym wynikom tej terapii. Kiedy wiatr cholery powiał nad szpitalem Ordynackim i zaatakował trzydziestu pacjentów, słynny terapeuta stracił ponad piętnastu. Spieszę jednak dodać, że nie stracił ich więcej niż inni.

Przejdźmy do chirurgii. Istnieli doskonali praktycy, ale było ich za mało. Wspomniany już pan Malcz pokazał mi złamanie

kości biodrowej wskutek postrzelenia, które wyleczył, nieznacznie tylko skracając nogę. Pomijając jednak kilku lekarzy tej miary, reszta to takie nieuki i miernoty, że sami lekarze przyznają, że Francuzi przewyższają ich w chirurgii.

Przez miesiąc pełniłem funkcję ordynatora oddziału chirurgii w szpitalu Ordynackim. U trzech czwartych amputowanych wystawała kość; połowie osób amputowano nogi w pobliżu podbicia; kule usuwano bez nacięcia wlotu; złamania składano w sposób jeszcze bardziej barbarzyński niż resztę.

Kilka dni przed bitwą o Ostrołękę przywieziono konwój rannych; armia stała wówczas 12 mil od Warszawy. Przyjąłem kilku rannych w moich salach; jeden z nich zwłaszcza zwrócił moją uwagę. Kolano i kikut nogi opinał mu kunsztownie zawiązany bandaż spięty dwudziestoma agrałkami, ale kikut był niebywale jakoś odkształcony: z zewnętrznej strony wyglądał jak stożek, a w wewnętrznej miał jakby wgłębienie. Kiedyśmy zdjęli bandaż, zrozumieliśmy przyczynę odkształcenia. Była to rozległa amputacja dokonana przez pocisk działa, który uderzył w kolano skosem do wewnątrz, oderwał połowę piszczela, odsłaniając kłykieć kości udowej; kość strzałkowa została zmiażdżona nieco wyżej i z nogi, urwanej ukośnie jak zakończenie fletu, zwisały poharatane mięśnie, które wywinięto na zewnątrz, aby łatwiej założyć bandaż. Ranny w tym stanie przebył 12 mil na okropnych podwodach. Miał wysoką gorączkę; gangrena zabiła go w ciągu dwu dni.

Na mój oddział przeniesiono żołnierza, któremu kula przebiła na skroś udo i złamała w połowie kość udową. Przywieziono go w 52-gim dniu po zranieniu. Udo i łydka spoczywały na wpół zgięte na zewnątrz. Łydka była obnażona i bardzo opuchnięta; udo spoczywało w dwóch łubkach nieco krótszych niż kość, jeden z zewnątrz, drugi mniej więcej po linii tętnicy; na nich leżało kilka jakby przypadkiem rzuconych kompresów; żadnego nacięcia wokół wlotu i wylotu kuli; udo równie opuchłe jak łydka, pokryte co więcej niemal w całości mnóstwem wrzodów pełnych czarnej, cuchnącej ropy.

Pokazałem nieszczęśnika dyrektorowi i lekarzom ze szpitala: było to straszne. Umarł kilka dni później od krwotoku: gangrena przeżarła naczynia krwionośne.

Takie rany uda są dość częste, a ponieważ komplikują je wielkie wrzody, uniemożliwiające zginanie kończyny, poprosiłem o łubki Dessault. Dyrektor nigdy o nich nawet nie słyszał. Byłem zmuszony przedstawić mu pisemny opis z rysunkiem piórkiem, na nic zresztą, bo nigdy nie udało mi się ich dostać.

Poprosiłem zatem o zwykłe leszczoty, byle duże i mocne. Nie

znaleźliśmy ich w żadnym szpitalu warszawskim ani w centralnym magazynie, do którego specjalnie pojechałem. Oferowano nam za to leszczoty z bardzo miękkiego drzewa, zwyczajnej długości, cienkie jak karton i bardzo giętke. Po 15-tu dniach starań z satysfakcją wymogłem sporządzenie mocniejszych leszczot i miałem niespodziewany zaszczyt wprowadzenia ich do polskiej chirurgii.

Podobne fakty zdarzały się co dnia, wprowadzając nas w stan coraz większej irytacji. Zdecydowałem się skierować raport do komisji wojny, kiedy bitwa o Ostrołękę wprowadziła takie zdenerwowanie, że odwróciła uwagę rządu od wszelkich spraw mniejszego rzędu. Nieco później pan Pinel, kolega nasz, również jak my wburzony tym stanem rzeczy, skorzystał ze sposobniejszej chwili i przesłał ministrowi raport, który ściągnął na niego nawiść całego polskiego korpusu lekarskiego, ale przyczynił się jednak do usunięcia niektórych niedostatków, które piętnował.

Znaczenie diety nie było na ogół doceniane. Przyprowadzono mi żołnierza, któremu pocisk rozerwał zewnętrzną stronę ramienia i przedramienia na długości blisko stopy i szerokości kilku cali. Brakowało sporej części mięśni; kość promieniowa była w znacznej części obnażona i już miała odcień szarawy; z otwartej rany płynęła obficie cuchnąca ropa; puls był nierówny pod wpływem wysokiej gorączki; rannemu temu podawano połowę racji żywności i co rano kroplę wódki. Dwa dni całkowitej diety poprawiły znacznie jego stan: zezwoliłem więc na trochę mleka. Nasz nieoceniony dyrektor szpitala przyszedł na obchód i obejrzał recepty. Pokazałem mu między innymi tego rannego i zrelacjonowałem przypadek. „Ależ — powiedział mi ten zacny człowiek z pewnym wyrozumiłości uśmiechem — nie można żyć samym mlekiem!”.

Chciałem amputować ramię tego chorego, bo według wszelkich danych gojenie się rany, o ile w ogóle miałyby nastąpić, trwałoby długo, a utrata mięśni nie dawała nadziei na odzyskanie władzy w dłoniach. Zebraliśmy się na konsultację: ponieważ chory poruszał nieco końcami palców, większość zdecydowała nie przeprowadzać operacji; dalszych losów tego pacjenta nie znam.

Aby wprowadzić zwyczaj diety, musieliśmy zresztą stoczyć dodatkową walkę z chorymi. Nie mieliśmy wcale zamiaru wystawiać ich na udręki diety francuskiej; żołądek Rosjanina czy Polaka ma inne wymagania. Polewka winna czy piwna zastępuje mu rosół cielęcy czy z drobiu — stosowany w szpitalach francuskich. Przenosząc rekonwalescenta na pół kotła bez wódki, narażaliśmy się na niekończące się reklamacje. Dodajcie do tego,

że ci ludzie są tak przystosowani do swojego leczenia, a ich leczenie do nich, że skarżyli się już, gdy zmniejszano im lub upraszczano podawane leki. Pewnego dnia moi ranni złożyli skargę do inspektora szpitala na postępowanie chirurgów francuskich, którzy nie zgadzali się na obkładanie ran maściami i plastrami.

Wspominałem już o wynikach amputacji, jakie znalazłem na moim oddziale. Wystawianie kości wynika z jednej strony z diety, jaką się stosuje wobec operowanych, a z drugiej z techniki operacji. Wielu chirurgów tnie mianowicie prostopadle aż do kości, po czym piłują kość w tym samym kierunku. Niektórzy operowali zgodnie z zasadami, przyjętymi we Francji, ale nie było ich wielu. Aby opanować upływ krwi, zakładano po prostu garotę, zwaną wiejskim ściskaczem; nie bez zdziwienia dostrzegłem przeżalenie, jakie odmalowało się na twarzach kilku widzów amputacji, kiedy — zmęczony ściskaniem i rozluźnianiem garoty — rzuciłem ją precz i ucisnąłem tętnicę goleniową palcem.

Nasze najnowsze sposoby operowania były na ogół nieznane. Niełatwo nam przyszło znaleźć chirurga, który by umiał amputować stopę metodą Choparta, nie mówiąc już o metodzie p. Lisfraca, o której sama myśl wydawała się niemożliwa. Nazwisko p. Larrey jest znane i cenione w Polsce bardziej z uwagi na pamięć ludu o Napoleonie i wielkiej armii aniżeli z uwagi na postęp nauki, z jakim jest związane. W pierwszym dniu bitwy o Warszawę miałem okazję amputować nogę metodą naszego sławnego mistrza więźniowi rosyjskiemu, u którego uznano za konieczną amputację uda.

Tak oto chirurgia polska wlecze się, zdominowana i zduszona przez medycynę, i sprowadzona niemal do poziomu medycyny francuskiej z epoki cyrulików i despotyzmu dawnej Akademii. Pewien młody polski lekarz zapewnił mnie, że nie istnieje ani jedno polskie dzieło medyczne; kilka lat temu pewien warszawski profesor przetłumaczył na polski „Nosografie” pana Richeranda.

Z całego obrazu polskiej chirurgii pamiętam tylko dwie cenne rzeczy, które warto by może wprowadzić we Francji. Lancet wyrobu p. Malle z Warszawy przewyższa bez wątpienia lancety paryskie i berlińskie pod względem kształtu, szpica i gatunku stali. Winienem także oddać honor felczerom, najrzęczniejszym być może fachowcom od puszczenia krwi w Europie. Puszczają krew w sposób uderzająco przyjemny, a też nader rozumny. Zamiast wsuwać choremu do ręki etui czy zrolowany bandaż, podają mu długi kij, jednym końcem wsparty o ziemię: mówiąc bez ogródek, jest to najczęściej kij od miotły. Daje to kilka korzyści: nakłucia są zawsze równoległe; chory, zmęczony napinaniem ramienia,

może się mocno oprzeć; chirurg natomiast, mając wolne ręce po nacięciu lancetem, może ich w razie potrzeby użyć dla zapobieżenia drobnym incydentom towarzyszącym puszczeniu krwi. Nie przypominam sobie, abym stwierdził po tym typie puszczenia krwi podrażnienia czy sińce; jedynym występującym niemal zawsze skutkiem jest ropienie rany; oczywiście tego przyczyną jest to, że felczerzy, ponoszący koszt ostrzenia lancetów, nigdy niemal ich nie ostrzą.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć kilka słów o tym, jak lokowano chirurgów, aby mogli operować bądź na postoju, bądź w marszu, bądź w czasie bitwy.

Wyszliśmy z Brzezina w kierunku Siedlec w trzy dywizje, z których każda miała swojego naczelnego lekarza i tylko jeden ambulans. Lekarze dywizji jechali ze sztabem, lekarze pułkowi szli na czele pułków, ambulans wraz z taborem jechał za korpusem. Ponieważ szliśmy do przodu, żołnierze byli pełni zapału i wigoru; ten stan ducha nie był bynajmniej niekorzystny. Kiedy jednak po kilku dniach wytężonego marszu zdrada generała Jankowskiego zmusiła nas do sromotnego odwrotu, przygnębieni żołnierze nie znajdowali oparcia dla swych nadwątłych już sił; pojawiły się dyzenteria i cholera. Ambulans jechał przodem z taborem, lekarze szli na czele swych pułków, tak że chorzy, którzy od czasu do czasu odpadali z szeregów, nie znajdowali ani lekarza, ani transportu, chyba że ambulans zbaczał z trasy i czekał na chorych, którzy musieli doń dojść o własnych siłach.

Parokrotnie apelowałem o zmianę tak fatalnego porządku; lekarze pułkowi czy batalionowi powinni iść za, a nie przed oddziałem; ambulans winien jechać z tyłu, aby zbierać chorych, a w razie ataku móc działać. Te zmiany wydawały się rozsądne, toteż uprzedzono mnie, że nie zostaną wprowadzone. Długo czasu wątpiłem w tę przepowiednię, ale z czasem się przekonałem.

Zdarzyło się, że odczuliśmy porządnie wzmiankowane niedogodności. Cofając się spod Bolincowa, dywizja nasza tworzyła arier-gardę; rozkaz z góry kazał mi udać się wraz z ambulansem do Warszawy. Ujechaliśmy około mili, gdy usłyszeliśmy za plecami odgłosy kanonady: Rosjanie atakowali tyły. Wahałem się, czy słuchać rozkazu, który mnie oddalał od oddziału, czy raczej wezwania kanonady za plecami, i wysłałem galopem weterana z prośbą o nowe rozkazy. Nadeszły zgodnie z naszymi życzeniami: zawróciliśmy zacinając co sił konie i dotarliśmy szczęśliwie na czas, aby zoperować i zwieźć z pola walki jeszcze kilku rannych.

Abym sobie przedstawić, z jakim uporem odsyłano szpital polowy do taboru, należy dodać, że przywiązywano wielką wagę

do zachowania wyposażenia ambulansu i opisać, na czym ono polegało. Przede wszystkim były to dwie potężne podwozy zbudowane z belek wzmocnionych żelazem, szersze aniżeli wszystkie inne wozy. Podwozie było na resorach i pokryte materacem, dość długie, by mógł się na nim wyciągnąć mężczyzna. W środku mieściły się swobodnie dwie osoby, w razie potrzeby upychano i cztery. Z przodu i z tyłu stały ławki, na których umieszczano pielęgniarzy weteranów i lżej rannych żołnierzy. Cztery konie z trudem ciągnęły ten ciężki zaprzęg przez ruchome piaski Polski.

Apteka zajmowała osobny wóz, w którym była dość przemyślnie uporządkowana. Z obu stron stały za firanką pigułki, pudełka i słoiki jak w zwyczajnej oficynie. Wewnętrzna skrzynia była podzielona na dwie części: tył otwierał jak się sekretarzyk i składał się z kilku dużych szuflad, w których przechowywano potrzebne instrumenty. Przód służył za magazyn.

Płótno i opatrunki, przyrządy, instrumenty i na dodatek torby i bagaże obsługi ambulansu jechały w ogromnym furgonie, przypominającym wóz węglowy. Całość była przykryta cienkim brezentem, który przy byle burzy przepuszczał strumienie wody. Pięciu miesięcy reklamacji ledwie wystarczyło, byśmy dostali do pokrycia ceratę. Pochód zamykał piąty furgon z paszą. Taki był skład większości ruchomych szpitali polowych. Nazywano je „ambulansem niepełnym”. Dla uzupełnienia dodawano pięć dalszych furgonów, zawierających wszystkie przedmioty niezbędne do działania prowizorycznego szpitala. Dopóki biliśmy się i potrzebowaliśmy szpitali polowych, wozy te stały w Warszawie: wysłano je w ślad za nami dopiero przy odwrócie w kierunku Prus².

Do każdego szpitala polowego był przydzielony komisarz zaopatrzeniowy; lekarz dywizji, naczelny lekarz armii i generał dywizji złożyli co najmniej dziesięć reklamacji, aby go zobowiązać do towarzyszenia ambulansom; uczeplił się pazurami Warszawy i wytrwał tam mimo wszelkie reklamacje.

Nasi nieszczęśni żołnierze byli więc, w razie zranienia czy choroby, podwójnie godni współczucia. W pułku mieli zapewniony kocioł, poza pułkiem nie było zapewnione nic. Apelowiałem do generała dywizji, któremu nie zawsze udawało się zapewnić nam choć niezbędny chleb. Raz przyszło mi wyekspediować z Bozanowa do Warszawy konwój rannych i chorych na czczo od 24

2. Wielokrotnie nalegałem, aby zmieniono te ciężkie wozy szpitalne na pojazdy lżejsze, zdolne pokonać wszelkie nierówności terenu oszczędniej, prościej i szybciej. Przedstawiłem nawet urzędowi zdrowia plan szpitali polowych francuskich, nie po to, by je wiernie skopiować, lecz by się do nich przybliżyć; odpowiedziano mi wzgardliwie, że nie ma takiej potrzeby.

godzin, dla których nie miałem zapasu jedzenia nawet na jeden dzień. Po drodze szukali pomocy po wsiach, a co silniejsi szli wykopywać kartofle na postojach. Do Warszawy dojechali wieczorem koło 6-tej; czyż można dać wiarę, że wobec niedopełnienia jakichś formalności cały konwój pozostawiono u wrót szpitala, bez nakryć, bez żywności, aż do następnego ranka? Na szczęście pan Antommarchi robił inspekcję i kazał ich przyjąć, mimo że formalności wciąż jeszcze nie były dopełnione.

Europa podziwiała bohaterską wytrwałość polskiego żołnierza; my jedni być może, którzy byliśmy świadkami i pocieszycielami ich bied, wiemy, co wycierpieli. W tym na poły rosyjskim rzędzie byli tacy, którzy za nic mieli życie bliźnich.

Na dłuższych postojach chorych leczył najpierw lekarz pułkowy. Potem zdecydowano zwieźć wszystkich chorych z dywizji do szpitala polowego, obsługiwanego przez lekarzy z ambulansu. Posunięcie to było samo przez się słuszne, zwłaszcza dla zorganizowania ewakuacji. Nieobecność komisarzy zaopatrzeniowych spowodowała jednak, że trzeba było odesłać wszystkich chorych z powrotem do pułków.

Po tym co wyżej powiedziano można sobie już wyobrazić brak koordynacji w ważnych sprawach. Kiedy jakiś pułk walczył sam, wszyscy chirurdzy z tyłów stanowili rodzaj bitewnego ambulansu; kiedy jednak puszczano w bój cały korpus lub całą armię, jak pod Ostrołęką czy Warszawą, pomoc lekarska nigdy nie była całkowicie zapewniona. Pod Ostrołęką na przykład pierwsze dostały rozkaz odwrotu ambulanse i wycofano je na tyły akurat w chwili, gdy ich obecność była najpotrzebniejsza. Oto warunki, w jakich przyszło pracować chirurgom.

Każdy pułk trzymał wszystkich swoich chirurgów; pułkownicy, zazdrośni o swoją część władzy, żadnemu z nich nie pozwoliliby się oddalić, nawet na rozkaz lekarza dywizji. W ten sposób sparaliżowano większą część personelu chirurgicznego; podczas gwałtownego szturmu na Warszawę chirurdzy pułkowi znaleźli się pod najostrzejszym ostrzałem i nawet nie mieli czasu obejrzeć rannych, których słusznie śpiesznie ewakuowano w pewniejsze miejsca. Większość trwała więc w niemal całkowitej przykrej bezczynności, podczas gdy szpitale polowe były przeciążone rannymi i miały o wiele za mało chirurgów, by sprostać wymogom chwili.

Lekarze dywizji, odcięci na ogół od ambulansów, pozbawieni pomocy i instrumentów, trwali w równie pożałowania godnej całkowitej bezużyteczności; ambulansom przyszło samotnie nieść cały ciężar pomocy, a i to nie wykorzystano w całości ich możliwości.

Ledwieśmy przybyli do czwartej dywizji, nie tylko zaproponowałem, ale z naciskiem prosiłem generała Milberga, by mi powierzył kierowanie oddziałem; chciałem podzielić szpital na dwie części, część chirurgów umieścić w bezpiecznym miejscu, aby rozlokowali sprzęt i czekali na rannych; pozostali mieli przemierzać pole bitwy z noszowymi i wozami, udzielać pierwszej pomocy i kierować wszystkich rannych do lazaretu. Potrzeba stałych noszowych dawała się mocno odczuć i dość prędko wprowadzono taką funkcję. Naszym prośbom jednak zawsze odmawiano; odrzuceni daleko na tyły walczących, musieliśmy czekać na rozkazy, które najczęściej nie nadchodziły. Podczas oblężenia Warszawy ambulans znowu z dziesięć razy ruszył bez rozkazu, znużony bezpłodnym oczekiwaniem w pierwszych dniach. W ostatnich dniach, które przesądziły o losie Polski, nadaremnie biegałem do sztabu, do lekarza naczelnego, do generała dywizji, nigdzie nie znajdując ani rozkazów, ani zwierzchników; udaliśmy się tedy, gnani rosnącym biciem kanonady, do punktu, gdzie najostrej atakowano dywizję, pod fatalną barykadę jerozolimską.

Oto pośpieszny szkic smutnego obrazu wojskowej medycyny polskiej. Mimo pełnych odwagi, patriotyzmu i talentu ludzi nigdy nie zdołała spełnić obietnic, jakie zdawała się zapowiadać ani sprostać roli, jaka jej przypadła. Te same bowiem przyczyny, które zgubiły armię i naród, pogrzyły i instytucje niższego rzędu: zawiść tubylców wobec cudzoziemców, zawiść miejscowych przywódców i rodzaj złego ducha, który panował w niemal wszystkich komórkach rządu, uważających powstanie i wszystko co się z nim wiązało za wrogie. Gdy lekarz cudzoziemiec proponował jaką zbawczą reformę, uznawano ją za niedopracowaną. Po bitwie o Ostrołękę przyznano wojskowe krzyże zasługi; trudno uwierzyć, ale wszystkie zostały nadane lekarzom cywilnym. W miarę zbliżającej się katastrofy wrogość stawiała się coraz bardziej otwarta. Podczas bitwy o Grochów zarekwiirowano dla potrzeb transportu rannych wszystkie miejscowe wozy; w Warszawie nie dostaliśmy ani jednego.

Dlaczego generałowie, ministrowie, patriotyczni członkowie rządu nie starali się zapobiec przyczynom tego bezładu? Dlaczego? To niepojęta zagadka. Chyba, żeby ją tłumaczyć słabością, płochą, lekkoduchostwem tego narodu, tak bohaterskiego na polu bitwy, i wspomnieć, że zna on porzekadło, które tylko tam mogło się narodzić — „nierządem Polska stoi”.

J.-F. MALGAINE

Gazette medicale de Paris, tom III, nr 6, 1832.

(Przetłóżyła Julia JURYŚ)

MIĘDZY MARCEM A SIERPNIEM*

Ten rok zaczynał się od nadziei — nadziei polskich i czeskich. Nie wiem nawet, czy była to nadzieja; w każdym razie nasze uczucia były w kolorze zielonym, który z upływem miesięcy stawał się zgniłozielony, aż w końcu przeszedł w kolor khaki na bluzach polskich komandosów w Hradec Kralove. Ale jeszcze wtedy, wiosną, każda zmiana wydawała się być lepsza od marazmu, w którym tkwiliśmy. „Cała Polska czeka na swojego Dubczeka” — to było popularne hasło studenckie, hasło rewizjonistyczne. Nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy z tego, czego nauczył nas właśnie ten rok i wszystko co nastąpiło później; że żaden Dubczek niczego nie zmieni, że nie pomogą zmiany strukturalne, że system wymaga zmiany systemu.

Ten rok zaczynał się od nadziei, a stał się rokiem goryczy, straconych złudzeń i szans, których być może nie było, czarnym rokiem powojennej historii. Dla mojego pokolenia był także egzaminem dojrzałości, który zdało na trójkę, bo inaczej zdać nie mogło. Ale najlepsi z tego pokolenia przeżyli parę lat w ciągu tego roku, w którym kagankiem oświaty były płonące gazety. Niezależnie od tego, co później każdy z nich zrobił z tą wiedzą i z tymi doświadczeniami. Większość z nich znalazła się po latach w środowisku Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, bądź w samym Komitecie, a także stworzyła „nową falę” w poezji i prozie. Nie słyszałem by ktoś z nich, ktoś z nas, przystąpił do nacjonalistycznej Konfederacji Polski Niepodległej, której przywódca Leszek Moczulski pisywał wówczas w tygodniku *Stolica* paszkwile na Mrożka i ruch studencki oraz sekundował moczarowcom w wywoływaniu duchów antysemitów.

Byłem wtedy studentem pierwszego roku filologii polskiej Uniwersytetu Łódzkiego. Poprzednie dwa lata pracowałem. Po maturze nie dostałem się na Akademię Medyczną. Zabrakło mi

* Jest to jedyny, ocalały po licznych rewizjach, rozdział książki o 1968 roku, którą zacząłem pisać w Polsce w 1978 roku.

Zdaję sobie sprawę z faktu, że dziś — z perspektywy prawie siedmiu lat i tego co się przez ten czas wydarzyło w kraju — wspomnienie to wyglądałoby inaczej. Dlatego też, decydując się na wydrukowanie ocalałego fragmentu — ze względów czysto sentymentalnych, a także po to by oddać „ówczesny” stan świadomości — ograniczyłem pracę nad tekstem do zmian stylistycznych.

Fragment ten nadany był również przez Radio Wolna Europa.

kilku punktów, ponieważ miałem niewłaściwe pochodzenie społeczne i świadectwo maturalne, na którym roiło się od trójek łącznie z trójką z języka polskiego. Z egzaminów na Akademię Wychowania Fizycznego zrezygnowałem. Miałem pękniętą przegrodę nosową i nie zamierzałem już wracać ani na ring, ani na bieżnię, by kosztować czterech lub pięciu trzygodzinnych treningów tygodniowo występować w białej koszulce i czerwonych spodenkach na spartakiadzie armii zaprzyjaźnionych czy nawet na Olimpiadzie w Monachium. Miałem przeczucie tego, co tak świetnie sformułował Leopold Tyrmand; że sport w krajach armii zaprzyjaźnionych służy udowodnieniu wyższości ustrojowej socjalizmu nad rozkładającym się kapitalizmem. W ten sposób nie zostałem lekarzem ani zawodowym sportowcem. Wtedy jednak, w roku 1965, musiałem coś ze sobą zrobić. Ojciec od kilku lat był na rencie chorobowej i nie chciał wstąpić do ZBOWiD-u; rodzicom powodziło się nienajlepiej. Musiałem jak najszybciej iść do pracy, więc poszedłem do pierwszej lepszej i w ten sposób zostałem praktykantem w Wydziale Finansowym Prezydium Rady Narodowej Łódź-Śródmieście. Pracowałem w referacie podatków od wynagrodzeń, nieruchomości i psów i pewnie komusza biurokracja sprawiła, że zacząłem pisać wiersze. Wytrzymałem tam aż przez rok czytając pod biurkiem Kafkę, dopóki nie doszedłem do wniosku, że wolę jakąkolwiek pracę fizyczną i zostałem magazynierem w Bibliotece Uniwersyteckiej, gdzie — choć praca była ciężka — czytałem między regałami „Przygody dzielnego wojaka Szwejka”. W 1967 roku przyznano mi pierwszą nagrodę na Ogólnopolskim Festiwalu Poezji i dostałem się na studia polonistyczne, co było dziwne, bo nie lubiano tam żadnych poetów i pisarzy. W marcu 1968 roku zostałem wybrany mężem zaufania, delegatem pierwszego roku polonistyki do uniwersyteckiej Rady Delegatów. Wydziały Filologiczny i Filozoficzno-Historyczny były najaktywniejsze w gorących dniach marcowych. W budynkach tych wydziałów najpóźniej zakończył się strajk okupacyjny. Brało w nim udział również kilkunastu naszych kolegów z Akademii Medycznej, których uczelnia, jako jedyna w Łodzi, nie strajkowała. Wtedy już nie żałowałem, że nie jestem studentem medycyny.

W przeddzień zakończenia strajku ojciec przyniósł mi wałówkę. — Twoi koledzy nie chcieli mnie wpuścić, ale powiedziałem im, że taką biało-czerwoną opaskę nosiłem jeszcze przed ich urodzeniem, w Lasach Janowskich. Uważajcie na siebie, pod biblioteką pijana milicja robotnicza, od mamy z zakładu też wzięli ORMO-wców, każdy dostał ćwiartkę i pęto kielbasy, nie wiado-

mo kiedy mogą złapać za kamienie i polecą parę szyb, a wtedy wejdzie Gołędzinów, przylecieli dzisiaj helikopterami, mają rozbite namioty obok, w parku 3-go Maja...

— Jesteście ostatnim strajkującym wydziałem. Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za to co się stanie, jeśli nie przerwiecie strajku! — krzyczał matematyk, prorektor Janowski, który przyjechał z komitetu łódzkiego z towarzyszem Stefaniukiem, sekretarzem komitetu partii do spraw nauki. Prorektor ubrany był w skórzany, czarny, ubecki płaszcz, objeżdżał wszystkie wydziały czarną „Wołgą” i wszędzie mówił to samo, także na „historii”, gdzie przed chwilą byłem jako łącznik.

— Jesteście ostatnim strajkującym wydziałem... — i na sali rozlegały się gwizdy i okrzyki. Był prymitywnym demagogiem i zniechędzającym serwilistą.

Sam strajk był ostatnim, samotnym aktem studenckiej rewolty. Był też aktem rozpacz i obrażonej niewinności z góry skazanym na niepowodzenie. Był bardziej aktem moralnym niż politycznym. Tylko nieliczni wierzyli jeszcze, że ta butna, ponura, arogancka, cyniczna, kłamliwa i bezczelna władza opamięta się i pokaże ludzką twarz. A władza walczyła o władzę.

Ostatnie głosowanie. Dziesięć, dwanaście osób za kontynuowaniem strajku: Joasia Szczęsna z mojego roku, Witek Sułkowski z piątego, Stefan Türschmid, ja i inni, których nazwisk dziś nie pamiętam.

Później nastąpiła już pacyfikacja. Nie była ona taka łatwa, ponieważ na uczelniach było jeszcze dużo porządných i uczciwych ludzi — asystentów, doktorów, profesorów. Rezolucje studenckie poparli między innymi: Jerzy Toeplitz (nie mylić z Krzysztofem Teodorem), rektor Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej, Stefan Amsterdamski, dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego i profesor Piąkowski, prawnik, ówczesny rektor Uniwersytetu. Niektórzy asystenci zamiast odbywać „normalne” zajęcia chodzili razem ze studentami na wiece i zebrania. Jednym z nich była także moja późniejsza żona, Ewa Sułkowska z Politechniki Łódzkiej.

Najbardziej reakcyjni i służalczy ujawnili się od razu: docent Janowski, prorektor, późniejszy świadek oskarżenia w procesie delegatów łódzkich, doktor Michalewski, językoznawca, docent Hrabec, językoznawca, prodziekan wydziału, który nam, polonistom, malował na tablicy wykres, z którego miało wynikać, że „Dziady” Mickiewicza w inscenizacji Dejmka są antysowieckie, i tak się zaperzył z powodu gwizdów na sali, że wypadła mu na

katedrę sztuczna szczeka, magister Gołębiowska, historyk literatury, która rozrzucała na wiecach antysemickie ulotki Związku Młodzieży Socjalistycznej i zrywała rezolucje studenckie nawet w ubikacjach męskich, doktor Grabski, historyk, moczarowiec, członek ówczesnego Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli, który czarował opowieściami o 1956 roku i udawał, że jest za ruchem studenckim, docent Cyran, językoznawca, który nie wybaczył mi nigdy moich ówczesnych wystąpień, aż wreszcie już jako dziekan, wyrzucił mnie z polonistyki, i wielu, wielu innych. Jednakże prawdziwa inwazja „pluskiew” i docentów mianowanych nastąpiła kilkanaście miesięcy później. Powstał wówczas dowcip, że docenci marcowi dzielą się na: docentów narządowych (*heil, docent!*), docentów wydawców (wydał skrypt i dwóch kolegów) oraz docentów niewinnych (nic złego nie zrobił, mianowano go docentem i jest mu wstyd). Dowcip ten w niedługim czasie przestał być zabawny.



Na mieście tymczasem wrzało. Milicja rozpuściła fałszywą informację o wiecu na Placu Wolności. Rada Delegatów zawiadamiała wszystkich studentów, że nie zwołuje żadnego wiecu. Na Plac Wolności przysła głównie młodzież licealna i chłopcy z Bałut. Dzielnica ta jeszcze przed wojną cieszyła się zasłużoną złą sławą. Zaczęły się bójki z milicją i z „aktywem robotniczym”. Oglądał je z cokołu Tadeusz Kościuszko, który najwięcej na ten temat mógłby powiedzieć.

Wówczas, w 1968 roku, milicji było ze trzy razy mniej i nie dysponowała ona tak przerażającą ilością sprzętu jak dzisiaj. Z własnych, sporadycznych, choć nieraz bolesnych kontaktów odnoszę wrażenie, że nie miała ona też takiego poczucia siły i bezkarności. Dlatego na Placu Wolności nie odbyła się rzeź. Miały miejsce jedynie pojedyncze wypadki pobicia i skatowania. W parę lat później tak humanitarne zakończenie sprawy byłoby niemożliwe. Uczynienie z Polski państwa policyjnego, rozbudowanie aparatu represji i służby bezpieczeństwa do monstrualnych rozmiarów, to już zdobycz rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego, zasługa Piotra Jaroszewicza, Gierka i jego ekipy, praca u podstaw, która przyniosła owoce w 1976 roku w Radomiu i w Ursusie.

Po zejściach na Placu Wolności w mieście rozpoczęła się era odgórnie organizowanych wieców robotniczych. Zdaje się, że we wszystkich miastach Polski wyglądały one tak samo. Chamski, prymitywny i przekupny aktyw partyjny z opaskami „milicja ro-

botnicza", spędzona z wszystkich zakładów "masa robotnicza" oraz wodzireje z komitetów partii. Wiece organizowane były w pośpiechu, popełniano wiele „politycznych” błędów. Największy wiec w Łodzi odbył się na Placu Zwycięstwa, być może ze względu na jego dobrą symboliczną nazwę; Plac Wolności włądzy by nie odpowiadał. Na wiec ściągnięto milicję z całego województwa. Nie odważyliśmy się w nim uczestniczyć, mimo, że mieliśmy przygotowane ulotki do robotników. Oglądałem jednak pojedyncze grupy ciągnące ulicami w stronę Placu Zwycięstwa. Widziałem napisy na szturmówkach i do dziś różne niedowiadki nie chcą mi uwierzyć, że oprócz znanego hasła „PISARZE DO PIÓRA, STUDENCI DO NAUKI”, były również hasła „PRECZ Z FILOZOFIĄ KOŁACZKOWSKIEGO” i „SYJONIŚCI DO SYJAMU”.

Po wiecu, wracając w nocy do domu, w którym leżało sobie spokojnie tysiąc ulotek (za ulotki dostawało się wówczas 2-3 lata) zauważyłem przed bramą milicyjny samochód. Zawróciłem. Tę noc spędziłem poza domem. Następnego dnia okazało się, że samochód przyjechał do znajdującej się naprzeciwko domu fabryki „Wiosna Ludów”. To śmieszne, ale mieszkalem na ulicy Pierwszego Maja naprzeciw Wiosny Ludów.



Najbardziej świadomi i ideowi spośród nas spotykali się nadal w mieszkaniach, w kawiarniach, w parkach... Łódzką „Honoratką”, kawiarnią naszego „towarzystwa patriotycznego” w dużo mniejszym wymiarze, bo na miarę czasów, stała się kawiarnia Biblioteki Uniwersyteckiej. Tutaj nadal toczyły się głośnie spory przy stolikach, tutaj Jurek Tworzywicz śpiewał pieśni Aśwaghoszy i protest-songi, tutaj wymieniano maszynopisy, tutaj służba bezpieczeństwa przysyłała najlepszych swoich agentów... Co tydzień odbywały się, w którymś z mieszkań, większe spotkania dyskusyjne. Krążyło sporo tekstów. Jednym z najbardziej popularnych i znanych był bodaj artykuł profesora Leszka Kołakowskiego, artykuł który swego czasu nie zdążył ukazać się w *Po Prostu*, pod tytułem „Czym jest socjalizm”.

Coraz częściej docierały do nas wieści z Czechosłowacji. Zniesiona cenzura prewencyjna, nowe pisma, nowe władze związku pisarzy... Powtarzały się nazwiska: Dubczek, Smrkovsky, Pelikan, Patoczka, Hrabal, Havel, Skvorecky... Byliśmy zafascynowani kulturą czeską i słowacką. Fascynacja zaczęła się od Milana Kundery i jego powieści „Żart” wydanej w Polsce w 1967 roku.

W obrębie literatury pięknej powieść ta uważana była za najlepszy rozrachunek ze stalinizmem. Był to także okres „nowej fali” w kinematografii czeskiej i słowackiej, nowej fali, której twórcą i animatorem był uczeń Kundery z praskiej szkoły filmowej Milosz Forman. Forman był dla mnie poetą ekranu, i to nie tylko poetą obrazu, lecz także poetą refleksji, gorzkim i sceptycznym. Jego „Miłość blondynki” przy całym liryzmie, była anty-estetyczna, realistyczna, była opowieścią o miłości w socjalistycznych slumsach, była d r a s t y c z n i e prawdziwa. Oglądając ten film przeżywało się po raz pierwszy w odniesieniu tak konkretnym do własnej rzeczywistości, do rzeczywistości swojego czasu, to co na wykładach i w podręcznikach nazywało się prawdą sztuki.

Równie niezwykłym filmem były „Pociągi pod specjalnym nadzorem” Mencla, według opowiadania Bohumila Hrabala, historia perypetii miłosnych młodego, wrażliwego chłopaka usiłującego rozpocząć życie erotyczne, film pełen liryzmu i specyficznego haszkowskiego humoru. Tłem dla perypetii bohatera jest wojna i ruch oporu; okazuje się w pewnym momencie, że bierze on w tej wojnie udział, a nawet ginie, na sposób czeski, bez patosu i bohaterskich gestów, tak jak żyje. Dla mnie, wychowanego w kulturze raczej tromtadrackiej i w kulcie bohaterstwa, było to ujęcie nowe i znaczące.

Inne wspaniałe filmy tego okresu to „Czarny Piotruś”, „Pali się, moja panno”, czy „Intymne oświecenie”. Kinematografia czechosłowacka, na fali odnowy kulturalnej, która była wstępem do odnowy politycznej, osiągnęła najwyższy poziom światowy.

W maju, w gronie kilku osób, tłumaczyliśmy przywieziony przez kogoś z Pragi manifest „Dwa tysiące słów”. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że jego autorem jest świetny pisarz Ludvik Vaculik, który stał się później jednym z moich ulubionych publicystów i felietonistów.

Było już po polskim przedwiośniu. Nadzieję na „wiosnę ludów” była tylko Czechosłowacja.



Gdy nadeszły wakacje okazało się, że nie mam pieniędzy na wyjazd w góry. Na uczelni nie dostawałem żadnego stypendium, ponieważ zarobki mamy, podzielone przez trzy osoby w rodzinie, przekraczały regulaminową sumę tysiąca złotych na osobę. W czerwcu, w lipcu i w sierpniu pracowałem więc jako ratownik na stawach w Arturówku, pod Łodzią.

Dwudziestego pierwszego sierpnia, o ósmej rano, jechałem jak zwykle tramwajem do Placu Dąbrowskiego, gdzie przesiadałem się w autobus do Arturówka. Tego dnia w Sądzie Wojewódzkim na Placu Dąbrowskiego miał się rozpocząć proces czterech studentów, w tym trzech delegatów wybranych przez nas w marcu do rozmów z władzami. Szarobrazowy, ponury gmach sądu, który za dwa lata miałem poznać dokładnie od wewnątrz, sąsiaduje z budowanym przez dwanaście lat gmachem opery, którego złożona architektura odzwierciedla przemiany, jakie zaszły w tym czasie w kraju. Jedna połowa Teatru Wielkiego zbudowana jest w stylu ciężkiego baroku czasów stalinowskich, druga w stylu późnego modernizmu nowych osiedli gomułkowskich, w stylu tak zwanych bloków, czyli pojemników na siłę roboczą.

Za kilka dni zginie na wschodniej ścianie Mont Blanc jeden z najwybitniejszych alpinistów młodego pokolenia, współuczestnik marcowych batalii, student Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, malarz i grafik o ukształtowanej już osobowości twórczej, Samek Skierski. Śmierć, być może, uniemożliwiła mu zasiąść w rok później na ławie oskarżonych w procesie taterników.

Więc tego słonecznego dnia jechałem tramwajem, i tam, w porannym tłoku otworzyłem przypadkowo kupioną gazetę. Tytuł na pierwszej stronie: „Wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Czechosłowacji”. Jak donoszą agencje... o godzinie... czasu warszawskiego... bratnia pomoc...

W kraju, który współuczestniczył w udzielaniu „bratniej pomocy” słońce wschodziło normalnie, a ludzie obok mnie jechali tramwajem do pracy rozmawiając, uśmiechając się i czytając gazety. I potem, w wiele lat później, ilekroć zdarzy mi się przeczytać wiersz Wiktora Woroszylskiego „Państwa faszystowskie”, będzie mi się przypominał ów tramwaj o ósmej rano. „W tych państwach słońce wschodziło normalnie... a jednak były to państwa faszystowskie...”.

W Arturówku czekała mnie krótka rozmowa z szefem. Czułem się rozbity i wściekły. Szedłem do przystani z gazetą w ręku, wśród setek różowych plażowiczów, którzy wylegli od rana, i których od rana mógłbym łapać za łby i topić w pęczkach. Z drugiego brzegu stawu kierownik wypożyczalni sprzętu krzyczał do mnie przez tubę coś dowcipnego, moich pięciu kolegów odpływało kajakami do swoich pomostów z kolorowymi parasolami. Byłem jednym z dwóch „starszych ratowników” i poważnie nie mogłem się zwalniać. Moje stanowisko było jednym z najgorszych — obok mostu, z którego podpici chłopcy z poblis-

kiego domu poprawczego, z fantazyjnymi, fioletowymi tatuażami, skakali wprost do wody i rozbijali sobie łby o kamienie na dnie. Milicja omijała most z daleka. W tym sezonie miałem już na koncie pięciu niedoszłych topielców z porozwalanymi głowami i jedną bójkę, po której została mi blizna od kastetu i względny szacunek u chłopców z poprawczaka.

— Słuchaj — powiedziałem do szefa. — Nasi komandosi, być może, strzelają już do czeskich studentów, a moim kolegom zaczyna się proces. Czuję się podle i nie zamierzam dzisiaj nikogo uratować. Poza tym od samego rana jestem dość nerwowy.

Popatrzył na mnie bez uśmiechu, który zwykle towarzyszył każdej naszej prośbie o zwolnienie.

— Masz trzy dni zwolnienia. Płatne. Opowiesz mi o procesie.

Był to jedyny człowiek, który od rana coś czuł i rozumiał. Nie zapomniałem mu tego do dzisiaj.



Chłopcy dostali wysokie wyroki. Szczęsny, Kapala i mój dobry kolega z liceum Andrzej Makatrewicz — wszyscy około trzech lat. Kowalski, który nie był delegatem, trochę mniej. Przedtem wszyscy zaliczyli już trzymiesięczne ćwiczenia wojskowe w karnych kompaniach, nawet Szczęsny z „kategorią D” („niezdolny do służby wojskowej w czasie pokoju, przeniesiony do rezerwy”). Losy trójki delegatów są mi znane. Jeden jest dziś badylarzem, drugi pełni kierownicze funkcje w Stowarzyszeniu PAX, Andrzej wybrał najlepsze wyjście i wyemigrował. Czwarty delegat, Kazimierz Świegocki z polonistyki, nie miał w ogóle procesu. W porę skorzystał z dobrych rad docenta Janowskiego i sam wycofał się z reprezentacji studenckiej.

W parę tygodni później przeglądałem zachodnie tygodniki, a koledzy ze starszych lat studiów, którzy w sierpniu byli na obozie wojskowym, opowiadali jak podpici i radośni żołdaci o twarzach kałmuków wołali do nich z przejeżdżających czołgów: *Pajechali s nami Cziechow dawit’*.

W szwedzkich tygodnikach ilustrowanych oglądałem czeską złotą jesień. To na Vaclavskich Namesti płonął Jan Palach, tak podobny do nas, Jan Palach, którego nie mogłem uratować, i który płonął także przeciw mnie. Było to ostatnie światło, tragiczny płomień na początku długiej, ciemnej nocy, o której śpiewał wówczas Karel Kryl.

*Więc was tu mamy bracia, was z piętnem Kaina,
Poślowie nocy, która strzela z automatów,
Więc was tu mamy bracia, was wnuki Stalina,
Lecz dzisiaj to nie wczoraj, nie czekajcie kwiatów!*

*Dzięki wam za żelazne gołębki pokoju,
Za gorzki smak migdałów w waszych pocałunkach.
Zamordowali wiarę w naszym własnym domu,
Na drogach głóg czerwony i ten głóg na trumnach.*

*A więc podzięką wam i uścisk nasz braterski,
Za prowokacje wasze i strzały do dzieci.
I nasze domy już nie będą dla was domem,
Popatrzcie na cmentarze pachnące otowie.*

*Nie warto byłoby na wasze płuć pomniki.
Zostaje nam nadzieja: bylj jsme a budem.
Balszoe wam spasiba, bratja zachwatcziki,
Spasiba bolsze, nikagda nie zabudiem...*

Nikagda nie zabudiem...
Nikagda nie zabudiem...

W parę lat później, mój przyjaciel, świetny rysownik i grafik, Wojtek Wołyński, który w 1968 roku odbywał służbę wojskową, opowiedział mi jak dzięki szczęściu nie trafił do Czechosłowacji. Połowa jego kompanii pozostała w Polsce, połowę wysłano z „bratnią pomocą”. Były przypadki buntów i próby samobójstw. Tym anonimowym bohaterom, dwudziestoletnim chłopcom, zmuszonym przez władzę „ludową” do najtragiczniejszych wyborów, też trzeba oddać sprawiedliwość.

Polskie jednostki stacjonowały przeważnie w Hradec Kralove i okolicach. W zachodniej prasie widziałem zdjęcia polskich żołnierzy zrobione w tym mieście. Nie wyglądali na szczęśliwych. Niektórzy wrócili z Czechosłowacji w metalowych trumnach. Byli to przeważnie ci, którzy sami zapuszczali się w miasto, bądź wymykali się, na „lewą przepustkę”, do knajpy. W Polsce kilkanaście razy spotykałem ludzi oburzonych na Czechów. W kraju gdzie zamachy na o k u p a n t a były dwadzieścia kilka lat temu chlebem powszednim...



W 1972 roku Klub Wysokogórski zorganizował obóz wspi-

naczkowy w Dolinie Mięguszowieckiej w Tatrach słowackich. Kiedy koledzy wyjeżdżali, ja byłem jeszcze w trakcie walki o przepustkę w pas konwencji turystycznej. Był to jedyny przypadek w moim życiu, kiedy władze ustąpiły. Na taborisku w Dolinie Mięguszowieckiej mieszkało już kilku świetnych alpinistów czeskich i słowackich. Za dwa-trzy lata miałem robić pierwsze polskie przejścia ich dróg wspinaczkowych uważanych wówczas za najtrudniejsze w Tatrach. Wieczorem podszedłem do ich ogniska. Odnieśli się do mnie niechętnie. Lody zostały przełamane dopiero wówczas, kiedy wraz z nimi zacząłem śpiewać piosenki Karela Kryla. Nie mieli pojęcia, że są one dobrze znane w Polsce. Na drugi dzień, na drodze do chatki kapitana Moravku, schroniska nad Popradzkim Stawem, pokazali mi białe, nie zatarte jeszcze napisy: „NAM NIE NUŻNA WASZA POMOSZCZ”, „POLACY DO DOMU”. Napisy były w niewielkiej odległości od symbolicznego cmentarza taterników u podnóża szczytu Osterwa, cmentarza z pięknymi, kolorowymi krzyżami wykonanymi przez ludowego rzeźbiarza, gdzie w rok lub dwa lat później wmurowano także tablicę nad symbolicznym grobem Samuela Skierskiego, wielkiego przyjaciela słowackich wspinaczy.

Jacek BIEREZIN

„IŚKA”

JESZCZE O STALINOGORSKU

Zostałam aresztowana przez NKWD w Białymstoku 29 listopada 1944 roku. Wpadłam w „kocioł”, gdy przyszedłam na ustalenie nowej siatki łączności.

(Miałam osiemnaście lat, a według „lewej” kennkarty szesnaście. Maturę zdawałam na tajnych kompletach. Byłam łączniczką, zaprzysiężoną latem 1944 roku. Częściej nazywano mnie Renatą niż pseudonimem „Iśka”. Po przybyciu do Białegostoku oddziału Łupaszki pomagałam w organizowaniu melin dla partyzantów).

Przewieziono nas do piwnic NKWD na ul. Ogrodowej. Po paru dniach badań (*doprosy* odbywały się w nocy) znalazłam się w więzieniu, w ostatnim budynku, zajęтым przez NKWD. Gdy rodziny przychodziły do więzienia, mówiono im, że nas nie ma. Rzeczywiście w polskiej części więzienia nas nie było, a o części należącej do NKWD w mieście nie wiadano. Byłam więc w grupie ludzi, po których ślad zaginął. Po trzech dniach znów zosta-

łam zabrana do NKWD na Ogrodową. W tych trzech dniach zdążyłam dostać dobę karceru za podawanie sucharów więźniom. Teraz w piwnicy trzymano mnie samą, a do więzienia wróciłam po przesłuchaniach z naderwanymi uszami. (*Ty chatieła Polski od moria do moria* — krzyczał major ze srebrnymi zębami). W więzieniu lekarską opiekę sprawował felczer. Czterej enkawudyści mnie trzymali, a felczer zrywał skorupy ropy i polewał poranione miejsca za uszami jakimś żrącym płynem. W wyniku takiej kuracji stan zapalny szybko się rozszerzał. Ropa spływała na szyję, zastygała w formie winogron. Na zabiegi brali mnie codziennie lub co drugi dzień. W dniu transportu, to znaczy w wigilię Bożego Narodzenia 1944 roku, miałam około 39° temperatury, głowa pękała z bólu, a ropne winogrona sięgały ramion.

W celi było nas sześćdziesiąt. Oprócz kobiet z AK (z Białegostoku i z województwa białostockiego) siedziały prostytutki i voksice. One leżały przy ścianie na lewo od drzwi celi, my zajmowałyśmy środek i miejsca przy prawej ścianie. Co drugi dzień otrzymywałyśmy w puszcze po konserwach chochlę krupniku, a w dni bez zupy po jednym sucharze z razowego chleba. Poza tym raz dziennie dostawałyśmy zabarwiony *kpiatok*. Służył nam do picia i przetarcia rąk lub twarzy, bo wody do mycia nie było. Raz miałyśmy *banie*. I w więzieniu, i w łazrze przy kobietach była tylko męska obsługa. Ubikację stanowił rów, wykopany za więziennym budynkiem. Dalej był już tylko mur. Wyprowadzano nas dwa razy dziennie i to na bardzo krótko. W celi przy drzwiach stała parasza. Parasza i jeden dość długi siennik stanowiły całe wyposażenie pomieszczenia.

Wywożono nas i mężczyzn tylną bramą więzienną. Na bocznicę kolejowej stały towarowe wagony z napisem *stiektło*. Gdy *stiektło* zaczęło śpiewać „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”, polscy kolejarze zorientowali się, że odchodzi kolejny transport więźniów. Przez szpary w wagonach wyrzucaliśmy kartki z nazwiskami i z adresami. Kolejarze dostarczyli je do naszych domów, ale gdy rodziny przybyły na bocznicę, transportu już nie było.

Do Stalinogorska jechaliśmy dwa tygodnie. Raz otrzymaliśmy wodę. Ratował nas szron na dużych gwoździach. Jedzenia nie dawano. Niektóre kobiety miały zaoszczędzone więzienne suchary, więc czasami można było pożuć trochę okruszków. W wagonie stała mała koza i szeroki pień drzewa. Gdy pociąg zatrzymywał się, wpadał komendant transportu i krzyczał, że jesteśmy *lentiejki*, wolimy marznąć niż rozpaść w *pieczce*.

Po kilku dniach podróży miałam już nie tylko ropne winogrona, ale całą twarz pokryły bolesne wypryski. *Wracz* wrzucił mi bandaż i watę.

W Nowy Rok podochoceni wachciorzy wtargnęli do naszego wagonu. Zaczęłyśmy wołać pomocy. Natychmiast mężczyźni podnieśli straszny raban, walili w ściany, krzyczeli, tupali. Rozwścieczeni enkawudyści dali nam spokój, pobiegli bić mężczyzn. Po-

tem szybko zakończyli świąteczny postój i pociąg ruszył w dal-
szą drogę.

Po dwóch tygodniach był obóz rozdzielczy i łaźnia. W łaźni
trudno mi było utrzymać się na nogach. Podróż do Rosji odby-
wałam w jedwabnych pończochach i w czółenkach. W tychże czó-
łenkach ruszyłam w pieszym pochodzie do Stalinogorska.

Jak u Grottgera! Śnieg, kolumna więźniów, po bokach uzbro-
jeni konwojenci, paru na koniach i... psy. Nie czarne, jak nie-
mieckie, ale bure, krępe.

Stalinogorsk. Wieczór. Mającą obskurne bloki. Z ulicznych
megafonów płynie głośna melodia *Oj, Dniepro, Dniepro, ty szeroki,
magucz, nad tobą leciał żurawli...*

I nagle... konwojenci pozwalają na zbliżenie się do nas grupy
młodzików w wieku 12-16 lat. Ich prowodyr nie ma nogi, idzie
o kulach, pierś ma obwieszoną medalami. Obrzucają nas twar-
dymi śnieżkami, krzycząc: germańcy, faszyci, swołoczy. Z naszej
strony padają głośne, ale spokojne wyjaśnienia, choć nie bardzo
wierzymy w ich skutek. A jednak... Młodociany *gieroj* daje znak
zaprzestania ataków, idzie koło nas, słucha naszych informacji.
Trwa to bardzo krótko, konwojenci szybko przepędzają „uspo-
kojonych” młodocianych. Później, gdy będą nas pędzić z łagru
do łaźni w mieście, młodociani dwa lub trzy razy podbiegną,
by z nami porozmawiać. Wreszcie usłyszymy od prowodyra, że
im *nielzia* i więcej już ich nie zobaczymy.

Zostałyśmy umieszczone w łagrze nr 14, należącym do *Upraw-
lenia Łagieriej* nr 283. Mężczyzn skierowano do obozu nr 16.
W czternastce siedzieli między innymi sowieccy partyzanci. Na
ścianie w baraku mieli wypisane *Stawa sowieckim partizanom
i partizantkam*. Byli także Ukraińcy, którzy chwalili się, że palili
Łomżę. Na wiosnę przywieziono Rosjanki, będące przedtem w
Niemczech na przymusowych robotach. Podobnie jak sowieccy
partyzanci, musiały odbyć w łagrze dwa lata *pierewospitanija*.
Jesienią przybył transport Niemek. Wszystkie zostały zgwałcone
przez konwojentów, a niemieccy mężczyźni cicho siedzieli w
swoich wagonach.

Gdy po przybyciu na czternastkę weszliśmy do stołówki, zo-
baczyliśmy milczące ludzkie widma w szynelach. Nie miałyśmy
żadnych naczyń. Dopiero po paru dniach milczący rosyjscy ła-
giernicy zrobili nam za pajki chleba kociołki z puszek po *swinnoj
tuszonce*. Pajka chleba była łagrową monetą. Tego pierwszego
wieczoru w milczeniu dawali nam swoje kociołki lub gliniane
stołówkowe miski. Kucharz nalewał po chochli brudnej, śmier-
dzącej cieczy. Widma w szynelach stały pod ścianą stołówki,
wpatrywały się nie w nas, lecz w stoły, w miski, w kociołki.
Spróbowałyśmy paskudztwa, ale nie mogłyśmy go przełknąć.
Wtedy widma oderwały się od ściany, chwyciły naczynia, wysior-
bały wstrętną zupę. Sytuacja powtórzyła się jeszcze w następ-
nych dniach, ale po tygodniu mężczyźni w szynelach nie stali

już pod ścianą, nie czatowali na zupeł. Już wiedzieli, że nasze porcje zjemy same.

Na czternastce otrzymywało się rano wrzątek, potem 600 gram chleba — czarnej, mokrej gliny (gdy się pajkę ścisnęło, mieściła się w dłoni), wieczorem chochlę zupy i łyżkę stołową kaszy. Zupa zawsze ta sama. Śmierdzące liście kapusty, czasami wyławało się kawałki ziemniaków. Po smrodzie można było poznać, czy zupa jest z olejem, z rybnym proszkiem czy na jakimś kozim wywarze. Był również przydział machorki (tzw. koreszki).

Lektura wspomnień o łagrach sowieckich prowadzi do wniosku, że mimo wielu cech wspólnych istniały i pewne różnice łagrowych rzeczywistości. Na czternastce nie było urków, mężczyźni-więźniowie nie stanowili jakiegokolwiek zagrożenia dla kobiet, pracownicy *sanczasti* w większości byli bardzo podli.

Jak już wspomniałam, więźniowie z czternastki wyglądali jak widma. Wypędzano ich do roboty na budowy o szóstej rano, wracali około 19-tej. Gdy któraś z brygad nie wyrobiła normy, miała dodatkowo przedłużony czas pracy.

Nas pędzono do odśnieżania torów kolejowych, do wyładowywania węgla z wagonów. Mnie często zostawiano w obozie, bo brygadziści i konwojenci nie chcieli brać obandażowanej kukły. *Nariadczyk* ustępował. Miałam zabandażowaną całą twarz. Zostały tylko otwory na oczy, nos i usta. Z czasem miałam jeszcze obandażowane ręce, bo ropiały „narywy” na palcach. Czyściłam więc wychodek przy naszym baraku, obierałam ziemniaki w kuchni (zabandażowanymi palcami!). Czyszczenie latryny polegało na odbijaniu łomem lodu, wymiataniu kabinki. Kobiety starały się utrzymywać czystość, ale często cierpiały na biegunkę.

W baraku były piętrowe, podwójne prycze. Ulokowałyśmy się — pięć najmłodszych — na górnej pryczy. Miałymy jeden sieniek, który pełnił funkcję poduszki, a nakrywałyśmy się fufajkami. W obozie wyposażono nas w żołnierskie spodnie, bluzy, fufajki, czapy z nausznikami i buciory. Naturalnie wszystko było stare i za duże (jeden but miałam większy, drugi mniejszy). Ponieważ na górnej kojce wyglądałyśmy jak pisklęta, więc nazywano nas pisklętami, pisklakami, piskolakami.

W baraku stała koza, ale nie miałyśmy ani drzewa, ani węgla. Przez kilka dni co wieczór wpadał komendant, wymyślał nam za to, że w baraku jest zimno, groził karcerem. My naturalnie krzyczałyśmy, że to nam jest zimno, niech powiedzą, skąd mamy wziąć opał. Wreszcie któryś z więźniów, a może *starszina* (blokowy) wyjawiał metodę: *nie ukradziosz, nie prożywiosz*. Węgiel należało kraść spod baraku kuchni tak, żeby nie zobaczyli wachciorzy, a drzewo na rozpałkę, czyli gonty, z nowo budowanych baraków, oddzielonych od starego obozu drutem kolczastym. Wieczorem, po kolacji, udawałyśmy się w dwóch grupach po opał. Były nasze czujki, zagadywanie wachciorów, skakanie przez

druty (nim odnalazłyśmy dziurę zrobioną już dawno przez mężczyzn), włożenie na oblodzony dach, bo jeszcze nie wiedziałyśmy, gdzie są składowane gonty — wreszcie rozpaliliśmy kożę. W czasie obchodu naczelnik z uśmiechem zadowolenia stwierdził: *wot, dziewczata, haraszo, haraszo*.

Sprawa *sanczasti!* Naczelniczką była felczerka. Więźniów nie lubiła, a Polaków nienawidziła. Oświadczyła nam, że gdyby mogła, to każdą z nas zadłgałaby nożem. Dodała, że nie przyjechałyśmy w *kurort* i o leczeniu wrogów Sojuza nie ma mowy.

Z zaropiałymi uszami i zaropiałą twarzą musiałam pójść do *sanczasti*.

Pukam, wchodzę do pokoju, mówię: dzień dobry. Zza stolika wstaje niziutki mężczyzna o bardzo dużych niebieskich oczach i odpowiada mi czystą polszczyzną: dzień dobry pani!

— O Boże! Pan jest Polakiem?! — wołam uszczęśliwiona.

— Jestem ze Lwowa.

Dla mnie ze Lwowa to Polak, nie dostrzegam w tej odpowiedzi nic wymijającego. Zarzucam go pytaniami, od kiedy jest w łagrze, czy nie spotkał mojego ojca.

(Ojca NKWD aresztowało 22 maja 1940 roku. Wywieziono go do Komi nad Peczorą podobno ostatnim transportem przed wojną niemiecko-sowiecką. W czasie okupacji niemieckiej otrzymaliśmy wiadomości przez Czerwony Krzyż w Genewie, że jest przejazdem w Samarkandzie. Łudziłyśmy się, że dotarł do Armii Andersa. Po latach ktoś z powracających z Sybiru powiedział, że prawdopodobnie zmarł w Samarkandzie na tyfus).

Doktor, przebywający w łagrach chyba od 1940 roku (może 1942, nie pamiętam) ogląda moje uszy, twarz. Wyjaśnia, że *naczalnica* jest bardzo złą kobietą, że leczyć więźniów nie wolno, a poza tym w apteczce jest tylko cali. Obiecuje, że postara się zdobyć w szpitalu stalinogorskim odpowiednie leki i maści. I zdobył. Potem operował mi palce, przecinał „narywy”, zakładał sączki. Nie wolno mi było jęknąć, by *naczalnica* nie zorientowała się, że doktor leczy. Bandaże zdjął mi w maju. Twarz była cała w sinych plamach. Powiedział otwarcie, że jeżeli poradzi stalinogorskie słońce lub wróć do Polski w ciągu miesiąca i wezmę kwarcówki, plamy znikną. Jeżeli nie — będę zeszpecona na całe życie. Stalinogorskie słońce wystarczyło.

W czerwcu część z nas wywieziono do łagru nr 10 w miejscowości Bobryk Gora. Pracowałyśmy w sowchozie. W dziesięć było lepsze wyżywienie, a z pola kradłyśmy ogórki, buraki. W lecie — mimo ciężkiej pracy — można było żyć, najgorszy okres zaczął się na jesieni. Obowiązywały straszne normy przy kopaniu kartofli. Pobudka była o czwartej rano, a koniec dnia pracy około północy. Nasza grupa „piskolaków”, powiększona o przybyłą w maju nową współtowarzyszkę, zastosowała system wyrabiania jednej normy przez dwie osoby. Któraś z kobiet spoza kręgu akowskiego wydała nas, do tego przyjechał enkawudysta

z *Uprawlenija „na doprosy”*, swoim zwyczajem wygarnęłam mu „jak z pulomiotą” i zarobiłam 10 dób głodnego karceru. Gdy wyszłam z karceru, ten z *Uprawlenija* kazał naczelnikowi oddać mnie pod trybunał wojenny (czyli trzy lata kopalń, co oznaczało śmierć w szybkim tempie), jeżeli nadal będę stosować sabotaż. Po dwóch dniach kierownik ogrodu najpierw skopał mi plecy, potem przygnał do naczelnika jako ponowną sabotażystkę. Naczelnik nazywał się Tykocki i podobno był Polakiem. Nie wiem, ale życie chyba mi uratował. Następnego dnia wachciorki zabrali mnie z pola, opierającą się wrzucili do ciężarówki, w której jechały jakieś Niemki, powieźli i wysadzili przed bramą czternastego łagru. Byłam więc znów na czternastce, wśród naszych starszych, chorych pań. Tu doczekałam się powrotu z Bobryk Gary reszty koleżanek.

Zaraz po powrocie dowiedziałam się, że w *sanczasti* jest nowy lekarz, równie podły jak *naczalnica*. Doktor z niebieskimi oczami to Ukrainiec. Ktoś go sygnął, że leczył więźniów, więc za karę powrócił do brygady budowlanej. Wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że nie powiedział mi „jestem Polakiem”, ale „jestem ze Lwowa”. Widziałam go tylko raz w kolumnie wychodzącej o świcie na budowę. Ukłonił mi się ze smutnym uśmiechem. Nie pamiętam jego nazwiska, nie wiem jakim był człowiekiem we Lwowie, ale ilekroć wracam pamięcią do stalinogorskiej przeszłości, zawsze wspominam go z wielką wdzięcznością. Równie ludzki był w *sanczasti* stary pielęgniarz. Inni — i na czternastce, i na dziesiątce — wyrządzali więźniom wiele zła.

Pierwszy transport naszych kobiet odszedł chyba w listopadzie. Ja wyruszyłam ze Stalinogorska pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia 1945 roku. Gdy wyszłyśmy z obozu, kobiety z okolicznych lepianek żegnały nas słowami: *wy jeszcze budziecie żyć, nam zdzieś podychać*.

W transporcie oprócz akowców (z czternastki i z szesnastki) byli partyzanci z łagru w Kałudze, grupa berlingowców i Niemcy z Ziemi Zachodnich. Na szczęście w oddzielnych wagonach. Podoń do Terespoła i Białej Podlaskiej trwała trzy tygodnie.

Oprócz więźniów z szesnastki i z Kaługi odwiedzali nas dwaj berlingowcy: doktor Weiss (chyba jeszcze nie miał ukończonych studiów?) i starszy od niego profesor z Wilna (chyba botanik?). Rozmawialiśmy z nimi niewiele, więc nie mogę na ich temat podać jakichkolwiek informacji. Nie wiem dlaczego, cojarzył mi się z nimi Riazan. Może mówili coś o tym obozie.

Na zakończenie dodam, że do Stalinogorska nie dochodziły do nas kobiet żadne paczki lub przesyłki pieniężne, nie otrzymywałyśmy listów z Polski.

Wracam zawszona, ze świerzbem, z opuchniętym brzuchem, z awitaminozą, z odmrożonymi stopami. W Białej Podlaskiej otrzymaliśmy zaświadczenie o zwolnieniu nas przez Urząd Bezpieczeństwa, a przecież nie UB nas aresztowało, lecz NKWD.

Są to wszystko okruchy wspomnień, napisane w pośpiechu, w ciągu paru godzin. Nie ma w nich wielu spraw ważnych, np. wymiany listów z szesnastką, wymiany informacji politycznych, nie ma relacji o współtowarzyszach. A siedziałam z p. Polą, moją szefową z łączności, z dyrektorką mego gimnazjum i kompletów, z moją polonistką. Łączyły nas nici przyjaźni nie tylko w grupie pisklaków. Były jeszcze różne rodzaje pracy, różne formy moralnego oddziaływania na kobiety spoza kręgu akowskiego. I były wiersze Jana Kazimierza z szesnastki.

Stalinogorsk wciąż jeszcze czeka na wspomnieniową dokumentację.

„IŚKA”

RECENZJE

Piotr S. WANDYCZ
Anna M. CIENCIAŁA

POLONIA RESTITUTA — CZYLI NOËL REDIVIVUS

Nie jest całkiem jasne, dlaczego po tylu latach Leon Noël postanowił raz jeszcze opisać dzieje swego ambasadorstwa w Warszawie (1935-1939), którym poświęcił pracę *L'Aggression allemande contre la Pologne*, wydaną w 1946 roku*. Czy chciał uwzględnić dokumentację z archiwów Quai d'Orsay i bogatą literaturę naukową na temat tego okresu? A może postanowił dać folgę swym animozjom, które tonował pisząc wtedy, kiedy żyła jeszcze większość uczestników wydarzeń? Może chciał dodać jeszcze jedną pozycję do swej długiej listy książek o tematyce historyczno-pamiętnikarskiej? Jakiegokolwiek pobudki kierowały sędziwym politykiem francuskim, dzieło, które otrzymaliśmy, jest na wpół wspomnieniami, na wpół esejem na temat Polski międzywojennej. W tym sensie podobne jest nieco do wydanej przed dwoma laty książki, *La Tchécoslovaquie d'avant Munich*, opisującej okres jego poselstwa w Pradze.

* *Polonia Restituta. La Pologne entre deux mondes*, par Léon Noël, membre de l'Institut, ambassadeur de France. Préface de J.-B. Duroselle. Série internationale — 23. Collection historique de l'Institut d'Études Slaves — XXIX. Publications de la Sorbonne, Paryż 1984, str. 288, F. 130.

Urodzony w 1888 roku Noël nie był zawodowym dyplomata. Jego służba zagraniczna ograniczała się do siedmiu lat spędzonych na placówkach w Pradze i Warszawie. Jego inne funkcje były raczej typu administracyjnego: prefektura Haut-Rhin, sekretarstwo generalne w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, delegatura Wysokiego Komisariatu w Nadrenii. Podczas drugiej wojny światowej Noël był ambasadorem przy rządzie R.P. w Angers, po czym pozostał w nieokupowanej Francji i odgrywał pewną rolę we Francji Pétaina, jakkolwiek nikt nie zarzucał mu kolaboracji. Po wojnie był m.in. przewodniczącym Conseil Constitutionnel.

W 1935 roku, w chwili nominacji na ambasadora Francji w Warszawie, Noël kumulował dwie funkcje: szefa nowego gabinetu Laval'a (której jednak nie objął) i posła w Pradze 1932-1935. Będąc na placówce w Czechosłowacji, nie taił przed swym brytyjskim kolegą, iż traktuje ją jako szczebel w dalszej karierze polityczno-administracyjnej. Czy do Warszawy przyjeżdżał z podobnym nastawieniem, trudno wywnioskować. Wydaje się jednak, że swoją rolę widział raczej jako prokonsula niż ambasadora, co zresztą wynika dość wyraźnie z jego własnych wywodów.

Noël skromnością nie grzeszy. Cytuje rzekomą wypowiedź radcy ambasady niemieckiej o sobie, iż był tym, któremu udało się „zniszczyć naszą [niemiecką] politykę w Polsce” (str. 30), choć na czym miały polegać te jego osiągnięcia, nie bardzo wiadomo. Wstrzymuje się jednak od przytoczenia opinii belgijskiego dyplomaty, według której był najwybitniejszym ambasadorem w Warszawie, choć „Polski nie lubił” (*Diariusz i Teki Jana Szembeka*, II, str. 83). Nie jest chyba przypadkiem, iż ten zapis nie figuruje we francuskim tekście diariusza, przygotowanym do druku przy współdziale Noël'a.

Autor kreśli przed czytelnikiem smutny obraz upadku prestiżu ambasady francuskiej za swego poprzednika Laroche'a. Ten ostatni rzekomo obawiał się przeciwstawić Beckowi, a starając się nauczyć języka polskiego, narażał się jedynie na drwiny ze strony Piłsudskiego. (*Nota bene* źródła polskie niczego takiego nie notują). Pani Laroche z kolei była niewłaściwą osobą jako żona ambasadora Francji. Noël szybko zmienia ten stan rzeczy. Mijają czasy kiedy *quand on était Français, on se sentait à Varsovie observé avec méfiance* (str. 22). Noël przywraca Francji rolę właściwą jej pozycji. Dzięki jego energicznej akcji Floyar-Rajchman, który sprawiał trudności Francuzom w dziedzinie gospodarczej, zostaje usunięty ze stanowiska ministra w 1935 roku

i nie wchodzi do rządu Zyndrama-Kościałkowskiego w 1936 roku (str. 86-87).

Ale głównym wrogiem Francji jest Beck. Ambasador więc przygotowuje intrygę — o której pisze z dumą — mającą na celu usunięcie go ze stanowiska ministra spraw zagranicznych i zastąpienie go Augustem Zaleskim lub Henrykiem Strasburgerem. Głowa Becka ma być ceną, której Paryż ma zażądać w zamian za udzielenie pożyczki zbrojeniowej w Rambouillet. Noël przygotowuje swą akcję starannie, lecz intryga nie dochodzi do skutku, ku wielkiemu rozżaleniu ambasadora. Ma on pretensję do sekretarza generalnego Quai d'Orsay, Alexisa Légera, którego zdaniem akcja tego typu nie licuje z funkcją ambasadora Francji w Warszawie. Trudno, oczywiście, nie przyznać mu racji.

Noël jest również niezadowolony z nastawienia armii francuskiej i krytykuje podróż gen. Gamelina do Warszawy, która utrudnia ustawienie Polski w roli petenta. Ostateczne niepowodzenie swej intrygi Noël składa jednak na karb powiązań masonskich Becka, ambasadora J. Łukasiewicza i ministra spraw zagranicznych Y. Delbosa. Stwierdzenie, iż autor nie podziela wiary w tajne machinacje masonów, ale... jest dość typowe dla książki, w której plotki i różnego rodzaju insynuacje podawane są w formie pewników.

Aczkolwiek nie możemy wykluczyć, że Beck i Łukasiewicz byli za młodu masonami, to wiemy, że Piłsudski zabronił tak dyplomatom jak i oficerom polskim należeć do masonerii. Poza tym jest więcej niż prawdopodobne, że minister Delbos i premier L. Blum, życząc sobie poprawy stosunków francusko-polskich, nie chcieli mącić wody. Wiedzieli też może, iż Rydz-Śmigły wcale nie był tak gotów „poświęcić” Becka, jak twierdzi Noël. Zresztą obronę Becka ze strony Rydza cytuje sam autor (str. 123). Ciekawe, że część tej pozytywnej wypowiedzi o ministrze podaje Noël, a opuszcza ją redakcja *Documents Diplomatiques Français* (2 série, t. I, dok. 170, str. 57), tym bardziej, że w stosunku do Becka wyobrażnia Noëla zdaje się graniczyć z obsesją, czy rodzajem manii prześladowczej. Ale o tym później.

Osoby, o których były ambasador Francji pisze złośliwie, obraźliwie i niechętnie są tak liczne, iż czytelnik jest zaskoczony, kiedy o niektórych wyraża się życzliwie. Należą do nich Rydz-Śmigły i Sosnkowski — których dyplomacja francuska usiłowała wygrywać przeciw Beckowi — poza tym Mühlstein i Sikorski, w pewnym stopniu Szembek. Należy też do nich rumuński minister spraw zagranicznych Grigoire Gafencu, którego rzekomo całonocna rozmowa z Beckiem jest przez autora cytowana *in*

extenso, chociaż, jak wykazał Jan Weinstein, rozmowa ta nie mogła trwać całą noc, lecz godzinę 14 minut, tj. czas trasy między Krakowem a Katowicami, zaś większość jej treści należy przypisać bujnej fantazji Rumuna (patrz Jan Weinstein „Scenariusz Ministra Gafencu”, *Zeszyty Historyczne* nr 13, Paryż 1968, str. 140-161). Poza tym Noël na ogół pozytywnie pisze o ambasadorze Wielkiej Brytanii, Sir Howardzie Kennardzie i o ambasadorze niemieckim Hansie von Moltke. Prezydenta Mościckiego autor nazywa „pięknym starcem”, co brzmi dość zabawnie, jeśli uświadomimy sobie, iż w tym okresie Mościcki miał lat 68, a piszący te słowa Noël — 90 lub ponad. Wieniawa potraktowany jest pogardliwie, przy czym autor powołuje się na opuszczony zapisek we francuskim wydaniu Szembeka. Tekst jego w polskiej wersji nie brzmi wcale tak, jak Noël to sugeruje (Noël str. 156, *Diariusz i Teki Jana Szembeka*, t. IV, 6. V. 1938, str. 140). Mirosław Arciszewski to „jeden z najbardziej ograniczonych i niezgrabnych” ludzi (str. 158). Skiwski to nieinteligentny fanatyk. Łukasiewicz obrzucony jest epitetami w rodzaju „pozbawiony kultury”, *rouquin vulgaire* o wyglądzie parobka. Noël zdumiewa się, iż podobał się Paryżankom (str. 159-160). Kobyłański był według autora nie tylko germanofilem, ale nie miał ani krzty „zdrowego rozsądku, obiektywizmu, umiaru ani rozumu” (str. 107). Tytus Komarnicki był *aussi laid que fourbe et baineux* (str. 115). Ministrowie, dyplomaci i dziennikarze francuscy nie są zresztą na ogół potraktowani lepiej. Delbos to *piteux ministre* (str. 129), pamiętniki Gamelina odznaczają się *bassesse et hypocrisie* (str. 126). A. Léger jest przedstawiony ujemnie, podobnie jak i jego „agenci” Pertinax i Buré. Zwłaszcza Pertinax zasługuje na pogardę, tym bardziej, że odważył się nazwać Noëla *médiocre caractère* (str. 134). Ambasador amerykański w Warszawie, A. J. Drexel Biddle, to nic nie rozumiejące dziecko we mgle, a William C. Bullitt, ambasador w Paryżu, to prawie ciemny typ. Oczywiście jego przyjaźń i współpraca z Łukasiewiczem już wystarczają, aby go w pełni zdyskredytować.



Powróćmy teraz do Becka. Jadowitego pióra Noëla pozazdrościłby mu w swym czasie niejeden wróg ministra — chociaż należy też założyć, że powstydzili się go po upływie lat. Beckowi przypisuje autor zarówno genezę jak i rozwój nieprzychylności panującej wobec Polski na Zachodzie. Noël przytacza tu niepochlebne opinie A. Edena, Duff Coopera, Carla J. Burckhardta i

G. Ciano. Eden miał jakoby w obecności ministra czuć się słabo (str. 74), chociaż nie ma o tym wzmianki w pamiętnikach brytyjskiego męża stanu. Z lubością cytuje Noël zdanie księżny Piemontu, podane przez Ciano, że twarz Becka mogłaby z powodzeniem figurować w gazetach francuskich — jako gwałciciela małych dziewczynek (str. 74). Twarz ministra miała również przypominać lisa, co potwierdzać miały jakoby jego wykrętne wypowiedzi i wręcz kłamstwa. Jego smagła cera rzekomo przemieniała się w czern, gdy obmyślał jakiś niecny postępek. W ogóle, zdaniem ambasadora, „odrażający wygląd” Becka pasował do „meliny rzezimieszków” (str. 76).

Do Hitlera Beck jakoby nie miał żadnych zastrzeżeń — ponieważ Führer ujął go pochlebstwami. Co więcej, głęboki ukłon Becka, złożony Hitlerowi (znana fotografia ze stycznia 1939 roku, zrobiona w Berchtesgaden), zakrawał według Noëla na „służalstwo” (str. 79). W Polsce przypisywano Beckowi jakoby wszystko co najgorsze — nawet zamordowanie generała Zagórskiego i ministra Pierackiego (str. 79-80). Zdaniem Noëla minister był „neuropatą”, cierpiał na depresję, którą miał zwalczać przy pomocy alkoholu, a może nawet narkotyków. Pijaństwo ministra było rzekomo znane w całej Polsce (str. 80-81). Nawet w Kutach, w przededniu przekroczenia granicy rumuńskiej, minister jakoby upił się czerwonym winem (str. 82). Oczywiście wiadomo, że Beck lubił wypić, a szczególnie lubił czerwone wino. Tym niemniej żaden świadek poza Noëlem, który widział ministra w owym właśnie czasie i pozostawił raporty lub wspomnienia (amb. Kennard, Doman Rogoyski, Michał Łubieński) o niczym takim nie wspomina.

Oczywiście grzechem głównym Becka była jego rzekoma nienawiść do Francji, a co za tym idzie jego „antyfrancuska” polityka. Tu Noël znów podaje dawno już zdyskredytowaną historię rzekomego wydalenia Becka z Paryża w 1923 roku, za „szpiegostwo”. Chociaż historycy wykazali już, że cała ta sprawa była zmyślona [vide: Piotr S. Wandycz, „Sprawa Józefa Becka jako *attaché* wojskowego w Paryżu”, *Zeszyty Historyczne*, Paryż 1972, nr 22, str. 34-44 oraz „Col. Beck and the French: Roots of Animosity?”, *The International History Review*, (Kanada), t. III, nr 1, str. 115-117 oraz H. Rollet, „Deux mythes des relations franco-polonaises entre les deux guerres”, *Revue d'histoire diplomatique*, 96^e année, 1982, nr 3/4, str. 225-243], to u Noëla służy ona dalej jako powód jego „urazu” do Francji, a zatem jako źródło jego „wrogiej” polityki wobec Paryża.

Noël w ogóle nie rozumie, dlaczego rząd francuski nie wyra-

ził sprzeciwu wobec nominacji Becka na ministra. Autor jest pewien, że jeden, najmniejszy choćby gest protestu ze strony Paryża wystarczyłby, żeby przekonać Piłsudskiego, by nie upierał się przy Becku (str. 86). Tymczasem tego „zgubnego” człowieka dopuszczono do stanowiska ministra spraw zagranicznych, gdzie jego polityka tak drogo miała kosztować Polskę i Francję (*ibid.*).

Szkic powyższy jest niepełny, ponieważ Noël bryzga nienawiścią do Becka przy każdej niemal okazji. Minister jest poza tym stale obarczany winą za rzekome doprowadzenie Polski do katastrofy, a Francji do największej klęski w jej dziejach nowożytnych. Nie przeszkadza to zresztą autorowi także oceniać szorstko polityki Francji jako niekonsekwentnej, głupiej i słabej, ale robi to na ogół wówczas, gdy dowodzi, że Paryż nie liczył się z jego propozycjami i radami. Odnosimy więc nieodparte wrażenie, iż zdaniem Noëla tylko on wiedział, co należy zrobić, że gdyby go tylko w Paryżu wówczas usłuchano, to zbawiona pozostałaby Polska, Francja i Europa.

Zastanówmy się teraz nad pytaniem, na czym miał właściwie polegać „plan” Noëla? Otóż wszystko widać zależało od tego, by Becka usunąć ze stanowiska ministra. A jaką nową politykę miałby prowadzić jego następca? Zapewne, jak tego miał żądać w 1935 roku Laval, nowy minister winien był doprowadzić do sojuszu polsko-czechosłowackiego. Nikt chyba nie zaprzeczy, że taki krok był ze wszech miar pożądany. Niestety, jak wiedzą historycy tego zagadnienia, nie tylko Beck był przeszkodą w zawarciu takiego sojuszu. Nie chciał go bowiem też Edward Benes, który nigdy nie zamierzał wiązać się z Polską i dążył tylko do bliżej nieokreślonego paktu przyjaźni. Ponadto przywódcy polskich partii opozycyjnych nawet wiosną 1938 roku uwarunkowywali sojusz oddaniem Zaolzia Polsce oraz wycofaniem się Pragi z jej sojuszu z Moskwą (patrz raport wysłannika Benesa, V. Fialli, cyt. Stefania Stanisławska, *Wielka i mała polityka Józefa Becka*, Warszawa 1962, str. 105-122). Wobec powyższego jest jasne, że samo usunięcie Becka do sojuszu z Czechosłowacją doprowadzić nie mogło.

Nie należy się też spodziewać, że inny minister spraw zagranicznych prowadziłby inną politykę wobec Niemiec. Sam Noël nie kryje się z tym, że już na wiosnę 1938 roku, a więc w początkowym stadium kryzysu czechosłowackiego uważał, iż Francja na wojnę pozwolić sobie nie może — ponieważ nie posiada lotnictwa. Wszystko, pisał wówczas, jest lepsze od ponownej „hekatomb” (str. 217-218). Odnosnie Polski radził, by Quai

d'Orsay sporządziło *dossier* w celu zachowania jak największej swobody manewru w wypadku agresji na Wschodzie („Korytarz”, str. 219). Wiemy co to oznaczało, albowiem już w swej książce z 1946 roku Noël przyznał się, że namawiał francuskiego ministra spraw zagranicznych, Georges’a Bonnet’a, by rozluźnił sojusz z Warszawą, a więc ograniczył zobowiązania Francji wobec Polski. Rady te pasowały jak najbardziej do ówczesnej polityki ugody prowadzonej przez Wielką Brytanię i Francję wobec Berlina. Jak wiadomo, mocarstwa zachodnie zdecydowane były kryzys zażegnać kosztem Czechosłowacji. Jest co najmniej wątpliwe, czy Hitler, wiedząc doskonale, że mocarstwa zachodnie zdecydowane są uniknąć wojny, zaniechałby swych planów, gdyby Polska, tak jak to sobie życzył Paryż i Londyn, zastosowała wobec Czechosłowacji politykę życzliwej neutralności.

Jeśli mocarstwa te nie chciały konfrontacji z Niemcami w 1938 roku, to nie chciały jej też w 1939 roku, i to mimo gwarancji brytyjskiej dla Polski, popartej całkowicie przez Francję, oraz rokowań francusko-polskich dla uzgodnienia interpretacji sojuszu i konwencji wojskowej z 1921 roku — o których Noël, rzecz znamienna, w ogóle nie wspomina. Natomiast podaje linię wytyczną polityki francuskiej w rozmowie z Henrykiem Strasburgerem, podanej bez daty, ale, jak się można domyślać, z końca marca lub początku kwietnia 1939 roku. Strasburger zapytał wówczas Noëla, jakiej polityki życzyłaby sobie od niego Francja, gdyby objął stanowisko po Becku? Ambasador dał mu odpowiedź następującą: 1) radziłby mu dalej prowadzić politykę pojednania i dobrego sąsiedztwa z Niemcami oraz 2) radziłby mu pojechać od razu do Berlina i „wytłumaczyć się” przywódcom Reichu właśnie w tym duchu. „To, co Francję niepokoi — mówił wówczas Noël — to nie tyle sama zasada *détente* z Niemcami, ile fakt, że prowadzi ją płk Beck, do którego nie mamy zaufania i który nas irytuje, ponieważ jego metody stwarzają pozory, że ta polityka jest skierowana przeciwko nam” (str. 106-107).

W jednej tylko sprawie broni Noël polskiej polityki zagranicznej. Mianowicie rozumie odmowę rządu polskiego na prośby Paryża, by udzielił zgody na wkroczenie do Polski wojsk sowieckich w wypadku wojny z Niemcami. I tu jednak są błędy. Na przykład Noël pisze, że Beck, w rozmowie z Ribbentropem w Warszawie (1. II. 1939 roku), przewidywał „rychły” rozpad Rosji Sowieckiej na państwa narodowe. Nawet w wersji niemieckiej, na którą powołuje się Noël (str. 122), takiego stwierdzenia ze strony Becka nie ma (patrz *ADAP*, seria D., t. V. dok. 126). Natomiast w zapisku Szembeka Beck mówi, że taki rozpad Rosji

jest rzeczą dalekiej przyszłości (*Journal*, 1933-1939, str. 413, *Dziennik i Teki*, t. IV, str. 484).



Musimy się jeszcze zająć załącznikiem nr 1, gdzie Noël stara się udowodnić, że *Dernier Rapport* Becka nie posiada żadnej wartości historycznej. Noël podejrzewa nawet, że pracę tę albo napisał zespół redakcyjny, albo ją specjalnie „spreparował” do publikacji. Otóż znając oryginał polski możemy czytelnika zapewnić, że wersja francuska jest wiernym tłumaczeniem tekstu polskiego (który ukaże się pod redakcją A. Cienciąg w wydawnictwie Instytutu Literackiego w Paryżu w drugiej połowie 1985 roku).

Nie warto w tym miejscu podejmować wszystkich zarzutów, które Noël stawia Beckowi. Stwierdzić jednak należy, iż pamiętnego dnia 7 marca 1936 roku, gdy wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii i gdy Beck złożył Noëlowi deklarację wierności wobec sojuszu z Francją, rozmowa ta odbyła się istotnie o godz. 5-tej po południu, a nie, jak pisze Beck, o 9-tej rano. Czy jednak Beck, dyktując swą pracę w internowaniu, w Rumunii, bez żadnych dokumentów, umyślnie zmienił godzinę, jak mu zarzuca Noël, czy też go po prostu pamięć zawiodła, nie wiadomo. W każdym bądź razie inne nieliczne pomyłki faktograficzne u Becka wydają się wypływać z braku dokumentacji.

Noël zaprzecza również twierdzeniu Becka, że inicjatywa zaproszenia rządu R.P. do Francji nie wyszła od niego — lecz od Becka. Tymczasem Beck pisze, że propozycję taką wysunął wobec niego Noël już w Krzemieńcu, minister zaś do niej powrócił później, prosząc ambasadora, by zapytał w jego imieniu rząd francuski, czy jest gotów użyczyć gościny rządowi polskiemu. 17 września, gdy Beck ponownie zapytał o to Noël, ambasador zapewnił go, że decyzja jest na pewno pozytywna, lecz szczegółów jeszcze nie otrzymał, zapewne ze względu na pomyłkę w przekazaniu szyfru (str. 228, 234-235, 241-242, 355). Co prawda dokumentów francuskich brak, lecz z dokumentów polskich wynika, że 19 września 1939 roku premier i minister Spraw Zagranicznych Francji, Edward Daladier (Bonnet ustąpił 13 września) potwierdził ambasadorowi J. Łukasiewiczowi zaproszenie rządu polskiego do Francji. Ambasador przekazał tę wiadomość Ambasadzie R.P. w Bukareszcie 20 września (Archiwum Hoovera, Stanford, Kalifornia, zespół: Polish Government, pułk 481, t. Notyfikacje Prezydenta oraz zespół: Poland (Ambasada)

France, pudło 9. t. Telegrams to Polish Embassy, Bucharest). Tak więc, jeśli oficjalne zaproszenie potwierdziło poprzednie, być może ustne zaproszenie, to można założyć, że zasadnicza oferta została przekazana przez ambasadora Noëla przed 17 września. Wreszcie, jeśli Beck parokrotnie stwierdza, że zaproszenie wynikało z inicjatywy ambasadora, to należy sądzić, że miał ku temu podstawę. Wydaje się, iż wyjaśnienia tej sprawy należy szukać w papierach Bonneta, jeśli się uchowały, albo też w papierach Daladiera, które znajdują się w École des Sciences Politiques w Paryżu.

Wreszcie Noël odrzuca oskarżenie Becka, że Francja uniemożliwiła członkom byłego rządu wyjazd z Rumunii. Wskazuje przy tym słusznie, że Berlin wywierał nacisk w tej sprawie na rząd rumuński. Tym niemniej wiadomo, że Noël pojechał z generałem Sikorskim do Paryża, gdzie Generał został premierem i Naczelnym Wodzem wojska polskiego. Wiemy też, że ani nowy rząd R.P., ani rząd francuski nie kwapił się wydostać członków b. rządu z Rumunii przed majem 1940 roku. Wiadomo również, iż mimo nacisku niemieckiego prezydent Mościcki zdołał wyjechać do Szwajcarii, a dwóch byłych ministrów wyjechało też z Rumunii.

Jak wyglądała sprawa wyjazdu pozostałych członków rządu w maju 1940 roku? Najlepiej chyba naświetla tę sprawę *aide-mémoire* ministra Augusta Zaleskiego z 13 maja 1940 roku. Zaleski pisał, że ambasador francuski (Noël) oświadczył, iż rząd francuski gotów jest udzielić wizy wszystkim członkom byłego rządu na wyjazd do Francji, bądź też do kolonii francuskich — z wyjątkiem marszałka Rydza-Śmigłego i ministra Becka, którym nie mógłby zagwarantować bezpieczeństwa osobistego ze względu na stosunek do nich opinii publicznej (*sic!*). Natomiast ambasador brytyjski (Kennard) oświadczył, że rząd Wielkiej Brytanii gotów jest udzielić Beckowi wizy wjazdowej jako byłemu ministrowi Spraw Zagranicznych, który zawarł z Anglią sojusz — i to nawet gdyby znajdował się w opozycji do rządów, które obejmą później władzę w Polsce (czytaj: rząd R.P. w Angers, A.C., Archiwum Hoovera, zespół: Polish Government, pudło 769, t. Gabinet Ministra). Skoro Noël zaznaczył wówczas, że ani Śmigły-Rydz, ani Beck nie mogą wyjechać nawet do kolonii francuskich, przeto gdy Noël podaje, iż sugerował dla Becka Egipt ze względów zdrowotnych, to należy co najmniej wątpić, czy to był powód główny. Zresztą widać, że rząd francuski zmienił zdanie, skoro gen. Sikorski rozkazał Beckowi, Śmigłemu i innym wyjazd służbowy do Algierii francuskiej. Ambasada R.P. w Bukareszcie

otrzymała nawet nakaz, by w razie ich odmowy nie wydać im paszportów na inne kraje i odmówić im opieki (Telegram Zaleskiego z 20 maja 1940 roku do Ambasady R.P. w Bukareszcie, Hoover, *ibid.*). Nic dziwnego, że Beck i Rydz-Śmigły odmówili — w Algierii francuskiej był już internowany były szef sztabu generalnego, gen. Wacław Stachiewicz. Należy sądzić, że zasadniczą postawę w całej tej sprawie zajmował gen. Sikorski oraz że popierał go ambasador Noël.



Noël zapewnia czytelnika o swej miłości do Polski. Był jakoby w niej osamotniony, gdyż „rusofile, sowietofile, antyklerykalowie, intelektualiści lewicy i skrajnej lewicy manifestowali na ogół swą antypatię do Polski” (str. 71). Prawicowiec Noël nie dodaje wszakże, iż antypolskie sentymenty istniały również wśród germanofilskiej prawicy francuskiej. Potępiając słusznie ignorancję francuską w sprawach polskich, Noël powinien się być jednak postarać, aby jego własna książka była możliwie wolna od błędów i nieścisłości. Tak jednak nie jest i *Polonia Restituta* aż roi się od pomyłek, uproszczeń i półprawd.

Dezinwoltura francuska w pisowni obcych, zwłaszcza polskich nazw i nazwisk jest prawie przysłowiowa. W odróżnieniu od starannie zredagowanej pracy *La Tchecoslovaquie d'avant Munich*, książka o Polsce ma takie dziwolągi jak: Ridz (Rydz), sanacza (sanacja), Grażinski (Grażyński), Pelczinski (Pełczyński), Wawell — przez dwa 1, Wienjawa (Wieniawa), Kaden-Bandzowski (zamiast Bandrowski), Przesmicki (Przesmycki), Rajszman i Rajczman (Rajchman) itd., itd. Ale są i błędy poważniejsze, odnośnie zarówno Polski jak i wydarzeń współczesnych. Dowiadujemy się więc, że Kazimierz Wielki panował w XVI wieku, a Uniwersytet Jagielloński został założony w roku 1491. Atak na Belweder podczas Powstania Listopadowego ma miejsce w 1831 zamiast w 1830 roku. Data podpisania traktatu ryskiego podana jest błędnie: 12 zamiast 18 marca. Noël, historyk, podaje nam takie rewelacje jak na przykład, że Wojciechowski zaoferował Piłsudskiemu władzę na moście Poniatowskiego w maju 1926 roku. W ogóle rozdział o Piłsudskim jest naszpikowany błędami i powtarzanymi bezkrytycznie plotkami. Według Noël'a Piłsudski był związany z *rosyjską* (*sic!*) partią socjalistyczną, studiował w Dorpacie i cierpiał na gruźlicę. Ofensywę kijowską podjął („jak mówią”), aby zwrócić ziemie arystokracji polskiej na Ukrainie.

Stwierdzenie, iż piłsudczycy odznaczyli się pogardą dla romantyzmu brzmi nieco dziwnie w ustach kogoś, kto spędził pięć lat w Polsce przedwojennej. Gdy Noël pisze, że Sławoj przed objęciem premierostwa był ministrem Spraw Wojskowych, czytelnik przeciera oczy, bo przecież ambasador powinien był przynajmniej pamiętać, iż ministerstwo to było w stałej gestii Piłsudskiego poczynając od przewrotu majowego.

Noël nie zadaje sobie najmniejszego trudu, aby sprawdzać fakty. Widocznie uważa za nieistotne, czy Wieniawa popełnił samobójstwo w Rzymie (str. 51), czy gdzie indziej. To, iż Pierwsza Brygada nie mogła przekroczyć granicy zaboru rosyjskiego 6 sierpnia, bo brygada taka jeszcze nie istniała, jest jeszcze może do wybaczenia, ale stwierdzenie, iż poprzedzało to wybuch wojny rosyjsko-austriackiej świadczy albo o ignorancji historii, albo (co jest bardziej prawdopodobne) o niesłychanym wprost niechlujstwie tej książki. Autor zdaje się zakładać, że czytelnik i tak nic na ten temat nie wie, więc czy warto się wysilać? Według Noëla marszałek Pétain nie znał gen. Sosnkowskiego (str. 154, przypis 2). Tymczasem wiemy, że przeprowadził z nim rozmowy wczesną wiosną 1936 roku (co miało swoje znaczenie). Autor tego nie pamięta i nie starał się sprawdzić, choć było to w okresie, kiedy on sam był ambasadorem w Warszawie.

Czy w tych warunkach można przyjmować inaczej niż *cum grano salis* różne drobne anegdoty i „rewelacje” Noëla? Według jednej z nich w późniejszych latach trzydziestych Sikorski miał nie chodzić w Warszawie po chodniku, lecz po jezdni, w obawie incydentów (str. 146). Czy lokaj w Nieświeżu występował boso, obsługując ambasadora Francji? Brzmi to, mówiąc delikatnie, niezbyt prawdopodobnie. To, że syn Becka z pierwszego małżeństwa, Andrzej, zmienił płeć w *Polonia Restituta* i stał się córką, jest w kontekście tej książki wprost niewinną pomyłką. Bardzo ciekawy rozdział o sprawie Żyrardowskiej i Boussacu traci w tych warunkach na wartości, gdyż nie można być pewnym, czy i o ile informacje w nim podane są ścisłe, a w jakim stopniu odzwierciedlają zamiłowanie autora do złośliwych plotek i insynuacji.

Jak więc należy ocenić wartość *Polonia Restituta* jako źródła i pracy o aspiracjach historycznych? Niewątpliwie książka byłaby przydatna do jakiejś przyszłej monografii o Noëlu i dyplomacji francuskiej. Nawet jeśli zakładamy, iż ambasador w Warszawie w latach trzydziestych a obecny autor nie są całkowicie tą samą osobą, to jednak otrzymujemy wgląd w mentalność przedstawiciela Francji w Polsce i metody jej polityki zagranicznej, co ma

swoje znaczenie. Jeśli natomiast książkę mamy traktować jako studium o Polsce międzywojennej, to wartość jej jest znikoma, jeśli nie żadna. Ogólne rozważania Noëla nie wnoszą nic nowego, są banalne, powierzchowne lub wątpliwe — jak np. jego uwagi na temat braku polskiego słowa na *continuer*. Noël jako lingwista jest równie mało przekonujący jak Noël historyk.

Czytelnik jako tako zorientowany w tematyce przedmiotu zda sobie dość szybko sprawę z fenomenalnego wprost egocentryzmu autora. Francuski *attaché militaire* w Warszawie, gen. d'Arbonneau — którego raporty stanowią pasjonującą lekturę — nie jest nawet wymieniony z nazwiska. Noël wspomina go raz, pisząc, że go wezwał aby mu dać instrukcję. Mamy więc wizję samotnego Noëla, któremu przeskadza rząd francuski i Quai d'Orsay, prowadzącego swój wielki pojedynek z Beckiem. Jest to prawie że stereotyp filmu „High Noon” o dobrym szeryfie. W tych warunkach wstęp do książki pióra wybitnego historyka dyplomacji, J.-B. Duroselle'a, czyta się z pewnym zażenowaniem.

W *Polonia Restituta* jest tyle jadu, zapiekłych niechęci i antybeckowskiego kompleksu, że trudno się oprzeć pokusie strawestowania znanego powiedzenia: *tout comprendre, c'est tout pardonner* na *rien comprendre, ce n'est rien pardonner*. A przecież Noël był człowiekiem o wybitnej inteligencji, który — jak jego ówczesne raporty wykazują, a mamy ich wiele w wydawnictwie *Documents Diplomatiques Français* — rozumiał dużo rzeczy. Tymczasem wszelkie posunięcia Becka, z którymi się nie zgadzał, traktował jako niesubordynację i nielojalność. Jest to tym dziwniejsze, iż w jednym zdaniu w książce, które może łatwo umknąć uwadze czytelnika, Noël daje jak gdyby rozgrzeszenie Beckowi pisząc, iż jego nieufność do Zachodu i podejrzliwość były w dużej mierze uzasadnione (str. 142).

Szkoda, iż autor nie potrafi się zdobyć na historyczny dystans (ilość nowych prac, które cytuje, jest wręcz znikoma), który pozwoliłby mu ustawić we właściwym kontekście niepowodzenia i zadrażnienia polsko-francuskie w późnych latach trzydziestych. Zapewne Beck nie był aniołem, a jeśli generalna linia jego polityki była słuszna, to częste robienie „na złość” Francji było poważnym błędem. Wyważona krytyka jego polityki widzianej z bliska i z daleka mogłaby podnieść książkę Noëla do rzędu prac, które zachowują trwałą wartość. Noël zrobić tego nie umiał albo nie chciał. Był i chyba pozostał człowiekiem o mentalności prokonsula, który zapewne czułby się lepiej jako gubernator jakiejś afrykańskiej kolonii niż jako ambasador zaprzyjaźnionego

państwa. Nic dziwnego, że *Polonia Restituta* wiernie odzwierciedla sylwetkę Noëla, a jest krzywym zwierciadłem Polski i Becka.

Piotr S. WANDYCZ
Anna M. CIENCIAŁA

Z. S. SIEMASZKO

OKOLICZNOŚCI ROZPOCZĘCIA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Autor niedawno wydanych wspomnień, oficer służby stałej Felicjan Majorkiewicz, miał dość urozmaicone dzieje¹. W latach 1934-1936 ukończył kurs Wyższej Szkoły Wojennej. W 1939 był w sztabie Grupy Operacyjnej „Narew”, a po wydostaniu się na Zachód brał udział w akcji pod Narwikiem, skąd wobec braku rozkazów gen. Sikorskiego został wraz z całą Brygadą Podhalańską wyładowany w czerwcu 1940 nie w Szkocji, a we Francji, gdzie sytuacja była już beznadziejna. Przyczyniło się to do rozbicia Brygady. Po długich staraniach i zabiegach Majorkiewicz zdołał wydostać się z Francji poprzez Hiszpanię, Portugalię i Gibraltar do Szkocji. Tu został przydzielony do Samodzielnej Brygady Strzelców, która strzegła wybrzeży hrabstwa Fife. W kwietniu 1943 jednostka ta została rozwiązana i jednocześnie mjr Majorkiewicz zgłosił się do służby w kraju. W rok później, w nocy z 9 na 10 kwietnia 1944, został zrzucony z Brindisi na południu Włoch do Polski. Tam, po zaaklimatyzowaniu się, przydzielono go do Oddziału Operacyjnego Kom. Gł. AK, którego szefem był „Filip”².

Po powstaniu i niewoli niemieckiej przybył Majorkiewicz do Szkocji, gdzie przydzielono go do dowództwa 1-go Korpusu, skąd

1. Felicjan Majorkiewicz, „Lata chmurne, lata dumne”, Inst. Wyd. Pax, Warszawa 1983, str. 360.

2. „Filip” — płk dypl. kawalerii Józef Szostak, legionista, beliniak, w kampanii wrześniowej dowodził 13 Pułkiem Ułanów Wileńskich. Po wojnie był więziony w PRL przez pięć lat. Zmarł w Łodzi w lutym 1984.

uzyskał odkomenderowanie na ukończenie studiów inżynierskich pod nadzorem polskiej Rady Akademickich Szkół Technicznych. Jednocześnie ożenił się z akówką z Powstania Warszawskiego i po ukończeniu studiów wyjechał do kraju w lipcu 1947. Tam w początkowym okresie był zatrudniony przy odbudowie Warszawy.

Zmarł w kraju w 1975 roku, a w osiem lat po śmierci zostały wydane jego wspomnienia wojenne, które napisane są uczciwie i wzbudzają zaufanie. Na szczególną uwagę zasługują dzienniki pisane najpierw we Francji od 16 lipca do 13 września 1940 i od 30 lipca do 13 grudnia 1941 (str. 86-102 i 110-134), a potem w Warszawie od 20 lipca do 4 października 1944 (str. 196-306). Niestety autor nie podaje, w jaki sposób swe zapiski przechował (szczególnie te z okresu Powstania Warszawskiego), ani też, jak to się stało, że je spisywał, bo przecie normalnie żołnierze otrzymywali zakaz robienia osobistych notatek, szczególnie w czasie akcji. Czyżby w Warszawie w 1944 roku nie wydano takiego zakazu? A może autor, mimo że był oficerem sztabowym, rozkaz zignorował, z czego obecnie my czytelnicy korzystamy, tym bardziej, że jego zapiski sprawiają wrażenie autentycznych?

Oddział Operacyjny KG AK, do którego Majorkiewicz należał, nie miał zbyt wiele pracy, bo sprawami operacyjnymi powstania zajmował się w zasadzie Oddz. Operacyjny dowództwa Okręgu Warszawa-miasto. Miał więc Majorkiewicz czas na obserwowanie wypadków, notowanie ich i opatrywanie niekiedy ciekawymi uwagami. Nie ulega wątpliwości, że najważniejszy jest okres przedpowstaniowy, dotyczący pośpiesznych przygotowań i okoliczności podejmowania decyzji zarówno zasadniczych (przeprowadzać walkę w Warszawie, czy też nie) jak i taktycznych (jak przeprowadzać akcję). Więc na te sprawy należy zwrócić szczególną uwagę.

W dniu 20 lipca 1944 Majorkiewicz zanotował:

„Zostałem przesunięty w Oddz. III Sztabu KG AK do prac bezpośrednio związanych z przewidywaną walką w Warszawie. ... Początkowo Warszawa miała być wyłączona z akcji 'Burza', która poza celami ściśle politycznymi obejmowała walkę z tyłowymi oddziałami wycofujących się wojsk niemieckich oraz dezorganizowanie oddziałów nieprzyjaciela w okresie zbliżania się frontu. W miarę jednak rozwoju wypadków hipoteza podjęcia walki w stolicy zdobywała prawo pierwszeństwa i przybierała już formę realną” (str. 196).

Następnego dnia, 21 lipca 1944, Majorkiewicz powrócił znowu do tego tematu.

„Prawdopodobnie dziś zapadła na szczelu Komendy Głównej AK decyzja o włączeniu Warszawy do akcji 'Burza', przy czym postanowiono wystąpić z tą sprawą do krajowych władz politycznych, czyli do Delegatury Rządu. Jako główny motyw powyższej decyzji podano, że polityczne cele 'Burzy' — związane z akcjami zbrojnymi AK przeprowadzanymi na wschód od Bugu — całkowicie zawiodły. Ujawnianie oddziałów przeprowadzających zadania 'Burzy' udowodniło, iż ZSRR nie uznaje oddziałów AK taktycznie współdziałających z wojskami Armii Czerwonej za oddziały sojusznice. Powyższy fakt komplikował brak stosunków dyplomatycznych z ZSRR. Dlatego w tej krytycznej sytuacji zadaniem Warszawy będzie ostateczne ustalenie stosunku naszego wschodniego sąsiada do Armii Krajowej. Płk 'Filip' ujął to następująco: chodzi o wyjaśnienie, jaki jest stosunek rządu ZSRR do Armii Krajowej po przekroczeniu Bugu przez oddziały Armii Czerwonej i o zwrócenie uwagi opinii światowej na sprawę Polski, przy równoczesnym zaakcentowaniu zasięgu wpływów i znaczenia rządu polskiego w Londynie” (str. 197).

Te dwie wypowiedzi zapisane wówczas na gorąco w Warszawie naświetlają wyraźnie okoliczności, w jakich postanowiono w Warszawie pod koniec lipca 1944 włączyć stolicę do akcji „Burza”, czyli przeprowadzić to, co dziś nazywamy Powstaniem Warszawskim. Z powodu niepowodzenia „Burzy” na terenach wschodnich przed KG AK stałyby następujące alternatywy — albo odwołać dalsze wykonywanie „Burzy”, albo też ją powiększyć przez włączenie w tę akcję stolicy. Można zrozumieć, że KG AK chciała zwrócić uwagę świata na sprawę Polski i zaakcentować popieranie Rządu Polskiego, ale jednocześnie należy zanotować, że KG AK nie zdawała sobie sprawy z tego, że zamiary te pozostaną bez skutku, bo moi tego świata byli niezachwiani w swojej prosowieckiej polityce. Natomiast trudno zrozumieć, że KG AK sądziła, iż stosunek władz sowieckich do AK i Państwa Podziemnego w centralnej Polsce może być inny niż na Wschodnich Kresach, że nie rozumiała, iż Sowiety miały już zorganizowaną polską reprezentację, której były zdecydowane oddać władzę nad Polską, a ci, którzy reprezentowali Polskę niepodległą nie tylko byli Sowietom niepotrzebni, ale przeszkadzali we wprowadzeniu w życie planów sowieckich.

Jednak wyżsi oficerowie AK nie zdawali sobie z tego sprawy i chcieli wyjaśnić, „jaki jest stosunek rządu ZSRR do Armii Krajowej”. A jakie było nastawienie średnich oficerów sztabowych? Wprowadzając swój przedpowstaniowy dziennik, Majorkiewicz pisze:

„Wśród oficerów Oddziału III przeważały poglądy na rzecz porozumienia z ZSRR, lecz przy pełnej gwarancji niepodległości Polski” (str. 196).

Łatwo powiedzieć, ale trudniej wykonać, bo Sowiety w latach 1943-1944 nie chciały słyszeć o niepodległej Polsce.

Pod datą 30 lipca Majorkiewicz zapisał:

„W sztabie raz jeszcze w rozmowie z płkiem 'Filipem' powróciłem do zagadnienia próby nawiązania łączności i współdziałania taktycznego z dowództwem Armii Czerwonej. Argumentowałem, podobnie jak wczoraj, że w przeciwnym razie rozpoczęcie się walka w ciemno i to wówczas, gdy gra toczy się o tak wielką stawkę.

Płk 'Filip' nie zdradza zbytnej chęci do rozmowy na ten temat. Zazna-
czył jedynie, że można z góry przewidzieć negatywny stosunek do wszelkich
podejmowanych przez nas prób nawiązania łączności z Armią Czerwoną.
Wskazują na to dotychczasowe doświadczenia. Ponadto wspomniał, że War-
szawa powinna być wyzwolona własnymi siłami, gdyż wówczas zagadnienie
polskie w aspekcie międzynarodowym będzie rozpatrywane zupełnie w innej
perspektywie. Mnie jednak chodziło przede wszystkim o wstępne rozpozna-
nie i oficjalne ustosunkowanie się ZSRR do przewidywanej walki w War-
szawie, walki prowadzonej pod sztandarami AK” (str. 205).

Jak widać, oficerowie starsi stopniem i wiekiem liczyli na to, że istniała szansa, że Sowiety mogą uznać AK w wyzwolonej przez nią Warszawie, a oficerowie młodszy stopniem i wiekiem mieli nadzieję, że współpraca taktyczna z armią sowiecką w walce przeciw Niemcom może rozwiązać problemy polsko-sowieckie. Jak wiadomo, oba te poglądy były nierealne. Ale mimo to wprowadzano „Walkę o Warszawę” w życie. Jak wyglądało planowanie?

W dniu 23 lipca Majorkiewicz zanotował:

„Dzisiaj łączniczka zaprowadziła mnie do konspiracyjnej kwatery szefa sztabu Okręgu Warszawskiego mjra dypl. 'Chirurga' [Stanisław Weber], mieszczącej się w wielopiętrowej kamienicy przy ul. Mokotowskiej. Tam zapoznałem się z planem opanowania Warszawy opracowanym na przełomie 1941/42 (według płka 'Filipa' — na przełomie 1940-1941) przez płka dypl. 'Montera' [Antoni Chruściel]. Przy założeniu wybuchu powstania powszechnego przyjęto ówczesne warunki militarne i ekonomiczne.

Plan ten został sporządzony w formie zbroszowanego grubego skoroszytu, który zawierał szereg rubryk, jak nazwę jednostki bojowej, jej skład, uzbrojenie, zadanie.

W czasie przeglądania poszczególnych arkuszy — w aspekcie zmieniających warunków i sytuacji militarnej na frontach II wojny światowej — zostałem zaskoczony przede wszystkim słabym uzbrojeniem oddziałów. Niektóre kompanie posiadały w swoim wyposażeniu zaledwie po kilka karabinów lub w ogóle ich nie miały, a broń maszynowa stanowiła znikomy procent ogólnego stanu uzbrojenia. Następną zaskakującą rzeczą była koncepcja użycia oddziałów: zamiast koncentracji sił i środków zastosowano ich rozwodnienie. Jednocześnie prawie wszystkie ważniejsze obiekty miały zostać zaatakowane. Po zapoznaniu się z planem doszedłem do wniosku, że jest on — zwłaszcza z chwilą umocnienia i ufortyfikowania obiektów przez Niemców — nieaktualny...

Przygnębiony wracam do sztabu...

Po przybyciu do siedziby Oddziału III zreferowałem płkowi 'Filipowi' całość zagadnienia i swoje uwagi dotyczące planu opanowania Warszawy.

Po krótkiej wymianie zdań mój szef zgodził się ze mną, że obecnie plan ten utracił swoją aktualność, lecz nie może być zmieniony. Wszelka zmiana — według oceny płka 'Filipa' — przysporzyłaby więcej zła niż korzyści. Poza tym na wszelkie korekty nie ma już czasu. Oddziały znają plan i są nastawione od dawna na opanowanie poszczególnych 'swoich' obiektów. Po tej rozmowie nie mogłem długo dojść do siebie. Dyskutowałem na ten temat również z ppłkiem 'Hermanem'³ i częściowo z mjr-em 'Cozasem'⁴. Byliśmy zgodni, że jeżeli w tych okolicznościach zajęcie Warszawy przez Armię Czerwoną nie nastąpi w ciągu dwóch, najwyżej pięciu dni, nasza walka zakończy się klęską. Nastroj jest przygnębiający" (str. 197-199).

Sprawy te trzeba naświetlić nieco szerzej. Ponieważ „Burzy” nie miało być w Warszawie, ani Oddz. Op. KG, ani też Oddz. Op. Okręgu Warszawa-miasto nie posiadały w lipcu 1944 planów przeprowadzania tej akcji w stolicy. Wobec tego, kiedy w ostatniej dekadzie lipca 1944 KG AK zdecydowała przeprowadzenie „walki o Warszawę” (w zasadzie podobnej do akcji „Burza”), nie było żadnych gotowych planów, które można by wykorzystać, ani też nie było czasu na przygotowanie ich w ciągu zaledwie kilku dni. Zdecydowano zatem oprzeć się na projekcie działania w stolicy w ramach ogólnego „powstania powszechnego”, które było przygotowane już od dawna, na wypadek, gdyby Niemcy zaatakowały się, zanim front niemiecko-sowiecki zbliży się do Polski, czyli, gdyby powtórzył się rok 1918. Plan ten pośpiesznie zmodyfikowano pod wieloma względami i zmiany te, chociaż może niekiedy konieczne, nie zawsze wyszły na dobre. Jako przykład można przytoczyć przeniesienie w ostatniej chwili pomieszczenia na Kwaterę Główną z Mokotowa na Wolę lub ustalenie rozpoczęcia walki na godz. 5.00 po południu, a nie po zapadnięciu nocy lub o świcie, jak przewidywano w wypadku „powstania powszechnego”. Natomiast Majorkiewicz zwraca uwagę na inne aspekty. Z jednej strony wskazuje na to, że plan „powstania powszechnego” był przestarzały i niezgodny z układem sił niemieckich w Warszawie w 1944 roku, a z drugiej strony podkreśla zasadnicze różnice pomiędzy „powstaniem powszechnym” i „walką o Warszawę”. Pierwsza z tych akcji miała mieć miejsce, kiedy Niemcy rozlatywały się (jak w 1918 roku). W takich warunkach moż-

3. „Herman” — ppłk dypl. Franciszek Herman (Bogusławski), szef Wydziału Wywiadowczego w II Oddz. KG AK. Po wojnie powrócił do kraju, wstąpił do Ludowego WP i został mianowany generałem. Był sądzony w „procesach tatarskich” i został skazany na dożywotnie więzienie. Rehabilitowany po 1956 roku.

4. „Cozas” — mjr dypl. Jan Kamieński, cichociemny, związany z Obozem Narodowo-Radykalnym, po wojnie wydostał się na Zachód i początkowo osiedlił się we Francji, był powiernikiem jednego z funduszy emigracyjnych.

na było, a może nawet trzeba było, rozproszyć siły AK i atakować cały szereg obiektów. I tak, według Majorkiewicza, zamierzano uczynić. Natomiast w wypadku mającej rozpocząć się „walki o Warszawę”, kiedy Niemcy byli jeszcze silni, należało raczej skoncentrować się na wyselekcjonowanych obiektach. Ale 23 lipca 1944 było już za późno na przepracowanie planu i przygotowanie nowych instrukcji dla poszczególnych oddziałów, a już absolutnie nie mogłoby być mowy o przeciwczeniu tego rodzaju nowego planu. W ten sposób Okręg Warszawa-miasto rozpoczął walkę w dniu 1 sierpnia 1944 według przestarzałego i nie przystosowanego do „walki o Warszawę” planu działania.

Inną ważną sprawą było zsynchronizowanie wybuchu walki z posuwającą się na zachód armią sowiecką. Píše o tym Majorkiewicz pod datą 24 lipca:

„Moment rozpoczęcia walki o Warszawę wciąż mnie frapuje. Dzisiaj w dyskusji z kolegami, szczególnie z 'Bogusławskim' i 'Cozasem', upewniłem się, że momentem do wybuchu powstania powinien być fakt przekroczenia Pilicy przez Armię Czerwoną w kierunku północnym lub północno-zachodnim a nie osiągnięcie przez nią wschodniego brzegu na odcinku Warszawy.

Teżę tę przedstawiliśmy płkowi 'Filipowi', który w rezultacie obiecał, że zagadnienie zreferuje gen. 'Borowi' w czasie najbliższej u niego odprawy. Oby tylko walki nie rozpocząć za wcześnie!

Nie umiem sobie wytłumaczyć braku wiadomości o położeniu i sytuacji militarnej na przedpolu Warszawy” (str. 200).

Jednak sugestia Majorkiewicza nie została przyjęta i w dalszym ciągu rozpoczęcie walki miało być uzależnione od osiągnięcia Pragi przez wojska sowieckie. Wynikła kwestia dostarczania wiadomości z bezpośredniego przedpola Warszawy, nad brakiem których zastanawiał się Majorkiewicz 24 lipca. Można wnioskować, że w dziedzinie tej istniało poważne zamieszanie, gdyż w niedzielę 30 lipca Majorkiewicz písze o tym co następuje:

„Czytałem meldunki patroli łączności, wysyłanych przez mjr. H. K. [Janina Karasiówna], z których wynikało, że Mińsk Mazowiecki pozostaje w rękach oddziałów niemieckich. Wiele obiektów w tym mieście jest zburzonych, podobnie zresztą i w m. Dęby Wielkie. Natomiast w rejonie Anina i w lasach Międzyzlesia toczą się walki kawalerii sowieckiej z piechotą niemiecką. Warka i Góra Kalwaria nie zostały opanowane przez wojska Armii Czerwonej. Były to jednak tylko fragmenty całości położenia” (str. 204).

Trudno zrozumieć dlaczego mjr. Janinie Karasiównie, której poza Kancelarią Główną i Biurem Szyfrów podlegali kurierzy wewnątrz kraju i zagraniczni powierzono dostarczenie informacji dotyczących sytuacji na przedpolu Warszawy, skoro zadania jej wydziału polegały na przekazywaniu, a nie na gromadzeniu wiado-

mości. Nic dziwnego, że Majorkiewicz określił informacje dostarczone tą drogą jedynie jako „fragmenty całości położenia”, bo przecie trzeba znać się i mieć doświadczenie w gromadzeniu i przedstawianiu danych w celach wojskowych.

Jak wiadomo 31 lipca komendant Okręgu Warszawa-miasto płk dypl. Antoni Chruściel udał się osobiście rowerem w celu ustalenia, czy są czołgi sowieckie na wschodnim brzegu Wisły i odniósł złe wrażenie, że są, gdy ich w rzeczywistości nie było. Ta fałszywa wiadomość zdecydowała o terminie wybuchu powstania.

Natomiast nie wiadomo dlaczego nie użyto do dostarczania informacji Oddz. II, który posiadał swą siatkę wywiadowczą na całym terenie, chociaż może nie przystosowaną do tego właśnie celu. Wydaje się że w istniejącej sytuacji była to jednak najpewniejsza droga otrzymania wiarygodnych informacji. Sprawdziło się to, kiedy płk dypl. Iranek-Osmecki, szef Oddz. II, przybyły na odprawę już po wydaniu rozkazu do walki po południu 31 lipca, mówił gen. Borowi, że według źródeł Oddz. II, nie ma jeszcze czołgów sowieckich na Pradze. Jak wiadomo, odpowiadało to prawdzie.

Z kolei należy zapytać, co zdaniem Majorkiewicza KG AK wiedziała o wzmocnieniu pod Warszawą sił niemieckich w ostatnich dniach lipca 1944 i o powstrzymaniu na tym odcinku zagónów armii sowieckiej. Porusza on te sprawy kilkakrotnie.

Dnia 28 lipca pisze:

„Franek⁵ z Oddziału II doniósł nam, że oddziały dywizji pancernej 'Wiking' wyładowały się w rejonie Skierniewic, a oddziały dywizji 'Hermann Göring' przybyły w okolice Powązek” (str. 203).

W dwa dni później, 30 lipca, znowu powraca do tego tematu:

„Brak jasnego obrazu położenia bojowego na odcinku warszawskim. Do-wiedziałem się jedynie od kpt. 'Tytusa' [Bohdan Zieliński]⁶ z Oddziału II sztabu, że Niemcy na bezpośrednim przedpolu Warszawy i w granicach miasta dysponują dwiema dywizjami pancernymi oraz czterema do pięciu dywizjami piechoty, w tym 73. dywizją piechoty na odcinku Struga-Miłosna” (str. 204).

Wreszcie 31-go notuje:

5. Franek — ppłk dypl. Franciszek Herman (Bogusławski) szef Wydz. Wywiadowczego w II Oddz. KG AK.

6. „Tytus” — kpt. dypl. Bohdan Zieliński szef Biura Studiów II Oddz. KG AK.

„Wracam do położenia taktycznego, jakie zaistniało w dniu 31 lipca w rejonie Warszawy. Przedmieście stolicy jest bronione przez dywizje niemieckie, poprzednio już wyszczególnione, które stosują obronę ruchową. Otwock, Świder, Radość, Radzymin, Pustelnik, Marki zostały opuszczone przez oddziały Armii Czerwonej.

W rejonie Mińska Mazowieckiego rozgrywa się bój. Rozpoznano duże zgrupowanie wojsk w rejonie Celestynowa. Oddziały Dywizji Pancerniej 'Hermann Göring' znajdują się w marszu przez Piaseczno na Grójec. Możliwe, że mają być użyte przeciwko oddziałom sowieckim, które sforsowały Wisłę na odcinku Puław i Dęblina" (str. 205).

Wynika z tego, że Oddz. Op. KG AK był zorientowany w przebiegu walki sowiecko-niemieckiej na przedpolu Warszawy. Jednocześnie można zapytać, co Oddział ten wiedział o przebiegu „Burzy”? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w zapisie pod datą 31 lipca.

„Otrzymaliśmy dwie charakterystyczne depeşe. Pierwsza od komendanta Obszaru Lwów gen. 'Janki' [Władysław Filipowski] z dnia 28 lipca. Gen. 'Janka' donosił, że rozwiązał oddziały Armii Krajowej i równocześnie zarządził zgłaszanie się b. żołnierzy AK do 1. Armii Wojska Polskiego gen. Berlinga. Ponadto donosił, że Polska Rada Ziemi Południowo-Wschodnich powzięła rezolucję, iż 'wstąpienie do armii Berlinga nie zmienia stosunku do rządu Mikołajczyka'.

Następna depeşa nadeszła z Londynu i przekazywała treść uchwały Rady Ministrów, również z 28 lipca, wyrażającej uznanie dla Armii Krajowej za jej ofiarną walkę na Wołyniu, Wileńszczyźnie, Nowogródzczyźnie, w Białostockiem, na Polesiu, we Lwowie itd.

W ten sposób — według mojej opinii — została oficjalnie zakończona akcja 'Burzy' na terenach na wschód od Bugu" (str. 205).

Wynika stąd, że orientowano się całkiem dobrze w przebiegu „Burzy" na wschodzie, ale Majorkiewicz nie przytacza żadnych wiadomości o tym co działo się na Lubelszczyźnie. Na przykład nie wspomina o telegramie nadanym z Londynu 26 lipca do gen. Bora, którego treść brzmiała:

„Przejeżdżamy dnia 25. VII godz. 23.45 telegram z Wandy 33 tekstem otwartym: Sowietci nas rozbijają 27 d.p." (AK w Dok. tom III, str. 575).

Ani też nie wspomina o telegramie komendanta Okręgu Lubelskiego do gen. Bora z 31 lipca zawierającym następujące stwierdzenia:

„Zostałem zwolniony 29 bm. godz. 12.00. Ułtymatywnie żądał gen. lejtn. Kołpakczy, d-ca 6 armii sowieckiej, wstąpienia do armii Berlinga względnie rozbiora. Zdecydowałem się na rozbicie" (AK w Dok. tom III, str. 592).

Ta pierwsza wiadomość powinna była już dotrzeć do Oddz.

Op. w Warszawie, ale widocznie została zatrzymana w biurach KG AK, bo możliwe, że zajmując czysto formalne stanowisko, traktowano poważnie jedynie wiadomości nadchodzące od kendantów Okręgów, a nie od dowódców oddziałów w terenie. Natomiast ta druga wiadomość otrzymana w Londynie 31 lipca i według wszelkiego prawdopodobieństwa tegoż dnia przekazana do Warszawy z najwyższym oznaczeniem pilności (xxx). Czyli zanim powstanie wybuchło była już w Warszawie w biurach KG AK (choć nie dotarła jeszcze do ppłk. Majorkiewicza) odpowiedź na pytanie „jaki jest stosunek rządu ZSSR do AK po przekroczeniu Bugu przez oddziały Armii Czerwonej”. A było to najważniejszym celem „Walki o Warszawę” — jak wyjaśnił płk Szostak ppłk. Majorkiewiczowi 21 lipca 1944 (patrz wyżej).

Następna sprawa, której należy się przyrzeć w świetle dziennika Majorkiewicza, to użycie Brygady Spadochronowej. Pod datą 25 lipca cytuje on znany telegram KG AK z tegoż dnia:

„Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie do tej walki Brygady Spadochronowej będzie miało olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne. Przygotowujcie możliwość bombardowania na nasze żądania lotnisk pod Warszawą. Moment rozpoczęcia walki zamelduję” (str. 201).

Już w czasie walk, w pierwszych dnia sierpnia Majorkiewicz, który, jak większość cichociemnych przeszedł przeszkolenie w Szkoci i widział Brygadę Spadochronową z bliska, notuje:

„Rozmawiałem z płkiem 'Filipem' na temat przysłania Brygady Spadochronowej z Wielkiej Brytanii. Wierzył, że Brygada wpłynie zdecydowanie na wynik walki i zapewni nam sukces. Jednocześnie nie zgadzał się z moimi argumentami uzasadniającymi niemożliwość przeprowadzenia tego przedsięwzięcia ze względów technicznych” (str. 216).

I znowu powraca Majorkiewicz do tej sprawy 15 sierpnia pisząc:

„Naczelnny Wódz przekazał co następuje:

— wsparcie naszej walki przez Brygadę Spadochronową jest nierealne i to pomimo usilnych starań i interwencji. Na przeszkodzie stoi długość trasy i uprzednio powzięta decyzja użycia polskiej Brygady w zaplanowanej operacji we Francji. Jeżeli można mieć jakąś nadzieję, to w zakresie najwyżej wzmocnionej kompanii” (str. 224).

Ponieważ byłem w kontakcie z Brygadą Spadochronową w Szkoci w latach 1943/1944, żądanie przez Warszawę wsparcia spadochronowego frapowało mnie od dawna. Po raz pierwszy słyszałem je przez radiostację powstańczą „Błyskawica” w pierwszej połowie sierpnia 1944 (kiedy służyłem w Batalionie Łącz-

ności Sztabu N.W. pod Londynem), a potem po wojnie czytałem o tym w telegramie KG AK z 25 lipca 1944 (patrz powyżej). Nie wyobrażałem sobie tej operacji przeprowadzonej na miasto inaczej niż jako całkowitą masakrę. W 1964 r., w czasie jednej z rozmów z gen. Pełczyńskim w Studium Polski Podziemnej w Londynie zapytałem, czy KG AK uważała to za możliwe i wykonalne, kiedy 25 lipca 1944 pisała o przybyciu „do tej walki Brygady Spadochronowej”. Generał wyjaśnił wówczas, że to nie było zdecydowane żądanie, że napisano to jedynie „dla podniesienia ducha”.

Sugestia zrzućenia Brygady Spadochronowej na Warszawę była tym bardziej dziwna, że KG AK zapytana o to z Londynu, zgodziła się wiosną 1944 na oddanie Brygady pod rozkazy brytyjskie. A ponieważ do końca lipca 1944 nie słyszała o udziale Brygady w walkach, mogła spodziewać się, że jest ona w dalszym ciągu trzymana w pogotowiu do akcji na Zachodzie. W tej sytuacji trudno było spodziewać się, żeby Brytyjczycy byli skłonni oddać Brygadę do użycia krajowego. Widocznie Sosnkowski zdawał sobie z tego sprawę i dlatego zwracał się do Andersa z zapytaniem, czy nie ma on kompanii szturmowej, która nadawałaby się do zrzutu na pomoc powstaniu. Anders, który od samego początku nie był entuzjastą powstania, odpowiedział, że takiej kompanii nie posiada, chociaż podlegała mu już wówczas kompania polskich komandosów o nieco zmniejszonych stanach z powodu strat w uprzednich walkach. Kompania ta w czasie treningu jeszcze w Wielkiej Brytanii przechodziła skoki spadochronowe.

Należy jednak zastanowić się, czy zrzut spadochroniarzy na pomoc Warszawie był wykonalny i czy mógłby być skuteczny? Prawdopodobnie lotnictwo alianckie dysponowało latem 1944 roku ilością samolotów potrzebną do przetransportowania nad Warszawę kompanii (lub może nawet dwóch) spadochroniarzy. Ale przelot taki mógłby mieć miejsce albo na niskim pułapie w nocy (tak jak transportowano zaopatrzenie z Brindisi do Polski), albo też na wysokim pułapie w dzień (tak jak latały nad Warszawę amerykańskie fortece). W pierwszym wypadku samoloty byłyby w zasięgu artylerii i reflektorów niemieckich, zarówno w czasie przelotu, jak i podczas zrzutów. Natomiast w drugim wypadku byłyby bezpieczne w czasie lotu, ale z wysokiego pułapu nie mogłyby celnie zrzucać, musiałyby więc zniżyć się i znalazłyby się w zasięgu artylerii, co przy dziennym świetle nie było do przyjęcia. Dienne loty też nie były wskazane ze względu na brak zaskoczenia — zasadniczego elementu taktycznego w działaniach wojsk spadochronowych. Wynika stąd, że lotu dziennego

nie można było brać pod uwagę. Natomiast o ile chodzi o loty nocne wiadomo jak ogromnych strat doznawały one szczególnie nad samą Warszawą i jak wiele zasobników wpadło na stronę niemiecką. Można by więc wnioskować, że poważny procent spadochroniarzy zginąłby jeszcze w powietrzu lub wylądował na terenach zajętych przez Niemców⁷.

Wreszcie trzeba powiedzieć całkiem otwarcie, że zrzucanie spadochroniarzy na miasto i to na miasto palące się, zadymione, z silną artylerią nieprzyjacielską i reflektorami byłoby całkowitą masakrą. Można ewentualnie zrozumieć, że wyżsi oficerowie, chociaż dyplomowani, jak na przykład przełożony Majorkiewiczca płk Szostak, nie rozumieli działania wojsk spadochronowych. Ale przecie w kraju była duża ilość cichociemnych i to nieraz oficerów dyplomowanych, jak na przykład Kalenkiewicz, Górski, czy Majorkiewicz, którzy mogli doradzać starszym oficerom w sprawach użycia wojsk spadochronowych, ale ich rad, jak pisze Majorkiewicz, nie słuchano i bezsensowne żądania zrzutów spadochroniarzy wysyłano na Zachód. Dobrze się jednak stało że tego rodzaju mordercza operacja nie doszła do skutku.

Z kolei należy poruszyć sprawę przedwczesnego alarmu zarządzanego przez dowódcę Okręgu Warszawa-miasto płk. dypl. Antoniego Chruściela („Monter”) 27 lipca wieczorem. Majorkiewicz zanotował co następuje:

„28 lipca. Około godziny 18.00 wpłynęła wiadomość, która jak piorun poraziła nas wszystkich w Oddziale III: Oddziały w Śródmieściu, na Mokotowie ('Baszta') i Żoliborzu zostały postawione w stan pogotowia i zajmowały pozycje wyjściowe do uderzenia. Czyli — mobilizacja, która zresztą według uzupełniających danych przebiegała sprawnie i w dużym spokoju. Komenda Główna AK nie wydała rozkazu zarządzającego w trybie alarmowym stan pogotowia. Płk 'Filip' dopatruje się w tym prowokacji ze strony Gestapo. Wobec tego zarządzono natychmiastowe przeprowadzenie dochodzenia, przy jednoczesnym odwołaniu stanu pogotowia. Akcje te mogły jednak zdekonspirować i osłabić naszą siłę, gdyby faktycznie zaistniała potrzeba jej użycia.

Szybko, gdyż jeszcze przed opuszczeniem przeze mnie meliny, zagadka została rozwiązana. Wczoraj wieczorem płk 'Monter' zarządził koncentrację oddziałów na stanowiskach wyjściowych, z gotowością w dniu dzisiejszym.

Przypuszczam, że jest to reakcja płka 'Montera' na zarządzenie gub. Fischera nakazujące stawienie się 100.000 ludzi do kopania rowów.

W rzeczywistości do robót zgłosiło się jedynie około 200 ludzi i to tylko na jednym z punktów wyznaczonych przez Niemców. Natomiast na pozostałe przybyło zaledwie po kilkunastu” (str. 202).

7. Trudności i straty lotów nad Warszawę opisał ostatnio płk w st. spocz. Armii Południowo-Afrykańskiej Neil Orpen w książce „Airlift to Warsaw — The Rising of 1944”, wyd. W. Foulsham & Co. London 1984. Jak wiadomo załogi południowo-afrykańskie brały czynny udział w tych lotach.

W przypisie podaje Majorkiewicz następujące wyjaśnienie:

„Płk 'Monter' został upoważniony przez gen. 'Bora', że w razie zaistnienia sytuacji, w której komendant Okręgu Warszawskiego nie dysponowałby 24 godzinami do rozpoczęcia walki, może z własnej inicjatywy zarządzić pogotowie” (str. 202).

Trudno oprzeć się wrażeniu, że dowodzenie Armią Krajową było luźne i niezdiscyplinowane, co umożliwiało tego rodzaju incydenty jak ten, kiedy to płk Chruściel najwyraźniej uległ nerwowemu odruchowi. Takie wypadki nie byłyby tolerowane ani pod dowództwem Andersa, ani tym bardziej Maczka. Z pewnością za czasów Roweckiego nie były one też możliwe w Armii Krajowej. Należy więc wnioskować, że Bór i Pęczynski mieli zbyt miękką rękę.

Apologeci powstania warszawskiego używali wielokrotnie argumentu, że ludność, a szczególnie młodzież, paliła się do walki i że gdyby KG AK nie wydała rozkazów do powstania, zostałoby ono sprowokowane lub wybuchłoby samorzutnie. Spójrzmy co „na gorąco” pisał o tym Majorkiewicz. Pod datą 24 lipca, opisując ucieczkę rodzin niemieckich z Warszawy zanotował on:

„Młodzież rwie się do walki, chce atakować urzędy i zdobyć broń na wystraszonych Niemcach. Potrzeba dużej dyscypliny, aby poskramiać te zapędy” (str. 200).

Ale później, kiedy Majorkiewicz pisze o niespodziewanym alarmie płk. Chruściela (str. 202), nie wspomina nic o tym, żeby ta już zmobilizowana młodzież sprzeciwiła się odwołaniu akcji i rozejściu się do domów⁸. Więc widocznie, chociaż młodzież ta marzyła o walce, była jednak zdyscyplinowana i nie miała zamiaru działać samowolnie.

Jak wiadomo nie zdołali też sprowokować walki w Warszawie nawoływania sowieckich radiostacji.

Nie odniósł też żadnego skutku znany wybryk płk. Skokowskiego, o którym pisze Majorkiewicz pod datą 29 lipca:

„Na murach kamienie zostały rozlepione odezwy generała dywizji (w rzeczywistości pułkownika) Juliana Skokowskiego, komendanta PAL. Obwieszczał on mieszkańcom Warszawy, że wobec ucieczki kierownictwa AK z gen. 'Borem', przejmuje komendę nad wszystkimi oddziałami podziemnymi w mieście i ogłasza ich mobilizację do walki z Niemcami.

Ten tragicomiczny wyczyn Skokowskiego przeszedł bez echa wśród ludności milionowego miasta...” (str. 203).

8. Według niektórych źródeł mobilizacja ta przyczyniła się do ochłodzenia nastrojów, gdyż warszawscy akowcy zdali sobie sprawę, jak mało broni będą mieli w swej dyspozycji.

Incydent ten wskazuje, że młodzież nie dała się sprowokować, miała zaufanie do swoich legalnych zwierzchników i czekała na ich rozkazy. Brak czynnej reakcji ze strony młodzieży stolicy zarówno na alarm zarządzony przez Chruściela 27 lipca, na apele radiostacji sowieckich i na odezwę Skokowskiego z 29 lipca wskazuje, że nie ma podstaw do przypuszczeń że spontaniczna lub sprowokowana walka mogła wybuchnąć w stolicy.

W ostatnim dniu przed rozpoczęciem powstania Majorkiewicz notuje:

„31 lipca. Przebieg wydarzeń w tym przełomowym dniu był następujący. Odprawa poranna u gen. 'Bora' zakończyła się ustaleniem, że walka nie rozpocznie się 1 sierpnia, a prawdopodobnie nawet i 2 sierpnia...

Po godzinie 18.00 powrócił do Oddziału Operacyjnego płk 'Filip' z odprawy u gen. 'Bora'. Jego zachowanie się i napięcie widniejące na twarzy zdradzało, że stało się coś, czego spodziewaliśmy się, a jednocześnie obawialiśmy.

Milczenie trwało krótko. Wkrótce płk 'Filip' odezwał się: '1 sierpnia, rozpoczynamy walkę. Godzina «W» — 17.00'. Płk 'Monter' uwarunkował termin rozpoczęcia walki potrzebą 24 godzin na postawienie oddziałów w stan pogotowia.

Wiadomość, że walka rozpocznie się jutro, nie wzbudziła w nas żadnego entuzjazmu, gdyż obawialiśmy się, że decyzja została powzięta nie w porę. Płk 'Filip' wspominał jeszcze, że ta historyczna decyzja została powzięta przed godziną 18.00 i na odprawie nie byli obecni oprócz niego także szef Oddziału II płk dypl. 'Heller' [Kazimierz Iranek-Osmecki] i szef Oddziału V (łączności) ppłk dypl. 'Kuczaba' [Kazimierz Pluta-Czachowski]. Było to zupełnie niezrozumiałe. Tak istotna decyzja została powzięta bez szefów Oddziałów Operacyjnego, Wywiadowczego i Łączności. Dowiedzieliśmy się również, że płk 'Monter', do którego gen. 'Bór' miał pełne zaufanie, wywarł zasadniczy wpływ na tę decyzję. Jako argument przedstawił meldunek, że sowieckie patrole pancerne wdarły się na Targówek...

Przed wyjściem ze sztabu płk 'Filip' dorzucił jeszcze ostatnie wiadomości. On, płk 'Heller' i ppłk 'Kuczaba' nie spóźnili się na odprawę do gen. 'Bora', lecz odwrotnie: gen. 'Grzegorz', płk 'Monter' i Delegat Rządu na Kraj inż. Jankowski zjawili się wcześniej, to jest przed godziną 18.00. Gen. 'Bór' rozpoczął podobno odprawy od pytania postawionego płkowi 'Monterowi', czy ma potwierdzenie wczorajszej wiadomości o wkroczeniu patroli czołgów sowieckich na Targówek. Usłyszał odpowiedź twierdzącą.

Według płka 'Filipa' pośpiech był podyktowany obawą, aby nie spóźnić się i wystąpić w roli prawomocnych gospodarzy kraju. Osobiście odniosłem wrażenie, że płk 'Monter', dowódca o wielkich ambicjach, bezwzględnie part o szybkiego rozpoczęcia walki" (str. 206).

Ten tragiczny opis wnosi jeden nowy element, a mianowicie to, iż wbrew ogólnie przyjętej opinii, pułkownicy Iranek-Osmecki, Szostak i Pluta-Czachowski nie spóźnili się na odprawę, a przybyli na czas, tzn. na godz. 18.00 (zaczynając od dnia 30 lipca odprawy KG AK miały miejsce dwa razy dziennie, o godz. 9.00 i 18.00). Natomiast Bór-Komorowski, Pełczyński i Chruściel, za

aprobatą Delegata Rządu Jankowskiego zdecydowali rozpoczęcie walki przed terminem odprawy, tzn. przed godz. 18.00.

Inna sprawa, którą tu trzeba poruszyć, to metoda pobierania ważnych decyzji. Normalnie przed powzięciem decyzji o poważnych skutkach, czy to w wojsku, czy w przemyśle, zbiera się wszystkie dane, ze wszelkich możliwych źródeł, w celu ograniczenia, czy też wyeliminowania ryzyka. A przynajmniej dąży się do potwierdzenia kluczowych wiadomości nadchodzących jednym kanałem, przez dane pochodzące z innego kanału. (W wypadku powstania tym innym kanałem mógłby być Oddz. II KG AK). Tymczasem Bór i Pełczyński powzięli decyzję na podstawie jednej informacji, pochodzącej z jedyne go źródła, tzn. od płk. Chruściela. To jest niezmiernie ryzykowna metoda dowodzenia. Poza tym należy podkreślić, że ta jedyna informacja pochodziła od oficera, który zaledwie kilka dni temu (27 lipca) popełnił fatalny błąd stawiając Okręg Warszawa-miasto w stan pogotowia. Wynika z tego, że po aresztowaniu Roweckiego dowodzenie Armią Krajową było niezmiernie łagodne i wyrozumiałe, co miało fatalne skutki nie tylko w wypadku Chruściela, ale również i Tatara, którego „za karę” wysłano w kwietniu 1944 do Londynu jako przedstawiciela AK. Inni dowódcy nie byłiby tak tolerancyjni. Maczek na przykład, tym którzy popełnili kardynalny błąd z zasady nie dawał drugiej szansy, a Anders, chociaż pozostawiał formalnie na tym samym stanowisku, stwarzał jednak równoległe zastępcze dowództwo (jakąś grupę operacyjną), której faktycznie powierzał dowodzenie.

Odnosi się wrażenie, że Chruściel nie wytrzymywał nerwowo potwornie napiętej sytuacji i popełniał to, co Anglicy nazywają *over-reaction*. Zachował się tak nie tylko 27 lipca, kiedy zarządził, stan pogotowia i 31 lipca, kiedy rzekomo widział sowieckie czołgi na Targówku, ale również 9 września 1944, kiedy pisał do gen. Bora-Komorowskiego:

„Proponuję wezwać Żymierskiego na odsiecz i przyrzec mu lojalną współpracę. Zmieniają się warunki naszej walki — bądźmy więcej elastyczni. Każdy, kto da nam pomoc — zasłuży na wdzięczność. Wszystko inne jakoś się ułoży.

Proszę Pana Generała o rozważenie mego ostatniego wniosku. Więcej nam odpowiada współpraca nawet z Żymierskim niż kapitulacja.

W historii Wojska Polskiego są to tylko fragmenty” (str. 270).

Wydaje się, że Chruściel nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego sugestia była przekreśleniem całego sensu i celu powstania. Więc nic dziwnego, że Bór tym razem jego rady nie posłuchał.

W zasadzie warszawski dziennik Majorkiewicza wzbudza zaufanie. Jest tylko jedno miejsce, gdzie chyba zajął on zbyt poodejrzliwe stanowisko. Ma to miejsce 2 sierpnia 1944.

„Wczesnym ranem zgłosiłem się u szefa sztabu [czyli u gen. Pełczyńskiego-Grzegorza] — Z.S.S.]... Bezpośrednio przed wyjściem byłem świadkiem rozmowy gen. 'Grzegorza' z gen. 'Borem'. Ten pierwszy pokazując kartkę papieru zwrócił się do dowódcy AK ze słowami: 'Teraz sądzę, że będziemy mogli wysłać tę depezę'. Tekst depezy brzmiał: 'Podjęliśmy walkę o Warszawę dnia 1. VIII o godzinie 17.00. Dajcie pilnie amunicję i broń przeciwpancerną na światła 'Kostek', a też na place wprost na miasto: Filtry, Kercelego, Ogród Saski, aleję Wojska Polskiego, Puławską, Belwiderską'.

Depesza ta z podpisem gen. 'Bora' była datowana 1 sierpnia 1944...

Niezawiadomienie rządu polskiego w Londynie i Naczelnego Wodza o podjęciu już 31 lipca decyzji wybuchu powstania oraz wysłanie meldunku o samym wybuchu dopiero 2 sierpnia nasunęły mi tego ranka przypuszczenie, że fakty te musiały mieć głębsze przyczyny niż tylko trudności techniczne" (str. 211).

Należy zwrócić uwagę na to, że w ostatniej dekadzie lipca 1944 wszystkie kolejne decyzje dotyczące zarówno zagadnienia, czy przeprowadzać „Walkę o Warszawę”, jak i tego, jak tę walkę przeprowadzać, były pobierane w ramach KG AK bez żadnych konsultacji z Londynem. Uniezależnienie się KG AK od Sztabu N.W. rozpoczęło się pod koniec 1943 roku, kiedy to KG AK zlekceważyła uzgodnioną pomiędzy Rządem i Sztabem N.W. „Instrukcję październikową” i wydała niezgodne z nią rozkazy do „Burzy” prowadzące do ujawnienia AK wobec władz sowieckich. Bezkarne zignorowanie instrukcji Sztabu N.W. doprowadziło do tego, że latem 1944 KG AK traktowała Sztab N.W. nie jako ciało nadrzędne, a jako instytucję, która jedynie miała organizować pomoc Zachodu dla AK, a nie wydawać rozkazy. Podejście to znalazło swój wyraz w przytoczonym powyżej telegramie KG AK z 25 lipca, w którym nie ma nawet sugestii uzyskania aprobaty ze strony Sztabu N.W. w stosunku do decyzji powziętych przez KG AK, a jedynie zawiadomienia i dezyderaty. Przypatrzmy się jeszcze raz temu telegramowi:

„Jesteśmy gotowi w każdej chwili do walki o Warszawę. Przybycie do tej walki brygady spadochronowej będzie miało olbrzymie znaczenie polityczne i taktyczne. Przygotowujcie możliwość bombardowania na nasze żądania lotnisk pod Warszawą. Moment rozpoczęcia walki zamelduję” (str. 201).

Tak nie pisze podkomendny do swego zwierzchnika. W tej sytuacji chyba niesłuszne jest zdziwienie Majorkiewicza, że KG

AK z miejsca, 31 lipca, nie wysłała telegramu o powziętej decyzji rozpoczęcia walki w dniu następnym.

Natomiast o ile chodzi o wysłanie dopiero 2 sierpnia telegramu, że walka już trwa, to jak już teraz wiadomo, przyczyniły się do tego jedynie „trudności techniczne”, które należałoby raczej nazwać nieudolnościami organizacyjnymi w KG AK, o czym pisałem obszernie w 68-myh *Zeszytach Historycznych* (str. 211), a w pierwszym rzędzie to, że oficerowie, którym podlegała łączność radiowa w KG AK dowiedzieli się o decyzji rozpoczęcia walki dopiero około godz. 10.00 rano 1 sierpnia 1944.

Wreszcie trzeba poświęcić nieco uwagi dowódcy Majorkiewicza, szefowi Oddz. Op. KG AK płk. dypl. Szostakowi („Filip”). Pod datą 22 sierpnia pisze Majorkiewicz o tym, iż tego dnia referował Szostakowi i Iranкови-Osmeckiemu („Heller”) sprawę ewentualnej ewakuacji KG AK ze Starego Miasta, którego upadku należało wkrótce spodziewać się.

„Zdawałem sobie sprawę, że decyzja opuszczenia Starówki jest przedsięwzięciem bardzo trudnym i przykrym, lecz nie widziałem potrzeby, aby dowództwo AK świadomie popełniało zbiorowe samobójstwo. Płk 'Heller' zgodził się ze mną, płk 'Filip' natomiast był odmiennego zdania, twierdząc, że gen. 'Bór' wraz z całym sztabem winien zginąć na Starówce, gdyż byłoby to dla niego wyjście najbardziej honorowe” (str. 238).

Nie można powiedzieć, żeby zalecanie przez płk. Szostaka „honorowego samobójstwa” licowało z jego tytułem dyplomowanego oficera, a tym bardziej z funkcją szefa Oddz. Op., którego celem przeciw było obmyślanie jak najbardziej logicznych, sensownych i skutecznych działań, a nie popełnianie samobójstwa.

Jakiś czas później, już po przejściu, w dniu 1 września, dowództwa AK ze Starego Miasta na Śródmieście, w składzie Szostak, Iranek-Osmecki, Kamiński i Majorkiewicz dyskutowano, jak ustosunkować się do telegramu Sosnkowskiego nr 810 z 30 sierpnia 1944 w sprawie instrukcji dotyczącej ograniczenia „Burzy”, w którym Naczelný Wódz między innymi pisał:

„Imponderabilia związane z nastrojami społeczeństwa w Kraju i stanem moralnym żołnierzy Armii Krajowej ocenić możecie jedynie Wy i na tej ocenie musimy polegać całkowicie. Podałem Wam zgodnie ze swoim poczuciem obowiązku i sumienia elementy sytuacji międzynarodowej i wojskowej oraz wnioski, które wedle mego przekonania wysnuć stąd należy. Argument, że proponowane ograniczenie 'Burzy' miałoby załamać moralnie Armię Krajową i Społeczeństwo jest oczywiście argumentem, wobec którego jestem bezsilny.

Musicie wobec tego sami określić dopuszczalny sposób ograniczenia 'Burzy' i zredukowania ofiar. Ze swej strony wzywam Was z całym naciskiem

do zaniechania wszelkich inicjatyw nadających 'Burzy' cechy i formy powstania" („AK w Dokumentach”, tom IV, str. 233)⁹

Wypowiedź płk. Szostaka zanotował Majorkiewicz w następujący sposób:

„Pierwszy zabrał głos płk 'Filip'. Jego wypowiedź można streścić tak: nie można nadużywać hasła oszczędzania krwi, ponieważ co komu przyjdzie po życiu, gdy nie będzie miał ojczyzny. Wniosek płka 'Filipa' brzmiał następująco: 'Burzę' przeprowadzić w zmienionej formie przez wykonywanie silnych uderzeń oraz ujawniać się w dużych zgrupowaniach” (str. 254).

Trudno dziwić się temu, że w oddziałach wojskowych, w których oficerowie sztabowi mieli tego rodzaju podejście do „oszczędzania krwi”, straty wojenne doprowadziły do okaleczeń na skalę narodową. Dla porównania należałoby przypomnieć, że na froncie 2-go Korpusu we Włoszech dowództwo propagowało hasło:

„Nie bądź głupi, nie daj się zabić”.

Wypowiedź płk. Szostaka przypomina mi jedną z rozmów z gen. Pełczyńskim w 1964 roku, która wywarła na mnie silne wrażenie. Wypytywałem wówczas Generała o akcję „Burza”:

— Czy prawdą jest, że zasadniczym celem „Burzy” było uzyskanie ze strony Sowietów uznania dla AK i dla władz podziemnych? Czy prawdą jest, że chodziło również o demonstrowanie wobec świata polskości, szczególnie na Ziemiach Wschodnich? Czy KG AK zdawała sobie sprawę z tego, że młodzi Polacy będą ginąć dopomagając Sowietom w zajmowaniu polskich miast i miasteczek? Czy KG AK zdawała sobie sprawę z dotychczasowego wrogiego ustosunkowania się Sowietów do polskiego podziemia? Itp.

Na te wszystkie pytania Generał dawał pozytywne odpowiedzi (mówiąc niekiedy „ja byłem zdania”, a potem poprawiając się „Komenda Główna była zdania”) w sposób spokojny i zrównoważony. Dzięki temu byłem pod wrażeniem, że rozmawiam z wyższym oficerem, który był świadom skomplikowanej sytuacji i wyważał możliwości strat i zysków. Wreszcie zapytałem:

— Czy Komenda Główna sądziła, że istnieje prawdopodobieństwo uznania AK i podziemia przez Sowiety za reprezentację narodu polskiego?

9. Ten telegram Sosnkowskiego jest dość typowy. Ponieważ na przełomie 1943-1944 AK, praktycznie rzecz biorąc, uniezależniła się od jego zwierzchnictwa, w pierwszym rządzie przez odrzucenie „Instrukcji państwowej”, w 1944 nie wysyłał on już do Warszawy rozkazów, a jedynie rady, które można sformułować następująco: „Źle się bawicie, ale jeżeli musicie źle się bawić, to ja wam poradzę, jaka jest najlepsza forma tej złej zabawy”.

Generał zdecydowanie odpowiedział przecząco, więc z miejsca zapytałem:

— Więc jakże można było zaczynać „Burzę” sądząc, że jej zasadnicze cele nie są osiągalne?

W tym momencie skończyła się spokojna i logiczna rozmowa. Generał poczerwieniał i stukając dłonią po stole, podniesionym głosem mówił:

— Polacy nie mogli patrzeć obojętnie jak jedna okupacja ich kraju zmieniała się na inną i musieli wystąpić zbrojnie!

Wobec takiego argumentu, mówiąc językiem generała Sosnkowskiego, „byłem bezsilny”.

Z. S. SIEMASZKO

28 lutego 1985

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

PANTA RHEI PRZEMYSŁAWA BYSTRZYCKIEGO

Teoretycznie rzecz biorąc, powieść Bystrzyckiego *Płynie Rzeka płynie...** nie miała najmniejszej szansy ukazania się w Polsce. Lista tematów objętych politycznymi zakazami a stanowiących treść książki pokrywa się niemal dokładnie z „czarną księgą cenzury”, w dalszym ciągu obowiązującą krajowych wydawców. Otwierające i zamykające powieść sceny deportacji w głąb Rosji w 1940 roku, ze stałymi nawrotami do Sołżenicyna, podkreślanie polskości Lwowa i ukazane na tym tle sympatyczne postaci Sosnkowskiego i Maczka, którzy występują obok anonimowego Pułkownika Sztabu Głównego walczącego z karabinem w rękę, pełne uczucia postaci Żydów i wreszcie panorama podzielonego przez obu okupantów Przemyśla, co urasta do rangi ogólnokrajowego symbolu — wszystkie te tematy zdawałyby się skazywać książkę na wieczną banicję. Jakże więc przeszła ona przez sita redakcyjnych i wydawniczych zakazów?

Na próbę odpowiedzi pokusić się można, spojrzawszy na tzw. „metryczkę wydawniczą” książki. Ukończona w maju 1979 roku

* Przemysław Bystrzycki, *Płynie Rzeka płynie...*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1982, 2 tomy.

powieść poszła do drukarni w czerwcu 1981 roku, a więc w okresie „Solidarności”, przeleżała się tam do kwietnia roku następnego, a gdy wreszcie doczekała się druku, nakład jej ograniczono do 15 tysięcy egzemplarzy. Ale na tym nie koniec. Wydaną już książkę najwidoczniej objęto „zapisem” cenzury, skutkiem czego ilość recenzji i omówień prasowych została ograniczona do minimum. Wokół jednej z najciekawszych i najuczciwszych książek ostatniego dziesięciolecia zapadło milczenie, toteż choć od daty jej wydania minęły już trzy lata, wydaje się słuszne powiedzieć o niej kilka słów, choćby z opóźnieniem.

Powierzchniowy krytyk mógłby sądzić, że Bystrzycki nie powinien mieć kłopotów z cenzurą. Mimo swej „cichociemnej” przeszłości od połowy lat pięćdziesiątych publikuje dość regularnie, kilka pozycji wydało mu nawet Wydawnictwo MON, później zaś, po trzydziestu latach starań, udało mu się doprowadzić do wydania w Państwowym Instytucie Wydawniczym monograficznego zarysu *Znak cichociemnych* (1983). Talent, uczciwość i wytrwałość pomogły pokonać trudności, podobnie jak musiało mieć to miejsce w przypadku powieści o Przemyśle.

Jest ona czymś więcej niż jeszcze jedną książką o wojennej młodości, a zwłaszcza o Wrześniu, który dla pokolenia Bystrzyckiego oznaczał conradowską smugę cienia w sensie dosłownym. Jeśli jednak dotychczasowa literatura o Wrześniu pisana była przede wszystkim przez pokolenie ówczesnych podchorążych (Szczepański, Żukrowski, Zieliński i in.), do głosu doszła teraz młodsza generacja, dla której Wrzesień oznaczał kres dzieciństwa i rozpoczęcie trudnej dojrzałości, w przypadku Bystrzyckiego tym trudniejszej, że rozpoczętej deportacją w kwietniu 1940 roku. Nic więc dziwnego, że cień tego wydarzenia pada na całą powieść, spina ją wszechobjemującą klamrą, przy czym pisarz zręcznie połączył ją z drugim, zasadniczym motywem, podróżą w głąb czasu podjętą pod pretekstem „wieczoru autorskiego” w nienazwanym z imienia Mieście leżącym nad nienazwaną z imienia Rzeką. Ale nawet ta współczesna podróż naznaczona jest dawnym cieniem, luksusowy bowiem wagon sypialny pod wpływem lektury *Jednego dnia Iwana Denisowicza* przenosi podróżującego pamięcią do prymitywnego transportu deportowanych, blask „wilczego słońeczka” Sołżenicyna odbija się w stepach Brazy Turgajskiej, ale nie rozświetla trwającej od tamtych czasów nocy.

Gdy jednak narrator przybywa do Miasta nad Rzeką, która płynie i płynie, jakby podkreślając heraklitowy motyw przemijania, cel przyjazdu musi być spełniony, trzeba odpowiadać słuchaczom powiadającym wprost: „Co napisali, to wiemy, chcemy wiedzieć, jak było naprawdę” (t. I, str. 233). Więc jak to było naprawdę w tym pamiętnym Wrześniu?

W powieści utrzymanej w konwencji realistycznej młodziemczy uczestnik tamtych dni niewiele mógłby o przebiegu kampanii

wiedzieć, toteż głos oddaje dwum *bieżeńcom*, przytulonym pod dachem gościnnego domu, kapitanowi Małowistowi i anonimowemu Pułkownikowi Sztabu Głównego, pozwalając im opowiadać, jak było naprawdę, mówić o bohaterstwie i poświęceniu, o walce i niezłomności, o obronie Lwowa i wierze w zwycięstwo, o wszystkich nadziejach, które zostały zniszczone sowiecką inwazją w dniu 17 września. A potem? „O tym się dziś już nie rozmawia ani śni, ani opowiada własnym dzieciom” (t. II, str. 218) — powie odnależona w Mieście przyjaciółka z tamtych lat. Więc lepiej mówić o Wrześniu, czasem się tylko wzdragając, gdy cień stanie się zbyt natrętny. O początkach konspiracji „po Tej Stronie Rzeki”, o niemożności przejścia na „Tamtą Stronę”, o pięknej, żołnierskiej śmierci starego Pułkownika, który na przeprawie przez Rzekę umiera, mając w oczach wizję Komendanta i legionowych towarzyszy, podczas gdy górą, mostem, nieprzerwanie toczą się ze Wschodu cysterny dla niemieckiego sojusznika... Pułkownik, będący dla młodego narratora postacią ojcowską, miał mu zastąpić zabranego parę dni przedtem ojca, o którym padną tylko dwa, tragiczne w swej zwięzłości zdania: „Gdzie mój ojciec zginął, tego nie wiem do dziś. Tyle: biel i milczenie” (t. II, str. 323). Nie zastąpił — jego także zabrała Rzeką, co płynie i płynie...

Więc jakże to, czy wszystko ma ulec zapomnieniu, odpłynąć z jej nurtem w przeszłość, o której nie opowiada się nawet własnym dzieciom? Nie. Świadczą o tym uczestnicy autorskiego wieczoru, gdy opowieść dochodzi „do chwili wyjazdu na stację sprzed kamienicy”: „byli zasłuchani, przerwa w słowach dała taką ciszę, że słyszałem ich oddechy” (t. II, str. 203). Opowiada więc im autor-narrator już nie tylko o Wrześniu, ale i o następującej po nim jesieni, i o pierwszych deportacjach, i o pamiętnym kwietniu 1940 roku, skąd krok już tylko do losu Iwana Denisowicza co „na bindudze podkłady kolejowe spuszczał, na skrzynki, na takiej skrzynce umarła moja babka” (t. I, str. 58). Płynie Rzeką, płynie...

Bogactwo powieści Bystrzyckiego to nie tylko kolor przeżyć i wspomnień, to także dar wiernej pamięci przechowującej wszystkie wrażenia zmysłowe, łącznie z zapamiętanym językiem dzieciństwa, przemysko-lwowskim „bałakiem”. Uczniowska gwarą przeplata się w nim z dialektem miejscowych piaskarzy i językiem Żydów, przy czym wszystkie te elementy nie zostały sztucznie wplecione w wątek powieści, ale stały się żywą warstwą językową narracji, nadając jej barwę i płynność, opromieniając humorem najtragiczniejsze nieraz momenty opowieści. Idąc za radą jednego z mentorów swej młodości, autor dał odpowiedź na jedno z najważniejszych dla współczesnej literatury polskiej pytań: „Gdzie szukać oparcia, kto wskaże kierunek? Za lat dziesięć dać świadectwo, pisane świadectwo prawdzie” (t. II, str. 357).

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

HARCOWNICZE UTARCZKI EMIGRANTA POLSKIEGO W LONDYNIE

Z piśmiennictwa polskiego, jakie zostanie po emigracji z okresu drugiej wojny światowej, najbogatsze ilościowo będzie pamiętnikarstwo, które jednak nie zawsze ułatwi historykom poznanie autentycznych dziejów naszego wychodźstwa. Mały stosunkowo procent autorów wybiega w swoich wspomnieniach poza ogólnie przyjęte granice wstrzemięźliwości w krytycznej ocenie bilansu emigracji polskiej na Zachodzie.

W 1984 roku ukazała się książka prof. Aleksandra Bluma, która odbiega od tego schematu tam, gdzie autor pisze o życiu na uchodźstwie. Tytuł tej książki, „Moja zimna wojna”, nie jest zbyt fortunny i bardziej odpowiedni jest sam podtytuł: „Wspomnienia emigracyjne¹”. Początkowo wspomnienia te miały nosić pretensjonalny tytuł „Biała księga emigranta”. Nie uchronił się też Autor, w niektórych ustępach, od napuszonej formy, mającej przypuszczać na celu podkreślenie efektywności swoich wystąpień, co wywołuje odwrotny od zamierzonego skutek.

Książka zadedykowana jest m.in. żonie i byłoby dużo lepiej gdyby na dedykacji się skończyło, bez późniejszych sentymentalnych wynurzeń w kilku miejscach. Gustowna jest okładka: ręka trzymająca pióro, zrobione z zastrzonej szabli, symbolizujące działalność żołnierską i pisarską Autora. Oryginalne jest wykonanie graficzne książki, drukowanej off-setowym systemem i upstrzonej różnymi wycinankami, zdjęciami i ilustracjami, z których część jest dobrana dowcipnie, ale całość uległa przeładowaniu, co w pierwszym rzędzie dotyczy różnych dodatków i załączników.

Jak wynika z książki, Autor jest człowiekiem wierzącym — co u mnie osobiście wzbudza szacunek — ale chyba zbyt liczne są w jego książce dość liczne reprodukcje wizerunków o motywach religijnych, które — spieszącemu się szperaczowi książek — mogą kojarzyć się z modlitewnikiem. Na jednym z tych wizerunków (str. 280) jest napis: „Ufaj synu, odpuszczają ci się grzechy twoje”. Nie wiem czy to się odnosi do Autora książki, czy może do recenzenta... W każdym wypadku rażniej się pisze mając tego rodzaju zabezpieczenie.

1. Aleksander Blum, *Moja zimna wojna (Wspomnienia emigracyjne)*, Londyn 1984. Nakładem kolegów b. żołnierzy, ich rodzin, przyjaciół i subskrybentów.

Aleksander Blum jest postacią barwną z bogatą przeszłością. Wilnianin, oddany całym sercem swojemu miastu, w młodości — jak sam pisze — „wyjątkowo pobożnym chłopcem”, który najpierw „chciał być kapłanem a potem oficerem” (str. 206, 281). Przedwojenny oficer dyplomowany, major Blum znalazł się po kampanii wrześniowej we Francji, dokąd został wysłany w grudniu 1939 przez ówczesnego ppłk. Sulika, organizatora wileńskiego Okręgu ZWZ. We Francji walczył w szeregach 2 Dywizji Strzelców Pieszych, z którą został internowany w Szwajcarii. Okres internowania Blum wykorzystał bardzo chwalenie na uzyskanie doktoratu (tytuł magistra filozofii w zakresie historii otrzymał w Wilnie w 1938 roku) i na pracę oświatowo-kulturalną oraz instruktorską w szkole podchorążych. W lecie 1944 przekracza potajemnie granicę, przedostaje się do Francji i bierze udział w oswobodzeniu tego kraju, jako dowódca zorganizowanego przez siebie polskiego oddziału. W grudniu 1944 wyjechał do Włoch na czele zgrupowania liczącego ponad tysiąc żołnierzy i po różnych tarapatach dotarł do 2 Korpusu, z którym dzielił dalsze losy do demobilizacji. Temu okresowi Blum poświęcił książkę pt. „O broń i orły narodowe...”, wydaną w Londynie w 1980 i nagrodzoną rok później przez SPK.

Omawiana na tych łamach „Zimna wojna” stanowi dalszy ciąg wspomnień Bluma, już cywila, emigranta z temperamentem oficera liniowego, który lubi atakować nawet wtedy, kiedy nie bardzo wie w którą należy uderzyć stronę. Pierwsze rozdziały książki poświęcone są demobilizacji i gehennie, jaką przeżywali żołnierze w Wielkiej Brytanii w walce o przystosowanie się do nowych warunków. Nie najlepiej też układało się początkowo życie majorowi Blumowi. W latach 1951-1954 Blum służy na kontynencie w Polskich Oddziałach Wartowniczych, którym poświęca sporo zasłużonych słów, podkreślając ich pomoc materialną łożoną na rozwój kultury polskiej, o czym żaden historyk nie będzie mógł zapomnieć.

W 1955 roku Blum zaczyna ponownie walkę o byt w Londynie. Stopniowo toruje sobie drogę i na tym ostatnim etapie, pod względem zawodowym rusycystyka stała się, jak pisze, „drugim jego powołaniem”. Wykłada język rosyjski w Imperial College przez 28 lat, od 1955 do 1983. W roku 1971 zostaje jednocześnie profesorem i dziekanem Wydziału Humanistycznego PUNO (Polski Uniwersytet na Obczyźnie) w Londynie. Rok później zakłada i kieruje Seminarium kultury polskiej na Ealingu, które ładnie się rozwinęło i jest czynne do dnia dzisiejszego.

Jako rusycysta Blum brał udział w zjazdach międzynarodowych urządzanych w Moskwie, Leningradzie, Mińsku i w Krakowie i do swoich tam występów przywiązuje dużą wagę, co oczywiście zupełnie mnie nie przekonuje. Wszelkie zjazdy naukowe, jak wiadomo, mają bardziej charakter towarzyski niż naukowy i są przydatne zwłaszcza do nawiązywania kontaktów, które —

odnośnie krajów bloku socjalistycznego — kończą się po przekroczeniu granicy, przy powrocie na Zachód.

Czytelnik w Polsce szuka w literaturze pamiętnikarskiej, wydanej na Zachodzie, nie opisów wrażeń turystycznych z kraju, który sam zna dużo lepiej, ale tego co się dzieje za granicą, na emigracji. Z tego punktu widzenia interesujące fragmenty w książce Bluma dotyczą życia kulturalno-naukowego w Londynie, jego blasków i cieniów, zwłaszcza przy omawianiu działalności PUNO, gdzie jednak Autor również nadmiernie mitologizuje. Śmiało są przede wszystkim wypowiedzi Autora na temat emigracji, gdy pisze o „nomenklaturze emigracyjnej w Londynie” i jakże słusznie przypomina, że „przecież ta nasza emigracja mogła być jeśli nie Wielką, to chociaż Zgodną” (str. 60 i 231).

Lektura książki Aleksandra Bluma musi siłą rzeczy wywoływać mieszane uczucia: irytacji i zadowolenia, zażenowania i zaciekania problemami, o których niezbyt chętnie się mówi mimo, że są nam wspólne. Zasługą Autora jest, że poruszył te problemy i to też, zdaniem moim, winno się przyczynić do większej pobłażliwości, jeśli chodzi o wadliwość układu książki i inne jej rażące niejednokrotnie usterki.

Tadeusz WYRWA

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

WATYKAN A RZĄD POLSKI W ANGERS

Kłeska Polski we wrześniu 1939 roku nie była dla Piusa XII zaskoczeniem. Ambasador Francji przy Stolicy Apostolskiej od 1940, Léon Berard, w raporcie z 22 lutego 1941, pisał do swojego rządu w Vichy: „Dnia 30 sierpnia 1939, Papież — przebywający wówczas w Castelgandolfo — powiedział jednemu prawnikowi francuskiemu: 'Polska będzie zgnieciona w ciągu kilku dni. ... Czy dobrze znacie siłę Niemiec?... Jest to siła miazdząca'¹”.

Słowa te Papież miał wypowiedzieć wtedy, kiedy wszelkie starania o uniknięcie konfliktu spełzły na niczym a zawarcie paktu niemiecko-sowieckiego potwierdzało rychły wybuch wojny. Oskar Halecki, w biografii poświęconej Piusowi XII pisał również, że Papież „oceniał bezbłędnie cele i ambicje nazistów i przewidział z nadzwyczajną dokładnością straszliwe skutki ich barbarzyńskiej polityki i metod²”. Jedno jest w tym wszystkim całkowicie pewne a mianowicie fakt, że pomimo grozy sytuacji nuncjusz w Warszawie był zupełnie nieprzygotowany nie tylko na wypadek

1. Według Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Guerre 1939-1945, Saint-Siège, Dossier: nr 551.

2. Oskar Halecki, *Eugeniusz Pacelli Papież pokoju*, Wydawnictwo Hoesianum, Londyn 1951, str. 123.

kłeski, ale w ogóle na wybuch wojny, co byłoby bardzo pomocne tak dla ochrony Kościoła w Kraju — w pierwszym chociażby tylko okresie okupacji — jak i dla bardziej sprawnego ułożenia stosunków z rządem polskim za granicą.

Nuncjuszem w Polsce był od maja 1937 roku Filippo Cortesi, „zręczny dyplomata sycylijski” — według określenia pisarza włoskiego³. Od 1921 roku reprezentował Stolicę Apostolską w Wenezueli, później w Argentynie a w 1936 był desygnowany na objęcie nuncjatury w Madrycie, ale na przeszkodzie stanęła wojna domowa i został wysłany do Polski, której okazał wiele życzliwości.

W chwili wybuchu wojny ambasadorem Polski przy Watykanie był Kazimierz Papée, uprzednio poseł w Pradze. Listy uwierzytelniające złożył 24 lipca 1939, kładąc tym samym kres dość kłopotliwym stosunkom, jakie istniały od 1937, po śmierci ambasadora Władysława Skrzyńskiego, między Watykanem a Polską. Do przyjazdu Papée Polska była reprezentowana w Watykanie przez Stanisława Janikowskiego, *chargé d'affaires* ówczesnej ambasady. Nieobsadzenie ambasady przez dość długi okres było wynikiem urazy, jaką żywił minister Beck do Piusa XI, który nie chciał przyjąć Becka w towarzystwie żony w czasie ich pobytu we Włoszech w 1938 roku. Beck był rozwiedziony i według prawa kanonicznego drugie małżeństwo było nieważne a — jak to później pisał odnośnie tego incydentu ks. Walerian Meysztowicz, długoletni radca kanoniczny ambasady polskiej przy Stolicy Apostolskiej — „inne to były jeszcze, protyrydenckie a przedroncallińskie czasy w Watykanie”, stąd ta nieprzynosząca nikomu pożytku postawa Papieża i następnie Becka. Nowy ambasador, K. Papée, został mianowany dopiero po zgonie Piusa XI i po objęciu, dnia 2 marca 1939 roku, pontyfikatu przez Piusa XII.

Po ataku Niemców na Polskę, nuncjusz Cortesi opuścił Warszawę i 5 września 1939 roku dołączył w Lublinie do korpusu dyplomatycznego. Następnie, z radcą nuncjatury Alfredo Pacinim, Cortesi przekroczył granicę rumuńską razem z rządem polskim. Z Polski wyjechał również ks. prymas Hlond, który udał się bezpośrednio do Rzymu, podczas gdy nuncjusz Cortesi został w Rumunii, gdzie — z ramienia Stolicy Apostolskiej — zorganizował pomoc charytatywną dla znajdujących się tam Polaków.

3. Carlo Falconi, *Le silence de Pie XII 1939-1945*, Editions du Rocher, Monaco 1965, str. 119.

4. Walerian Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, Wydanie drugie poprawione i uzupełnione. Do druku przygotowali: Karolina Lanckorońska i Aleksander Bystram, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1983, str. 333.

Jak pisze Francuz, znawca problemów kościelnych, „błędna ocena (sytuacji), czy też strach spowodowały, że wyjazd nuncjusza i prymasa, zaraz na początku działań wojennych, pozbawił Kościół w Polsce najwyższych dostojników i bardzo wpłynął na jego odosobnienie⁵”. Dla Kościoła w Polsce i jego przedstawicieli za granicą zaczął się nowy okres, w którym punkt ciężkości został przesunięty na ambasadora Papée, oficjalnego orędownika spraw polskich przy Stolicy Apostolskiej i jedyne go przeważnie pośrednika w kłopotliwych dla Watykanu stosunkach z rządem polskim na uchodźstwie.

◆

W 1954 roku ukazał się zbiór dokumentów pod tytułem: „Pius XII a Polska 1939-1949. Przemówienia, listy, komentarze”. Zbiór ten opracował ambasador Papée, który w słowie wstępnym pisze: „Wiele dokumentów pozostać musiało w archiwach, czekając dalszej przyszłości⁶”. Papée miał być może również na myśli swoje raporty wysyłane do rządu polskiego na obczyźnie, znajdujące się obecnie w Instytucie Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie. Raporty te, wysyłane na ręce ministra spraw zagranicznych, nie zostały dotychczas nigdzie opublikowane. Nie zawiera ich nawet bardzo starannie i bezstronnie napisana książka, wydana kilka lat temu w Kraju i do której należy odesłać czytelnika, gdyż — jak słusznie podkreśla autorka — książka ta jest próbą przedstawienia możliwie pełnego obrazu polityki Piusa XII wobec Polski⁷.

Tematem mojego opracowania jest przede wszystkim okres, kiedy rząd polski przebywał w Angers. Pod wieloma względami był to okres najbardziej typowy dla wojennych stosunków Watykanu z rządem polskim. Nie wszystkie jednak raporty ambasadora Papée zachowały się w archiwach londyńskich. Brak jest też może i innych dokumentów. Raporty, które wykorzystałem⁸ przytaczam chronologicznie, przeważnie w wyjątkach, lub w streszczeniu, opuszczając ustępy mniej ważne.

5. Jean Chélini, *L'Eglise sous Pie XII. La tourmente (1939-1945)*, Fayard, Paris 1983, str. 132.

6. Kazimierz Papée, *Pius XII a Polska 1939-1949. Przemówienia, listy, komentarze*, Editrice Studium, Rzym 1954, str. 6.

7. Vide: Zofia Waszkiewicz, *Polityka Watykanu wobec Polski 1939-1945*, PWN, Warszawa 1980, str. 5.

8. Vide: Archiwa Instytutu Sikorskiego w Londynie. Sygnatura: „Watykan a Polska 1939”, A. 44, teczki: 122/19, 122/20, oraz „Watykan a Polska 1940”, A. 44, teczki: 122/1, 122/2, 122/3, 122/4.

◆

W przeddzień wybuchu wojny atmosfera, jaka panowała w środowisku watykańskim, charakteryzowała się dość trzeźwym rozeznanie sytuacji, oraz dużą sympatią dla Polski. W raporcie z 3 sierpnia 1939 Papée pisał, że składając z racji objęcia swojego stanowiska wizyty kardynałom, znajdującym się w Rzymie, przekonał się „z jak wielkim uznaniem i często nietajonym podziwem patrzą na polską politykę zagraniczną i postawę rządu, wojsk i całego narodu w ciągu ostatnich miesięcy... Wojna europejska, czy powszechna, uważana jest w Watykanie za katastrofę, która na pewno wysłaby przede wszystkim na korzyść bolszewizmu... Nigdzie nie spotkałem się z próbą namawiania nas na ustępstwa wobec Niemców”.

Dnia 20 września 1939 Papée wysłał list do ambasadora w Paryżu, Juliusza Łukasiewicza. W liście tym, którego oryginał zachował się w archiwum, nie ma nazwiska adresata i jest zatytułowany „Szanowny i Drogi Panie Juliuszu”. Na wstępie Papée pisze, że korzysta z wyjazdu pułkownika Romeyki, żeby przesłać „krótkie ujęcie sytuacji”. Otóż, jak wiadomo, płk Marian Romeyko, *attaché* wojskowy w Rzymie, był wówczas wysłany do Paryża przez tamtejszego ambasadora Wieniawę-Długoszowskiego, co potwierdza, że adresatem listu był Łukasiewicz. Na pierwszej stronie tego listu dopisane jest ręcznie — Kopia: do Pana Ministra Spraw Zagranicznych w Bukareszcie.

Oto najważniejsze wyjątki z tego listu: „Papież boleje bardzo nad losem Polski, a na zewnątrz, jak dotychczas, hamletyzuje. Też Watykanu jest właściwie lokalizacja konfliktu — tak zresztą jak też rządu włoskiego — a więc wprost przeciwnie z naszymi celami. Zarysowuje się duży paralelizm z polityką rządu włoskiego w ogóle. Nad neutralnością Włoch Watykan pracował dużo i skutecznie i w dalszym ciągu dąży do utrzymania Włoch w neutralności *tout court*. Podsyte to jest niewątpliwie ogromną obawą przed Niemcami. Jako odpowiednik najgorętszych wyrazów sympatii pod naszym adresem występuje oburzenie na Anglię i Francję z powodu braku pomocy dla Polski, której, zdaniem Watykanu, Anglia i Francja już w pierwszej fazie winny były udzielić”.

„Praca Ambasady nad skłonieniem Papieża do jakiejś enuncjacji na rzecz Polski nie dała dotychczas rezultatów na zewnątrz, sądzę jednak, że przygotowała grunt dla starań, które zaraz po przyjeździe do Rzymu (w dniu 18 bm.) podjął w porozumieniu z nami ks. Prymas Hlond. Z tego co dzisiaj mówił mi ks. Prymas, Papież przyrzekł mu to, nad czym wahał się od szeregu

dni: sugestia Ambasady, by Papież przyjął na zbiorowej audiencji wszystkich Polaków znajdujących się obecnie w Rzymie... Do krucjaty przeciw Hitlerowi i Stalinowi Papież jeszcze nie dojrzał. Poza tym Papież zdecydował się zorganizować za pośrednictwem nuncjusza Cortesi, który w tym celu zostanie w Bukareszcie, pomoc materialną dla uchodźców z Polski, napływających obecnie do Rumunii. Przyjazd Prymasa jest dla Ambasady w tej chwili wielką pomocą... Prymas ma szereg projektów, które będzie realizował stopniowo”.

Różne krążą wersje na temat przyjęcia Hlonda przez Papieża. Papée nic na ten temat nie pisze. Ambasador Francji przy Watykanie, F. Charles-Roux, przyjaźnie ustosunkowany do Polski, ale obciążony — jak większość Francuzów — „kompleksem Becka” wspomina jedynie w swojej książce, że Hlond przyjechał do Rzymu „za namową swojego rządu i na prośbę mojego kolegi polskiego, ażeby zdać Stolicy Apostolskiej sprawę z sytuacji religijnej w swoim kraju”⁹. Następnie podaje, że Papież przyjął Hlonda 21 września, czyli trzy dni po jego przyjeździe do Rzymu. Z daty wyżej cytowanego listu Papée wynika, że Hlond był przyjęty wcześniej. Inny jednak Francuz, dobrze zorientowany w stosunkach watykańskich, pisze: „Papież zwlekał trzy dni z udzieleniem Hlondowi audiencji i przyjął go lodowato, dając mu do zrozumienia, że winien się znajdować wśród swojego ludu”¹⁰.

W raporcie z 6 października 1939 Papée donosił: „Notyfikacja objęcia władzy przez Pana Prezydenta, jak również notyfikacja nowego Rządu nie napotkała na żadne zastrzeżenia natury prawnej ze strony Watykanu. Skład nowego Rządu spotkał się tu z przyjęciem sympatycznym”.

„Sekretariat Stanu nie wydaje się spieszyć z wyciągnięciem praktycznych konsekwencji z nowego stanu rzeczy. Nuncjusz Cortesi, który powinienby jak najprędzej znaleźć się przy Panu Prezydencie we Francji, zajęty jest na razie akcją na rzecz uchodźców polskich w Rumunii. Wczoraj poruszyłem tę sprawę wobec Kardynała Sekretarza Stanu Maglione, mówiąc mu, że liczymy się z przeniesieniem w bliskim czasie siedziby Nuncjatury do Francji. Na razie nie otrzymałem odpowiedzi. Sądzę że Watykan obserwuje uważnie stanowisko Włoch w tej sprawie. Sam nuncjusz Cortesi chciałby jak najprędzej znaleźć się na swoim

9. F. Charles-Roux, *Huit ans au Vatican 1932-1940*, Flammarion, Paryż 1947, str. 344.

10. Jean Chélini, *L'Eglise sous Pie XII. La tourmente (1939-1945)*, op. cit., str. 132.

stanowisku we Francji. Wiem, że wystosował obszerny raport do Watykanu, który przywiózł tu ks. Biskup Gawlina. Ks. Biskup Gawlina nie ma dość słów uznania dla postawy Nuncjusza i jego entuzjazmu dla narodu polskiego”.

„Watykan nastaje na powrót ks. Prymasa do kraju. Zresztą ks. Prymas już wcześniej wystąpił z własną inicjatywą w tym kierunku, zgłaszając chęć powrotu. Nuncjusz w Berlinie otrzymał jak słyszę, ostatnio instrukcje w tej materii. Na wypadek gdyby powrót ten doszedł rzeczywiście do skutku otrzymałby prawdopodobnie ks. Prymas specjalną misję apostolską od Watykanu”.

„... Stanowisko zasadnicze Watykanu jest w dalszym ciągu arcyostrożne i nie ujawniające się na zewnątrz. Przy całej szczerej sympatii dla sprawy polskiej, przy głośno w rozmowach wypowiedzianej aprobachie dla aktów takich, jak enuncjacje Kardynałów francuskich, Kardynała Patriarchy Lizbony, Ks. Prymasa Polski, Papież sam wstrzymuje się od enuncjacji zasadniczej, gdyż trudno za taką uważać jego przemowę do Polaków na audiencji zbiorowej w dniu 30 września br. Życzliwe nam koła kościelne, jak i znaczny odłam Kardynałów kurialnych i szereg potężnych zakonów pracują wraz z nami nad zmianą tego stanowiska. Jeden z niepolskich generałów zakonnych powiedział mi wczoraj, że Papież nie będzie mógł *à la longue* utrzymać dotychczasowego stanowiska i będzie zmuszony wypowiedzieć się przeciw sojuszwowi neopaganizmu z komunizmem. Pracują nad tym usilnie jezuici. Na razie jednak główną troską Papieża wydaje się być ciche współdziałanie z reżimem faszystowskim nad utrzymaniem neutralności Włoch i tym co się nazywa w Watykanie „lokalizacją konfliktu europejskiego”. Stąd też sympatie dla wszelkich miraży przyspieszonego pokoju”.

Przemówienie Papieża na zbiorowej audiencji Polaków przebywających wówczas w Rzymie — o której pisze Papée i które odbyło się 30 września 1939 z inicjatywy Hlonda — różnie było oceniane. Ambasador Francji, Charles-Roux twierdzi, że „mowa ta nie mogła być gorętsza. Drżała szczerością, tchnęła litością dla obecnych cierpień Polski i wiarą w jej przyszłość¹¹”. Innego zdania był ks. Meysztowicz, dla którego nie było w tej mowie „żadnej próby powstrzymania ręki niemieckiej, która w sojuszu z Sowietami niszczyła Polskę”. W rozmowie na ten temat z Papieżem, ks. Meysztowicz powiedział, że „Polacy oczekiwali nie tylko

11. F. Charles-Roux, *Huit ans au Vatican 1932-1940*, op. cit., str. 346.

słów miłości dla siebie — ale i słów sprawiedliwości wobec nieusprawiedliwionej agresji¹²”.

Dnia 23 października Papée pisał w raporcie, że: „11-go bm. Ambasada otrzymała notę Sekretariatu Stanu, zawierającą *accusé de reception* tutejszych not o objęciu władzy przez Pana Prezydenta i nowy Rząd. Tym samym nastąpiło formalne uznanie obu faktów i sprawa znalazła załatwienie w myśl instrukcji Pana Ministra”.

„Sprawa nadania temu uznaniu wyraźniejszej formy — czy to w postaci wymiany listów Pana Prezydenta R.P. z Ojcem Świętym, czy wysłania nuncjusza Cortesi do Francji — jest w Watykanie nadal dyskutowana, ale na razie nie dojrzała do decyzji. Jeszcze w zeszłym tygodniu Watykan wentylował myśl wysłania nuncjusza Cortesi do Kraju „z misją religijną do zdeorganizowanego Kościoła w Polsce”... Na czele takiej misji, na pewno bardzo celowej, winien by stanąć jakiś inny dygnitarz kościelny. Nuncjusz Cortesi, mimo niewątpliwie wielkich kwalifikacji osobistych, ze względów politycznych byłby w tej roli trudny do użycia. Natomiast miejsce jego jest przy Panu Prezydencie i Rządzie we Francji. Gdyby akcja pomocy dla naszych uchodźców w Rumunii przeciągała się — choć powrócił już przecież do Bukaresztu miejscowy Nuncjusz — byłoby bardzo pożądane, by pojechał jak najprędzej do Rządu co najmniej *chargé d'affaires*, dotychczasowy radca Nuncjatury. Pogląd ten bardzo stanowczo podzielał Ambasador francuski p. Charles-Roux, który poinformowany był o pomysłach Watykanu”.

„W ostatnich dniach są oznaki, że koncepcja wysłania Mgra Cortesi do Polski upadła. Natomiast nie widać jeszcze, by Watykan spieszył się z wysłaniem go do Francji. Mamy dane, że Watykan zajmuje takie stanowisko także z obawy, by tym nie popsuć starań o powrót kardynała Hlonda do Kraju. Wezwany jednak został do Rzymu mgr. Pacini, radca Nuncjatury warszawskiej, znajdujący się także w Bukareszcie. Po jego przyjeździe sprawa może posunąć się naprzód, nad czym usilnie nadal pracować będę. Starania Watykanu o uzyskanie zgody Berlina na powrót Ks. prymasa Hlonda do Kraju nie dają dotychczas rezultatu. Ks. Prymas jest nadal usposobiony sceptycznie co do wyniku tych zabiegów. Wydaje mi się, że i Watykan zaczyna mieć wątpliwości na ten temat¹³”.

12. Walerian Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, op. cit., str. 276.

13. Prymas Hlond do Kraju wówczas nie powrócił (Niemcy nie pozwolili) i niezbyt dobrze widziany w Watykanie wyjechał 9 czerwca 1940 roku do Francji.

Sprawozdanie dotyczące ciągłych starań odnośnie wyjazdu nuncjusza Cortesi do rządu polskiego we Francji zawiera z kolei raport z 1 grudnia 1939, oparty na rozmowie jaką odbył ambasador Papée z mgr. Montini (późniejszym papieżem Pawłem VI). W rozmowie tej Papée powiedział Montiniemu, że prace Nuncjusza w Rumunii „zapewne są już na ukończeniu. Wiemy, jak dużo dobrego zrobił nuncjusz Cortesi dla uchodźców w Rumunii. Wiemy też, że pracuje tam obecnie także misja amerykańska... Tym łatwiej więc będzie zapewne udać się Nuncjuszowi do Angers, gdzie — tak ze względów personalnych jak i zasadniczych — jest pilnie oczekiwany. Poza tym wiem, że mgr. Pacini kończy już swój urlop wypoczynkowy w tych dniach, chyba więc będzie mógł niebawem udać się do Angers, gdzie mógłby ewentualnie Nuncjusza wyprzedzić jako *chargé d'affaires ad interim*. Wyliczyłem wreszcie szefów misji, którzy są już w Angers, względnie przybędą tam w najbliższym czasie. Mgr. Montini przyjął moje wywody nader życzliwie i obiecał sprawę raz jeszcze zreferować Kardynałowi Maglione”.

Następny raport, z 11 grudnia 1939, zredagował ambasador Papée po rozmowie, jaką miał 4. XII z kardynałem Maglione, sekretarzem Stanu. Podczas tej rozmowy, pisze Papée, „powróciłem do sprawy wyjazdu nuncjusza Cortesi do Angers. Kardynał Maglione z pewnym zażenowaniem powiedział, że trzeba jeszcze trochę zostawić czasu Nuncjuszowi na jego pracę w Rumunii, gdzie tyle dobrego robi dla uchodźców polskich. Tymczasem, mówił Kardynał, stosunki nasze zapewnione są (*sont assurées*) przez kontakt z Ambasadorem R.P. w Rzymie — *laissez nous donc attendre un peu*. Gdy zauważyłem, że mgr. Pacini, audytor Nuncjatury, mógłby jednak tymczasem pojechać do Angers, Kardynał napomknął coś o jego zdrowiu i konieczności wypoczynku. W innym już związku, ale z wyraźną aluzją powiedział Kardynał później, że z Niemcami nigdy nie wiadomo co sprowadzić może nowe szykany i prześladowania na Kościół i wiernych w Polsce. W międzyczasie widziałem się z mgrem Pacini i odniosłem wrażenie, że miałby on ochotę jechać do Angers, równocześnie jednak mówił dużo o tym, że ma zajęte szczyty i że musi jeszcze przyjść do siebie. Dlatego wybiera się na dalszy ciąg urlopu na prowincję”.

Cztery dni później, czyli 15 grudnia 1939, Papée wysłał nowy raport, gdzie pisał: „W dniu 13 bm. poruszyłem znowu wobec Mgra Montini sprawę wyjazdu Nuncjusza do Angers. Powiedziałem, że chodzi przede wszystkim o objęcie urzędowania, nie sądząc natomiast, by swoboda ruchu Nuncjusza w razie koniecz-

ności ważnych wyjazdów, związanych z jego misją była tam krępowana. Mgr Montini w odpowiedzi swej dał do zrozumienia, że Kardynał Sekretarz Stanu chce zapewne w obecnej chwili uniknąć wszystkiego co mogłoby Niemców podrażnić i wpłynąć ujemnie na los tak już uciemiężonego Kościoła w Polsce. Nie zostawił jednak wątpliwości, że Watykan pragnie sprawę tę załatwić po naszej myśli”.

W raporcie z 21 grudnia 1939, Papée pisał: „Dziś w rozmowie z mgrem Montini poruszyłem znowu sprawę wyjazdu Nuncjusza do Angers. Powiedziałem przy tym, że musiałoby zwrócić uwagę i zrobić przykre wrażenie, gdyby brakło przedstawiciela Stolicy Apostolskiej w chwili składania życzeń Noworocznych Panu Prezydentowi R.P. przez Korpus. Mgr Montini z pewną żywością odpowiedział mi, że Kardynał Sekretarz Stanu pragnie sprawę tę załatwić po myśli tylokrotnie przeze mnie wyrażonego życzenia Rządu R.P. Sądzić należy, że sprawa jest obecnie na dobrej drodze i niebawem znajdzie właściwe załatwienie. Mgr Montini dał ponadto do zrozumienia, że nuncjusz Cortesi będzie na razie jeszcze użyty dla dokonania właściwego rozdziału między naszych uchodźców w Rumunii transportu odzieży sprowadzonego przez Ojca Świętego z Argentyny. Można więc, jak sędzę, *rebus sic stantibus*, liczyć się z przyjazdem w niedługim czasie na razie *chargé d'affaires* Stolicy Apostolskiej do siedziby Rządu R.P. Sprawa powinna jednak, moim zdaniem, aż do tej chwili uniknąć wszelkiego rozgłosu”.

Korzystając z okazji złożenia życzeń noworocznych, 31 grudnia 1939, Papée miał rozmowę z Papieżem, podczas której poinformował Piusa XII o tworzącym się wojsku we Francji i — jak pisze w swoim raporcie z tego samego dnia — „podziękowałem za zakomunikowanie mi w dniu 22 bm. przez kardynała Maglione decyzji wysłania na razie mgra Pacini do Angers, co Papież przyjął do wiadomości, mówiąc że zdrowie mgra Pacini, nadwątłone ciężkimi przejściami w czasie odwrotu z Polski, znacznie się obecnie poprawiło¹⁴. Równocześnie Ojciec Święty dał do zrozumienia, że potrzebuje jeszcze jakiś czas nuncjusza Cortesi w Rumunii, a to ze względu na konieczność opiekowania się uchodźcami polskimi, do czego Nuncjusz nadaje się lepiej niż ktokolwiek inny... Następnie Ojciec Święty przeszedł na niebezpieczeństwo bolszewickie, podkreślając jego powagę i konieczność przeciwdziałania”.

14. Alfredo Pacini przyjechał do Angers, w charakterze *chargé d'affaires*, w połowie stycznia 1940 roku.

Jak pisał kilka miesięcy później ambasador Francji, Władimir d'Ormesson, w raporcie do swojego rządu, „dla Stolicy Apostolskiej bolszewizm pozostał oczywiście „wrogiem publicznym nr 1”, ale to nie czyni go bardziej pobłażliwym wobec nazizmu, który jest oszczędzany i którego się obawia, bo jest blisko, ale który jest znenawidzony¹⁵”.

W raporcie z 19 stycznia 1940 Papée donosił: „Jako jedno z ogniw akcji, którą podjąłem, zmierzając do przerwania milczenia z jakim Watykan w ogóle, a *Osservatore Romano* w szczególności przechodzi dotąd nad sprawą okrucieństw niemieckich w Polsce, przeprowadziłem dziś na ten temat rozmowę z Kardynałem Sekretarzem Stanu. Przypomniałem kardynałowi Maglione obfity materiał, którym dysponuje obecnie w tej dziedzinie zarówno Sekretariat Stanu, jak i redakcja *Osservatore Romano* (liczne memoriały Ambasady, memoriał Ks. Prymasa, memoriał księży polskich, świadectwa przyjezdnych z Polski przyjętych ostatnio w Watykanie). Powiedziałem, że *Osservatore Romano* nic prawie o tych sprawach nie pisze, a przecież cały świat katolicki oczekuje od Watykanu informacji i sądu. Kardynał Sekretarz Stanu odpowiedział mi, że sprawa jest specjalnie drażliwa, bo Niemcy udowadniają i piętnują nieścisłości informacji albo uciekają się do represji...”.

W archiwach Instytutu Gen. Sikorskiego, gdzie znajdują się raporty Papée, jest również kopia raportu Rogera Raczyńskiego, ambasadora w Bukareszcie z dnia 8 marca 1940. W raporcie tym (4 strony maszynopisu) R. Raczyński pisał: „Od paru tygodni nuncjusz Cortesi wspomina coraz częściej w swych rozmowach prywatnych, że jego charytatywna misja w Rumunii dobiega końca, że po jej zakończeniu liczy na wyjazd do Angers, ale że w dalszym ciągu nie ma co do tego instrukcji... Zdecydowanie antyniemieckie nastawienie ks. Cortesi i niewątpliwa jego życzliwość dla zamierzeń obecnego Rządu, a wyraźnie krytyczny stosunek do poprzedniego naszego reżimu zasługują istotnie na poparcie jego osoby z naszej strony”.

Dnia 31 marca 1940 Papée był przyjęty przez Piusa XII. W raporcie z tej audjencji, z datą 1 kwietnia, Papée pisał: „Przechodząc do stosunków dyplomatycznych polsko-watykańskich, powiedziałem Papieżowi, że przyjazd mgra Pacini do Angers przyjęty był z zadowoleniem przez Rząd, a nadto dał już pewne dodatnie skutki uboczne, bo przyspieszył przyjazd niektó-

15. Vide: Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, Série: Guerre 1939-1945, Saint-Siège, Dossier: nr 551.

rych szefów misji np. posła belgijskiego i holenderskiego. W tym miejscu Papież powiedział: *je suis très content*. Wiem, że nuncjusz Cortesi przyjeżdża obecnie na wypoczynek do Włoch. Rząd mój ma nadzieję, że potem będzie mógł udać się do Angers, którego klimat zresztą jest doskonały”.

W następnym na ten temat raporcie, z dnia 19 kwietnia 1940, Papée donosił: „Nuncjusz w Polsce, mgr. Cortesi, przyjechał przed kilku dniami do Rzymu i był przyjęty natychmiast po zgłoszeniu się w Watykanie przez Ojca Świętego. Mgr Cortesi odwiedził też ks. prymasa Hlonda i złożył wizytę w Ambasadzie. Chociaż utyskujący trochę na zdrowie i przemęczenie, nuncjusz Cortesi jest moralnie w znakomitej formie. Jego głębokie przywiązanie do Polski i oddanie sprawie polskiej wystąpiło na terenie rzymskim w całej pełni. Kardynał Hlond, który był na audjencji u Ojca Świętego na drugi dzień po bytności mgr Cortesi znalazł Piusa XII wyraźnie pod wrażeniem raportu Nuncjusza. Pobyt mgra Cortesi w Rzymie jest już teraz z dużą korzyścią dla sprawy autentycznego poinformowania i dalszego jeszcze zainteresowania Stolicy Świętej sprawą Polski. Wszystkie aktualne problemy nasze znajdują w nim rzetelnego i oddanego rzeczownika”.

W dalszym ciągu tego raportu Papée pisze: „Nie ulega, moim zdaniem, żadnej wątpliwości, że mgr Cortesi uważa swoją działalność w Rumunii za zakończoną. Dał mi to wyraźnie do zrozumienia, a w kołach watykańskich nie widzę co do tego wątpliwości. Nuncjusz Cortesi może albo pojechać do Angers, albo zostać kardynałem. On sam do myśli wyjazdu do Angers odnosi się życzliwie, ale mówi, że to od niego nie zależy. Ponieważ sprawy tej nigdy nie przestałem w Watykanie aktualizować, nie mam trudności w dalszym jej podnoszeniu i stale do niej obecnie powracam, zaznaczając jedynie, że wszyscy rozumiemy dobrze potrzebę wypoczynku po tak ciężkim okresie pracy”.

Do sprawy Nuncjusza Papée powrócił znowu w rozmowie z Papieżem, jaką miał 28 maja 1940, o której pisze tego samego dnia w swoim raporcie: „Przeszedłszy następnie do osoby nuncjusza naszego mgr. Cortesi, podniosłem raz jeszcze jego zasługi i podkreśliłem, że Rząd R.P. bardzo pragnąłby widzieć niebawem Nuncjusza w tymczasowej siedzibie Głowy Państwa i Rządu. Papież uśmiechnął się i powiedział, że nuncjusz Cortesi niedobrze jest ze zdrowiem, źle wygląda i winien jeszcze trochę odpocząć — przyjął jednak łaskawie moją odpowiedź, że w obecnych czasach trudno bardzo jest wypoczywać, oraz że Nuncjusz mógłby w Angers oddać duże usługi. Ze słów Papieża wynikało

jasno, że w dalszym ciągu uważa mgr. Cortesi za Nuncjusza w Polsce”.

Był to w tej sprawie ostatni raport Papée przed kapitulacją Francji. Dnia 14 czerwca 1940 rząd polski opuszcza Angers i udaje się do Libourne, miasteczka w pobliżu Bordeaux, skąd przedostaje się do Londynu. Dwa tygodnie później, w raporcie z 1 lipca, Papée donosił: „Rozmawiając dnia 21 czerwca z Kardynałem Sekretarzem Stanu, zapytałem, gdzie znajduje się w chwili obecnej mgr Pacini. Kardynał Maglione odpowiedział, że mgr Pacini jest jeszcze w Bordeaux, ale że zapewne niebawem będzie mógł przyjechać do Londynu. Dałem wobec tego wyraz nadziei, że mgr Pacini znajdzie sposób, by znaleźć się możliwie bez większej zwłoki na swoim posterunku. Gdy w dniu 26 bm. wróciłem do tej sprawy, Kardynał Maglione powiedział mi z pewnym zakłopotaniem, że mgr Pacini nie zdołał widocznie przejechać do Anglii i znajduje się nadal w Bordeaux. I tym razem dałem do zrozumienia zarówno Kardynałowi Sekretarzowi Stanu jak i później mgr. Tardini, że miejsce mgra Pacini jest przy Rządzie R.P. Z wypowiedzi obu tych dygnitarzy zdaje się wynikać, że instrukcje otrzymane zalecają mgrowi Pacini udać się do Londynu, oraz że dotychczasowe jego pozostanie w Bordeaux należy przypisać trudnościom komunikacyjnym a może i osobistemu niezdecydowaniu”.

Następny raport, z 5 lipca 1940 roku, jest bez nagłówka i bez podpisu Papée, w przeciwieństwie, przeważnie, do innych jego raportów. Po rozmowie z Montinim Papée pisze tam, że Montini „boleje nad kapitulacją Francji i mówi że Europa powinna się uczyć nieugiętości od Polski”. Następnie podaje informacje, że „mgr Pacini otrzymał od Sekretariatu Stanu polecenie udania się do Londynu. Doniósł że na razie nie mógł tej instrukcji wykonać z powodu trudności komunikacyjnych”.

W raporcie z 10 lipca 1940 Papée podaje, iż: „dowiadując się tu, że mgr Pacini pozostał w Bordeaux wraz z nuncjuszem francuskim¹⁶, powiedziałem Kardynałowi Sekretarzowi Stanu iż sądzę, że uda mu się wkrótce znaleźć sposób do stawienia się na właściwym miejscu swego urzędowania. Kardynał Maglione przytakiwał tej mojej nadziei, a mgr Montini powiedział mi, że mgr Pacini miał instrukcje jechania za Rządem, której jednak ze względów lokalnych wykonać nie mógł”.



16. Nuncjuszem we Francji był wtedy Valério Valeri, który piastował to stanowisko od 3 czerwca 1936 do 23 grudnia 1944 roku.

Na tym kończą się raporty odnośnie reprezentacji Watykanu przy rządzie polskim w Angers. Do dzisiaj nie jest wyjaśniona — i chyba nie będzie już nigdy — sprawa pozostania Pacini we Francji w chwili wyjazdu rządu polskiego do Londynu. Następnie, wydaje się mało prawdopodobne — mimo przeświadczenia Papée, któremu daje wyraz w swoich raportach — żeby Pacini miał zlecone, zaraz po kapitulacji Francji, udanie się do Londynu. Gdyby tego rodzaju zlecenie otrzymał, to byłyby przecież możliwości zorganizowania jego wyjazdu do Anglii, czemu rząd brytyjski — w obliczu niebezpieczeństwa, jakie wisiało wówczas nad Wielką Brytanią — nie byłby się zapewne sprzeciwił, tak jak to miało miejsce później.

Jeżeli natomiast odmówiłby wyjazdu sam Pacini, to winna znajdować się gdzieś motywacja tej odmowy, której nie ma również w najbardziej autorytatywnym źródle, jakim bez wątpienia jest wielotomowe wydawnictwo watykańskie, zawierające dokumenty działalności Stolicy Apostolskiej w okresie Drugiej Wojny Światowej. W 5-tym tomie tego wydawnictwa — gdy mowa jest o wyjeździe Paciniego do Londynu w 1942 roku — wzmianka w odsyłaczu brzmi: „Mgr Alfredo Pacini, radca nuncjatury polskiej w Warszawie, *chargé d'affaires* przy rządzie polskim na wychodźstwie w Angers, nie mogąc mu towarzyszyć do Londynu, dołączył w Vichy do nuncjusza Francji¹⁷”. Brak jednak wyjaśnienia dlaczego Pacini nie mógł, z własnej czy cudzej woli, towarzyszyć rządowi polskiemu.

Skutek tego wszystkiego był taki, że przez prawie trzy lata Watykan nie miał swojego przedstawicielstwa przy rządzie w Londynie. W 1942 roku rząd nasz coraz bardziej nalegał na przysłanie reprezentanta Watykanu. Wtedy to papieski Sekretariat Stanu zdecydował się na wysłanie do Londynu, w charakterze *chargé d'affaires*, Paciniego, który znajdował się w Vichy.

Dnia 1 lipca 1942, kardynał Maglione zwrócił się do delegata apostolskiego w Londynie Williama Godfreya, żeby zapytał rząd brytyjski czy przyzna Paciniemu prerogatywy dyplomatyczne. Rząd brytyjski odmówił, motywując to tym, że tego rodzaju uprawnień nie może przyznać „osobie narodowości włoskiej lub nieprzyjacielskiej”. Między Watykanem a rządem brytyjskim wywiązała się długotrwała polemika, w wyniku której papieski Sekretariat Stanu przyjął propozycję rządu Wielkiej Brytanii i w

17. *Actes et documents du Saint-Siège relatifs à la Seconde Guerre Mondiale*, Volume 5, *Le Saint-Siège et la Guerre mondiale (Juillet 1941 - Octobre 1942)*, Libreria Editrice Vaticana 1969, str. 607.

maju 1943 mianował przy rządzie polskim, jako *chargé d'affaires*, wyżej wspomnianego Williama Godfrey'a, który tę funkcję pełnił już właściwie nieoficjalnie przedtem¹⁸.



Radca ambasady przy Watykanie, Walerian Meysztowicz, napisał po wojnie cytowane już wspomnienia, w których poświęcił rozdział ambasadorowi Władysławowi Skrzyńskiemu, gdzie znajduje się ogólna, warta przypomnienia uwaga: „Watykan a Polska” — to nie to samo co „Kościół a Polska”: to raczej tylko „Kuria a Rząd”¹⁹.



W zakres tego opracowania nie wchodzi oczywiście motywacja polityki Watykanu podczas drugiej wojny światowej. Na marginesie tej bardzo złożonej problematyki warto jednak przytoczyć kilka zdań z raportów ambasadorów Francji przy Stolicy Apostolskiej, które potwierdzają duże przygnębienie Piusa XII, graniczące prawie z utratą nadziei na zwycięstwo chrześcijańskiego świata i co też niestety musiało wpłynąć na prowadzoną przez Watykan politykę.

W maju 1940 nastąpiła zmiana na stanowisku ambasadora Francji przy Watykanie. Na miejsce François Charles-Roux przyszedł Władimir d'Ormesson, obaj przyjaźnie ustosunkowani do Polski. W raporcie z dnia 19 sierpnia 1940 Ormesson pisze, że miał okazję rozmawiać z osobą, będącą w zażyłych stosunkach z Ojcem Świętym. Osoba ta twierdziła, że: „Pius XII ma być bardzo przybity, zdruzgotany wypadkami i bolesnymi trudnościami swojego pontyfikatu, przewidując pesymistycznie przyszłość Europy”²⁰.

Kilka miesięcy później, w listopadzie 1940, Ormesson został odwołany i zastąpiony ambasadorem Leonem Berardem, który w raporcie z 22 lutego 1941 donosił: „Pius XII patrzy z głębokim smutkiem nie tylko na przyszłość religii, lecz i na losy ludzkości. Papież z trwogą dostrzega korzyści, jakie rewolucja bolszewicka wyciągnie z nieszczęść spowodowanych długą wojną”²¹. Kardynał Tardini, bliski współpracownik Papieża, cytuje w swojej książce

18. Supra, str. 607, 628-630, 646-647, 678, 744.

19. Walerian Meysztowicz, *Gawędy o czasach i ludziach*, op. cit., str. 318.

20. Według Archives du ministère des Affaires étrangères w Paryżu, op. cit.

21. Supra.

słowa Piusa XII: „Europa czeka ciągle na przebudzenie swojego sumienia²²”. Pytanie tylko, kto ma ją obudzić?!...

Tadeusz WYRWA

Jerzy BAHR

WSPOMNIENIE Z TERAŹNIEJSZOŚCI

Podobieństwo miejsc i osobistości nie jest w tym tekście przypadkowe; wspomniane tu osoby nadal pracują w warszawskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych bądź w innych urzędach centralnych i na pewno poczuć się dotknięte niejedną uwagą. Ale w istocie rzeczy nie chodzi o nie czy o mnie, lecz o zwykłą uczciwość i trochę zdrowego rozsądku. Czyli dokładnie o to, co się u nas tak mozolnie zabija od lat. Na szczęście jednak — do końca zabić nie może.



Z placówki dyplomatycznej w Bukareszcie wracałem do Polski po czterech latach, na dzień przed podpisaniem Porozumień Gdańskich. Między Bochnią a Krakowem pociąg musiał stanąć, bo kolejarze zostawili na torach pięć pustych wagonów towarowych. Siedziałem otoczony kartonami po alkoholu, zdobytymi w przyambasadzkim sklepie „Baltony”. Trudno było przekonać współpasażerów, że w pudłach jest przede wszystkim biblioteka rumunoznawcza i żywność — zabezpieczenie na pierwsze miesiące. Już sama jednak gotowość podróżnych do zrewidowania mego bagażu wskazywała na niezwykłość nastrojów. O tym co się naprawdę działo w kraju nie mieliśmy w Bukareszcie pojęcia — choć miejsce naszej pracy mogłoby sugerować dobre rozeznanie. Niespełna dwa tygodnie wcześniej, ówczesny ambasador PRL w Rumunii wykazywał mi — jak sądzę z autentycznym przekonaniem — że CRZZ to jedna z najcenniejszych instytucji w dorobku Polski Ludowej. Zaproponowałem *quiz* wśród pracowników, czy wiedzą

22. Domenico Tardini, *Pie XII*, Editions Fleurus, Paryż 1961, str. 75.

dokładnie do jakiego związku należą, ale nie kontynuowaliśmy dyskusji.

Następnych 16 miesięcy wryło się głęboko w pamięć tylu Polaków, iż wcale nie czuję się wyjątkiem. Wyjątkowe było natomiast miejsce pracy: pod względem doboru kadr MSZ był i pozostaje przecież jedną z twierdz komunistycznego reżimu. Lecz okres formalnego działania „Solidarności”, zamknięty tragiczną datą 13 grudnia był za wielkim wstrząsem, by nie zakłócić zwykłego rytmu zajęć oraz sposobu myślenia pracowników tak ortodoksyjnego resortu. Dało się zaobserwować jak z każdym miesiącem, a potem już tygodniem, narastała tam nienawiść i strach przed tchnieniem wolności, którą oddychał, którą żył cały kraj.

Z tego przejmującego okresu pamięć wyławia ogólny nastrój z jednej strony, charakterystyczne sceny czy momenty z innej.

16 grudnia 1980 roku — odsłonięcie pomnika w Stoczni Gdańskiej. Zgodnie z partyjną tradycją zaskakiwania — nagła informacja o spotkaniu po godzinach pracy z tow. Piątkowskim, kierownikiem Wydziału Zagranicznego KC. Obecność oczywiście obowiązkowa, odpada więc możliwość śledzenia uroczystości w środkach masowego przekazu. Piątkowski w dłuższej wypowiedzi rozacza przerażającą wizję robotniczego warcholstwa w Polsce. Ileż w tych słowach pogardy ekonoma wobec wyrobników! I każdy argument jest teraz dobry: „Posiadamy informację, że na Wybrzeżu działają grupy, których celem jest proklamowanie, na wzór przedwojenny, Wolnego Miasta Gdańska”. Te rewelacje podaje bez zmrużenia oka. A potem, wieczorem — pierwsze relacje o gdańskim tłumie śpiewającym „Nie rzucim ziemi”. W błysku oczu, w uniesionych twarzach można odczytać gdzie jest Polska i gdzie są Polacy.

Pamiętam, że w jadowym wystąpieniu Piątkowskiego nie brakło ataków i na EWG: „Oni tylko dlatego dają nam stare masło, bo chcą opróżnić magazyny”. W tym pseudoeconomicznym bełkocie zabrakło już oczywiście miejsca na wyjaśnienie, dlaczego w ogóle w jednym systemie gospodarczym stale jest masło, a w drugim zaś stale go brakuje.

Na fali powszechnego ożywienia uatrakcyjnił się w tym okresie program zamkniętych pokazów filmowych w MSZ; zobaczyliśmy m.in. nie tylko tzw. ostre filmy Pasoliniego, ale również słynne „Dreszcze” W. Marczewskiego i „Gorączkę” A. Holland, zdjęte potem przez cenzurę. Małym wydarzeniem było spotkanie z W. Sokorskim, który się nam przedstawił jako „stary agent

NKWD". Choć wszyscy się domyślali, że tym razem mówi prawdę, zapanowała konsternacja. Sokorski powiedział też, że sytuacja w Związku Literatów Polskich osiągnęła taki stan, że partyjni pisarze powinni się przyzwyczaić do spełniania roli „konstruktywnej opozycji”.

Mechanizm prania mózgów jest w gruncie rzeczy genialnie prosty i przebiega według następującego schematu: po pierwsze — umocnienie przekonania, że członek partii jest zawsze lepiej poinformowany od zwykłego obywatela; po drugie — w partii obowiązuje zasada stopniowania wiedzy, tzn. przykładowo, kierownik wydziału wie więcej niż jego zastępca. Wtedy już możliwe staje się osiągnięcie trzeciego stopnia wtajemniczenia, zgodnie z którym najwyższe postawione osobistości mają prawo do największych bredni: wykrywania „spisków”, grup antypaństwowych, odsłaniania głęboko zakamuflowanych przeciwników politycznych itp. Oczywiście, temu wszystkiemu musi towarzyszyć zwykły strach, podstawowe spoiwo każdego totalitaryzmu. Przykład:

Pod koniec lat 70-tych uczestniczyłem w spędzie PRL-owskich korespondentów i *attaché* prasowych zorganizowanym przez KC; z tej okazji ściągnięto do Warszawy na dwa dni (bez oglądania się na koszty) pracowników z najdalszych zakątków świata. Zdumiewająca była na tym tle z jednej strony powierzchowność udzielonych nam informacji o aktualnych problemach kraju; z drugiej, chorobliwa już nonszalancja oraz pycha władzy. Kiedy nasz korespondent w Brazylii, nagabywany w kraju urzędowania o wysokość polskiego zadłużenia za granicą chciał się tu, u samego źródła, dowiedzieć prawdy — Łukaszewicz w obecności kilkuset osób wyjaśnił: „Na to pytanie, towarzyszu, to MY znamy odpowiedź”. Więc już nie było dalszych wątpliwości.

W okresie „Solidarności” ogłupianiem pracowników aparatu centralnego zajmował się na bieżąco warszawski Komitet Wojewódzki. Ich codzienny biuletyn odbierali specjalnie delegowani kurierzy. Następnie — z zastrzeżeniem, że mamy do czynienia z naprawdę już wyselekcjonowanymi wiadomościami — puszczano owe teksty w obieg po departamentach. Z zasady jedyną prawdziwą informacją jaką dało się tam wyczytać był brak choćby najmniejszej chęci porozumienia z narodem. A działo się to w warunkach najgłębszego kryzysu. I tylko z tego punktu widzenia lektura mogła być pouczająca. Natomiast sam zestaw doniesień zdumiewał wycinkowością, płytkością argumentacji, słownictwem zaczerpniętym ze stalinowskiego lamusa.

Pouczającym również doświadczeniem osobistym było postępowanie wyjaśniające w związku z listem otwartym do KC PZPR jaki wystosowałem w grudniu 1980 roku. Zawarłem tam ostrą krytykę polityki partii, właściwie w każdym aspekcie jej tzw. przewodzenia narodowi. Czasy były niepewne, „Solidarność” mocna, nie zostałem więc wyrzucony z pracy. Jednakże z punktu widzenia partyjnej ortodoksji, sprawy nie można było puścić płazem. Jeśli dziś wracam myślą do wielogodzinnych posiedzeń, które miały „wyjaśnić” me postępowanie, to dlatego, że cała ich procedura dobrze ilustruje wielowarstwową mechanikę zastraszania oraz zmuszania do samokrytyki.

Na najniższym poziomie pojawia się — czasem autentyczna, częściej udawana — zgroza, że w ogóle mogło dojść do czegoś podobnego. Jeszcze nie wiadomo czy winny świadomie dopuścił się skalania własnego gniazda czy tylko oszalał. Ta niewiara że można po prostu powiedzieć, iż król jest nagi miała w sobie coś komiczno-żałosnego. Lecz na tym etapie jesteś jeszcze pacjentem, jeszcze nie jesteś wrogiem.

Potem przychodzi do ciebie kolega — łajdak. Że łajdak, wiesz nie tylko dlatego, iż cię przed nim ostrzegali X, Y, Z oraz kilku innych. Już bardziej dlatego że od szeregu miesięcy siedzisz z nim w jednym pokoju i m.in. słyszysz fragmenty rozmów telefonicznych jakie prowadzi ze swym bratem z bezpieczeństwa. Brat jest znany, występował niedawno w telewizji jako prowadzący śledztwo przeciw KPN-owi. Bo dobry układ zakłada, że jeśli już masz brata (może być siostra, ojciec, kuzyn) to ty zostajesz dyplomatą, a on cię zabezpieczy od strony MSW. Dzieci w to nie mieszaj: jeżeli już naprawdę chcesz im i sobie pomóc, poślij je do Moskwy na studia techniczne, a potem na specjalizację do Waszyngtonu lub Paryża. Kolejność wszyscy rozumieją ze względu na taki właśnie rozkład postępu technicznego w świecie. A poza tym ktoś w tej dyplomatycznej rodzinie musi wreszcie dobrze poznać oba języki.

Więc łajdak bierze cię pod rękę na całkiem osobistą rozmowę. Kieruje się przecież troską o stan twego umysłu, a nie tym że dostał takie zadanie. Mówi że miał nielekkie życie i że mu w tym życiu władza ludowa pomogła. Potem chwila prywatnego patosu: „A najszcześliwszy jestem, że tak wychowałem syna, że już nigdy nie pójdzie do kościoła”. To ma cię ostatecznie przekonać, że wprowadzić los jest ciężki, ale gdy się postarasz, może się do ciebie uśmiechnąć...

Następne zebrania, kolejne gremia — wymiana argumentów

ma do reszty odsłonić stanowiska. Lecz nie opuszcza cię wrażenie chodzenia po szkle, nienazywania rzeczy po imieniu. „Jakież więc mogą być te wasze, towarzyszu, obciążenia stosunków polsko-radzieckich?” — pytają się z z troskaniem w głosie. Ano właśnie; na tym etapie jeszcze nie możesz wyrzucić z siebie, że IV-ty rozbiór, że Katyń, sfałszowane wybory, że cierpienie milionów. A także, że o wszystkim tym wiesz nieskończenie dokładniej, niż oni w ogóle są w stanie przypuścić. Jeszcze wkładasz to w usta innych: „Wiecie, ludzi się zapytajcie, posłuchajcie co o tym mówią”. I patrzymy sobie w oczy, a między nami ta zbrodnia — jakby była i jakby jej nie było. Odtąd jednak liczy się każde słowo. Wiadomo też, że żadne ci nie pomoże. I że już ci nie darują.

Tematy — tabu. Co nie ma nazwy, nie istnieje. Takich sytuacji było bardzo wiele. W połowie lat 70-tych, gdy „Polska rosła w siłę, a ludzie w dostatek”, nabrała rozmachu Krakowska Szkoła Letnia Kultury i Języka Polskiego. Przeznaczona dla młodzieży polonijnej (głównie z kontynentu północnoamerykańskiego) pęczniała z każdym rokiem i coraz większy był jej rozgłos. Kiedyś na adres Szkoły wpłynęły listy od Polaków zamieszkających gdzieś głęboko w ZSSR z prośbami o umożliwienie wzięcia udziału w imprezie. Ktoś posłał te listy do MSZ, potem znalazły się w moich rękach. W opisie dalszego rozwoju wypadków pomijam swą naiwność i wiarę, że sprawę da się załatwić. Ale trudno nie podzielić się wspomnieniem coraz bardziej ściśniętego gardła, gdy chodząc od drzwi do drzwi uświadomiłem sobie wreszcie jasno, że w PRL-owskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych nie istnieje żadna komórka, która mogłaby się ująć za setkami tysięcy niešťczęśników pozbawionych polskich książek, gazet i jakiegokolwiek żywego kontaktu z Ojczyzną. Pocieszano mnie, że gdyby to byli Polacy z Zaolzia, moglibyśmy spróbować im pomóc.

W tym samym roku, w Helsinkach, wśród euforii towarzyszącej *détente*, Europejczycy i barbarzyńcy podawali sobie ręce, przechodząc do porządku dziennego nad podobnymi „drobiazgami”.

Wspominałem o zebraniach. Powstaje pytanie w jakim stopniu demokratyzacja lat 1980-1981 odbiła się np. na rytuale partyjnych masówek w urzędach centralnych. Jedynie uważny obserwator dostrzegłby różnicę w stosunku do okresu wcześniejszego. Przykładowo: w czasach Gierka panowała mania dzielenia załogi na dobrych — lepszych — najlepszych, czyli na ogół, aktyw i ściśły aktyw; teraz wszyscy byli równi, bo prąd historii zaczął spychać krypę na środek nurtu i niejednemu sytuacja wydała się

groźna. Szczególne podniecenie ogarnęło niegdysiejsze stalinowskie wilczki — dziś już dobrze wyleniały wygi; nie mieściło im się w głowie, że w Kraju nie tylko pojawili się inaczej niż oni myślący, ale że tych „nowych” są miliony. Pamiętam zebranie, na którym taki weteran niezliczonych czystek wołał w uniesieniu: „Towarzysze — musimy się skrzyknąć!”.

Z zasady w każdym polskim urzędzie istnieją miejsca, które socjolog określiłby „punktem skupienia społecznego” — czyli mówiąc normalnie: kluby, korytarze, pokoje, w których się ludzie szczególnie często zbierają. W MSZ-cie, w okresie „Solidarności”, funkcję tę spełniał kiosk „Ruchu” oraz bufet — ten ostatni w mniejszym stopniu, bo obowiązywała ogólnokrajowa zasada nagich haków i tylko kierownictwo resortu zaopatrywane było w specjalne paczki żywnościowe, przynoszone do gabinetów. W kiosku tygodnik *Solidarność* był rozchwytywany, a potem czytany od deski do deski. Jeśli po lekturze kolega się nie odzywał, związał gazetę i szybko wkładał do teczki, co znaczyło że miałeś do czynienia ze stosunkowo uczciwym człowiekiem (to przecież nie Samosierra i trudno się odsłaniać! Podobnie w naszej bibliotece — nikt nie miał odwagi wypożyczenia paryskiej *Kultury*, teoretycznie ogólnie dostępnej). Częściej jednak uważano, że po takiej lekturze trzeba się usprawiedliwić i zionąć jadem nienawiści na NSZZ „Solidarność”. I wówczas ci sami, którzy biegali do ciebie z prośbą o zredagowanie byle tekstu, których notatki zdumiewały skandalicznym poziomem — mieli teraz na wszystko gotowe recepty. Proste zresztą: natychmiastowe wprowadzenie dyktatury proletariatu, oddzielenie plew od ziarna, kolektywizacja rolnictwa. To ostatnie absurdalne żądanie pobrzmiwało po 13 grudnia, bo niektórzy myśleli: teraz, albo nigdy — podwiązać krnąbrną Polskę do ogona pozostałych demoludów.

Atmosfera zagęszczała się. Zebrań było coraz mniej, żeby sobie głowy nie zawracać tłumem urzędników. Obieg ważniejszych informacji wycofał się w głąb gabinetów. Można było wyczuć, że niektórzy wiedzą o wiele więcej. Po 13 grudnia ci właśnie ujawnili się jako członkowie grup oraz sztabów przywracających tzw. porządek.

Ciekawym aspektem przed wprowadzeniem stanu wojennego był autentyczny popłoch wśród weteranów służby dyplomatycznej, którzy dorobili się willi, działek czy lepszych samochodów. Strach, że im „zabiorą”, albo przynajmniej ujawnią często pozaprawny charakter tych transakcji, przebiegał wyraźnie w rozmowach, a niekiedy w „wisielczych” żartach. Ten klasowy aspekt

okresu „Solidarności” jest na ogół niedoceniany. A myślę, że jego analiza ucieszyłaby modelową jednoznacznością samego Marksa.

I wreszcie ostatnie już dni przed zamachem: groza pomieszana ze śmiesznością. Na dwa tygodnie przed 13 grudnia w naszym kiosku pojawiła się broszura „Chwyty obronne”, co świadczy o wyśmienitym poczuciu humoru dostawców. Na ścianach zawieszono napisy „Wyjście zapasowe”, tak jakby realny socjalizm znał inne wyjście niż to, które wiedzie przez trupy.

Kiedy — używając sformułowania z listu partii sowieckiej do PZPR — „odwrócony został bieg wydarzeń”, w gmachu przy Alei Szucha klepano się po ramionach i mimo zakazu ministra Czyrka, pękła niejedna butelka. Targowiczanom znów zaświeciło słońce.

Przedstawiony powyżej opis byłby jednak niepełny, gdyby nie wspomnieć o pracownikach warszawskiego MSZ-tu sprzyjających odrodzeniu narodowemu i „Solidarności”; o takich nastrojach mogłem się dobitnie przekonać po złożeniu rezygnacji.

Na dole owej drabiny uczciwych byli ci, którzy wprowadzili atakowali publicznie, ale potem prywatnie przepraszaali, zgodnie z zasadą: „Ja mam żonę i dzieci”. Inni okazywali solidarność bezpośrednio, a czasami wzruszająco. Byli wśród nich również ludzie młodzi, na ogół nieźle przygotowani do zawodu. Napawało to pewnym optymizmem.

Wdzięczny jestem także kolegom, którzy okazawszy zaufanie ujawnili w swych opiniach i rozterkach poczucie odpowiedzialności za sprawy publiczne. Dzięki nim mogłem się w ciągu tych lat zapoznać np. z wewnątrzpartyjnym apelem w sprawie losu Polaków w Związku Sowieckim lub z tekstami o politycznych możliwościach Polski w obliczu ewentualnego zjednoczenia Niemiec. Nie zapomnę również ówczesnego wiceministra Spraw Zagranicznych Romualda Spassowskiego, gdy sam wstrząśnięty pokazał mi kiedyś dokument na temat skali rozpijania narodu przez rząd. Niestety były to sytuacje wyjątkowe. Czym wyższy szczebel władzy w państwie totalitarnym — tym bardziej negatywny moralnie jest dobór jego kadr wykonawczych.

Demokracja wprowadziła nie czyni nas aniołami — lecz przynajmniej dość skutecznie ogranicza demona tkwiącego w człowieku i w mechanizmach władzy.

Jerzy BAHR

NIEZAUWAŻONA ROCZNICA

(CZTERDZIESTOLECIE KONSPIRACYJNEJ PRASY W POLSCE LUDOWEJ)

W czasie gdy władza bardzo hucznie obchodziła 40-lecie Polski Ludowej, minęła nie spostrzeżona ważna dla nas rocznica — 40 lat konspiracyjnej prasy i działalności wydawniczej w Polsce Ludowej. To, że nie zauważyła tego władza, nie może nas dziwić, przecież wtedy — według nich — istniało tylko „zbrojne podziemie i bandy”. Ale źle, że nie pamięta o tym lub co gorsza nie wie — podziemna „Solidarność”. Tworząc Fundusz Drukarski nawiązano tylko do tradycji *Robotnika* — organu nielegalnej PPS, nie wspominając słowem o 300-letniej tradycji konspiracyjnego druku w Polsce, ani co ważniejsze o bezpośrednich poprzednikach wydawanej obecnie podziemnej prasy, pominięto też niesłusznie zapomnianą — słabo znaną nawet wśród historyków — konspiracyjną działalność wydawniczą lat 1944-1950. Prowadzenie wówczas takiej działalności — po pięcioletniej niewoli, po kilkuletniej nierzadko konspiracji, gdy wszyscy zmęczeni wieloletnim napięciem pragnęli spokoju i w znacznym stopniu byli „zastraszeni i zniechęceni do wszelkiej dalszej walki opozycyjnej”, czując beznadziejność dalszej działalności, gdy — jak wspomina Zaremba — „drukarze musieli się kryć przed kolegami, bojąc się denuncjacji czy wygadania przez nieostrożność, gdyż ludzie chcieli już żyć bez oglądania się wciąż za siebie i bez ważenia każdego słowa” a wydawanie było o wiele trudniejsze niż pod okupacją hitlerowską — wymagało wielkiej odwagi i poświęcenia, i nierzadko kończyło się wieloletnim pobytem w więzieniu, torturami, zesłaniem, a nawet i śmiercią. Trzeba podkreślić, że to prasa konspiracyjna pierwsza stawiała opór sowieckiej propagandzie, jeszcze wtedy gdy nie do końca była jasna przyszłość Polski, gdy próbowano znaleźć porozumienie z Rosją, a trwała i wtedy gdy było wiadome, że Zachód nas zdradził, a „działacze” pouciali na Zachód. Były okresy gdy, jak przyznają nawet komunistyczni historycy, „ludność znała sytuację wewnętrzną i międzynarodową tylko z ulotek i nielegalnej prasy”. O sile oddziaływania podziemnej propagandy świadczy też ponad 50 % spadek liczebności PPR w wyniku akcji przeprowadzonej latem 1945 roku.

Powojenna prasa konspiracyjna, czyli taka, która ukazywała się na terenach „wyzwolonych” jest rówieśnikiem Polski Ludowej. Przechodzenie Armii Czerwonej przez ziemie polskie nie wstrzymywało — tak rozwiniętej pod hitlerowską okupacją — konspiracyjnej działalności wydawniczej. Nawet w strefie fron-

tu, gdzie obowiązywały bardzo surowe przepisy prawa wojennego i sowiecki sąd polowy, kontynuowano wydawanie podziemnych gazetek. W początku sierpnia 1944 roku, w „wolnym” Lwowie, wznowiły, po dwutygodniowej przerwie, swoje wydawanie konspiracyjne, kilkukartowe, regularnie ukazujące się tygodniki: *Słowo Polskie* i *Wytrwamy*. W tym samym też czasie pojawiły się gazetki w Lublinie i Przemyśle.

Większość konspiracyjnej prasy ukazującej się w 1944 roku na terenach „wyzwolonych”, to kontynuacja gazetek wydawanych pod hitlerowską okupacją, ale część to już pisma świeżo utworzone. W ciągu kilku powojennych lat ukazywało się w Polsce kilkaset pism konspiracyjnych, szereg z nich drukiem, regularnie co tydzień, w kilkutyśnięcznych nakładach, o objętości do 40 nawet stron. Ilość ich malała z roku na rok. Pewien wzrost nastąpił przed referendum w 1946 i wyborami w 1947. Również w tych okresach nastąpił znaczny wzrost ilości i nakładów wszelkiego rodzaju ulotek. Po wyborach przeprowadzonych 19.01.1947, a ściślej po amnestii ogłoszonej miesiąc później, nastąpił bardzo znaczny spadek liczby ukazujących się tytułów podziemnych gazetek i wszelkich konspiracyjnych druków. Sfałszowanie wyborów zniechęciło wielu redaktorów i wydawców tajnych wydawnictw, szereg z nich ujawniło się zdając sprzęt poligraficzny.

W tym też okresie ukazało się zapewne kilkadziesiąt druków zwartych. Niestety podczas przeglądania różnych opracowań natrafiłem tylko na 8 tytułów broszur wydanych w tym czasie:

1. Bój Warszawy, 1945.
2. Daty do historii ruchu narodowego w Polsce, 1946.
3. Do towarzyszy z PPS, 1945.
4. Pieśń o Warszawie, 1944.
5. (Zaremba Zygmunt) Powstanie sierpniowe, 1945.
6. (Zaremba Zygmunt) Powstanie sierpniowe, wyd. 2, 1945.
7. (Zaremba Zygmunt) W obliczu nowej okupacji, 1945.
8. Testament Polski Walczącej, 1945.

Od samego wkroczenia na ziemie polskie NKWD starało się stworzyć wizerunek czysto zbrojnej i bandyckiej działalności podziemia powojennego, by zohydżając je w oczach społeczeństwa pozbawić wsparcia i doprowadzić do jego izolacji. Dlatego też z tak wielką skwapliwością niszczone wszelkie konspiracyjne druki, jako niepasujące do mozolnie budowanego wizerunku „bandyckiego podziemia”, przez ogół społeczeństwa przyjmowany z czasem za prawdziwy. Akcja tego typu systematycznie prowadzona jest do chwili obecnej przez wydawanie w wielkich nakładach książek i rozpowszechnianie filmów przedstawiających czasy powojenne w fałszywym świetle.

Ilość pism wydawanych w tym czasie musiała sięgać kilkuset. Ponieważ często nawet ich ślady były systematycznie niszczone przez funkcjonariuszy UBP, prawdopodobnie dopiero kiedyś, gdy będzie możliwy dostęp do archiwów tej instytucji, znajdzie się

więcej materiałów na ten temat. Równie trudny jest dostęp do prywatnych archiwów i zbiorów z tamtego okresu, które ocalały głęboko ukryte i nadal są niedostępne, często z lęku przed ich unicestwieniem.

Poniżej podaję wykaz 106 tytułów prasy konspiracyjnej wydawanej po wojnie, jakie wynotowałem z nielicznych drobnych wzmianek rozproszonych po wielu artykułach i monografiach dotyczących najnowszej historii Polski:

1. Agencja Prasowa 1945.
2. AS 1945.
3. Biuletyn informacyjno-propagandowy 1946.
4. Biuletyn informacyjny, Białystok 1945.
5. Biuletyn informacyjny, Rzeszów 1944-1945.
6. Biuletyn informacyjny, UPA 1947.
7. Biuletyn Informacyjny Ziemi Białostockiej.
8. Biuletyn Kresowy 1945-1946.
Biuletyn Wewnętrzny Kresowiaków zob. Biuletyn Kresowy.
9. Centralny Biuletyn Wewnętrzny 1945-1946.
10. Chłopka 1944.
11. Chrobry Szlak 1945.
12. Doraźne wiadomości.
13. Echa Leśne.
14. Głos 1944-1945.
15. Głos Bałtyku.
16. Głos Jedności Polskiej 1945-1947.
17. Głos Ludu.
18. Głos Opozycji 1946.
19. Głos Polski.
20. Głos Polski 1944-1945.
21. Głos Wolności „W” 1945.
22. Głos Ziemi Białostockiej.
23. Głos Ziemi Lidzkiej 1944.
24. Honor i Ojczyzna, Lublin 1946.
25. Honor i Ojczyzna, Warszawa 1946.
26. I.S.P. 1945-1946.
27. Informacja.
28. Informacja Lwowska 1944-1945.
29. Informacja polityczno-prasowa 1944.
30. Informator 1946.
31. Informator wewnętrzny Roju Szarych Szeregów w Zbigniewowie 1945.
32. Komunikat 1944-1945.
33. Komunikat 1944.
34. Konspekty Propagandowe 1945.
35. Krajowy Biuletyn Informacyjny.
36. Ku Wolności.
37. Lwowski Informator 1944.
38. Lwowski Kurier 1944.

39. „M” Wolny Naród 1945.
40. Materiały dla terenu 1945-1946.
41. Mazowiecki Biuletyn.
42. Młoda Polska 1945-1947.
43. Monitor Białostocki 1945.
44. Mówi Polska Zakonspirowana 1946-1947.
45. Myśl Młodych 1945.
46. Myśl Niezależna 1945.
47. Na Posterunku 1944.
48. Naród w Walce 1946.
49. Nasza Droga 1945.
Nasze Wieści zob. W imię przyszłości.
50. Niepodległość 1946.
51. Niepodległość 1946.
52. Niezawisłość 1945-1946.
53. Nowy Zew 1945.
54. Orzeł Biały 1946.
55. Pociągiciel 1944.
56. Polacy 1945-1946.
57. Polonia 1945.
58. Polska i świat 1945.
59. Polska Niepodległa 1946.
60. Polska Niezawisła 1945-1946.
61. Polskie Słowo 1946.
62. Przebojem 1944.
63. Przegląd Prasowy.
64. Przegląd Polityczny 1947.
65. Przejrzały oczy nasze (ew. broszura) 1946.
66. Przez wieś do potęgi Polski.
67. Puszcza szumi.
68. Reduta 1944.
69. Reduta (50 numerów) 1944-1945.
70. Rzeczpospolita Polska 1945.
71. Słowo Polskie/Lwów, 1944-1946.
72. Słowo Polskie 1946.
73. Sprawy Polskie 1945.
74. Strażnik 1945.
75. Sygnał.
76. Szaniec 1945.
77. Szczerbiec 1945.
Szlak Chrobrego zob. Chrobry Szlak.
78. Szlakiem Narbutta 1944.
Świt zob. W imię przyszłości.
79. Tęcza 1945.
80. Tęcza 1946.
81. W imię przyszłości 1944.
82. W Polsce podziemnej 1945.
83. W świetle prawdy 1945-1946.

84. Walka 1945.
85. Warszawski Głos Narodowy 1945.
86. Wiadomości Bieżące 1945.
87. Wiadomości Lubelskie 1944-1945.
88. Wiadomości Polskie.
89. Wiadomości Radiowe 1945.
90. Wielka Polska 1945.
91. Wieści 1944-1945.
92. Wolne Słowo 1945.
93. Wolność 1945-1946.
94. Wolność 1945-1946.
95. Wolność 1945.
96. Wolność, Krucjata 1946.
97. Wolność i Niezawistość 1945.
98. Wolność i Prawda 1945.
99. Wolność Słowa 1945.
100. Wolność Słowa.
101. Wolny Naród 1945.
102. Wszechpolak 1945-1946.
103. Wytrwamy 1944-1945.
104. Zatruta Pigułka.
105. Zrąb.
106. Żołnierz Obywatel 1944.

Jeszcze na początku lat 50-tych — w okresie szczytu stalinowskiego terroru — kiedy to nawet za powtórzenie informacji radia zachodniego groziły i były wydawane wyroki wieloletniego więzienia — ukazywały się sporadycznie pisemka, ale już w niewielkich nakładach, w maszynopisie lub rękopisie, jak np. wiadomości z nasłuchu Radia Wolna Europa.

Sporo ulotek zostało wydanych w 1957 po zamknięciu *Po prostu*, podobno ukazało się też kilka powielanych broszur.

W ciągu następnych kilkunastu lat, do 1968 roku, od czasu do czasu pojawiały się ulotki wydawane prymitywną techniką czy to przepisane na maszynie czy wykonane na dziecięcej drukarence. Wraz ze wzrastającymi z roku na rok ograniczeniami cenzury, zwiększała się ilość tekstów niedopuszczonych do druku. Zaczęły one krążyć w odpisach, fotokopiach, i maszynopisach. W ten sam sposób były powielane teksty książek i pism emigracyjnych. Pojawiały się też utwory satyryczne, pisane z myślą o tym sposobie rozpowszechniania. Z czasem ten niezależny ruch wydawniczy — klasyczny „samizdat” — upowszechniał się coraz bardziej, docierając do nowych środowisk. Spowodowało to gwałtowną reakcję władz — i w drugiej połowie lat 60-tych, orzeczeniem Sądu Najwyższego — maszynopis został uznany za druk, i za przepisywanie na maszynie można było otrzymać wieloletni wyrok.

Marzec 1968 przyniósł rozwój nielegalnych wydawnictw. Ukażało się — co najmniej — kilkadziesiąt rozmaitych ulotek, czasem w sporych ilościach, już z zastosowaniem powielania białkowego, głównie w Warszawie i Krakowie, a także we Wrocławiu, Gdańsku i Poznaniu.

W ciągu kolejnych trzech lat wydano sporo ulotek, ukazując się kilka pism: *Biuletyn Niecenzurowany* (kilkunastostronicowy, powielany w formacie A4 biuletyn, w tysięcznym nakładzie), *Biuletyn* grupy Ruch (kilkanaście numerów, rozpowszechnianych w nakładzie 200 egzemplarzy), pismo późniejszego działacza KOR (kolportowane w 30 egzemplarzach odbitek fotograficznych). Znaczne nasilenie akcji ulotkowej przynosi przełom 1970/1971 — Grudzień i strajki styczniowe, wydawano głównie komunikaty komitetów strajkowych, ale pojawia się też i publicystyka, a także rozmaite ballady, piosenki i wiersze.

Poprawa sytuacji ekonomicznej przynosi chwilowy zastój w nielegalnej działalności wydawniczej, chociaż sporadycznie pojawiają się jak np. w 1972 w Gdańsku, ulotki wzywające do bojkotu wyborów.

Zwiększenie liczby wyjazdów zagranicznych znacznie zwielokrotniło ilość przemycających do Polski wydawnictw emigracyjnych, rozbudzając zapotrzebowanie na „wolne słowo”. Wiele z tych książek zaczęło krążyć w maszynopisowych odpisach, kopiach kserograficznych i odbitkach fotograficznych. Częstszy stał się „nietechniczny towarzyski obieg tekstów” czyli puszczanie w obieg maszynopiśmiennych kopii tekstów nie dopuszczanych do druku.

Od grudnia 1975 roku, kiedy to w Lublinie rozlepiono klepsydry nawołujące do uczczenia grudniowej rocznicy, trwa nieprzerwanie do dziś niezależna działalność wydawnicza o coraz szerszym zasięgu społecznego oddziaływania. Początki jej były skromne: ulotka powielona prymitywną techniką w niewielkim nakładzie. Kilka miesięcy później pojawiło się powielane pismo *U progu*, po dalszych kilku tygodniach pierwsze powielane broszury, w kilkusetegzemplarzowych nakładach. W ciągu następnych miesięcy do Sierpnia ukazywało się koło stu tytułów czasopism w nakładach sięgających nawet kilkudziesięciu tysięcy, około 300 książek i broszur nierzadko wydawanych w kilku tysiącach sztuk, niektóre z nich miały po kilkaset stron.

Rósł poziom edytorski, stosowano coraz lepsze techniki druku, umożliwiające uzyskiwanie coraz wyższych nakładów i coraz lepszą czytelność.

Szczytowym okresem rozwoju niezależnego ruchu wydawniczego było szesnaście miesięcy Solidarności, kiedy to działalność wydawnicza stała się powszechna i półjawna. W całym kraju

ukazywało się około dwóch tysięcy pism związkowych, studenckich i niezależnych. Dwieście oficyn wydawniczych, wśród nich działające od 1977 roku wydało ponad tysiąc książek i broszur, często w wielotysięcznych nakładach. Był to okres, kiedy jak zauważył Jan Kott, przybyły do Polski po 13 latach „najbardziej uderzyła mnie ta nowa zwyczajność wydawnictw bez cenzury. Właśnie zwyczajność”.

Wprowadzenie stanu wojennego nie przerwało niezależnego ruchu wydawniczego. Zrazu nastąpiło znaczne jego osłabienie, spowodowane szokiem po ogłoszeniu stanu wojennego, zlikwidowaniem sporej części bazy poligraficznej, jak i internowaniem tysięcy ludzi związanych z działalnością wydawniczą. Na szczęście ruch ten stosunkowo szybko się odrodził. Nie osiągnął wprawdzie poziomu „przedwojennego”, roku 1981, ale osiągnięcia jego — obecnie w warunkach pełnej konspiracji — jak tuż po wojnie — są nadspodziewanie duże.

Stan wojenny (13. 12. 1981 - 31. 12. 1982) — ok. półtora tysiąca tytułów podziemnych gazetek i ponad 280 książek i broszur.

Zawieszony stan wojenny (1. 01. - 22. 07. 1983) — kilkaset tytułów podziemnych gazetek i ponad 270 książek i broszur.

Okres amnestyjny (22. 07. - 31. 12. 1983) — kilkaset tytułów gazetek i ok. 290 książek i broszur.

Okres międzyamnestyjny (1. 01. - 22. 07. 1984) — kilkaset tytułów podziemnych gazetek i ponad 350 książek i broszur.

Czyli w ciągu 2 i pół roku od ogłoszenia stanu wojennego światło „podziemne” ujrzało znacznie ponad 1.200 książek i broszur, o globalnym nakładzie szacowanym na nie mniej niż 2-2,5 miliona egzemplarzy.

Nic więc dziwnego, że przy takich rozmiarach działalność wydawnicza jest zauważana nie tylko przez SB, ale i przez wydawców oficjalnych. Niedawno prezes Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, w wywiadzie udzielonym *Polityce*, przyznał, że „nielegalny drugi obieg istnieje”, ale on jest przekonany „że przy cierplivej polityce kulturalnej drugi obieg będzie się stopniowo kurczył. Bo przecież nawet pisarze, którzy z tej formy wydawniczej korzystają, wiedzą, iż pewne książki funkcjonują tylko poprzez tytuł, na zasadzie czegoś zakazanego. W większości wypadków jest to twórczość na bardzo przeciętnym poziomie. Tak więc sam współudział w drugim obiegu przestaje być satysfakcjonujący. Część autorów deklaruje zresztą gotowość powrotu tutaj”.

Oczywiście należy spodziewać się że najbliższy rok przyniesie zmniejszenie się ilości wydawnictw „drugiego obiegu”, ale w najbardziej pesymistycznych prognozach nie przypuszcza się, by nastąpiła jego likwidacja. W ciągu 40 lat Polski Ludowej nie spotykałem wydawnictw nielegalnych w kilku najwyższych latach.

Witold PILECKI

PRZEMÓWIENIE MINISTRA JÓZEFA BECKA

Przemówienie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, wygłoszone dnia 30 września 1939 roku o godzinie 21-szej w hotelu „Racovita” w miejscowości Slanic w Rumunii, gdzie znajdowała się siedziba rządu gen. Składkowskiego. Przemówienie wygłoszone było do grona urzędników MSZ, zaproszonych przez ministra do jego prywatnego gabinetu. (Poniższy tekst jest streszczeniem, przejrzanym przez ministra około 2 miesiące po wygłoszeniu przemówienia).

„Uważam za konieczne — oświadczył minister — dać Państwu przegląd ostatnich wydarzeń. Chodziło o to, aby pod żadnym warunkiem nie doszło do przerwania ciągłości suwerenności władz państwowych. Dlatego już dawno w porozumieniu z aliantami ustalone zostało, opierając się na precedensach historycznych, że w jednym z państw kombatanckich wyznaczony będzie obszar eksterytorialny, na którym najwyższe władze Państwa Polskiego będą mogły kontynuować suwerenną działalność. Wojna obecna jest bowiem wojną koalicyjną, a nie wojną we dwójkę. W wojnie koalicyjnej trzeba się liczyć, że jedno z państw zostaje okupowane przez nieprzyjaciela.

Na skutek nalegania aliantów (co podaję jako fakt historyczny) przeniosłem swoją siedzibę z Kwatery Głównej Wodza Naczelnego do siedziby korpusu dyplomatycznego i biur ministerstwa, tj. do Krzemieńca. W czasie wojny minister spraw zagranicznych więcej może niż jego koledzy [i] powinien przewidywać, i to przewidywać nawet rzeczy najgorsze. W drodze dyplomatycznej ustalony został z Rumunią, państwem *soi-disant* sojusznikiem, wolny przejazd Głowy Państwa i Rządu.

Mimo że chodziło tu o *casus foederis*, Polska chciała tylko wolnego przejazdu, na który uzyskała zgodę rządu rumuńskiego. Ale jak to w życiu bywa, w pewnych wypadkach wchodzi w grę element prawa i element strachu. W tym wypadku zwyciężył strach nad prawem. Chociaż, jak w ostatniej chwili donoszą mi, żaden z prawników rumuńskich nie kwestionuje, że prawo nie zostało w tym wypadku poszanowane. W tych warunkach uniemożliwione zostało Głowie Państwa i Rządowi wykonywanie Ich funkcji. Wobec tego Pan Prezydent postanowił skorzystać z przysługującego mu prawa i zrealizować poprzednio już przygotowany i dobrze zabezpieczony akt zapewniający ciągłość władz Rzeczypospolitej. Pan Prezydent ustąpił i następcą Jego jest p. Władysław Raczkiewicz, przebywający w tej chwili w Paryżu. Z tą chwilą Głową Państwa jest p. Władysław Raczkiewicz i On jest wyrazicielem suwerenności Rzeczypospolitej. Rząd podał się do dymisji. Wszystko, co Pan Prezydent robił, to Rząd popiera, albowiem pomimo wszelkich kordonów policyjnych został nawiązany z Nim kontakt. Od jutra władzę Rzeczypospolitej sprawować będzie Rząd, wyznaczony przez nowego Prezydenta w Paryżu”.

W końcowych słowach minister podziękował urzędnikom za ich pracę, oświadczać że będą mogli dalej służyć Państwu swym długoletnim doświadczeniem bądź w urzędach, bądź w wojsku.

Pierwsza rozmowa o ewentualnym przeniesieniu siedziby Prezydenta i rządu polskiego i zastosowania *cas belge* miała miejsce już w Krzemieńcu dnia 12 września 1939 między ministrem Beckiem, ambasadorem Noëlem i ambasadorem Kennardem. Minister wtedy zwrócił się do rządu francuskiego i angielskiego, by taką konieczność przewidywali (godz. 18.15 dnia 13 września 1939).

Druga rozmowa, już tylko z ambasadorem Noëlem, była w Kutach dnia

17 września 1939 o godz. 5-tej popołudniu. Rano bowiem tego dnia Sowietci wkroczyli do Polski. Minister prosił ambasadora Noëla o powiadomienie rządu francuskiego, że z powodu wkroczenia Sowietów zostało zawarte porozumienie z rządem rumuńskim, że prezydent i rząd mają zamiar tylko przejechać JAK NAJSZYBCIEJ przez Rumunię do Konstancy, tam załatwiać się na okręt wojenny angielski lub francuski, by dalej przedstawiać interesy Polski na terenie francuskim. Prosi Noëla o skontaktowanie się najszybsze z Paryżem. Zaraz potem Rada Państwa się zebrała i opracowano odezwę Prezydenta RP o konieczności przekroczenia granicy polskiej i przeniesienia władz naczelnych do Francji. By to doszło do wszystkich naszych placówek dyplomatycznych i prasy, dodatkowo odezwa ta została doręczona konsulowi Bujnowskiemu w Czerniowcach, by to przekazać radiem. O to potem mieli pretensje Rumuni, że to stało się z ich terenu wbrew konwencji haskiej o neutralności. Był to tylko pretekst, bo odezwa była wydana i ogłoszona jeszcze w Polsce w Kutach, a tylko powtórzona potem w Czerniowcach w konsulacie RP polskim radiem”.

S. TATAR

GEN. TATAR A POWSTANIE WARSZAWSKIE

Zamieszczamy poniżej odręczny list generała St. Tataru do prof. dr. Janusza K. Zawadnego, który Profesor nam udostępnił.

Warszawa, 1. XI. 69.

Szanowny Panie Profesorze,

List Pański z września br. świadczy o tym, że nie dotarła do Pana moja relacja; wysłałem ją — zgodnie z moją zapowiedzią — w początkach lipca br., cóż, nie każdy list dociera do rąk adresata. Obecnie, korzystając z nadarzającej się okazji, wysyłam ponownie moje wspomnienia.

1) Ponad cztery lata przepracowałem w Komendzie Głównej ZWZ, a następnie AK, początkowo na stanowisku szefa O. III (oddziału operacyjnego), a od jesieni 1941 roku na stanowisku szefa operacji KG AK z równoczesnym zachowaniem kierownictwa O. III.

Istota mej działalności przy osobie Komendanta Głównego sprowadzała się do roli jego doradcy, pomocnika i zastępcy w dziedzinach: oceny położenia, planowania rozwoju konspiracji i walki, określania zasad i form działania oraz doboru środków walki i sposobów użycia ich w walce.

2) Na podstawie studiów nad położeniem Polski (wewnętrznym i zewnętrznym) oraz nad możliwościami naszymi walki w kraju,

studiów prowadzonych przy boku „Grota”, opracowany został w latach 1940-1942 plan powstania powszechnego, zwany „Planem operacyjnym W”. Byłem jego współautorem (poza „Grotem” duży wkład wniósł „Dzięcioł” — ppłk dypl. Marian Drobik).

W początkach 1943 roku byłem wnioskodawcą zrezygnowania z tego gruntownie już przygotowanego w kraju powstania powszechnego i zastąpienia planu „W” innym planem walki, możliwym do zrealizowania w zarysowujących się wówczas innych, zgoła odmiennych warunkach na terenie kraju, z jakimi liczyć się należało od wiosny 1943 roku.

Koncepcja i intencja „Grota” legły u podstaw opracowanego jesienią 1943 w KG przy moim udziale Planu Operacyjnego „Burza”.

3) W planie „W” przewidywaliśmy walkę powstańczą w całym niemal kraju, w tym również wewnątrz Warszawy. Natomiast w tzw. „konspiracyjnej walce bieżącej”, poprzedzającej przewidywane powstanie powszechne, jak również w jawnych akcjach „Burzy”, wykluczaliśmy walkę w dużych miastach. Chodziło o to, by nie dawać nieprzyjacielowi okazji do zmasowanych odwetów w postaci mordów i zniszczeń.

4) Reprezentowałem typ realisty i mocno się różniłem w poglądach na sposoby organizowania walki z grupą „romantyków”, bo tacy też działali w KG AK.

Jako realista dopuszczałem w akcjach „Burzy” lokalne powstańcze zrywy, skierowane przeciwko ostatnim elementom straży tylnych cofającego się frontu niemieckiego, ale wykluczałem je w dużych skupiskach polskich. Umacniało mnie w tej postawie przekonanie, że reprezentuję również realizm nieobecnego już „Grota”. Bowiem w czasie opracowania planu „Burza” miejsce po „Grocie” zajmował „Bór”, z tym, że faktycznie władzę sprawował (jak to nieraz bywało w każdym wojsku) szef sztabu — „Grzegorz” (gen. T. Pełczyński), przywódca grupy „romantyków”, których celem było uchwycenie władzy w swe ręce. U podstaw głębokich różnic w poglądach na walkę w kraju i ostateczne cele tej walki („o jaką Polskę walczymy?”) „Grzegorza” i moich leży fakt, że w kwietniu 1944 roku znalazłem się w Anglii i pozostałem tam do końca wojny.

5) Przebywając w sztabie Naczelnego Wodza w Londynie na stanowisku zastępcy szefa sztabu N.W. do spraw krajowych byłem nadal przeciwny wszczynaniu jawnej walki w dużych skupiskach ludności polskiej. Gdy jednak do takiej walki doprowadzono w Warszawie, czyniłem wszystko na moim stanowisku, aby ją wesprzeć tym, czym dysponowaliśmy lub co mogliśmy uzyskać od aliantów.

6) Szerzy się legendę, że powstanie w Warszawie zostało zarządzane z Londynu. Prawda jest inna: zostało ono zainicjowane i zarządzane w Warszawie. Grupę inicjatywną stanowili:

a) szef sztabu AK „Grzegorz” oraz b) „Niedźwiadek” (L. Okulic-

ki) przybyły przetrzudem powietrznym do kraju w miesiąc po moim opuszczeniu Polski. Nadano mu tytuł „szefa operacji”, choć komórki dawnego sztabu operacyjnego już nie było; faktycznie był on zastępcą szefa sztabu AK.

Potwierdzenie tej prawdy znajdzie Pan w artykule płk. dypl. J. Szostaka („Filip”) w nr. 31 tygodnika *Stolica* z dn. 3. 8. 69 oraz w wypowiedzi „Kuczaby” w nr. 39 tejże *Stolicy*. „Grzegorz” i „Niedźwiadek” powzięli decyzję o konieczności powstania w Warszawie już około połowy lipca; zjednali dla niej około 21 lipca gen. Komorowskiego.

Z posiadanej przez mnie relacji gen. Skroczyńskiego („Łaszcz”), k-ta Obszaru Warszawskiego, wynika, że w dn. 22 lipca przed południem odbyła się odprawa w KG. Byli obecni: „Bór”, „Grzegorz”, „Niedźwiadek”, „Łaszcz”, płk dypl. Władysław Fronczek — szef sztabu Obszaru Warszawskiego i „Monter”. Prowadził odprawę gen. Pełczyński. Po mglistym scharakteryzowaniu sytuacji na froncie podał, że a) niewykluczona jest wkrótce walka o Warszawę, b) okręg stołeczny zostaje dziś wyłączony z obszaru i podlega bezpośrednio Komendzie Głównej.

„Grzegorz” i „Niedźwiadek” po południu dn. 31 lipca wymusili na „Borze” zarządzenie powstania w Warszawie, uzyskując równocześnie zgodę na nie Głównego Delegata Rządu na Kraj, wicepremiera Stanisława Jankowskiego („Soból”).

7) Powstanie warszawskie było wielką operacją powstańczą; dało ono wiele godnych studiowania form i przejawów powstańczej walki w dużym mieście; zaślętnęło na cały świat wyjątkowym męstwem i bezgranicznym oddaniem się sprawie walczących żołnierzy i wspomagającej ich ludności stolicy.

Jednakże z punktu widzenia wojskowego było operacją chybioną, z góry skazaną na niepowodzenie — jako źle zarządzona na skutek złej oceny położenia oraz złego wyboru dnia i godziny rozpoczęcia. Popełniono szereg ciężkich błędów, jak:

a) zbagatelizowanie czy też karygodne niedocenienie niebezpieczeństwa wiszącego nad powstaniem ze strony przebywającego w Skierniewicach d-cy 9 Armii Niemieckiej, będącej w trakcie wyładowywania się tuż na zachód od Warszawy, a mającej niektóre oddziały wysunięte na wschód od Wisły.

b) wyrażenie zgody na wykonanie uderzenia przez Okręg Stołeczny w oparciu o nieaktualny od z góry roku plan powstania powszechnego.

c) dopuszczenie do przedwczesnego zarządzenia przez „Montera” tzw. „pogotowia”, a następnie odwołanie go przez „Grzegorza”, co doprowadziło do zaalarmowania wroga i pozbawiło całkowicie zgrupowania powstańcze czynnika zaskoczenia, bez którego strona słabsza nie mogła liczyć na powodzenie.

d) zgoda na rozpoczęcie walki o godz. 17-tej była to decyzja zabójcza dla atakujących zgrupowań powstańczych słabo uzbrojonych.

e) umieszczenie m.p. KG w fabryce Kamlera na Woli — tam-
tędy przebiegały główne arterie komunikacyjne 9 Armii Niemiec-
kiej z jej wysuniętymi za Wisłę oddziałami itd.

Wyjaśnienia zawarte w mej wypowiedzi zostały przedyskuto-
wane z „Łaszczem” i „Kuczabą” (płk dypl. Kazimierz Pluta-Cza-
chowski, szef O.X. KG) i w pełni przez nich podzielane.

Co do innych spraw poruszonych w ostatnim liście Pańskim,
odpowiadam krótko:

I) 1.000 dokumentów nie zabrałem; płk dypl. Marian Utnik,
szef O.V. sztabu N.W., sporządził fotokopie z kilkuset dokumen-
tów i przekazał je do Polski, chciał bowiem, by kraj również
posiadał dowody prawdy z okresu okupacji. Chciał też uniemożli-
wić „niezłomnym” historykom wprowadzenie do tych dokumen-
tów różnych poprawek, jak to już kiedyś bywało.

Pewną ilość tych fotokopii i ja zabrałem do kraju; nie wy-
wiozłem natomiast ani jednego oryginału, nie stanowiącego mo-
jej własności osobistej.

II) Pieniądze przekazałem do Narodowego Banku Polskiego
z przeznaczeniem na odbudowę gospodarczą kraju. Gdy byłem
wraz z ówczesnym premierem Mikołajczykiem w USA latem 1944
roku i czyniłem starania o pomoc dla AK, prezydent Roosevelt
wyasygnował 10 mln dolarów, zażądał jednak zapewnienia, że cała
ta suma będzie użyta wyłącznie na potrzeby kraju. W związku
z tym kilku moich współpracowników wraz ze mną musiało prze-
zwyciężyć ogrom trudności, by te pieniądze dostały się do Polski.

III) Odnośnie „nie przekazywania depesz” znajdzie Pan wy-
czerpujące wyjaśnienie we wspomnieniach gen. S. Kopańskiego.

Jeśli by trzeba było naświetlić jeszcze jakieś wydarzenia, w
których byłem współuczestnikiem, chętnie to uczynię zgodnie z
prawdą, bowiem nie uczyniłem nic takiego, co musiałbym ukry-
wać.

Kończąc pragnę Pana zapewnić, że przez całe życie starałem
się służyć memu narodowi możliwie najlepiej. Mimo najszczer-
szych chęci i intencji popełniłem zapewne wiele błędów wynika-
jących z niedostatecznej znajomości tego lub innego zagadnienia
bądź też z mylnej oceny posiadanych danych.

Za wszystkie moje niedociągnięcia czy błędy zapłaciłem bar-
dzo drogo; wiele też przecierpiałem za winy tych, którzy do tej
pory nie szczerzą mi oszczerstw.

Życzę Panu powodzenia w pracy, jakiej się Pan podjął i łączę
pозdrowienia.

S. TATAR, gen.

KRONIKA

Józef GARLIŃSKI

KONFERENCJA HISTORYKÓW W LONDYNIE

Kilka miesięcy temu odbyła się w Londynie międzynarodowa konferencja historyczna, zorganizowana przez Brytyjski Narodowy Komitet Historii Drugiej Wojny Światowej. Tematem konferencji była brytyjska polityczna i wojskowa strategia na terenie środkowej, wschodniej i południowej Europy w roku 1944, zaproszono więc, obok wielu Brytyjczyków, historyków i świadków wydarzeń z Bułgarii, Czechosłowacji, Grecji, Jugosławii, Węgier, Włoch i Polski. Sprawy rumuńskie referował historyk brytyjski. Był także jeden Niemiec z niemieckiego Instytutu Historycznego w Londynie, jeden Duńczyk i jeden Belg. Mnie zaproszono jako polskiego historyka przebywającego stale na emigracji.

Dwie były charakterystyczne sprawy, które wybiły się na czoło dyskusji i o których trzeba wspomnieć. Pierwsza dotyczyła naszego kraju, od niej więc zacznę.

Organizatorzy zaprosili z Polski dwóch komunistycznych historyków: Eugeniusza Duraczyńskiego i Czesława Madajczyka. Pierwszy nie przyjechał i przysłał nieszkodliwy referat o lokalnych działaniach podziemnych pod niemiecką okupacją, Madajczyk przyjechał i bronił też swego francuskiego referatu, „Polska i Wielka Brytania w roku 1944”.

Prof. Madajczyk jest komunistą, ale jest także Polakiem i his-

torykiem, można więc było przypuszczać, że jego tezy nie będą zbyt krańcowe i szkodliwe. Nie chodzi już nawet o karkołomne komentarze. Według niego stworzenie przez Stalina w Moskwie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego było początkiem polskiej rewolucji; Powstanie Warszawskie było próbą postawienia świata wobec faktów dokonanych itd. Niestety prof. Madajczyk uruchomił znany komunistyczny mechanizm fałszowania faktów. Oto najjaskrawsze przykłady: a) Po konferencji w Teheranie rząd polski w Londynie miał kilka możliwości, między innymi sojusz ze Związkiem Sowieckim. Rząd polski tę możliwość odrzucił. b) Gdy na wiosnę 1944 roku, na Wołyniu, nastąpił pierwszy kontakt 27 wołyńskiej dywizji AK z Armią Czerwoną i wyłoniła się możliwość współdziałania, rząd polski możliwość tę odrzucił. Było akurat odwrotnie. c) W czasie Powstania Warszawskiego Brytyjczycy odmówili przerzucenia Samodzielnej Brygady Spadochronowej do stolicy. Znowu fałsz: przerzucenie brygady było technicznie niemożliwe i dlatego rząd polski zgodził się na wykorzystanie jej w drugim rzucie inwazji kontynentu.

Mój udział w konferencji musiałem częściowo poświęcić na prostowanie fałszów polskiego historyka. Wolałbym, by też sowieckich bronił sowiecki historyk, wtedy przynajmniej jego motywacja byłaby uzasadniona.

Drugą charakterystyczną sprawą, która zdominowała konferencję, była zmiana frontu historyków brytyjskich odnośnie inwazji kontynentu europejskiego, opanowanego przez Hitlera. Powszechnie znany jest fakt, że Churchill chciał innego zakończenia wojny i że był gorącym propagatorem ataku na kontynent od Bałkanów. Było to fizycznie możliwe i gdyby tak się stało, alianckie dywizje znalazłyby się na Węgrzech, w Austrii, w Czechosłowacji i, oczywiście, w Polsce przed dywizjami czerwonymi. Jakież byłyby dziś układ sił w Europie, ile krajów byłoby wolnych?

Koncepcja Churchilla jest powszechnie znana, on sam wspomina o niej w swoich pamiętnikach, historycy wielu krajów przyjęli ją jako pewnik. A tymczasem teraz zaprzeczają jej historycy brytyjscy. Na omawianej tu konferencji jeden po drugim stwierdzali, że nie było takiej koncepcji, że była ona niewykonalna itd. Skąd się to bierze, skąd taka postawa ludzi, których o świadomy fałsz posądzić nie można? Sądzę, że wywodzi się to z krańcowo pragmatycznego pojmowania historii, co charakteryzuje Brytyjczyków. Oni odrzucają romantyzm, prawie nigdy nie godzą się na „moralne” zwycięstwa. Przegrana jest przegrana i koniec. Tamtą sprawę Brytyjczycy przegrali, wygrali Roosevelt i Stalin, a skoro tak, lepiej o tym zapomnieć, wymazać z historii, wykreślić z pamięci.

Józef GARLIŃSKI

PARĘ SŁÓW O POWSZECHNYM ZJEŹDZIE HISTORYKÓW

Czy nie jest to dziwne, że w kraju, w którym brakuje gumki do majtek, pasty do zębów, skarpetek i herbaty, istnieje wciąż rosnący popyt na historię? Czy wzmożone zainteresowanie dziejami Polski wynika z potrzeby ucieczki od trudności dnia codziennego? Czyżby historia naszego kraju mogła działać jako środek kojący? Ożywione zainteresowanie historią może być reakcją na planowe jej wykoślawianie przez oficjalną literaturę i podręczniki szkolne, tendencyjne tworzenie białych plam, tak zwanych obszarów milczenia, które prowokują do wypełnienia ich treścią i kolorem. Często działa więc duch przekory, który staje się formą obrony przeciw przymusowemu spożywaniu bezbarwnej, po mark-sistowsku przyrządzonej papy. Prowadzi to czasem do niepotrzebnego tworzenia mitów historycznych. Nie można wreszcie pominąć przyczyn głębszych, jak potrzeba identyfikacji z narodem, którego niezależność została pogwałcona.

Dużą rolę w upowszechnianiu i rozwijaniu wiedzy historycznej spełnia istniejące prawie sto lat Polskie Towarzystwo Historyczne. Jednym z głównych jego zadań jest zwoływanie zjazdów historyków, w czasie których badacze różnych dziedzin i okresów mogą prezentować swój dorobek, polemizować i konfrontować metody badawcze. Od dawna wprowadzono też zasadę powszechności zjazdów, to jest włączenie do udziału w nich nie tylko wybitnych naukowców, ale wszystkich miłośników historii. Zjazdy Polskiego Towarzystwa Historycznego, które zapoczątkowane zostały w latach niewoli narodowej (w 1880 roku) były zawsze barometrem nastrojów społeczeństwa. Przed odzyskaniem niepodległości stwarzały okazję do jednoczenia historyków z trzech różnych zaborów i pomagały utrzymywać tak ważną wówczas świadomość narodową. W wolnej Polsce Towarzystwo było bardzo aktywne w organizacji szkolnictwa i opracowywaniu podręczników szkolnych — na zjazdach ścierały się różne koncepcje metodyczne. Wznowione po drugiej wojnie światowej zjazdy historyków w PRL-u odbywały się z konieczności pod parasolem marksizmu, co na pewno nie sprzyjało rozwojowi badań historycznych. Przez dziesięć lat, od 1948 do 1958 roku, zjazdy się w ogóle nie odbywały. Wreszcie przyszedł rok 1980 i bezcenne szesnaście miesięcy napięcia i nadziei. Wtedy to właśnie wzrósł ogromnie popyt na historię. Ukazały się zakazane przedtem książki historyczne, rozbijywane przez czytelników. Zaczęto głośno mówić o przemierzanych dotychczas rozdziałach naszej historii.

W tej atmosferze trwały przygotowania do trzynastego Zjaz-

du Polskiego Towarzystwa Historycznego, który miał się odbyć w Poznaniu w dniach od 6 do 11 września 1984 roku. Tematem zjazdu było „Historia i Społeczeństwo”. Stan wojenny zawiesił działalność PTH. Ówczesny prezes prof. H. Samsonowicz nie cieszył się zaufaniem władz. Wydawało się, że zjazd się nie odbędzie.

Jednak w 1982 roku zjazd dostał zielone światło, a Polskie Towarzystwo Historyczne nowego prezesa, którym został prof. A. Zahorski. Uintensywniono przygotowania, aby zdążyć na wrzesień 1984. Nie było to proste. Zjazd historyków, i do tego powszechny, mógł się okazać niebezpiecznym eksperymentem. Cena za tak zwaną normalizację i nawiązanie dialogu ze społeczeństwem okazać się mogła za wysoka. Władze zaczęły piętrzyć trudności.

W lutym 1984 wysunięto sugestię odwołania zjazdu, tłumacząc się brakiem pieniędzy. Trudność tę pokonano obciążając kosztami uczestników. W marcu zakwestionowano powszechność zjazdu, domagając się aby obrady były zredukowane jedynie do środowiska akademickiego. Po długich i męczących przetargach z dygnitarzami z Ministerstwa Oświaty powszechność zjazdu została zaakceptowana. Wtedy zaczął budzić zastrzeżenia program. Sugerowano usunięcie pewnych kontrowersyjnych tematów, takich jak: „Elity polityczne w Polsce Ludowej (1944-1948)”, „Etyka nauczycieli historii” i „Międzynarodowe aspekty Powstania Warszawskiego”. Na koniec odmówiono przyznania funduszy na zaproszenie historyków z innych krajów, tyleż z Ameryki, Francji czy Kanady, co z krajów Europy wschodniej. Dr J. Ciechanowski przybył z Anglii na własny koszt. Jego to właśnie wykład o Powstaniu Warszawskim cieszył się największą frekwencją.

Walka o to, by zjazd się odbył w zamierzonej formie i czasie kosztowała zarząd PTH немало nerwów i wiele godzin spędzonych na targowaniu się z różnymi twardogłowymi czynownikami, którzy działali według ukazu z góry. Jak w końcu zarządowi PTH udało się wygrać tę batalię — trudno odgadnąć. Może chodziło o uspokojenie opinii publicznej przed wyborami do rad narodowych lub o okazanie wspaniałomyślności z okazji czterdziestolecia PRL-u.

Ostatnią próbą zastraszenia środowiska historyków było „zaproszenie” prof. A. Zahorskiego na kilkugodzinną pogawędkę do pałacu Mostowskich w momencie gdy wybierał się do Poznania na zebranie organizacyjne zjazdu.

Wbrew tym wszystkim trudnościom powszechny zjazd historyków odbył się ku zadowoleniu jego uczestników, którzy przybyli w liczbie 1650. Mieli możliwość słuchania wykładów i dyskusowania na wszystkie możliwe tematy, od społeczeństwa schyłku republiki rzymskiej poprzez Polskę średniowieczną, „rządy woj-

skowe w Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej" do „przemocy w masowych ruchach społecznych". Te dwa ostatnie tematy były kwestionowane jako kontrowersyjne.

Zaproszeni przedstawiciele oficjalnych władz węszyli prowokację i skandal polityczny, więc na wszelki wypadek nie zjawili się na zjeździe. Uczestniczyli w nim przecież A. Michnik, B. Gieremek, Szymanderski i Szeremietiew, cieszący się mianem elementów antysocjalistycznych. Spośród czterdziestu dziennikarzy zaledwie kilku napisało reportaże o obradach zjazdu. Drukowane materiały zjazdowe mają się ukazać za dwa lata, a jaki będzie „poślizg", trudno przewidzieć. Czyli zjazd się odbył, ale jego echa zostały stłumione. Największym sukcesem zjazdu była jego powszechność. Prócz naukowców przybyli tam nauczyciele szkół średnich, uczniowie i studenci. „Spotykały się ze sobą... różne interpretacje, różne poglądy. Było czasem gorąco. Zjazd potwierdził słuszność słów Tadeusza Kotarbińskiego, że prawdę łatwiej wy dyskutować niż wymilczeć" (*Tu i Teraz* nr 38 z 19 września 1984).

Nie wszyscy jednak ocenili pozytywnie tę imprezę. W gazecie pt. *Fakty* — do użytku wewnętrznego organów partyjnych — pan Marian Łabuz z niesmakiem zauważył, że: „... było to pierwsze spotkanie historyków po okresie dowolnego manipulowania najnowszą historią Polski, z której opozycja antysocjalistyczna uczyniła ważny instrument walki z socjalizmem" (*Fakty* z 19 września 1984). Już przemówienie inauguracyjne prof. A. Zahorskiego pan Łabuz ocenił jako nietakt, gdyż tylko zdawkowo wspomniał 40-lecie PRL-u, a z większym entuzjazmem mówił o 60-tej rocznicy wymarszu pierwszej kompanii kadrowej i o 190-tej rocznicy Powstania Kościuszkowskiego. „Zacząłem wówczas rozumieć nieobecność wielu luminarzy nauki historycznej w Polsce i władz... a także towarzystw historycznych z krajów socjalistycznych" — przyznał się pan Łabuz. (*Fakty* z 19 września 1984). Specjalną troską p. Łabuza była młodzież, której „wykrzywienie ideologiczne" mogło się jedynie pogłębić pod wpływem atmosfery zjazdu. Píše on dalej w swym ambitnym organie partyjnym, że „obecna w sali młodzież niezwykle owacyjnie kwitowała wszystkie antyradzieckie koncepcje historyków. Zagrzewały ją zwłaszcza wystąpienia Z. Derwińskiego, M. Drozdowskiego i A. Ajnenkiela. Opuszczano natomiast salę w przypadkach, gdy dyskutanci reprezentowali inny punkt widzenia" (*Fakty* z 19 września 1984). Najostrzej zareagował pan Łabuz na symposium na temat „Elity polityczne Polski z lat 1945-1948". Poczul po prostu niesmak, kiedy Jacek Szymanderski stwierdził, że „władza ludowa była obca i jako taka nie mogła pełnić roli elity opiekuńczej. Zdaniem tego młodego człowieka, zionącego nienawiścią do Polski Ludowej, powojenna odbudowa kraju była instrumentem do manipulowania społeczeństwem. Natomiast jej organizatorzy sprawowali władzę przy pomocy terroru i zbrodni" (*Fakty* z 19 wrześ-

nia 1984). Za prowokacyjne uważał M. Łabuz również stwierdzenie „amnestionowanego R. Szeremietiewa”, który stwierdził, że: „... w PRL będziemy mieli własną elitę, gdy obowiązywać będzie burżuazyjna ordynacja wyborcza”. Podsumowując swoje wrażenia z dyskusji o elitach PRL, M. Łabuz ostrzegł towarzyszy przed zgubnymi skutkami takiej otwartej wymiany poglądów: „To jest moje subiektywne, może nazbyt ostre skojarzenie, ale pomyślałem sobie wychodząc z tego sympozjum, że przypominało ono atmosferę gdańskiej Olivii z 1981 roku” (*Fakty* z 19 września 1984). Krytyka obrad zjazdu historyków wyrażona w niewybredny, „łabuzerski” sposób w wewnątrzpartyjnym organie prasowym pozwala się domyślać, że zdarzyło się wreszcie coś prawdziwego w polskiej humanistyce.

Ze ta

TAKAYUKI ITO

ZAPIS Z XIII POWSZECHNEGO ZJAZDU HISTORYKÓW POLSKICH

Wybrałem się samochodem z Berlina do Polski na zjazd historyków w Poznaniu. Dowiedziawszy się, że jestem historykiem, pracownicy służby granicznej od razu zasypali mnie pytaniami z historii Polski: czy wiem, co to „Grunwald”, co „Powstanie Styczniowe”?

Polacy słyną z zamięłowania do historii. Przekonałem się o tym w licznych, często przypadkowych rozmowach na ulicy, w tramwaju czy kawiarni. Nieprzeciętny zasób wiedzy historycznej tych ludzi często mnie zdumiewał. Taki kult świadomości historycznej sięga chyba XIX wieku. W zachodniej Europie wiek ten przeszedł pod znakiem olbrzymiego rozwoju nauk ścisłych i postępu technicznego, w Polsce jednak był przede wszystkim wiekiem romantyzmu. Utało się tu powiedzenie, iż wiek XIX „Polskę ominął”: jakby weszła w obecną stulecie bez doświadczenia ubiegłego wieku. To właśnie stanowi główną bodaj przyczynę tak mocnej u Polaków świadomości historycznej.

Fascynację historią wzmocniła utrata państwowości. Znany filozof włoski Beccaria miał się swego czasu wyrazić, iż „błogosławione są narody, które nie mają historii”. Nie byłoby jednak większego nieszczęścia dla romantycznych Polaków. Bez świadomości historycznej wygałaby wszelka nadzieja na ponowne

wskrzeszenie państwowości. Świadomość własnej historii jest skutecznym gwarantem ciągłości istnienia narodu. Dlatego też twórcy świadomości historycznej, historycy w ścisłym tego słowa znaczeniu, pracują w poczuciu specjalnej misji dziejowej, ciesząc się powszechnym szacunkiem społeczeństwa. „Historia zajmuje w Polsce specjalne, poczesne miejsce, a jej najprzedniejsi przedstawiciele traktują swój zawód jako specjalne powołanie patriotyczne, obowiązek służby ojczyźnie” — napisał na łamach *Tygodnika Powszechnego* (19 sierpnia 1984) prof. Łepkowski. W ostatnich dziesięciu latach jest to prawdziwsze niż kiedykolwiek.

W Polsce istnieje wielka organizacja historyków, tzw. Polskie Towarzystwo Historyczne. Formalnie przypomina ono inne podobne organizacje, np. Związek Literatów, Stowarzyszenie Dziennikarzy itp. Pod jednym jednak względem — pochodzeniem i charakterem działalności — Towarzystwo Historyczne różni się zasadniczo od innych tego typu ugrupowań. Założone przed blisko stu laty, w 1886 roku we Lwowie, na terenie ówczesnego zaboru austriackiego, nieporównywalnie przewyższa swym rodowodem obecne władze komunistyczne Polski. Przez pewien czas po drugiej wojnie światowej Towarzystwo zepchnięte zostało do roli tuby propagandowej reżymu jako część programu „uświadamiania mas”, ale z czasem zaczęło odzyskiwać swe prawa. Obecnie stara się przywrócić swej działalności tradycyjną funkcję krzewienia świadomości historycznej i patriotyzmu Polaków.

Polskie Towarzystwo Historyczne nie jest instytucją o charakterze wyłącznie naukowym, jakimi są zrzeszenia historyków na Zachodzie czy w Japonii. Swym charakterem i stylem prac przypomina bardziej „kwaterę” szerokiego ruchu narodowego niż towarzystwo naukowe. Liczba członków (ok. 4.000) stanowi o jego masowym charakterze. Towarzystwo zrzesza nie tylko historyków-naukowców, wykładowców uczelni, ale również nauczycieli szkół średnich, pracowników miejskich bibliotek i mniej znaczących instytucji — słowem wszystkich, którzy są w jakiś sposób związani czy też zainteresowani historią. Dlatego też Zjazd Historyków Polskich nie był tym, czym często niestety bywają podobne kongresy: miejscem popisów elokwencji i krasomówczej retoryki, areną dla próżności mówców. Wystąpienia większości prelegentów w Poznaniu, utrzymane w tonie rzeczowej i inspirującej wymianę zdań i dyskusji, nacechowane były głęboką erudycją i dążnością do zgłębienia omawianego tematu. Prawdziwy ośrodek oświeceniowego działania na naród.

Poprzedni zjazd odbył się u schyłku „ery Gierka”, w roku 1979 w Katowicach. Kongres katowicki zaproponował jako główny temat następnego, poznańskiego zjazdu, zagadnienie „historii a społeczeństwa”. Że był to wybór trafny, pokazały wydarzenia dziejowe w kraju: podpisanie Porozumień Gdańskich i powstanie Solidarności, złagodzenie cenzury, zwiększenie dostępu do

źródeł archiwalnych, poszerzenie swobód akademickich na uniwersytetach i w szkolnictwie średnim — w sumie większy zakres możliwości przeciwdziałania wszechobejmującej ingerencji władz w życie społeczeństwa. Działalność Towarzystwa Historycznego zawieszono z chwilą wprowadzenia w życie stanu wojennego, od sierpnia 1982 jednak stopniowo ją wznawiano. Poznański zjazd zapowiadał się szczególnie ciekawie jako sprawdzian, jak dalece historycy polscy powrócili do swej tradycyjnej roli. Już w samym programie zjazdu znalazło się oświadczenie, potwierdzające znaczenie „świadomości historycznej” dla Polski: „Świadomość historyczna podbiła serca narodu polskiego, gdyż była ona przez wieki głównym nosicielem aspiracji narodowych. Jest ona cennie strzeżonym skarbem w świadomości narodu, przyczyniając się do podtrzymywania uczuć godności narodowej, patriotyzmu, wolności i demokracji, ducha tolerancji i prawdy. W obecnej teźraźniejszości polskiej wartości te mają szczególne, bezcenne znaczenie”. Znany filozof romantyzmu niemieckiego, F. Schlegel, określił kiedyś historyków mianem „prognostyków wpatrzonych w przyszłość” — wymowne określenie w odniesieniu do roli historyków w obecnej Polsce.

Samo otwarcie Zjazdu nie było sprawą łatwą. Władze interweniowały kilkakrotnie, starając się je odroczyć. Zdarzały się takie incydenty jak np. zatrzymanie w czerwcu A. Zahorskiego (przewodniczącego komisji przygotowawczej zjazdu) przez milicję, kiedy udawał się na zebranie komisji itp. Rząd warszawski obawiał się, że zjazd jeszcze bardziej zbliży historyków do społeczeństwa, a już szczególnie utrudniał udział w zjeździe nauczycielom szkół średnich (p. L. Gruszczyński w *Tygodniku Powszechnym*, 30 września 1984). Środki masowego przekazu w Polsce (z wyjątkiem dwu głównych gazet i prasy lokalnej) pominęły zjazd milczeniem. Wbrew dotychczasowym zwyczajom nie zaproszono też delegacji zagranicznych, z wyjątkiem historyków z „krajów socjalistycznych”, którym z kolei ich władze odmówiły paszportów.

Zjazd odbył się w końcu, jak było przewidziane, w dniach 5-9 września 1984, z udziałem 1.600 osób. Jak na ironię losu miejsce zjazdu — Uniwersytet Poznański — stoi twarzą w twarz z pomnikiem ofiar października 1956, postawionym w okresie Solidarności. U stóp pomnika zawsze leżą wiązanki świeżych kwiatów.

Na Zjazd złożyły się zebrania plenarne, sekcyjne, sympozja oraz cztery prelekcje otwarte dla publiczności, w sumie 41 sesji i 120 odczytów. Największe znaczenie miały zebrania sekcyjne (3) i sympozja (18), rozłożone wprawdzie na dwa dni, ale w taki sposób, że nie sposób było uczestniczyć we wszystkich. Całość wykładów udostępniona jednak została uczestnikom na piśmie jeszcze w trakcie trwania zjazdu. Przystąpię teraz do omówienia

tych tematów i cech charakterystycznych obrad, które uważam za szczególnie ważne i interesujące.

1. Przede wszystkim poruszenie tematyki odnoszącej się do historii najnowszej, z głębokimi implikacjami dla obecnej sytuacji Polski. Temu poświęcona była połowa sympozjów. W sensie statystycznym można powiedzieć, że prawie połowa historyków polskich zajmuje się współczesnością. Jest to zrozumiałe, zwłaszcza, iż jeszcze do niedawna okres ten był dla historyków omijanym tabu. Według wyjaśnień Kieniewicza (jednego z najbardziej wpływowych historyków powojennych) na łamach warszawskiej *Polityki* (18 października 1980), tematyka ta skupia się wokół trzech zasadniczych przedmiotów: rodowodu współczesnych klik rządowych w PRL, historii politycznej Polski Ludowej i historii stosunków polsko-sowieckich (ten ostatni temat sięga w historię stosunków polsko-rosyjskich). Właśnie w dziale tematyki współczesnej pojawiły się tematy tak dotychczas omijane jak „Poczynania władzy państwowej w obliczu masowych ruchów społecznych”, „Elity polityczne PRL 1945-1948”, „Międzynarodowe znaczenie Powstania Warszawskiego”. Nic dziwnego, że sympozja poświęcone tej tematyce przyciągały najwięcej słuchaczy. Wielkim zainteresowaniem cieszył się również temat „Rzekomi i prawdziwi patrioci”, naświetlający stosunki polsko-rosyjskie w XVIII i XIX wieku, który to okres wycisnął trwałe piętno na stosunkach polsko-rosyjskich do dnia dzisiejszego.

Temat „Procesy społeczno-twórcze PRL” nakreślił historię i przyczyny powstawania rozmaitych ruchów oporu wobec polskich powojennych władz komunistycznych, z Solidarnością włącznie. Temat „Dyktatury wojskowe krajów Trzeciego Świata” stanowił swego rodzaju szkic porównawczy z dyktaturą stanu wojennego w Polsce. W taki sposób, przez konfrontację „delikatnych” tematów, historycy polscy starają się przywrócić choć część godności narodowej, deptanej i poniewieranej przez rządy komunistów.

2. Inny ważny aspekt zjazdu to fakt, że zostali nań zaproszeni, i to w charakterze prelegentów, historycy znani ze swej postawy jawnie antyreżymowej, np. Adam Michnik do sekcji „Rzekomych patriotów”, Jacek Szymanderski do sekcji „Elity polityczne”. W ramach tej ostatniej miała również wygłosić odczyt Jadwiga Staniszkis, która z nieznanых przyczyn nie zjawiła się. Adam Michnik i Bronisław Geremek na zjazd przybyli, odczytów jednak nie wygłosili. Bliżej niewyjaśniony „zbieg okoliczności” zabronił również uczestniczyć w zjeździe Karolowi Modzelewskiemu (p. „Uncensored Poland”, 18 października 1984).

Przedstawiciele nowej, zdecydowanie opozycyjnej fali historyków nie odgrywali naturalnie głównej roli na zjeździe: ta nadal przypada w udziale przedstawicielom tradycyjnego „akademizmu”, który wciąż cieszy się w Polsce wielkim poważaniem. Co więc stanowiło o wyjątkowo świeżej, nieszablonowej, swobodnej

atmosferze zjazdu? Z jednej strony to, że stare i oficjalnie uznane autorytety z dziedziny historii współczesnej i oficjalni „mecenasi” z Warszawy wbrew przyjętym obyczajom na zjazd nie przyjechali. Nie stawił się również prezes Rady Państwa H. Jabłoński, z zawodu historyk. Z drugiej strony obecność i aktywny udział w obradach młodych, ledwo co promowanych historyków, jak J. Szymanderski, nad którymi nie unosi się jeszcze aura sławy i oficjalnego uznania. Mogli oni wystąpić pod osłoną uznanych autorytetów, dla których władze wciąż jeszcze żywią należny respekt.

Nie brakło jednak wśród uczestników i głosów krytycznych lub wręcz przeciwnych ruchowi Solidarności. Np. sekcja traktująca o ruchach oporu przeciw władzy komunistycznej poświęcona była głównie strajkom w powojennej Polsce, jednak słowo „Solidarność” nie znalazło się w tytule. Niemniej historycy partyni najwidoczniej utracili swe dawne wpływy. Stanowili na zjeździe absolutną mniejszość i musieli zdaje się specjalnie zabiegać o prawo głosu w trakcie debat. Np. J. Jakubowski w sekcji „Elity polityczne” ograniczył swój występ do krótkiego, nic nie mówiącego przeglądu „danych statystycznych”. E. Dworaczynski, który zabrał głos w sekcji „Międzynarodowe znaczenie Powstania Warszawskiego”, zdobył się tylko na krótką krytykę polityki rządu RP w Londynie jako „nierealistycznej i nieodpowiedzialnej”, nie był jednak zdolny do odparcia poważnych i rzeczowych argumentów. Najtrudniejszą przeprawę miał J. Toporski, przewodniczący sekcji „Teoria a historia” i jeden z gospodarzy zjazdu. Jego sekcja zionęła pustką, uczestniczyło w niej zaledwie 20 osób. Co więcej, zniknął z obecnego zjazdu niemal zupełnie żargon tzw. „marksizmu naukowego”, normalnie dość powszechnie używany. Wydaje mi się, że dość surowe postawienie niektórych zagadnień „metodologiczno-ideologicznych” u Toporskiego samo w sobie świadczy o kryzysie „marksizmu naukowego” w obecnej historiografii polskiej.

3. Muszę przyznać iż zaskoczyła mnie bardzo wielka liczba nauczycieli szkół średnich oraz młodzieży wśród uczestników Zjazdu. Wielkim sukcesem było sympozjum pt. „Etyka nauczyciela historii”, które przyciągnęło aż 600 uczestników. Sytuacja historyków w dzisiejszej Polsce przypomina poniekąd stan rzeczy w przedwojennej Japonii, kiedy to świat historyków był wyraźnie podzielony na dwie grupy: świat akademicki, pozwalający na nieskrępowaną i swobodną wymianę myśli historycznej w ramach uniwersytetów oraz innych organizacji o charakterze akademickim i wolnomysłicielskim, oraz świat „edukacyjny”, gdzie nauczyciele szkół średnich musieli przestrzegać oficjalnych, odgórnie wytyczonych linii. W swych wypowiedziach publicznych historycy japońscy musieli wtedy bacznie uważać i przestrzegać takiego podziału. Według wyjaśnień Kieniewicz w tej materii, „można swobodnie prowadzić dyskusje na posiedzeniach nauko-

wych (w liczbie 15-20 osób) na tematy jasno wynikające z danych faktycznych lub też oparte na materiałach i hipotezach pochodzących ze źródeł zagranicznych. Nawet na większych zgromadzeniach (z udziałem kilkudziesięciu czy nawet kilkuset osób) możliwa jest stosunkowo swobodna wymiana zdań, zakładając umiarkowaną i 'neutralną' tonację wypowiedzi. Problem zaczyna się z chwilą 'masowego oddziaływania' na szeroką publiczność, szczególnie w wypadku słowa drukowanego. Im większa ilość nakładu, tym większa ingerencja kontroli". W myśl nowych zasad i regulaminów pracy badawczej na uczelniach wyższych wprowadzonych w maju 1982 roku pluralistyczny światopogląd naukowy został praktycznie zaakceptowany. Coraz częściej odzywają się głosy za wprowadzeniem podobnych zasad na niższym szczeblu nauczania, oczywiście bez większej nadziei na odgórną aprobatę (H. Izdebski, *Polityka*, 22 września 1984). Teksty podręczników historii nadal podlegają bardzo surowej cenzurze. Pisane są one przez prawie nieznaną, „beziemienną naukowców” trzeciego rzutu, wiernie wykonujących zlecenia władz. Historycy z prawdziwego zdarzenia nie mają do prac nad podręcznikami żadnego dostępu. Zjazd w Poznaniu nie tylko przełamał barierę milczenia nad tym stanem rzeczy, lecz również podjął kroki w kierunku obalenia oficjalnej doktryny w tej dziedzinie.

Wydarzeniem zasługującym na specjalną wzmiankę jest awans młodzieży na Zjeździe. Według Zahorskiego po raz pierwszy w historii zjazdów zezwolono na udział uczniów i młodzieży akademickiej. Młodzież ta, upojona i ciągle żyjąca okresem „Solidarności”, nie zna pojęcia strachu. Np. w sekcji „Elity polityczne” jedna z młodych prelegentek nie zawahała się stwierdzić, iż „dyktatura komunistyczna została po wojnie narzucona Polsce przy użyciu siły militarnej Sowietów”. „Zatkało” mnie, gdy usłyszałem te słowa z trybuny, lecz szybko spostrzegłem, iż przez zgromadzonych na sali zostały one przyjęte całkiem zwyczajnie, bez objawów szczególnej konsternacji czy też poruszenia. Co ważniejsze, tego rodzaju *enfants terribles* bynajmniej nie są ignoranckimi, „niedouczoneymi” oponentami istniejącego stanu rzeczy. Przeciwnie, cechuje je głęboka znajomość przedmiotu i nieposkromiona wola ciągłości pracy badawczej w myśl najlepszych tradycji polskiej historiografii.

Należy podkreślić jeszcze jeden ważny aspekt Zjazdu, a mianowicie to, iż wykraczał on poza ścisłe ramy przedmiotu historii. Wbrew antagonizmowi, jaki istnieje w Polsce między historykami a socjologami, Zjazd w Poznaniu (już chociażby z samej nazwy) odnotował zbliżenie oraz przykładową współpracę między naukowcami obu dziedzin. Zauważyłem szczerą chęć historyków bliższego zapoznania się z osiągnięciami socjologów, szczególnie w ramach sympozjum pt. „Struktury przemian społecznych w pracach socjologów”. Nie ograniczono się jednak tylko do nauk społecznych — wystąpili na zjeździe również pracownicy nauk

politycznych, psychologów i prawników. Odnotowałem też wielką chęć zacieśnienia współpracy z ludźmi literatury, szczególnie w prelekcji M. Janion w ramach sekcji „Mity i schematy w historii polskiej”, która cieszyła się wielką popularnością. W innych sympozjach tego typu uwidoczniła się rywalizacja między wybitnie materialistycznym oraz tradycyjnie polskim, moralistycznym nurtem o interpretację polskiej historii i teraźniejszości. Zahorski tak oto streścił swój stosunek do Zjazdu: „Chciałbym, by na Zjeździe zapanowała absolutna swoboda słowa oraz wzajemna tolerancja między różnymi poglądami. Nikt nie ma monopolu na prawdę. Z kolei dążenie do prawdy i wolność badawcza są niezaprzeczalnymi prawami człowieka”. Wydaje mi się, iż nikt z zebranych nie wątpił w szczerość tych słów. W Polsce dnia dzisiejszego, gdzie tyle rzeczy dzieje się wbrew woli narodu, Zjazd historyków był prawdziwą „oazą i pokrzepieniem ducha”.

Jeszcze jedna rzecz godna uwagi w końcowym przemówieniu Zahorskiego: „Wielka szkoda, że nie mogły przybyć na Zjazd delegacje zagraniczne, również z krajów socjalistycznych. Niemniej cieszy nas niezmiernie, iż pomimo różnych trudności udało się dotrzeć i wziąć udział w Zjeździe przynajmniej garstce uczestników z Anglii, Francji, Belgii, USA, Kanady a nawet Japonii” — oczywista pretensja pod adresem władz za utrudnianie przybycia na Zjazd historykom z zagranicy. W tym momencie bezwiednie przypomniałem sobie o moim zetknięciu z ludźmi ze straży granicznej, oraz o ich milczącej zgodzie na mój wjazd. Miałem szczęście, pomyślałem sobie.

TAKAYUKI ITO

(Przełożył Janusz MONDRY)

T. ITO ur. 1941 r., historyk ze stażem na różnych katedrach w Japonii, współpracownik POB. Doskonały znawca Polski, władający biegle językiem polskim. Główne prace: „Starcia w polskiej nomenklaturze” oraz „Kommunizm w polityce międzynarodowej”. Liczne artykuły w *Gendaino Riron*, *Porando Geppo* i innych. Powyższy artykuł ukazał się w nrze 1/2, 1985 *Porando Geppo*.

Piotr WANDYCZ

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA O DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

W dniach 21-23 lutego br. odbyła się konferencja na temat „Polska między wojnami 1918-1939” na Uniwersytecie Indiana w

Bloomington. Złożyło się na nią siedem sesji, a mianowicie: 1. Historia: siły (napędowe) i postacie; 2. Literatura; Witkiewicz w swym kontekście; 3. Historia dyplomatyczna; 4. Społeczeństwo i myśl polityczna; 5. Mniejszości w okresie międzywojennym: kultura i wkład; 6. Literatura: pisarze międzywojenni; i 7. Historia i myśl kulturalna (*Cultural Thought*). Wierne tłumaczenie tytułów może je nieco zniekształcać. Na pierwszej sesji wygłoszono cztery referaty. Antony Polonsky z London School of Economics mówił o Drugiej Rzeczypospolitej z perspektywy dzisiejszej, a Andrzej Garlicki z Uniwersytetu Warszawskiego o nadziejach i ich realizacji w Drugiej Rzeczypospolitej. Joseph Rothschild z Uniwersytetu Columbia przedstawił referat pt. „Polityczna teoria państwa-społeczeństwa jako dialektyka w ujęciu Marszałka Józefa Piłsudskiego w Polsce międzywojennej”, a Andrzej Korboński z Uniwersytetu California — Los Angeles przedstawił cywilno-wojskowe stosunki w Polsce międzywojennej. W sesji poświęconej literaturze, referat Jana Kotta, który przeszedł poważną operację serca, został zastąpiony prelekcją Jadwigi Kosickiej o Przybyszewskiej i Witkacym. Konstanty Puzyna, redaktor *Dialogu*, mówił o Witkiewiczu w polskiej perspektywie i na polskiej scenie; Daniel Gerould z Uniwersytetu nowojorskiego miał referat pt. „Władza, siła, wolność, wątki buntu w życiu i pracach Witkiewicza”, a Andrzej Wirth z Uniwersytetu Giesena przedstawił „Język teatru: Witkiewicz i Gertruda Stein”. Na sesję historii dyplomatycznej złożyły się dwa referaty: Piotra Wandycza z Uniwersytetu Yale „Polska polityka zagraniczna 1918-1939: przegląd” i Anny Cienciły z Uniwersytetu Kansas „Polska w polityce zagranicznej Francji i Wielkiej Brytanii w 1939 roku: determinacja walki czy uniknięcia wojny?”.

W sesji czwartej przewidziane były trzy prelekcje: Aleksandry Jasińskiej-Kania z Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Wzorce (*patterns*) tożsamości narodowej i osobowości w Polsce pomiędzy wojnami”, Janusza Żarnowskiego z Instytutu Historii PAN-u pt. „Społeczeństwo polskie i jego kulturalne rozwarstwienie, 1918-1939 i później” i Romana Szporluka z Uniwersytetu Michigan „Państwo i naród w polskiej myśli politycznej”. Sesja poświęcona mniejszościom narodowym objęła cztery referaty: Edwarda Wynota ze Stanowego Uniwersytetu Florydy pt. „Mniejszości narodowe: przegląd”; Jerzego Tomaszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego „Systemy edukacyjne i instytucje kulturalne mniejszości narodowych w Polsce 1918-1939; Andrzeja Mencwela z Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Umysł Janusza Korczaka: rozwiązanie życiowe” (tytuł angielski brzmiał „*Janusz Korczak's Mind: The Lively Solution*”, tytuł dość trudno przetłumaczalny, a więc zasługujący na podanie w oryginale celem uniknięcia ewentualnego nieporozumienia) i wreszcie Artura Sandauera z Uniwersytetu Warszawskiego „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku”.

W sesji szóstej zabrakło referatu Jana Błońskiego z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Marek Zaleski z PAN-u przedstawił temat: „Na fali historii (*borne by history*): pokolenie Czesława Miłosza”, a doktorant z Uniwersytetu nowojorskiego, James Schlagel zaprezentował „Oblicze Fortinbrasa: obrazy władzy w polskim teatrze międzywojennym” (*The Face of Fortinbras: Images of Power in Polish Theatre between the Wars*). Sesja siódma i ostatnia przewidywała referat Jerzego Tomaszewskiego „Życie polityczne i intelektualiści Drugiej Rzeczypospolitej” i Grzegorza Godlewskiego (obaj z Uniwersytetu Warszawskiego) „Krytyka kultury w Polsce między wojnami: Stefan Żeromski, Marian Zdziechowski, Florian Znaniecki”.

Nie wchodząc w analizę i krytykę powyższych prezentacji, można tu jedynie dodać do tego informacyjnego przeglądu parę uwag natury ogólnej. Konferencję organizował Ośrodek Studiów Polskich (*Polish Studies Center*) Uniwersytetu Indiana, mający od lat program współpracy i wymiany z Uniwersytetem Warszawskim. Tym zapewne tłumaczyć należy pominięcie innych uniwersytetów krajowych. Jedyń ich przedstawiciel, profesor Błoński, znalazł się w grupie zaproszonych, którzy nie mogli wziąć udziału w sesji z przyczyn „od nich niezależnych”. Referaty ich odczytano *in absentia*. Tak więc nie mogli przybyć do Bloomingtonu profesorowie Żarnowski i Ajnenkiel z Instytutu Historii PAN-u, a nawet prof. Tomaszewski z Uniwersytetu Warszawskiego, chociaż ta właśnie uczelnia ma stałą wymianę z Indiana. Nadzieje organizatorów, iż zaproszenie Artura Sandauera będzie dostatecznym haraczem dla władz i umożliwi przyjazd wszystkich innych naukowców, okazały się płonne. Raz jeszcze władze postawiły same siebie w niezbyt pozytywnym świetle — określając to bardzo eufemistycznie — uniemożliwiając wyjazdy uczonym, których trudno zaliczyć do czynnych opozycjonistów. Czy weszły tu w grę czynniki personalne? Jeśli tak, to wyszło to jeszcze gorzej, pokazując, iż dla jakichś wewnętrznych rozgrywek władze nie wahają się przed posunięciami, które tylko kompromitują naukę polską za granicą.

Konferencja jako taka była niewątpliwie interesująca. Referaty, jak to zwykle bywa, różniły się od siebie poziomem, ale przeważały pozytywy. Dyskusje były ożywione, a debaty, które odbyły się ostatniego dnia w dwóch grupach — literackiej i historycznej (w najszerszym tego słowa znaczeniu) — wskazywały na potrzebę dalszych imprez tego typu. Nacisk położony na literaturę wynikał, zdaje się, ze szczególnego zainteresowania Witkacym w USA. Miano nawet poświęcić mu osobne spotkanie, ale zdecydowano się połączyć je z powyższą konferencją. Wśród koncepcji, wysuwanych przez uczestników, figurował dezyderat wydawania biuletynu poświęconego bibliografii prac (szczególnie nieopublikowanych, na przykład tez doktorskich) odnoszących się do Drugiej Rzeczypospolitej, oraz wiadomości o charakterze ściś-

le naukowym (informacje o archiwach, przygotowywanych publikacjach źródeł itp.). Jeśli rzecz dojdzie do skutku, będzie to trwałe osiągnięcie bloomingtonskie.

Piotr WANDYCZ

500-LECIE ŚMIERCI BŁ. MICHAŁA GIEDROYCIA

W dziejach Krakowa wiek XV zajmuje miejsce szczególne; zyskał on zaszczytne miano *felix saeculum Cracoviae*. W okresie tym równocześnie żyło tu i działało sześciu ludzi, których świętość była szeroko znana i dla współczesnych nie ulegała wątpliwości. Byli to: św. Jan Kanty, bł. Szymon z Lipnicy, Izajasz Boner, Świętosław Milczący, Stanisław Kazimierczyk i Michał Giedroyc — w szczególnie sposób związany z kościołem św. Marka Ewangelisty.

Michał Giedroyc pochodził z Litwy. Korzenie jego wyjątkowej osobowości tkwią w regule zakonu, do którego wstąpił i dzięki któremu znalazł się w Krakowie. Zakon ów nosił nazwę „kanoników regularnych od pokuty błogosławionych męczenników”, lecz przez lud zakonnicy zwani byli markami. Charakterystycznym rysem ich reguły były bardzo surowe praktyki ascetyczne i pokutnicze, którym Michał mimo swego kalectwa (był niskiego wzrostu i od dzieciństwa chromy) poddał się ze szczególną gorliwością. W klasztorze św. Marka pełnił funkcję zakrystiana. Zamieszkał w celi blisko wejścia do kościoła i wiele godzin spędzał na modlitwie przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, do którego czuł szczególne nabożeństwo. Kontemplacja Męki Chrystusa połączona z dobrowolnie przyjętymi cierpieniami doprowadziła Michała na wyżyny świętości. Jak wyznał swemu spowiednikowi, podczas modlitwy przemówił do niego Chrystus z krzyża (obecnie krucyfiks ten znajduje się w nastawie głównego ołtarza).

Podstawową cechą osobowości Michała była pokora, którą wypracował w sobie ascezą i pokutą. Jak opisuje kronikarz, w jego celi „łóżkiem była mu ziemia, poduszką słoma, a sprzętem różaniec i różga do biczowania”. Cnota pokory przeżywała swoje ciężkie próby, kiedy zaczęły być słynne cuda czynione przez Michała, takie jak uzdrowienia, zażegnanie pożaru, przepowiadanie przyszłości. Przychodziło do niego mnóstwo ludzi z prośbą o poradę, modlitwę i wstawiennictwo u Boga.

Szczególną pociechę czerpał Michał z opieki Matki Najświęt-

szej, której zupełnie się powierzył. W kościele św. Marka istnieje wizerunek Bogarodzicy, przed którym modlił się ten świątobliwy zakonnik.

Michał Giedroyc zmarł 4 maja 1485 roku i został pochowany u stóp wielkiego ołtarza w kościele św. Marka. Pogrzeb jego zgromadził wielkie tłumy, zaś u grobu zaczęły się dziać cuda, spisywane przez kronikarzy zakonu. Kult zakonnika, zwanego błogosławionym przetrwał przez wieki i wydaje się, że nic nie stoi na przeszkodzie, by został ogłoszony świętym, za jakiego był uważany przez siebie współczesnych i późniejszych wiernych, którzy uzyskiwali i nadal uzyskują za jego pośrednictwem wiele łask od Boga.

Obecnie w kościele św. Marka istnieje tzw. Giedroycianum, w którym w dwóch salkach i kaplicy zgromadzono obrazy i inne przedmioty upamiętniające świątobliwego zakonnika i zakon, w którym żył. Zbliżający się jubileusz 500-lecia śmierci Michała powoduje wzrost zainteresowania wiernych jego życiem i dziełem oraz każe zastanowić się nam nad nieprzemijającymi wartościami życia w pełni ubóstwa i pokory.

GIEDROYCIANUM

KAPLICA I IZBA PAMIĄTEK dotyczących bł. Michała Giedroycia w kościele św. Marka w Krakowie otwarta w każdą niedzielę o godz. 12.30.



KALENDARIUM

nabożeństw i uroczystości przy Grobie
błogosławionego Michała Giedroycia
4 maja 1983 g. 17.30.

Uroczyste nabożeństwo i modlitwa w ósmym roku Nowenny przygotowującej na 500-ną rocznicę śmierci Sługi Bożego.
4 maja 1984 g. 17.30.

Uroczyste nabożeństwo i modlitwa rozpoczynająca dziewiąty Rok Nowenny przed jubileuszowym 500-leciem.

Od dnia 4 maja 1984
przez cały rok, raz na miesiąc w dniu czwartym o godz. 17.30
będzie odprawiane uroczyste nabożeństwo, będą wspólne modlitwy przy grobie bł. Michała, a także kazania i odczyty mówiące o Jego życiu i posłudze przy kościele św. Marka Ewangelisty w Krakowie.



MODLITWA O KANONIZACJĘ SŁUGI POKORNEGO MICHAŁA GIEDROYCIA

Boże Wszechmocny i Miłosierny, racz wejrzeć łaskawie na nasze potrzeby i spraw, by sługa Twój Michał został ogłoszony świętym Kościoła. Niech jego przykład odkryje przed nami — ludźmi XX wieku — tę drogę do świętości, wiodącą przez modlitwę, umartwienie i ubóstwo, którą pięć wieków temu przeszedł ten błogosławiony zakonnik.

Michale, Sługo Pokorny, tyś całym swoim życiem świadczył żarliwie za Chrystusem — Słowem dającym życie wieczne. Racz wstawić się za nami u Boga, byśmy wprowadzając w nasze życie ducha ascezy i pokuty doskonalili przez to cnotę pokory, której sam byłeś wzorem, a która jest podstawą pełnienia woli Bożej w naszym życiu.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej
Wydział Duszpasterstwa Kurii Metropolitalnej
Kraków 1984

LISTY DO REDAKCJI

Chislehurst, Kent, 4 kwietnia 1985.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Jestem wdową po płk. dypl. Leonie Mitkiewicz-Zółtek, zmarłym 12 grudnia 1972 w Nowym Jorku.

Mąż mój w czasie od końca czerwca 1942 do stycznia 1943 był zastępcą Dowódcy I-ej Dywizji Pancernej w Szkocji — generała Stanisława Maczka.

W końcu stycznia 1942 rozkazem Naczelnego Wodza mąż mój został przeniesiony do Najwyższego Sztabu Zachodnich Aliantów w Waszyngtonie (*Combined Chiefs of Staff*) jako przedstawiciel Naczelnego Wodza i szef Misji Wojskowej w Ameryce.

Przed opuszczeniem I-ej Dywizji Pancernej, w końcu stycznia 1943 roku, generał Stanisław Maczek napisał w swej opinii o moim mężu, że był on jego „najbliższym współpracownikiem przy organizacji i szkoleniu I-ej Dywizji Pancernej”.

W 1961 roku wyszła książka generała Maczka pt. „Od podwoły do czołga” i nazwisko mojego męża Leona Mitkiewicza jako zastępcy Dowódcy I-ej Dywizji Pancernej zostało opuszczone. Na stronie 138 powyższej książki podane jest: „przez niemal 18 miesięcy prac organizacyjnych i wyszkolenia, bo od kwietnia 1942 do września 1943 roku skład i obsada I-ej Dywizji Pancernej były następujące: *Zastępca Dowódcy Dywizji — płk dypl. K. Glabisz, Szef Sztabu...* itd.

Jest to niezgodne z ówczesnym stanem faktycznym — nie mogło być dwóch zastępców Dowódcy Dywizji Pancernej jednocześnie.

Generał Stanisław Maczek przeprosił wówczas mojego męża listem wysłanym do Ameryki, tłumacząc opuszczenie jego nazwiska w książce „Od podwoły do czołga” niedopatrzaniem przy robieniu korekty i obiecał ogłosić w polskiej prasie emigracyjnej pomyłkę i zrobić sprostowanie w następnym wydaniu książki. Tymczasem w 1984 roku ukazało się nowe wydanie książki, ale nazwiska płk. Leona Mitkiewicza znowu tam nie ma.

Tłumaczenie żony generała Maczka, w zastępstwie męża, że drugie wydanie było robione fotograficznie z pierwszego, nie jest wystarczające. Sprostowanie

wanie błędu z pierwszego wydania powinno było być podane w drugim wydaniu choćby w erracie, ale nawet to nie zostało uwzględnione.

Bardzo proszę o zamieszczenie mego listu, aby chociaż w ten sposób pozostał ślad w historii o udziale mojego męża w organizacji I-ej Dywizji Pancerniej, do której był tak przywiązany.

Łączę wyrazy poważania

Stefania MITKIEWICZOWA



Montreal, 4 stycznia 1985.

Szanowny Panie Redaktorze!

Szkoda bardzo, że Szanowny Pan Redaktor zgodził się wydrukować w numerze 69-tym *Zeszytów Historycznych* dodatek do ataków na to, co popularnie nazywano pod okupacją niemiecką „Grupą Szańca”. Dotyczyło to organizacji, posługujących się pismem ideowym pod nazwą *Szaniec*. Do grupy tej wchodziły: Obóz Narodowo-Radykalny, Związek Jaszczurczy, Narodowe Siły Zbrojne, Służba Cywilna Narodu. Tym razem nieprawdopodobne głupstwa dotyczące tego środowiska pochodzą od człowieka, który dużo zrobił, by NSZ były wartościową organizacją wojskową pod okupacją niemiecką.

Przez pomyłkę autor został przyjęty do organizacji politycznej ONR-u, gdzie złożył przysięgę wierności zasadom ideowym ONR-u, sam będąc, jak się obecnie okazuje, gorącym członkiem sanacji.

Nie jestem w stanie w krótkim liście odpowiedzieć na wszystkie błędy i wytwory fantazji autora artykułu. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na fakt, że zjazd przyjaciół (Iłakowicz, Harusewicz i Marcinkowski) nie miał na celu odtworzenia ONR-u, który nigdy nie był rozwiązany ani w kraju ani za granicą, ale przedyskutowanie możliwości naprawienia dla przyszłych historyków błędów i kłamstw drukowanych przez wrogów, a ostatnio nawet przez członka ruchu. Miało to być dokonane drogą wydania książek przedstawiających rzeczywistą prawdę historyczną, zakłamaną przez tych, co obawiają się wyjawienia prawdy i o ich błędach.

Licząc na to, że list ten ukaże się w następnym numerze *Zeszytów Historycznych*, łączę wyrazy należnego szacunku i pozostaję

W. M. MARCINKOWSKI

6412 Sherbrooke St., W. Apt. 203.
Montreal. P.Q. H4B 1N2,
Canada.



Santa Barbara, 27 lutego 1985.

Szanowny Panie Redaktorze,

W 70-tym *Zeszytzie Historycznym* Józef Garliński zaczyna swoją recenzję z książki Jana Erdmanna „Droga do Ostrej Bramy” słowami: „Na kilka lat przed ostatnią wielką wojną zdarzył się w Warszawie niecodzienny wypadek. W gimnazjum im. Królowej Jadwigi dziewczęta najwyższych klas nie wstały, gdy grano hymn narodowy”.

Autor tych słów ma na pewno na myśli podobny — tylko w formie,

bo bardzo różny w treści — wypadek, którego szczegóły dotarły wówczas, co pewno znacznie później, do wiadomości autora w zasadniczo zniekształconej formie.

Istotnie bowiem 19 marca 1934 roku, podczas akademii ku czci Marszałka Piłsudskiego, obchodzonej od początku lat 30-tych we wszystkich szkołach w Polsce w dniu imienin Marszałka, kilka dziewcząt z klas najwyższych nie wstało, kiedy zagrano „Pierwszą Brygadę”. Miało to miejsce w gimnazjum im. Panny Plater (nie mylić z innym żeńskim gimnazjum im. Emilii Plater). Tak więc nie u „Królowej Jadwigi”, gdzie chodziły córki Marszałka i która uchodziła za „sanacyjną”, a u „Panny Plater”, która była szkołą „endecką”. I nie hymn narodowy, tj. „Jeszcze Polska nie zginęła...”, a „Pierwsza Brygada”. Wszystkie siedem czy osiem dziewcząt, które nie wstały, zostały wyrzucone ze szkoły bez prawa przyjęcia do innej szkoły, przynajmniej w okręgu Kuratorium Warszawskiego.

W gimnazjach męskich nie wstało w tym samym dniu na „Pierwszą Brygadę” tylko dwóch chłopców w gimnazjum im. Mikołaja Reja, ale wylany został tylko jeden, ja sam, bo drugi był dobrym uczniem i władze szkolne udały, że go nie zauważyły. „Wilczy bilet” sprawił, że straciłem rok, bo po siedmiu tygodniach, przyjęty wreszcie przez poczciewego dyrektora Kreczmara do szkoły imienia jego brata, nie mogłem nadgonić. Kreczmar był socjalistą z 1905 roku i słusznie uważał, że jego koledzy z dawnych czasów, bracia Jędrzejewiczowie, z których jeden był wówczas premierem, a drugi ministrem W.R.i O.P. (Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego) zostawią go w spokoju w mojej sprawie.

Dziewczęta od „Platerki” tłumaczyły się istotnie podobnie do tego, jak podaje Garliński, tj. że chciały zamanifestować przeciw słowom pieśni, które obrażają resztę społeczeństwa: „A dzisiaj my, przeszłością silni / Tworzymy Polskę, przodków mit / Że wy w tej pracy niedość pilni / Zostanie wam potomnych wstyd”. Ja zaś, spytany, dlaczego nie wstałem, odpowiedziałem: „Żeby zamanifestować polityczny charakter niegdyś żołnierskiej pieśni i potępić tych, co na zasługach krwi budują własne korzyści”. Mając wówczas lat 18, pożyczylem oczywiście te słowa z młodoendeckiej prasy.

Wydaje mi się, że to z konieczności przydługie sprostowanie dotyczy rzeczy podstawowej. Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek Polak, poza komunistami, bez względu na czas, wiek, płeć czy pochodzenie społeczne, nie miał najgłębszego sentymentu i szacunku dla „Jeszcze Polska nie zginęła...”, dlatego domniemane niewstanie grupy młodzieży na jej dźwięki jest niemożliwe. Natomiast wydaje mi się również, że z wymiarami pokolenia, dla którego „Pierwsza Brygada” była w połowie świętością, a w połowie płachtą na byka, zostanie ona dla przyszłych pokoleń dumną pieśnią żołnierską i symbolem niepodległości. Popularność jej w Polsce od czasu „Solidarności” jest tego zapowiedzią.

Łączę wyrazy poważania i serdeczne pozdrowienia,

Andrzej PLESZCZYŃSKI



Chicago, 30 marca 1985.

Do Redakcji *Zeszytów Historycznych*.

Dziękuję za recenzję z mego artykułu „The Polish-Lithuanian Crisis of 1938: Events Surrounding the Ultimatum” (w *Lituanus* 30 : 2, lato

1984) pióra Anny M. Cienciąły w *Kulturze* z grudnia 1984 roku. Jestem zaszczycony takim uznaniem ze strony uczoney, na którą powołuję się w moim artykule.

Najwidocznie kwestia Wilna, która doprowadziła do zbrojnego konfliktu między Polską a Litwą na początku lat 20-tych i omal nie spowodowała wcześniejszego wybuchu wojny światowej w 1938 roku, nadal jest sprawą budzącą kontrowersje i niemało wrogości. Każda ze stron interpretuje fakty zgodnie z własnymi potrzebami — a bywa, że i same fakty uważa za sporne — prawdę i sprawiedliwość widząc jedynie po swojej stronie. Prowadzi mnie to do mej ulubionej definicji polityki jako gry percepcji. W tym właśnie duchu pisałem mój artykuł, starając się przełożyć go na język rzeczywistości w dwu płaszczyznach — zawodowej i osobistej.

Jeśli chodzi o postawę zawodową, starałem się potraktować kryzys 1938 roku w sposób zrozumiały. Opisy są w najlepszym przypadku powierzchowne i dziennikarskie lub też ograniczają się do wąskiego aspektu sporu, w najgorszym zaś wypadku — fałszywe. W nocie nr 5 na str. 47 zwracam uwagę, że niektórzy historycy litewscy błędnie podają jako datę incydentu dzień 7 marca. W nocie nr 8 na str. 49 przypominam, że pierwsze polskie komunikaty prasowe podawały, że wiadomości pochodzą z Kowna, mimo że w prowizorycznej stolicy Litwy nie było wtedy polskich korespondentów. Pisząc swój artykuł starałem się zanalizować czynniki historyczne, polityczne i wojskowe, jakie determinowały działania szeregu uczestników indywidualnych i zbiorowych. Zgadzam się, że artykuł jest zarazem historyczny i opisowy. Z recenzji jednak zorientowałem się, że i analiza odgrywa w nim ważną, choć niewielką rolę.

O ile zaś chodzi o motywacje osobiste, to przy wyborze tematu badań dokonałem, jak wszyscy naukowcy, pewnych *implicite* założonych ocen. Przede wszystkim czułem, że jest to zagadnienie ważne, wymagające świeżego opracowania. Fakt, że jestem Litwinem znaczy niewątpliwie, że odziedziczyłem pewne uprzedzenia mojego narodu. Jednak jako litewski naukowiec zdaję sobie sprawę, że obiektywizm i pewien dystans są konieczne dla zachowania wiarygodności zawodowej. Pierwszym zadaniem uniwersytetów i wszelkich zespołów uczonych jest poszukiwanie prawdy. Ta walka o prawdę — przyświecająca akademiom zachodnim od czasów Platona — jest naczelnym przykazaniem mych rozważań i mojej pracy. Uważam za korzystny fakt, że w kryzysie 1938 roku nie brałem udziału ani jako uczestnik, ani jako widz. Ten dystans czasowy okazał się bezcenny w mej pracy nad cywilnymi i wojskowymi stosunkami w niepodległej Litwie. Tak np. nie waham się krytykować pewnych posunięć prezydenta Antanasa Smetony — uznanego za bohatera narodowego — i uznawać je za szkodliwe dla interesów narodu.

Kiedy rozpocząłem badania nad tym kryzysem, stwierdziłem z rozpaczą, że większość dostępnych publicznie materiałów — przynajmniej w USA — niewiele, o ile w ogóle, korzysta ze źródeł litewskich. Liczne książki, biografie, artykuły i wspomnienia przeszły bez echa i zalegają pod warstwą kurzu półki archiwów. Postanowiłem wypełnić tę próżnię intelektualną, bo tak samo jak budowla nie wytrzyma nacisku, jeśli brak jej jakichś elementów, historia nie może być zrozumiała, jeśli brak w niej pewnych składników. O ile wiem, mój artykuł — pierwszy w języku nie-litewskim — bierze pod uwagę perspektywę litewską i wewnętrzną dynamikę na najwyższych szczeblach rządu litewskiego. Można go obecnie skonfrontować z innymi opracowaniami — zarówno polskimi, jak i nie polskimi — tak, aby wspólnie dały pełniejszy i bardziej zrozumiały obraz kryzysu. Zainteresowani tematem czytelnicy — zarówno naukowcy jak laicy — zdecydują, czy mój artykuł sprostą, czy nie sprostą swoim założeniom i czy rzeczywiście rzuca nowe

światło na wydarzenia związane z ultimatum. Tak samo jak w płaszczyźnie osobistej moim celem był obiektywizm.

Jak wspominałem na początku tej odpowiedzi, kwestia Wilna była kością niezgody przez wiele dziesięcioleci. Natomiast, jak na ironię, kwestią nie podlegającą dyskusji jest to, że spór ten prawdopodobnie nigdy nie zostanie rozwiązany. Jest jednak pocieszające, że inteligentna dyskusja i badania były możliwe. Tylko w ten sposób można czynić postępy w rozważaniu sprawy kryzysu z 1938 roku w szczególności, a w stosunkach polsko-litewskich w ogólności. Komentarz prof. Anny Cienciaily należy przyjąć z uznaniem.

Robert A. VITAS



Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W recenzji T. P. Dobrzyńskiego (*Zeszyty Historyczne* nr 70) książki Jerzego Holzera o Solidarności znalazł się lapsus w przypisie 3 na str. 204, wymagający skorygowania. Kompendium Holzera, które recenzent wymienia, nie nosi tytułu *Z geografii politycznej Drugiej Rzeczypospolitej* — książkę tę napisał Andrzej Micewski — ale *Mozaika polityczna Drugiej Rzeczypospolitej*. Holzer jest nie tylko autorem pracy o PPS, ale również współautorem (z J. Molendą) dzieła *Polska w pierwszej wojnie światowej*.

Przy okazji pozwolę sobie również zwrócić uwagę na pewną nieścisłość w przypisie na str. 214 — recenzja J. Garlińskiego w tymże numerze *Zeszytów*. Atatürk nie był przywódcą (jak pisze Garliński) Młodoturków, chociaż był z tym ruchem przejściowo związany. Za przywódcę uważa się zwykle Envera Paszę wraz z pozostałymi członkami triumwiratu: Taalatem Paszą i Dżemalem Paszą.

Wyrazy prawdziwego poważania łączę

Piotr WANDYCZ



Paryż, 15 lutego 1985.

Drogi Panie Redaktorze,

Wyróżnienie przez Instytut Piłsudskiego w Ameryce doskonałej, rzeczowej monografii Iwo Werschlera o Tadeuszu Hołównie (PWN, Warszawa 1984, str. 398), o czym doniosła *Kultura* w nr. 1/448-2/449 bież. roku, pobudza mnie do zgłoszenia sprostowania, które odnosi się do informacji, jaką swego czasu podałem w *Zeszytach Historycznych* nr 46/1978 i na której Werschler oparł się w cytowanej tu pracy (str. 327). Chodzi o rzecz istotną, o okoliczności śmierci jednego z głównych oskarżonych w procesie o zabójstwo Hołównki, osławionego Romana Baranowskiego, Ukraińca, jak wiadomo informatora policji, a w owym spisku dostawcy rewolwerów dla zamachu.

W moim artykule „Jeszcze o zabójstwie Pierackiego i rozrachunkach polsko-ukraińskich” podałem — co Werschler powtórzył — że Baranowski po skazującym go wyroku zginął z rąk policjanta przy próbie ucieczki w czasie konwojowania go z urzędu śledczego do więzienia we Lwowie. Tak mi to wydarzenie przedstawił listem z Manchesteru Wacław Żyborski, ówczesny naczelnik wydziału bezpieczeństwa w województwie Tarnopolskim, a późniejszy dyrektor departamentu politycznego MSW. Żyborski zaznaczył, że

centrala warszawska [MSW] miała z tego powodu pretensje do naczelnika wydziału bezpieczeństwa we Lwowie, Bazylego Rogowskiego, przyjaciela Żybskiego, zarzucając mu — niesłusznie — umyślne sprzątnięcie niewygodnego agenta i świadka (str. 169/170). Szczególnie ta dodatkowa uwaga Żybskiego przemawiała za przyjęciem jego tezy. Zakończyłem wówczas me wywody zapytaniem: „Nie wiem, czy literatura historyczna OUN tę śmierć wzmiankuje”.

Okazuje się, że wzmiankuje i przedstawia ją całkiem inaczej, o czym ani ja, ani Werschler nie wiedzieliśmy, a o czym Werschler zawiadomił mnie już po wydaniu swej pracy. W dużej książce „W sutinkach zdrady (czyli „W mrokach zdrady”); Ubywstwo Tadeusza Hołufka na tli zdrady Romana Baranowsko” (Sribna Surma, Toronto 1975) — której pierwsza przesyłka pocztowa do Werschlera do Poznania nie dotarła — autor, Zenon Knysz, sam członek OUN, podaje, że Baranowski był osadzony po skazującym go w roku 1933 wyroku w więzieniu świętokrzyskim i tam umarł w szpitalu więziennym w roku 1935 śmiercią naturalną, na skutek odnowienia się nabytej wcześniej gruźlicy. Opis ten, poparty licznymi świadectwami Ukraińców, zgadza się z przedstawieniem mi sprawy przez Polaka, b. naczelnika urzędu śledczego w województwie krakowskim (którego cytowałem w innym punkcie na str. 191). Trzeba więc przyjąć, że wersja podana mi przez Żybskiego oparta była na omyłce pamięciowej (typowe pomieszanie dwóch różnych zdarzeń), zrozumiałej zresztą z uwagi na upływ czasu i na wiek korespondenta (moja korespondencja z Żybskim niestety się urwała), a prawdzie odpowiada opis Knysza.

Łączę serdeczny uścisk dłoni

Władysław ŻELEŃSKI



LIST Z KRAJU

W związku z 40-tą rocznicą zakończenia drugiej wojny światowej chciałbym zaproponować, aby Radio Wolna Europa zapoczątkowało akcję zbierania najmniejszych nawet faktów prześladowania Polaków przez Sowiety poczynając od 1939 roku do naszych czasów.

O zbrodniach niemieckich zebrano wszystkie lub prawie wszystkie dane i zbiera się je nadal. Jest specjalnie do tego powołana instytucja — Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich. A zbrodnie sowieckie? Czy mają pójść w niepamięć? Jest ich przecież ogrom. Kto wie, czy w ciągu tylu lat nie przekroczyły ilości zbrodni niemieckich.

Apeluję, aby od 1985 roku, 40-tej rocznicy zakończenia wojny, rozpocząć systematyczne zbierania wszelkich relacji o zbrodniach sowieckich w latach wojny, a oddzielnie o zbrodniach rodzimych oprawców z UB i SB po roku 1945.

Dla przykładu. Mojego ojca wywieziono ze wschodnich terenów Polski w roku 1948 (!), kiedy najspokojniej w świecie urządzano we Wrocławiu tak zwany Kongres Pokoju. Ojciec miał wówczas 71 lat. Wywieziono go do Krasnojarskiego Kraju, gdzie zmarł, ale nie pozwolono nam nawet odwiedzić grobu. Nasza rodzina ufundowała mu więc tablicę w kościele w Warszawie.

W relacjach chodzi o przykłady mordów, wywożenia w głąb Rosji, wszelkie przejawy nienawiści do Polaków — znęcania się, zmuszania do przymusowej pracy, wszystko co świadczy o stosunku Sowietów do Polaków.

Mogą to być własne przeżycia, wspomnienia z dzieciństwa, fakty zastrzyżane z opowiadań innych ludzi, na przykład rodziców, krewnych i znajomych. Każdy fakt jest ważny. Nic nie można pominąć. Trzeba prosić jednak przede wszystkim o konkretne fakty, daty, nazwy miejscowości, nazwiska oprawców, świadków lub towarzyszy niedoli (również innych narodowości, zamieszkujących Sowiety, a także narodowości z krajów Europy Środkowej opanowanych przez Sowiety).

Proponuję, aby apel skierować do wszystkich Polaków: i tych zamieszkałych w Polsce, i tych osiadłych na Zachodzie. W kraju proponuję gromadzenie relacji u zaufanych proboszczów (z tym, by ci przekazywali je osobiście swoim biskupom) lub przekazywanie ich na Jasną Górę w czasie pielgrzymowania do Częstochowy. Nigdy nie należy robić tego listownie.

Polacy z Zachodu mogliby przysyłać swoje wspomnienia do Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa, która mogłaby wykorzystywać te materiały również do swoich audycji bieżących. Ostateczne opracowanie i zarchiwizowanie zebranych materiałów można by powierzyć jednej z emigracyjnych placówek historycznych. Najciekawsze otrzymane od Polaków z Zachodu relacje mogłyby nawet być wydane w formie książkowej przez Instytut Literacki w Paryżu.

Nie zbagatelizujcie tego wezwania. Nie zaniedbujcie go, bo ludzie-świadkowie tych zbrodni odchodzą. Niech ich relacje staną się świadectwem o naszych nieludzkich czasach.

SPIS TREŚCI

Wojciech Karpiński: <i>Ideologia i historia</i>	3
Wiktor Sukiennicki: <i>Polityczne konsekwencje błędu semantycznego</i>	18
Waldemar Kuczyński: <i>Katastrofa i przebudzenie</i>	34
Michał Kołodziej: <i>Podziemne struktury NSZZ „Solidarność” (13. 12. 1981 - 13. 12. 1984)</i>	65
Ryszard Mossin: <i>Wywiad z prof. Wacławem Jędrzejewiczem</i>	91

STOSUNKI POLSKO-UKRAIŃSKIE

Benedykt Heydenkorn: <i>Polityczna działalność metropolity Szeptyckiego</i>	99
B.H.: <i>Ukraina i Ukraińcy w drugiej wojnie światowej</i>	114

WSPOMNIENIA

J.-F. Malgaine: <i>Medycyna i chirurgia polska w czasie Powstania Listopadowego</i>	116
Jacek Bierezin: <i>Miedzy Marcem a Sierpnem</i>	131
„IŚKA”: <i>Jeszcze o Staligorsku</i>	140

RECENZJE

Anna M. Cienciała i Piotr S. Wandycz: <i>Polonia Restituta — czyli Noël redivivus</i>	147
Z. S. Siemaszko: <i>Okoliczności rozpoczęcia Powstania Warszawskiego</i>	159
Jerzy R. Krzyżanowski: <i>„Panta rhei” Przemysława Bystrzyckiego</i>	176

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Watykan a rząd polski w Angers</i>	182
Jerzy Bahr: <i>Wspomnienie z teraźniejszości</i>	196
Witold Pilecki: <i>Niezauważona rocznica</i>	203
<i>Przemówienie ministra Józefa Becka</i>	210
<i>Gen. Tatar a Powstanie Warszawskie (list do prof. dr. Janusza Zawodnego)</i>	211
	239

KRONIKA

Józef Garliński: <i>Konferencja historyków w Londynie</i>	215
Ze ta: <i>Parę słów o Powszechnym Zjeździe Historyków</i> ..	217
Takayuki Ito: <i>Zapis z XIII Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich</i>	220
Piotr S. Wandycz: <i>Międzynarodowa Konferencja o Drugiej Rzeczypospolitej</i>	226
<i>500-lecie śmierci bł. Michała Giedroycia</i>	229

LISTY DO REDAKCJI

Stefania Mitkiewiczowa: Sprostowanie dotyczące książki gen. St. Maczka pt. „Od powody do czołga”	232
W. M. Marcinkowski: Na marginesie artykułu T. Boguszewskiego pt. „Odtwarzanie dziejów Narodowych Sił Zbrojnych” (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 69)	233
Andrzej Pleszczyński: Sprostowanie dotyczące recenzji Józefa Garlińskiego z książki Jana Erdmana „Droga do Ostrej Bramy” (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 70)	233
Robert A. Vitas: Na marginesie recenzji Anny M. Cieniąły z jego artykułu „The Polish-Lithuanian Crisis of 1938: Events Surrounding the Ultimatum” zamieszczonego w piśmie <i>Lithuanus</i> nr 2, 1984. Recenzja Anny Cieniąły ukazała się w <i>Kulturze</i> nr 12/447 (1984) ..	234
Piotr Wandycz: Sprostowania dotyczące recenzji T. P. Dobrzyńskiego i J. Garlińskiego w <i>Zeszytach Historycznych</i> nr 70	236
Władysław Żeleński: Sprostowanie do informacji dotyczącej śmierci Romana Baranowskiego oskarżonego o zabójstwo Hołówki (<i>Zeszyty Historyczne</i> nr 46 (1978) ..	236
List z kraju: Apel o zbieranie faktów dotyczących prześladowania Polaków przez Sowiety od 1939 roku do naszych czasów	237

Achévé d'imprimer le 24 mai 1985
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e.
Dépôt légal : 2^e trimestre 1985.
N^o d'imprimeur 7080.

